



DLACZEGO MAMUSIA PRZEKLINA

ROZTERKI WKURZONEJ MAMY

KSIĄŻCE
PATRONUJE
CH*JOWA
PANI DOMU

GILL SIMS

Gill Sims

Dlaczego mamusia przeklina?

Rozterki wkurzonej mamy

Tłumaczenie: Marta Żbikowska

TEJ SAMEJ AUTORKI:

Dlaczego mamusia pije?

Pamiętnik wyczerpanej mamy

Dla AE i AT

SPIS TREŚCI

LIPIEC

SIERPIEŃ

WRZESIEŃ

PAŹDZIERNIK

LISTOPAD

GRUDZIEŃ

STYCZEŃ

LUTY

MARZEC

KWIECIEŃ

MAJ

CZERWIEC

LIPIEC

PODZIĘKOWANIA

LIPIEC

PONIEDZIAŁEK, 18 LIPCA

Do wakacji jeszcze tydzień. Zazdroszczę rodzicom słynnej Piątki Detektywów z powieści Enid Blyton. Nie dość, że rodzice Juliana, Dicka i Anne bez żadnych skrupów wysłali dzieci na wakacje do cioci Fanny i wujka Quentina, to jeszcze ciocia Fanny puszczała ich na wyspy, wrzosowiska i do jaskiń pełnych przestępców, rabusiów i przemytników, byleby tylko nie przeszkadzały wujkowi w myśleniu i pisaniu.

Niejeden raz zastanawiałam się, czy nie zrobić czegoś podobnego. Przecież kiedyś wymyśliłam fantastyczną aplikację, na której przez jakiś czas zarabiałam mnóstwo pieniędzy. To nie moja wina, że świat aplikacji jest kapryśny, moje dzieło odeszło w zapomnienie i nikt już go nie kupuje. Jestem przekonana, że byłabym zdolna powtórzyć ten sukces, gdybym tylko mogła wysłać dzieci na wakacje daleko stąd (i gdybym przestała się objać i objadać ciasteczkami).

O ile dobrze pamiętam, wujek Quentin niewiele zarabiał na swoich wynalazkach, dlatego byli biedni i musieli opiekować się nieznośnymi kuzynami. To niesprawiedliwe, że w dzisiejszych czasach nie można już wcisnąć dziecku śniadaniówki z kanapkami i wysłać je na rower z zastrzeżeniem, żeby nie wracało, dopóki wakacje się nie skończą. Jane ma już jedenaście lat, więc jest w idealnym

wieku, żeby pobawić się w detektywa. Zasugerowałam jej to podczas jednej z naszych regularnych kłótni o to, dlaczego nie pozwalam jej założyć konta na Instagramie. W odpowiedzi wypunktowała wszystkie wiążące się z realizacją tego planu wykroczenia i zagroziła, że jeśli jeszcze raz o tym wspomnę, zadzwoni do opieki społecznej.

Perspektywa związanych z wakacjami wydatków jest o wiele bardziej przygnębiająca niż w przygodach Piątki Detektywów. Czytam tę książkę Peterowi, chociaż obawiam się, że robię to wbrew jego woli, bo co wieczór mówi, że wolałby oglądać gameplaye Minecrafta na YouTube, niż znosić kolejny rozdział przygód, żartów, zabaw i unieszkodliwiania złoczyńców w blytonowskim stylu. Jane oczywiście odmówiła udziału w tak dziecinnej rozrywce, jaką jest czytanie z mamusią do poduszki, więc musiałyśmy pójść na kompromis. Zwolniłam ją z tego obowiązku, ale pod warunkiem, że będzie czytać sama. Myślałam, że to dobry pomysł, ale po dwóch rozdziałach dowiedziałam się, że *Ania z Zielonego Wzgórza* jest „głupia, nudna i cały czas gędzi o jakiejś wyobraźni”. Przekazałam więc Jane, że nie ma duszy i musiała zostać podmieniona w szpitalu, bo MOJE dziecko w życiu nie powiedziałoby czegoś takiego o Ani Shirley. Teraz udaję, że nie wiem, że Jane ogląda na YouTube filmiki o tym, jak zrobić makijaż, zamiast wędrować urokliwymi alejkami Avonlea z Gilbertem Blythe’em (ja dalej uwielbiam Gilberta).

Peterowi nie uda się mnie zniechęcić, więc wytrwale zmuszam go do wspólnych literackich wycieczek na wyspę

Kirrin, chociaż mam nieśmiałe przypuszczenia, że poszedł ze mną na utajnioną wojnę gazową, bo kiedy tylko zasiadamy do czytania, puszcza jeszcze więcej bąków niż zwykle (a mówi to osoba, której dziecko z dumą kiedyś obwieściło, że nauczycielkę zemdliło od jego gazów). Kilka razy musiałam przerwać przed końcem rozdziału, bo łzawiły mi oczy.

Teoretycznie te wakacje powinny być dla mnie mniej stresujące niż poprzednie w związku z podjętą przeze mnie trzy miesiące temu wątpliwie rozsądną decyzją o dobrowolnym odejściu z pracy. Zaczęłam snuć wielkie plany, że zostanę projektantką gier i aplikacji, bo dwa lata wcześniej napisałam apkę *Dlaczego mamusia pije?*. Myślałam, że odprawa będzie dobrym zabezpieczeniem finansowym, dopóki nie wymyślę kolejnego sprzedażowego hitu. Kiedy odchodziłam z pracy, miałam mnóstwo świetnych pomysłów, które zamierzałam błyskawicznie zmienić w żyłę złota.

Niestety, gdy tylko zaczęłam przekładać swoje pomysły na język gier, szybko okazało się, że są... cóż, do dupy. Nie pomogło też to, że kiepsko mi wychodzi pracowanie z domu i nie umiem odpowiednio zarządzać czasem. Latami marzyłam, żeby uciec z biura, a teraz uświadomiłam sobie, że kiedy siedzę sama w domu i nie mam się do kogo odezwać, czuję się samotna. Zaczęłam nawet tęsknić za Jean z działu dostaw, której ulubionym zajęciem było snucie długich i szczegółowych opowieści o stanie swojego pęcherzyka żółciowego. Co gorsza, okazało się, że samotne siedzenie w domu jest równoznaczne z pochłanianiem

olbrzymiej ilości ciasteczek, przez co nie dość, że nie stworzyłam wiekopomnego dzieła, to jeszcze przytyłam sześć kilogramów i za każdym razem, kiedy ukradkiem zobaczę w lustrze swój wielki tyłek, zamieram z przerażenia. Czuję się, jakbym była ilustracją wieloryba z książeczki edukacyjnej dla dzieci.

Tak czy inaczej, wakacje wiszą w powietrzu, a ja rezerwuję miejsca w szkółkach sportowych, szukam nianiek i zawieram skomplikowane umowy z przyjaciółmi na wymianę dzieci. A wszystko po to, żeby bez wydawania horrendalnej kasy stworzyć chociaż pozory tego, że mam jakiś plan na dni, podczas których sama będę próbowała pracować. W ostatecznym rozrachunku oczywiście i tak wydamy horrendalną kasę, bo dzieci potrzebują wielu rozrywek i wymagają karmienia w niebezpiecznie małych odstępach czasu. Zawsze mnie zastanawia, jak sobie radzą w szkole, w której nie mogą, niczym stado wygłodzonych szpaków, co pięć minut piszczeć o przekąski z otwartymi dziobami, aż mamusia coś w nie wrzuci.

PIĄTEK, 22 LIPCA

Koniec roku szkolnego! Przez cały tydzień dzieci wracały ze szkoły, uginając się pod ciężarem wysłużonych zeszytów ćwiczeń i pogniecionych kartek z pracami plastycznymi, oczywiście szczodrze oprószonych brokatem. Teraz prace walają się po domu, bo przecież trzeba je zachować dla przyszłych pokoleń. Jane twierdzi, że jak kiedyś zostanie „słynną influencerką w mediach społecznościowych, to

będzie warte fortunę!”. Obawiam się, że jedyną wartość, jaką może osiągnąć reprodukcja *Słoneczników* van Gogha, która wygląda dokładnie tak samo jak prace wszystkich innych dzieci w klasie, to wartość sentymentalna. Dla mnie. Oczywiście gdybym którąkolwiek z prac wyrzuciła do śmieci, to tym samym zdeptałabym marzenia i zniszczyła dzieciństwo Peterowi i Jane, dlatego pod osłoną nocy dyskretnie wynoszę pojedyncze egzemplarze do śmietnika na dworze, a dzieciom mówię, że schowałam je na strychu.

Peter przyniósł też pracę domową – małą roślinkę, którą będzie musiał utrzymać przy życiu przez wakacje i pielęgnować przez kolejny rok szkolny. Świetnie! Mam fatalne notowania, jeśli chodzi o uprawianie roślin. Potrafię zasuszyć nawet kaktus. Spytałam Petera, czy wie, jaka to ma być roślinka, na co bardzo pomocnie odparł:

- Zielona.

Wątpię, żeby ta informacja okazała się przydatna, kiedy będę przemierzać centra ogrodnicze z ususzonym krzakiem w ręku, próbując kupić taki sam, żeby nikt się nie zorientował. Może to kara za dzień, w którym pozwoliłam klasowemu chomikowi Hannibalowi wyrwać się na wolność i wszelki ślad po nim zaginął. Miałam wtedy dziewięć lat, a moja matka musiała odwiedzić wszystkie okoliczne sklepy zoologiczne, zanim udało się jej znaleźć odpowiedni zamiennik Hannibala. Przez wiele lat mama twierdziła, że czasami w nocy słyszy piski, ale jestem pewna, że mówiła tak, by mnie uspokoić. Mianowicie te piski zaczęła słyszeć po tym, jak zobaczyłam sierść sterczącą z pyska jej syjamskiego

kocura Alphonsa. Drań chyba jeszcze nigdy nie był tak bardzo zadowolony z siebie.

PONIEDZIAŁEK, 25 LIPCA

Pierwszy dzień wakacji. Mogło być gorzej. Jako dziecko miałam książeczkę *Pierwszy dzień wakacji* o przestępczych pingwinach, które ukradły motocykl (nie mam pojęcia, skąd przyszedł im do głowy taki pomysł), pojechały na przejażdżkę i na koniec tej eskapady się rozbiły. Pingwinów i kradzieży na szczęście nie było, ale nie udało się uniknąć potwornego marudzenia.

Postanowiłam zrobić sobie wolne, bo pomyślałam, że miło będzie spędzić ten dzień z dziećmi. Jane chciała iść do kina, a Peter na lasery, ale odmówiłam obojgu (przecież wspólnie możemy porobić coś fajnego i pouczającego). W ramach skomplikowanych umów na wymianę dzieci, miałam też pod opieką pociechy mojego przyjaciela Sama - Sophie i Toby'ego. (Nawiasem mówiąc, jako samotny ojciec Sam ma najbardziej skomplikowaną sytuację ze wszystkich moich znajomych). Pełna entuzjazmu zaproponowałam, żeby pojechać do pałacyku za miastem i trochę się poduczmy z historii.

- Nudy! - zaczęły jęczeć moje dzieci.

Sophie i Toby byli zbyt dobrze wychowani, żeby dołączyć się do tych jęków, choć ewidentnie byli tego samego zdania.

- Dlaczego musimy tam jechać? Beznadzieja! - narzekła Jane.

- Mamo, a możemy zabrać iPady? - stęknął Peter.

Na co ja ryknęłam:

- Będzie świetnie! Będzie ciekawie i pouczająco, będziemy robić to, co wryje się w nas na zawsze jako najlepsze wspomnienia! No i mi się opłaci, bo mam kartę członkowską Narodowego Funduszu na Rzecz Renowacji Zabytków i wasz ojciec wreszcie przestanie narzekać, że jej nie używam.

Kiedy tylko weszliśmy do pałacyku, przypomniało mi się, dlaczego nigdy nie używam tej pieprzonej karty - bo zabytki są pełne niezwykle cennych i tłukących się przedmiotów, a niezwykle cenne i tłukące się przedmioty w połączeniu z dziećmi (szczególnie małymi chłopcami) tworzą mieszankę wybuchową. Wyobrażałam sobie twarzyczki promieniejące z zachwytu na widok szacownych historycznych skarbów, a skończyło się na pokrzykiwaniu:

- NIE DOTYKAJ TEGO!

- DO JASNEJ CHOLERY! MÓWIŁAM CI, ŻEBYŚ TEGO NIE DOTYKAŁ!

- NIE PRZECHODŹ ZA SZNUREK!

- NIE WOLNO NA TYM SIADAĆ!

- CHRYSSTE, NIECH TO SZLAG!

Na co niezadowoleni emeryci wzdychali i prychali, formułując w myślach listy ze skargami do *Daily Mail*. Może powinnam stworzyć aplikację, którą rodzice mogliby instalować w telefonach dzieci, a która zaczynałaby wibrować i piszczeć: „NIE DOTYKAJ TEGO!”, gdy dziecko znajdzie się w pobliżu cennego i tłukącego przedmiotu? Jestem pewna, że okazałaby się przydatna w wielu sytuacjach, nie tylko w zabytkach Narodowego Funduszu,

ale też, na przykład, w dziale chińskim w domach towarowych John Lewis. Chociaż jeśli ktoś jest na tyle głupi, żeby zabrać dzieci do działu chińskiego, sam się prosi o apokalipsę...

Ponieważ dzieci już w drodze zjadły cały prowiant, który im przygotowałam, kiedy tylko wyszliśmy z pałacyku, zaczęły „umierać z głodu” i musiałam zabrać je do kawiarni na lunch. Czwórka dzieci w samoobsługowej kawiarni? Nie polecam. Teoretycznie dzieci w wieku dziewięciu czy jedenastu lat powinny być względnie samodzielne, ale w praktyce tak skomplikowane zadania jak stanie w kolejce, trzymanie tacy czy wybieranie smaku soku, okazały się zdecydowanie za trudne, po prostu je przerastały. Kiedy siadaliśmy przy stole, nienawidziło nas już całe hrabstwo. Jane uparła się, że chce (i zje) zapiekankę z makaronem, ale kiedy tylko ją dostała, oznajmiła, że jest niejadalna, bo zobaczyła w niej coś, co wygląda jak papryka, a przecież to oczywiste, że akurat nastąpiła ta chwila, kiedy Jane nienawidzi papryki. Sophie poparzyła się zupą, mimo że ostrzegałam ją, żeby poczekała, aż trochę ostygnie. Peter i Toby na jeden raz wciągnęli swoje porcje i zaczęli rozglądać się za czymś, co jeszcze mogliby zjeść, podczas gdy ja połam Sophie zimną wodą, jednocześnie zlizując majonez ze swojej kanapki, żeby nakarmić nią Jane, i posykiwałam, że „nie, nie kupię wam coli”, składałam obietnice, że chipsy dostaną w domu, i walczyłam z ogarniającym mnie pragnieniem, żeby wyjść z kawiarni i zacząć walić głową w ścianę z ozdobnej cegłówki. Chociaż wtedy pewnie zostałabym oskarżona

o niszczenie mienia Funduszu.

Goście kawiarni rzucili mi kilka kolejnych pełnych konsternacji spojrzeń, kiedy krzyknęłam na dzieci:

- Wracamy do domu, wy małe czorty!

Nie wiem tylko, co zdziwiło ich bardziej - to, że nazwałam swoje kochane maleństwa czortami, czy to, że na to zareagowały.

Kiedy te wakacje się wreszcie skończą?!

SIERPIEŃ

CZWARTEK, 4 SIERPNIA

W tym tygodniu dzieci chodziły do wakacyjnej szkółki sportowej, którą ewidentnie wymyślił jakiś sadysta, kamuflując swój zbrojecki pomysł pod płaszczykiem dobrej zabawy i stosunkowo niedrogiej szansy na pozbycie się dzieci podczas kolejnych wakacyjnych dni. Mówiąc „stosunkowo niedrogo”, mam oczywiście na myśli sto milionów pieprzonych funtów. A „dobra zabawa” to przebieranie się pięć razy dziennie, bo na każde zajęcia trzeba mieć inny strój, a po lekcjach pływania dodatkowo trzeba pamiętać, żeby uratować mokre kostiumy przed zgniciem, czyli wypakować je, przepłukać i wywiesić, bo te małe bestie zawsze owijają je w ręczniki i upychają na dnie plecaków.

Za każdym razem, kiedy zapisuję dzieci do szkółki, liczę na to, że ktoś odkryje drzemiący w nich talent do tenisa, piłki nożnej lub gimnastyki artystycznej. Z matczynym żalem stwierdzić jednak muszę, że do tej pory nic takiego nie miało miejsca, bo moje pociechy większość czasu spędzają na jedzeniu chipsów, a po każdym zajęciach błagają o pieniądze na napoje z automatu, choć więc powinny padać ze zmęczenia, odbija im palma, bo opily się energetyków. I nic nie pomagają rozpaczliwe prośby:

- Kup sobie chrupki, kochanie, ale tylko chrupki.

- Powiedziałam, tylko chrupki!

- Nie otwieraj tej puszeki... NIE OTWIERAJ... ŻEŹ KURWA
MAC!

Simon jest w Madrycie i robi to, co zwykle robi podczas tych swoich bardzo ważnych wyjazdów służbowych. A ja podejrzewam, że wcale nie jest to takie straszne, jak twierdzi, bo mieszka w ładnych hotelach (byłam wniebowzięta, kiedy napisał mi rano, że przenieśli go do apartamentu) i chodzi na pyszne obiady do prawdziwych restauracji, w których nie podaje się frytek i gdzie nie trzeba wydawać skrupulatnych instrukcji kelnerom, żeby, broń Panie Boże, nie kładli burgera w pobliżu sosu, bo jeśli zostanie skażony majonezem czy salsą, świat ulegnie zagładzie. Oczywiście tym pierwszym, co zrobią dzieci, będzie oblanie burgerów ketchupem tak obficie, że i tak nie poczują żadnego innego smaku.

Ja marzę o hotelach. W mojej starej pracy nigdy nie wysyłano mnie na luksusowe wycieczki zagraniczne, chociaż może jako projektantka aplikacji będę mogła jeździć na konferencje i konwenty. W Las Vegas na pewno dzieje się mnóstwo w tej kwestii. Mogłabym mimochodem wysłać Simonowi SMS-y o tym, jak wspaniale się bawię w ekskluzywnych apartamentach, jedząc potrawy obficie polane sosem. Tymczasem jestem skazana na siebie. I ciasteczka. Tępo gapię się w ekran komputera, zastanawiam się, co ze sobą począć i próbuję nie myśleć o tym, że wydałam już prawie wszystkie oszczędności. Głównie na ciasteczka.

Liczyłam na to, że kiedy dzieci będą w szkółce, uda mi się trochę popracować, ale mój świetny plan nie wypalił. Nie wierzę, że istnieją na tym świecie ludzie, którzy potrafią pracować z domu. Ja przez większość czasu gapię się przez okno i przesiaduję na stronie *Daily Mail*, czytając o tym, że jakaś gwiazda „pokazała się publicznie” (to znaczy wyszła po zakupy), „pokazała swoje bujne kształty” (też wyszła po zakupy, tylko ubrana w bardziej kusy top niż ta, która „pokazała się publicznie”) albo „zmasakrowała” swoją równie mało znaną koleżankę (to znaczy napisała na Twitterze coś mało zrozumiałego, ale przykuwającego uwagę, i skasowała tweeta godzinę później, kiedy miała już pewność, że redaktorzy *Daily Mail* zdążyli go przeczytać). Często gram też w pasjansa, a za piętnaście trzecia w pośpiechu wysyłam kilka mejli i pędzę odebrać dzieci. Jednego mejla przez pomyłkę wysłałam Simonowi, mojemu kochanemu i wspierającemu mężowi. Odpisał mi, że owszem, są na tym świecie ludzie, którzy potrafią pracować w domu, i podał w wątpliwość mój system pracy. To oczywiście bujdy na resorach, bo na własne oczy widziałam, jak Simon pracuje w domu. Spędza dokładnie tyle samo czasu na czytaniu *Daily Mail* co ja, a do tego ogląda na *Autocarze* sportowe samochody, na które go nie stać, i z rozżaleniem buszuje po uginających się od produktów spożywczych (oczywiście z wyjątkiem ciastek, które regularnie wyjadam) szafkach, twierdząc, że nie mamy nic do jedzenia.

Moje postanowienie, żeby w zwykłe dni tygodnia nie pić alkoholu, też nie wychodzi mi najlepiej.

Założę się, że ciotka Fanny nie miała takich problemów.

Po dwóch kieliszkach wina, nieprzyjemnej wycieczce na stronę banku, która potwierdziła moje obawy odnośnie stanu konta, oraz kolejnym dniu spędzonym bez jakiegokolwiek interakcji z dorosłymi (z wyjątkiem dziarskiego „trenera” z zajęć sportowych, który kolejny raz kazał mi się wpisać do księgi wypadków, gdyż Peter z sobie tylko znanych powodów postanowił wyrznąć głową o podłogę), uznałam, że pora na zmiany, i zapisałam się do agencji pracy. Może złapię coś na pół etatu i zarobię trochę pieniędzy, ale wciąż zostanie mi czas na pisanie kolejnej błyskotliwej aplikacji. I oczywiście będę jeździć na ekskluzywne wyjazdy służbowe (niestety nie dało się szukać według tego kryterium, a szkoda).

PIĄTEK, 5 SIERPNI

O kurka! O kurczakowska kurczakowa kurka! Obawiam się, że zrobiłam coś bardzo głupiego. Jestem na obozie skautek z Jane. Miesiąc temu wpisałam się na listę ochotników na spotkaniu dla rodziców. Wtedy myślałam, że to świetny pomysł, bo spędzę trochę czasu z Jane, jak na kochającą matkę przystało. Poza tym udowodnię swojej starej drużynowej, że popełniła błąd, wyrzucając mnie za niesubordynację (czy coś innego – nie pamiętam. Pewnie nie chciałam się nauczyć wiązać węzłów albo śmiałam się z tekstów piosenek. Tak czy owak, uznano, że się nie nadaję). Teraz miałam szansę pokazać, że jest wręcz przeciwnie! Czas na bujne zielone pola, śnieżnobiałe płócienne namioty i ogniska, na których będziemy gotować kakao, oczywiście

z mleka od pobliskiego farmera! Może nawet będą na nas czyhać jakieś niebezpieczeństwa, a ja pomogę dziewczynkom rozwiązać zagadkę nie do rozwiązania. Tak, idealnie nadaję się na obóz skautek! Energicznie podniosłam rękę, kiedy drużynowa Melanie zapytała, kto chce dołączyć na ochotnika. Trochę za późno zdałam sobie sprawę, że pozostali rodzice odetchnęli z ulgą, że jakaś naiwna entuzjastka ich wyreczyła. Melanie też nie umarła z zachwytu na wiadomość o moim altruistycznym geście.

- Ellen... To miłe z twojej strony, ale... Czy jesteś pewna, że to coś dla ciebie? - ledwie wydusiła.

Zapewniłam ją, że jak najbardziej, na co spytała z niepokojem:

- Wiesz, że będziesz mieć pod opieką kilka dziewczynek? I że będziesz zdana tylko na siebie? Naprawdę jesteś pewna, że sobie z tym poradzisz?

Melanie pewnie miała na myśli niefortunny wieczór sprzed kilku tygodni, kiedy pełniłam dyżur na spotkaniu drużyny, bo ona została wezwana do dziecka z krwotokiem z nosa. Tamtego dnia skautki odwiedził policjant, który miał im opowiedzieć o samoobronie. Melanie uznała, że razem z konstabłem Briggsem poradzimy sobie z kilkoma dziewczynkami. Niestety Briggs był młodym i bardzo jeszcze naiwnym funkcjonariuszem. Mała Amelia Watkins skorzystała z okazji, że Melanie wyszła, i poprosiła konstabla, żeby pokazał jej kajdanki, bo jak to ujęła rezolutnie: „Rozważam karierę w policji”. Kiedy tylko chłopaczyna podał jej kajdanki, Amelia przykuła go do

krzesła, a pozostałe dziewczynki, wyczuwając moment słabości tak szybko, jak potrafią tylko dzieci poniżej dwunastego roku życia, tłumnie podbiegły, pozbawiły nieszczęsnego policjanta pałki i krótkofalówki, po czym zaczęły zabawę inspirowaną *Władcą much*. Tańczyły wokół Briggsa i drwiły niemiłosiernie, gdy błagał o uwolnienie, bezradnie szamocząc się z kajdankami. Tabitha MacKenzie zaczęła nadawać przez krótkofalówkę żądania okupu za darowane życia „funkcjonariuszowi konstablowi”, Tilly Everett próbowała złamać rękę Milly Johnson pałką, a ja bezskutecznie próbowałam zaprowadzić porządek.

Wszystko to wydarzyło się w ciągu trzech minut nieobecności Melanie. Kiedy wróciła do pomieszczenia, konstabl Briggs był na skraju płaczu, przez krótkofalówkę dochodziły do nas groźby, że centrala przyśle posiłki, a Milly założyła Tilly chwyt wokół szyi, próbując ją rozbroić. (Czyli opłacało się uważać na zajęciach z samoobrony).

Wystarczył jeden złowrogi gwizdek, żeby Melanie przywróciła porządek, a konstabl Briggs pośpiesznie się oddalił. Z jego krótkofalówki dobiegały śmiechy o niebezpiecznych skautkach, a mnie wysłano do posegregowania cienkopisów, bo jestem tak nieodpowiedzialna, że nie można mnie nawet puścić w pobliże kleju PVA.

Mimo powyższych zastrzeżeń, a także dlatego, że żaden inny rodzic nie zgłosił się na ochotnika, Melanie była skazana na mnie.

- Masz jakieś doświadczenie z obozami skautek? - spytała,

nie licząc na zbyt wiele.

- Oczywiście! Kiedyś byłam na festiwalu rockowym w Glastonbury. To prawie to samo. Będzie świetnie! - zapewniłam ją radośnie, chociaż nie wyglądała na przekonaną.

No i jestem. W szczerym polu. Wokół mnóstwo błocka, a wszędzie roi się od małych dziewczynek, które zjechały się z całego hrabstwa, więc Melanie chce zrobić jak najlepsze wrażenie. Kiedy to planowała, raczej nie wzięła pod uwagę faktu, że zabiorę ze sobą jasnoróżowe kalosze Huntera. Przypuszczam też, że nie jest zachwycona moim zawadiackim zestawem złożonym z szortów i kurtki przeciwdeszczowej. Podobny miałam na sobie dwadzieścia lat temu w Glastonbury. Chciałam być jak Kate Moss i Jo Whiley. Niestety zapomniałam, że są to jedyne Brytyjki, które mogą sobie pozwolić na szorty po dwudziestych piątym urodzinach, i tym sposobem wyglądałam jak dziewczyna stracha na wróble na kwasie. Plus był taki, że zaaplikowałam sobie tyle samoopalacza, że moje nogi zyskały odcień jaskrawej pomarańczy, więc łatwo było mnie znaleźć nawet w środku nocy.

Tak czy inaczej, jeśli Melanie się zawiodła, to nie była jedyna. Zamiast białych rustykalnych namiotów dostałyśmy do rozstawienia paskudne, zgniłozielone, nylonowe koszmarki. Dowiedziałam się od drużynowej, że są nowoczesne i praktyczne, a w środku będzie mi cieplej i wygodniej.

- Ale rustykalne są ładniejsze! Jak to możliwe, że są mniej

wygodne niż te paskudztwa? Białe namioty aż się proszą o urocze chorągiewki, miękkie poduszki i lampki choinkowe – skomentowałam z westchnieniem.

Natomiast coraz bardziej zniecierpliwiona Melanie próbowała zagonić mnie i piętnaście podekscytowanych dziewczynek do rozbijania obozu:

- Chryste, Ellen! Jesteś na obozie skautek, a nie w sklepie Cath Kidston! Gdzie się podział twój skautowski duch?

Dobre pytanie. Wszystko wskazywało na to, że jednak go nie mam. Może dlatego wyrzucili mnie z obozu krasnali ładnych parę lat temu? Nie mogłam się też oprzeć wrażeniu, że gdyby przyszło do rozwiązywania zagadek i krzyżowania planów podejrzanym złoczyńcom, na pewno przytrafiłoby się to tym farciarzom z uroczych rustykalnych namiotów w stylu vintage.

SOBOTA, 6 SIERPNIA

Stwierdzam, że jednak nie lubię spania w namiocie. Równie dobrze mogłabym spać na gołej ziemi. To dobre dla dwudziestolatków nabuzowanych po całej nocy szaleństwa na koncertach rockowych, nachlanych hektolitrami cydru oraz narajanych i naćpanych różnymi nielegalnymi substancjami. Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałabym gustować w spaniu w szczerym polu, skoro mam swój ukochany domek i łóżko. I jestem przemarznięta i trzeźwa. Gdzie tu sens, gdzie logika? Na dodatek nie ma gdzie podłączyć prostownicy do włosów, ale ponieważ ciężko je w ogóle umyć, i tak są oklapnięte, więc w sumie wychodzi

na to samo.

Wczoraj we włosy wlaź mi jakiś robal. Jestem pewna, że coś po mnie łąziło. Melanie nie była zachwycona, kiedy ją obudziłam, żeby pomogła mi to coś wyjąć, i kazała mi iść spać, bo podobno w Wielkiej Brytanii nie ma jadowitych owadów. Pozostała też niewzruszona, kiedy zaczęłam narzekać, że przecież mogę mieć alergię na owady i nawet o tym nie wiedzieć, bo jeszcze nigdy nie miałam żuka we włosach.

Melanie chyba żałuje, że pozwoliła mi jechać. Cóż, ja też żałuję, że tu jestem. To nie ma nic wspólnego z Glastonbury ani fantazjami o perypetiach rodem z książek przygodowych. Może błoto jest tu jakieś inne?

Nie ma pachnących dymem ognisk do pieczenia kiełbasek, jest za to przerażająca kuchenka gazowa, przy której spaliłam sobie rzęsy. To jeszcze gorsze niż palniki Bunsena, których używaliśmy w szkole podczas eksperymentów na lekcjach chemii. Nie wspominałam o tym Melanie, odnoszę bowiem wrażenie, że moje rzęsy nie trafiłyby na listę jej priorytetów. Po aferze żukowej musiała tej nocy wstawać jeszcze kilka razy, żeby uspokoić stęsknione za domem dziewczynki, przerywać kompulsywne wyzerki wywołane stresem z wyżej wymienionego powodu, a także o trzeciej nad ranem leczyć bóle żołądka spowodowane niepoohamowaną konsumpcją draży.

W pewnym sensie podziwiam Melanie, nawet jeśli poprosiła mnie, żebym zapaliła gaz w kuchence tylko dlatego, że miała nadzieję, iż spłonę, a ona raz na zawsze

pozbędzie się mnie i mojej niekompetencji. A podziwiam w niej to, że nigdy nie traci cierpliwości, choć skautki potrafią być naprawdę wkurzające. Gdybym to ja była drużynową i założyłyby mi za skórę, pewnie powiedziałabym im, żeby wypieprzały z obozu albo coś takiego. Podziwiam Melanie również za to, że ani razu nie sięgnęła po dzin, a to byłaby moja druga strategia na radzenie sobie z trudnymi sytuacjami. Żeby robić coś takiego, trzeba mieć to coś. Może tak właśnie objawia się wspomniany już skautowski duch?

Zawsze myślałam, że dobrze sobie poradzę w warunkach polowych, bo jestem bojowniczką i inspirującą postacią, która prowadzi tłumy z pieśnią na ustach, zadając szyku w pomysłowych kreacjach mocowanych na klamerki do bielizny. Tymczasem wyszło na jaw, że gdybym cofnęła się do drugiej wojny światowej, okazałabym się bezużyteczną panikarą, natomiast dziewczyny i kobiety pokroju Melanie w czasach tak wielkiej próby potrafią budować schrony gołymi rękoma.

Do tej pory nie spotkałyśmy ani jednego fałszerza czy złoczyńcy, któremu mogłybyśmy pokrzyżować plany, ale może to i lepiej, bo dziewczynki zdecydowanie bardziej interesują się grupowymi wypadami do toalety i opychaniem się przemyconymi słodyczami niż rozwiązywaniem zagadek.

Podczas zajęć z łucznictwa Jane obudziła drzemiącego w niej Wilhelma Tella, co wymagało naszej zdecydowanej interwencji. Moja córka wymarzyła sobie bowiem, że zestrzeli jabłko z głowy Tilly Morrison, i zaczęła materializować to marzenie. Natomiast podczas zajęć

z orientacji w terenie dziewczynki nie wykazały choćby grzecznościowego zainteresowania. Po co komu mapy i kompasy, skoro mamy Google Maps?

- A gdybyście nie miały Google Maps? - spytałam.

- A dlaczego miałybyśmy nie mieć? - odparła Amelia Benson.

- Czasami nie ma zasięgu albo pada bateria - zasugerowałam, ale dziewczynki nie były przekonane, więc dodałam jeszcze: - Można też zgubić telefon.

- Aha, czyli zgubiłam telefon, ale przypadkiem mam przy sobie mapę i kompas? To raczej mało prawdopodobne, Ellen - zripostowała Olivia Brown.

Zaczynałam tracić resztki cierpliwości, dlatego podałam przykład ekstremalny:

- A co byście zrobiły, gdyby rozgorzała nuklearna apokalipsa? Google Maps już nie istnieje, bo cywilizacja razem z prawie całą ludzkością została unicestwiona. Dlatego wy, cudem ocalałe i skazane na samotność, musicie przedostać się w bezpieczne, wolne od zabójczego promieniowania miejsce, by nie umrzeć z głodu. Wtedy baaardzo się wam przydadzą papierowa mapa i zwykły kompas, chyba że wolicie skonać w rowie jak cała reszta ludzkości!

Mia Robinson wybuchnęła płaczem.

- Nie chcę być sama! I co z moim chomikiem? Czy chomiki przetrwają nuklearną apokalipsę?

- Nie - rzuciła ostro Jane, a Mia rozplakała się jeszcze głośniej.

Nie dało się jej uspokoić, więc musiałam zawołać Melanie, żeby ją pocieszyła i zapewniła, że w najbliższym czasie nie będzie nuklearnej apokalipsy, nauka orientacji w terenie to tylko zabawa, a jej chomikowi nic nie będzie. A także mamusi i tatusiowi.

Gdy Melanie była zajęta pocieszaniem, jej drużyna poszła na spacer i zgubiła się w lesie, więc musieliśmy uruchomić akcję ratunkową. Inni drużynowi nie byli zachwyceni tym, że Melanie zgubiła swoją grupę, a ja obawiałam się, że całą zwali winę na mnie. Później zostaliśmy wezwani na skautowski wieczorek muzyczny, to znaczy śpiewaliśmy bardzo skomplikowaną piosenkę, do której należało klaskać w rękę osoby siedzącej obok. Jestem pewna, że nie trzeba było klaskać tak mocno, jak to robiła siedząca obok mnie Melanie. Mam nadzieję, że w nocy nie będą po mnie łązić robale, bo jeśli ją obudzę, posunie się do czegoś więcej niż klaskanie.

W Glastonbury na pewno nie ma robaków. Pewnie tamtejsze błoto nie jest dla nich tak atrakcyjne jak tutejsze. Zastanawiam się, czy na pewno jestem za stara na Glastonbury? I czy w ogóle wpuszczają tam czterdziestolatków? Może udałoby mi się zhakować system? A gdybym tam umarła? Nie powinnam się odurzać nielegalnymi substancjami, bo jestem szanowaną kobietą w średnim wieku, a poza tym od cydru ciągle chciałoby mi się siku, bo po urodzeniu dwójki dzieci mój pęcherz nie jest w tak dobrej formie jak kiedyś. Festiwalowe toalety chyba też są nie dla mnie. Może powinnam pojechać na jeden

z tych masowych spędów dla starych ludzi, na przykład na Rewind Festival? Tylko że wszystkie takie imprezy są „przyjazne rodzinom”, a skoro już miałabym uciec na weekend od moich aniołków, żeby się upijać i być niegrzeczna, nie chciałabym, żeby pod nogami plątały mi się dzieci innych festiwalowiczów.

Jestem złym człowiekiem. Melanie pewnie to wyczuwa, dlatego mnie nienawidzi. I może jeszcze dlatego, że wystraszyłam na śmierć jedną z jej podopiecznych, przez co zgubiła sześć innych.

NIEDZIELA, 7 SIERPNI

Z powrotem w domu! Wreszcie się wykąpię! Co za ulga! To znaczy...

Dzisiaj rano stawiałam czoła śmierci, obsługując kuchenkę zagłady, i zaserwowałam skautkom obrzydliwe (przyznaję) tosty francuskie, które ku memu zdziwieniu zjadły bez słowa. Później zwijałyśmy namioty. Melanie z ulgą odkryła, że nie jestem kompletnie bezużyteczna, bo udało mi się rozpracować, jak wykonać tę czynność. Posłużyłam się logiką – to jakby rozstawianie ich, tylko od końca – i poszło dość gładko mimo wysiłków wielu drużynowych, żeby dać się złapać w pułapkę i zwalić sobie namiot na głowę. Nie zgubiłyśmy już żadnej dziewczynki, a ja żadnej z nich nie doprowadziłam do hysterii, i to też była dobra wiadomość, bo Melanie przez pół nocy musiała wstawać do Mii, którą atakowały powracające koszmary. Mam nadzieję, że Mia nie powie rodzicom, że to ja wywołałam u niej paniczny strach

przed wojną nuklearną. Po prostu nie mogłam się powstrzymać, bo coś mnie ugryzło w bardzo niepożądanym miejscu. Pewnie jadowity żuk.

Kiedy wracałam do domu z półprzytomną Jane, liczyłam na to, że Simon i Peter zadbają pod moją nieobecność o ognisko domowe. Może brakuje mi skautowskiego ducha, ale czasami bywam niepoprawną optymistką. Niestety, mój optymizm okazał się bezpodstawny, bo w domu panował kompletny chaos, syf i malaria. Postanowiłam, że od tej pory już nigdy nie będę optymistką. Pesymista może udowodnić swoją rację albo poczuć się miło zaskoczony, dzięki czemu nie czyha na niego tyle rozczarowań, co na optymistów.

Simon zgrywał niewiniątko, kiedy zaczęłam na niego wrzeszczeć, że po całym domu walają się brudne gacie, z kosza wysypują się śmieci, woda w kibelku jest niespuszczona i nie przyszło mu nawet do głowy, żeby wytrzeć blat kuchenny, na którym piętrzą się brudne naczynia, bo czekał na dobrą wróżkę, która pojawi się nie wiadomo skąd i jednym ruchem różdżki sprawi, że wszystko będzie lśniło.

- Co ty właściwie robiłeś, kiedy mnie nie było? Tylko nie mów, że zajmowałeś się Peterem, bo on nie jest już dzieckiem i nie potrzebuje całodobowej opieki! - grzmiałam.

- Wyobraź sobie, kochanie, że wyczyściłem lodówkę, przejrzałem szafki i wyrzuciłem wszystko, co było przeterminowane - odparł dumnie Simon.

- Co zrobiłeś?! - Zamarłam z przerażenia, po czym zaczęłam otwierać szafki. Wyrzucił wszystkie przyprawy!

- Niektóre rzeczy były przeterminowane o dwa lata - nadał się Simon.

Jęknęłam z żalu. Drogi ryż, makarony i symbol przynależności do klasy średniej, czyli torebka komosy ryżowej - zniknęły!

- CZTERY lata! Komosa była przeterminowana o cztery lata! I nawet nie była otwarta! Data ważności ryżu do risotto wygasła w zeszłym miesiącu, ryżu z Camargue dwa miesiące temu, a paczki makaronu w śmiesznych kształtach pół roku temu. Znalazłem też puszkę makaronu w pomidorach, która przeterminowała się sześć lat temu! - poinformował mnie Simon.

- Te rzeczy się nie przeterminują! - ryknęłam wściekle.
- Przyprawy nawet powinny być przeterminowane! Wszyscy używają przeterminowanych przypraw, a ci którzy mówią, że trzeba je wyrzucić, to oszuści! Kiedy przyprawa zaczyna smakować jak kurz, wtedy jest naprawdę dobra! A ryż i makaron można jeść jeszcze przez wiele miesięcy po tym, jak ich data ważności wygaśnie. No i będę musiała kupić kolejną paczkę komosy, której nie zjemy, bo bez komosy w szafce przestajesz przynależć do klasy średniej. A jedzenie w puszkach nigdy się nie psuje. NIGDY! To właśnie dlatego ludzie gromadzą puszkowe żarcie na czas nuklearnej apokalipsy. Gdyby dzisiaj wybuchły bomby atomowe, umarlibyśmy z głodu, bo wyrzuciłeś moje spaghetti na czarną godzinę!

- Chyba trochę przesadzasz, kochanie. Zajrzyj do lodówki - powiedział zadowolony z siebie Simon, więc ją otworzyłam.

Nie było dżemu. Ketchupu. Majonezu. Ani jednego warzywa. Przynajmniej zniknęły też trzy tubki starego jak świat hummusu, których zaczynałam się już trochę bać. – Wszystko przeterminowane! – dodał triumfalnie.

- Ziemniaki?

- Wczoraj.

- Marchewki, cebula, czosnek?

- W śmietniku!

- Ale one nie były zepsute. Takie rzeczy można jeść, dopóki nie zaczną puszczać pędów, pleśnieć albo się rozkładać.

- Przeterminowane! Musiałem je wyrzucić! – upierał się Simon.

- Kurwa mać – burknęłam pod nosem. – Cóż, w takim razie musimy zamówić coś na kolację. A gdzie jest szynka? Ona na pewno nie była przeterminowana.

- Nie, ale na opakowaniu było napisane, że trzeba ją zjeść w ciągu dwóch dni od otwarcia, a na pewno była otwarta dłużej.

- Na litość boską! Przecież NIKT się tym nie przejmuje. NIKT! Idę się wykapać i zmyć z siebie resztki błota, a ty zasuway do sklepu i kup jakieś pieprzone jedzenie!

- Ale ja przez cały weekend robiłem porządki i opiekowałem się Peterem! Mycie lodówki i sprzątanie szafek powinno być twoim zajęciem, skoro nie pracujesz. Ponieważ cię wyręczyłem, może jednak ty wyskoczysz do sklepu? – zaprotestował Simon.

- Po pierwsze, pracuję! Próbuję zbudować nową ścieżkę kariery. To nie jest tak, że siedzę w domu i czytam magazyny

oraz obżeram się czekoladkami jak jakaś utrzymanka! – No dobrze, może trochę podkolorowałam, ale wytrwale ciągnęłam: – Nie wiem, skąd pomysł, że prowadzenie domu jest tylko i wyłącznie moim obowiązkiem. A poza tym przez ostatnich kilka dni spałam na pieprzonym polu atakowana przez robaki i ryzykowałam życie, zapalając śmiercionośną kuchenkę gazową, żeby stworzyć piękne wspomnienia dla twojej córki, podczas gdy ty byłeś zajęty wyrzucaniem dobrego jedzenia! Sam sobie idź do sklepu! – ryknęłam.

Simon wyszedł. Kiedy wrócił do domu, przeklinał pod nosem rażąco niesprawiedliwe ceny żywności. Dobrze mu tak. To kara za to, że wszystko powyrzucał. Nie ma to jak w domu! A przede mną jeszcze kilka tygodni tej wspaniałej zabawy.

ŚRODA, 10 SIERPNIA

Nie miałam pomysłu, co zrobić z dziećmi, więc zabrałam je do parku.

Nie cierpię parku. Matki chodzą tam tylko wtedy, kiedy ich kochane maleństwa doprowadzą je do takiego szału, że muszą wystawić się na towarzystwo potencjalnych świadków, bo tylko to może je powstrzymać przed popełnieniem czynów, których będą później gorzko żałować. Czasami próbuję zsumować wszystkie godziny, które spędziłam na zimnie i wietrze, ale to zbyt przygnębiające. Poza tym tyle się mówi o zagrożeniu hemoroidami w czasie ciąży, a nikt nie mówi, że dużo prędzej je złapiesz, kiedy przesiadujesz na zimnej i mokrej ławce. Na szczęście jest

lato, więc tym razem przynajmniej nie dostanę hemoroidów i nie odmrozę sobie tyłka.

Nie wolno mi przekroczyć świętej bramy i wejść na plac zabaw, bo zabrałam ze sobą psa, więc czaję się z nim za płotem, podczas gdy inne mamuśki łypią na nas podejrzliwie, bo w przeciwieństwie do innych w dowolnym momencie mogłabym spróbować wdrzeć się do środka, pozwolić psu zrobić kupę w piaskownicy, a potem wetrzeć ją w oczy ich pociechom i oślepić je raz na zawsze! Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że psie kupy mogą być niebezpieczne, i nie pochwalam ludzi, którzy pozwalają swoim czworonogom srać na placach zabaw, tylko mam już szczerze dość tych jęków przerażenia, które rozlegają się za każdym razem, gdy jakiś pies znajdzie się w pobliżu furtki. Na szczęście Peter i Jane są na tyle duzi, że nie wymagają stałego nadzoru. Peter nie potrzebuje już pomocy, żeby połamać sobie nogi na drabinkach, a Jane woli robić selfie z Sophie moim starym iPhone'em, którego ode mnie wyłudziła i nosi ze sobą wszędzie mimo moich uwag, że w parku telefon nie jest artykułem pierwszej potrzeby.

Dzieci były zajęte zabawą, więc zajrzałam na skrzynkę mejlową, ale nie przyszło nic godnego uwagi. Kolejny raz nigeryjski generał potrzebował mojego numeru konta, żeby przelać mi swoje miliony (może powinnam wynaleźć apkę, która będzie wysyłać spam wszystkim, którzy spamują mnie?), w Gapie znowu jest wyprzedaż (a kiedy nie ma? Czy kiedykolwiek ktoś kupił w tej sieci towar w normalnej cenie? Może powinnam opracować apkę dla Gapy do zarządzania

promocjami? A nie, ktoś już ją wymyślił. Szlag!) i kilka mejli od agencji pracy z propozycjami. Chciałam skasować wiadomość od agencji, bo choć wyjątkowo starannie wypełniłam formularze, podałam swoje kwalifikacje, zainteresowania, branże, w których szukam zatrudnienia, a także informację o preferowanych zarobkach, wysyłali mi tylko oferty, które nie miały nic wspólnego z moimi umiejętnościami, firmy mieściły się sto milionów kilometrów stąd i proponowały pensję w wysokości jednej trzeciej tego, co zarabiałam wcześniej. Ostatecznie mając do wyboru to albo kurtuazyjne rozmowy z innymi rodzicami, wybrałam udawanie bardzo zajętej i otworzyłam mejla. I oto moim oczom ukazała się... WYMARZONA OFERTA PRACY!

Była idealna. Zamiast kolejnego szarego budynku w ponurej industrialnej dzielnicy, pracowałabym w jednym z topowych start-upów zajmujących się nowymi technologiami w eleganckim, błyszczącym, nowoczesnym, szklanym wieżowcu, do którego dojazd zajmowałaby mi tylko dwadzieścia minut.

Często przejeżdżałam obok tego budynku i, że tak to ujęm, kleiłam nos do błyszczących szyb. W środku jest równie ładnie, co na zewnątrz (przyznaję, sprawdziłam w Google'u, i to nie raz). Światło, przestrzeń, białe biurka i Piękni Ludzie. No dobra, ich może zmyśliłam, ale jestem pewna, że wszyscy, którzy tam pracują, są wyluzowani, modni, noszą hipsterskie okulary i etycznie poprawne spodnie. O sprawach firmowych pewnie dyskutują na grupach na WhatsAppie i nie muszą przesiadywać na bezsensownych dwugodzinnych

spotkaniach tylko po to, żeby rozwiązać problem, który da się rozwiązać w jednym mejlu. A jeśli już chodzą na spotkania, to siedzą na tych śmiesznych pufach, które wyglądają jak worki z ziemniakami. Pozostaje pytanie, czy chciałabym pracować w miejscu, w którym siada się na workach z ziemniakami? Mam już prawie czterdzieści dwa lata. Czy byłabym w stanie wstać z takiego pufa, zachowując godność? Mniejsza z tym, tam na pewno ich nie używają.

Praca wyglądała na stymulującą, ciekawą i ambitną. W poprzedniej najlepsze, co mogło mnie spotkać, to tłumaczenie obślizgłemu Edowi z księgowości, że niestety nie da się wykasować wszelkich śladów po hardcorowym porno, które „przypadkiem” ściągnął na firmowego laptopa. (W przyływie złośliwości powiedziałam mu, że w Internecie nic nie ginie i nawet jeśli kupi nowy komputer, a stary wrzuci do rzeki, Internet „będzie wiedział o porno”, a co za tym idzie, żona Eda też będzie mogła sprawdzić, co oglądał).

Dobrze płacili. Byłoby miło znów mieć sensowną pensję, bo moje oszczędności już prawie wyparowały, a perspektywa braku własnych pieniędzy wcale mi się nie podoba. Trzymamy pieniądze na wspólnym koncie, ale na myśl o tym, że mogę stać się „zależną” od Simona, robi mi się niedobrze. Jedynym minusem nowej pracy było to, że to oferta na pełen etat.

Pewnie powinnam przedyskutować z Simonem kwestię przejścia na etat, ale czułam się tak podekscytowana tym, że moja wymarzona praca jest na wyciągnięcie ręki (i w myślach wydałam już całą pierwszą pensję), że napisałam

do agencji, żeby zgłosili moją kandydaturę. Dzieci spędzają większość dnia w szkole, a nadwyżki z pensji na pewno wystarczą na pokrycie kosztów opiekunki i tym podobne. Trzymam za siebie kciuki! Trzymam całe ręce, nogi i... Co jeszcze można trzymać oprócz moczu...? Może jednak czasami jestem optymistką?

SOBOTA, 20 SIERPNIA

Jestem wypoczęta i gotowa do działania po wspaniałych relaksujących wakacjach rodzinnych z ukochanymi dziećmi i najdroższym mężem. Bawiliśmy się przednio! Wszyscy śmiali się i dokazywali! Pewnego dnia dzieci wspomną te skąpane w słońcu dni i uśmiechną się ciepło na myśl o **#najlepszychwspomnieniach**, jak to sobie biegały ze śmiechem po piaszczystych plażach Kornwalii ubrane w gustowne ubrania, wiatr rozwiewał im włosy i miały przed sobą całe życie. Albo chociaż kiedy przejrzą moje konto na Instagramie, na którym nasze wakacje wyglądały dokładnie tak, jak bym tego chciała.

Bo w rzeczywistości upłynęły mi na robieniu prania, graniu w gry planszowe, w których oczywiście brakowało połowy elementów, próbach ugotowania czegoś w obcej kuchni i przeklinaniu jak szewc, że wszystkie noże są tępe. Jak to się dzieje, że noże w domkach letniskowych zawsze są tępe? Boją się, że wczasowicze będą czuli tak silną presję tworzenia **#najlepszychwspomnień**, że coś w nich pęknie i wymordują wszystkich członków rodziny, jeśli jeszcze raz ktoś zacznie jęczeć, że inni pojechali na luksusowe wakacje,

a oni muszą gnić w Kornwalii („Pojechaliśmy do Kornwalii, bo jesteśmy pretensjonalnymi członkami klasy średniej, kochanie”)? Albo zaczną pytać, czy w przyszłym roku nie moglibyśmy pojechać na luksusowe wakacje („Nie, skarbie, bo twój tatuś nienawidzi ludzi”)? Dochodzi jeszcze marudzenie o to, że w domku nie ma Wi-Fi („Jesteśmy tu po to, żeby spędzać razem czas, a nie gapić się w tablety, a kiedy mamusia wyszła na chwilę, żeby włączyć dane w telefonie, to tylko po to, żeby wrzucić na Instagrama zdjęcia i pokazać wszystkim, jak świetnie się razem bawimy. Oczywiście, że się dobrze bawimy! A właśnie że tak! Bawimy się świetnie, bo JA TAK MÓWIĘ! Nie, nie dam ci swojego telefonu, żebyś grał w Pokémon Go, bo w Kornwalii nie ma Pokémonów! Oczywiście, że nie kłamię! Czy ja kiedykolwiek cię okłamałam?!”).

Gdyby nie to, że w mediach społecznościowych wszyscy są tak samo profesjonalnymi łgarzami co ja, byłabym przekonana, że inne dzieci spędziły wakacje na skąpanych w słońcu plażach rodem z powieści Enid Blyton, śmiejąc się i wygłupiając, biegając wśród polnych kwiatów, puszczając latawce i budując zamki z piasku z kochającymi rodzicami. Na szczęście (i z drobną pomocą filtrów), według Facebooka i Instagrama moje dzieci robiły dokładnie to samo.

Tak czy inaczej, jesteśmy już w domu. Wszyscy są zmęczeni długą i nużącą podróżą, a kornwalijskie plaże zabraliśmy chyba ze sobą, bo z samochodu i walizek sypie się piach. Mam górę prania do zrobienia i w takich chwilach zastanawiam się, po co w ogóle jeździć na wakacje, skoro

trzeba po nich odpoczywać. Przynajmniej udało mi się zrobić kilka ładnych zdjęć, mimo że dzieci cały czas narzekały, że nie dają im spokoju. Kiedy spytały, po co w ogóle robię te zdjęcia, syknęłam, że mi się przydadzą, kiedy będę stara, zasuszone i zacznę mieć problemy z pamięcią, a one o mnie zapomną. Udało mi się nawet zrobić ładne zdjęcie Simonowi, co uważam za cud, biorąc pod uwagę to, że zawsze kiedy celuję w niego obiektyw, robi głupie miny. Teraz już wiem, po kim dzieci to odziedziczyły!

Ale kiedy wracaliśmy, ZADZWONILI Z MOJEJ WYMARZONEJ PRACY, ŻEBY ZAPROSIĆ MNIE NA ROZMOWĘ KWALIFIKACYJNĄ! Simon oczywiście był sceptyczny. Powiedział, że zaproszenie na rozmowę to jeszcze nie umowa o pracę, po czym westchnął głęboko i dodał, że nie powinnam robić sobie nadziei. Niech się wypcha! To pierwszy krok w dobrym kierunku i narzekania Simona niczego tu nie zmienią. Poza tym byłoby miło, gdyby choć raz nastawił się pozytywnie do mojego pomysłu i okazał mi odrobinę wsparcia, zamiast doszukiwać się we wszystkim problemów i snuć czarne scenariusze. Czy naprawdę tak trudno chociaż raz we mnie uwierzyć? Mniejsza o to, dużo ważniejsze od głupich min gderliwego Simona jest to, w co powinnam się ubrać.

Ku wielkiemu zdziwieniu odkryłam też, że roślina Petera, którą porzuciłam bez opieki na tydzień, trzyma się świetnie.

PIĄTEK, 26 SIERPNI

Ile jeszcze? Mam wrażenie, że te wakacje trwają już pięć

lat. Czy oni kiedykolwiek wrócą do szkoły? Zaczynam tracić wiarę, że wakacje kiedykolwiek się skończą. Jedyne, co mi zostało, to liczyć na to, że niebawem zostanę wpływową pracownicą korporacji i pożegnám karierę wydawaczki przekąsek i sędzi w bójkach. Dzisiaj zasugerowałam dzieciom, że mogłyby zbudować sobie w ogródku kryjówkę. Spojrzały na mnie, jakbym zaproponowała, żeby narobiły sobie na ręce i zaklaskały. Ale ponieważ było słonecznie, stwierdziły, że chcą powalczyć na szlauchy. Nie byłam zachwycona, bo w mojej opinii walki na szlauchy zawsze kończą się wycieczką na pogotowie ze złamanym żebrem albo co najmniej krwawieniem i siniakami, ale zabrakło mi sił, żeby odmówić.

Przez około dziesięć minut dzieciaki biegały po dworze, z piskiem polewając się wodą. Potem im się znudziło, stwierdziły, że zmarzły i uznały, że o wiele fajniejszą zabawą będzie nanieść błocko i mokrą trawę do kuchni, zużyć horrendalną ilość czystych ręczników i się przebrać. A kiedy skończyłam myć podłogę, zapytały, czy mogą rozstawić w ogródku ślizgawkę wodną.

Odmówiłam. I tak mieliśmy szczęście, że podczas bitwy na szlauchy nikomu nic się nie stało. Nie zamierzałam kusić losu, wyciągając plastikową Matę Zagłady, którą zamiast ślizgawką powinno się nazywać „karkołamaczem”. Wymieniłam kilka innych aktywności, którymi mogły się zająć na dworze: poskakać na żółto-niebieskim szkaradztwie, które zaburzyło, a wręcz bezpowrotnie zniszczyło całe zen, jakie panowało w moim ogrodzie. Mogły też pokopać piłkę

albo poczytać pieprzoną książkę pod drzewem. Dodałam, że nie będzie siedzenia w domu i gapienia się w ekrany w ten piękny letni dzień. I że nie zamierzam wydawać ani centa na wymyślne rozrywki. Mają się bawić w ogrodzie i koniec!

Po tym oświadczeniu, pod pretekstem, że muszę pracować, poszłam do domu pogapić się w ekran. Szukałam w Internecie, jak się ubrać na rozmowę kwalifikacyjną, bo chciałam zaprezentować się jako profesjonalistka, która mimo swego wieku nie straciła kontaktu z młodzieżą. Wyglądało na to, że będę musiała założyć bardzo wysokie szpilki i marynarkę, z której wypadną mi cycki. Zmartwiło mnie też to, że wszystkie kobiety na zdjęciach trzymały w ręku kubki z kawą na wynos. Czy to jest niezbędne akcesorium na rozmowie kwalifikacyjnej? A może nie potraktują mnie poważnie, jeśli wejdę do biura z tacką kubków sojowego latte grande? Czy to w ogóle tak się nazywa? Poza tym myślałam, że sieci kawiarniane zostały jednogłośnie uznane za nieetyczne, bo nie płacą podatków, i jeśli przyniosę kawę ze złej sieci, będę spalona, jeszcze zanim się odezwę? Mogłabym przynieść kawę z Waitrose'a. Czy kupowanie w Waitrosie jest nieetyczne? NIE MAM POJĘCIA! Wiem tylko, że to ostoja klasy średniej! Wszystkie te myśli kłębiły mi się w głowie przez około pół godziny, kiedy nagle uświadomiłam sobie, że słyszę zatrważający dźwięk. Cisza! Moje kochane urwiski nie wydają dźwięków tylko wtedy, kiedy dzieje się coś bardzo złego. Wystrzeliłam jak z procy na dwór.

Jane wściekała się, próbując rozsuptać sznurek od jo-jo.

- Gdzie jest Peter?! - krzyknęłam.
- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami.
- Dlaczego nie jest z tobą? Nie widziałaś, dokąd poszedł?

Jane znowu wzruszyła ramionami, po czym wybąkała, że pewnie jest w środku, co jest niesprawiedliwe, bo jeśli gra na iPadzie, to ona jako osoba, która mnie posłuchała, powinna w nagrodę za posłuszeństwo dostać dodatkowy czas na granie. Przerwałam jej wywód o graniu i pobiegłam do domu szukać Petera. Krzyczałam na całe gardło, ale nie odpowiadał. Nie było go w sypialni, salonie ani kibelku. Nie było go też w pokoju Jane, skąd lubił podkradać zabawki, żeby zrobić jej na złość.

- Jane! - zawołałam. - Jesteś pewna, że nie wiesz, dokąd poszedł?

Córka upierała się, że nie ma pojęcia, po czym dodała, że jeśli coś mu się stało, to na pewno nie z jej winy.

Przeszył mnie zimny dreszcz. Staralam się myśleć racjonalnie. Przytoczyłam w myślach wszystkie statystyki wskazujące, że szanse na to, że nic mu się nie stało, są bardzo wysokie. Z drugiej strony miałam ochotę wyć z przerażenia, bo mój synek zaginął, a jeśli policja poprosi mnie o rysopis, nie będę nawet w stanie powiedzieć, w co był ubrany, bo po zabawie tym pieprzonym szlauchem przebrał się z milion razy.

Dlaczego nie pozwoliłam im wyciągnąć ślizgawki? Lepiej spędzić popołudnie na ostrym dyżurze z lekko poharataną nogą niż snuć czarne scenariusze, które właśnie przychodziły mi do głowy - zdradzieckie oczko wodne; nieoznakowane

furgonetki, które zatrzymują się z piskiem opon, po czym gwałtownie odjeżdżają przez nikogo niezauważone; pirat drogowy, który pędzi tak szybko, że nie jest w stanie dostrzec małego chłopca goniącego w oddali za piłką. Przez chwilę zastanawiałam się, czy w okolicy nie ma zamkniętej kopalni, gdzie Peter mógłby wpaść do szybu. Czy nasz krytyczny wobec wszystkich pies byłby w stanie go wytropić? Pewnie nie. Nienawidzi Petera. To uczucie jest zresztą obopólne.

Zastanawiając się nad tym wszystkim, biegałam po ulicy i wołałam Petera, starając się, by nie brzmiało to zbyt histerycznie. Nie było go najwyżej od piętnastu minut, więc nie ma nawet powodu, żeby dzwonić na policję – powtarzałam w myślach. Usłyszawszy krzyki, moja sąsiadka i bratnia dusza Katie wybiega z domu, a ja szybko powiedziałam, co się stało.

- Pomogę ci szukać! Wezmę tylko dziewczynki. Pójdziemy tędy, a ty idź w przeciwnym kierunku. Jeśli nie usłyszysz naszego wołania, zaczniemy pukać do drzwi. Znajdziemy go, Ellen, nie martw się.

Kiwnęłam tylko głową. Gdybym zaczęła mówić, pewnie zalałabym się łzami. Ruszyłam w poszukiwaniu Petera, wlokąc za sobą Jane (nie mogłam spuścić jej z oczu. Już i tak zgubiłam jedno dziecko. Gdybym zgubiła drugie, zostałabym znienawidzona jak lady Bracknell).

Krzycząc wniebogłosy, dotarłam do końca ulicy. Zaczęłam zawracać, zachrypnięta i na skraju rozpacz, kiedy Karen Davison spod numeru czterdziestego siódmego otworzyła

drzwi.

- Peter jest u nas. Nie wiedziałaś? - spytała zaskoczona.

- Nie! - wykrztusiłam. - Bawił się w ogrodzie i nagle zniknął.

- Bawi się z moimi wnuczkami na tej cholernej ślizgawce. Był w ogródku, kiedy wracaliśmy ze sklepu. Chłopcy spytali go, czy nie chciałby pobawić się z nimi. Powiedziałam, że musi zapytać cię o zgodę, a on poszedł do domu. Kiedy wyszedł, miał ze sobą kąpielówki, więc byłam pewna, że ci powiedział.

Byłam tak szczęśliwa, że mój syn nie leży w szybie kopalnianym, ale jest cały i zdrowy, że nie potrafiłam się na niego złościć za to, że dał nogę z domu i nic mi nie powiedział. Przytuliłam go mocno (z perspektywy czasu myślę, że nie było to najlepsze posunięcie - był całkiem mokry), po czym zaczęłam żałośnie płakać i jęknęłam:

- Nigdy więcej tego nie rób. Bardzo się martwiłam!

- Przepraszam, mamusiu. Nie poszedłem daleko, więc myślałem, że mogę. Nie chciałem cię wystraszyć.

- Martwiłam się, bo bardzo cię kocham - zapłakałam.

- Ja ciebie też kocham, mamusiu. Obiecuję, że więcej cię tak nie wystraszę.

Dobry Boże! Prawie straciłam syna, bo byłam zbyt zajęta zamartwianiem się, jaką kawę powinnam przynieść na rozmowę kwalifikacyjną! Co ze mnie za matka? Może powinnam porzucić myśli o pracy i pozostać pełnoetatową matką? Spędzać całe dni na rękodziele (nienawidzę rękodzieła!) i poświęcać każdy moment mojej egzystencji

nadrabianiu minionych niedociągnięć w nadziei, że nie zniszczyłam dzieciom życia przez swoje samolubstwo? Na razie wyglądają normalnie – szczerze mówiąc, jedyną osobą, która pozostaje w traumie po dzisiejszym dniu, jestem ja – ale może ich rany są głębsze i dowiedzą się o nich dopiero około trzydziestki, kiedy pójdą na psychoterapię i uświadomią sobie, że ich życie się sypie, bo byłam złą matką?

Zarówno Jane, jak i pies Judgy^[1] byli kompletnie niewzruszeni powrotem Petera.

WRZESIEN

PONIEDZIAŁEK, 5 WRZEŚNIA

GHRGHR! Rozmowa o pracę już w ten piątek! Dalej nie wiem, w co się ubiorę, ale tak sobie myślę, że najwyższy czas przestać się martwić o szczegóły i zacząć myśleć o tym, co POWIEM. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam na rozmowie kwalifikacyjnej. Co się mówi na takich rozmowach? Pewnie będę musiała udawać, że mam hobby i jestem kulturalna. I powinnam się pilnować, żeby nie bełkotać bez sensu i nie schodzić na mój ulubiony temat kciuków przeciwstawnych u wydr. Byłoby to uzasadnione chyba tylko wtedy, gdybym aplikowała o pracę opiekuna wydr czy kogoś takiego (to wcale nie byłoby takie głupie. Kocham wydry i od dawna marzę o tym, żeby trzymać to śliczne stworzonko w wannie. Simon nawet nie raczył odpowiedzieć, kiedy złożyłam taką propozycję, a przecież oglądałam *Wydrę pana Grahama* wiele razy i wiem, że jest to absolutnie wykonalne – mogłabym ją karmić łososiem z przeceny. Chyba nie muszę dłużej tłumaczyć, dlaczego się stresuję na rozmowach o pracę).

Z rozmów zawsze wychodzę skołowana, bo nigdy nie wiem, jak powinnam odpowiadać i czy na pytania typu: „Dlaczego uważasz, że jesteś najlepszą kandydatką?”, zamiast opowiadać o swoich talentach, kwalifikacjach,

zainteresowaniach i tym, że jestem świetna w pracy zespołowej, nie powinnam raczej oznajmić: „Dlatego, że mój pan i władca, siejący postrach Cthulhu uważa, że jestem do tego stworzona. Zarznęłam czarnego koguta i wypatroszyłam jego wnętrzności w poszukiwaniu znaków i wskazówek, i wtedy mi to obwieścił”? Nigdy nie jestem pewna. Podobnie czuję się na głosowaniu, kiedy trzeba podjąć bardzo ważną decyzję. Mimo że milion razy upewniam się, że postawiłam krzyżyk w odpowiednim miejscu, jak tylko wrzucam kartę do urny, dopada mnie przerażenie, że zagłosowałam źle i jeśli dojdzie do sytuacji, w której losy cywilizacji Zachodu będą zależeć od jednego głosu, mój błąd doprowadzi do jej upadku!

Kiedy podzieliłam się swoimi obawami z Simonem, wyszło na jaw, że nie jest przekonany do pomysłu, żebym pracowała na pełen etat.

- Nie rozumiem, skąd ta potrzeba. Przecież dla dzieci byłoby lepiej, gdybyś pracowała na część etatu i pomagała im z lekcjami, gotowała obiad i tak dalej. Nie jestem przekonany, czy chcę, żeby moje dzieci chodziły z kluczem u szyi.

- Przecież nie będą chodzić z kluczem u szyi! Pracowałam na część etatu, kiedy były małe, bo dzięki temu mogliśmy zaoszczędzić na opiekunce. Owszem, zgodziliśmy się, że będzie lepiej, jeśli jedno będzie przez jakiś czas w domu. Ale one mają coraz więcej lekcji, poza tym w szkole jest stołówka i są zajęcia pozalekcyjne, a Jane za rok skończy podstawówkę. Już nie są dziećmi i nie potrzebują mnie tak

bardzo jak kiedyś. Z czasem będą potrzebować mnie jeszcze mniej, a ja mogę nie dostać drugiej takiej szansy. Dlatego chciałabym spróbować.

- Ale dlaczego teraz? Nie możesz poczekać, aż dorosną i wtedy poszukać pracy na etat? Kochanie, chyba nie bierzesz pod uwagę interesu naszych dzieci.

- Bo zależy mi na tej pracy! Nie chcę kolejnej prowizorki, pracy na pół etatu. To było rozwiązanie tymczasowe, dzięki któremu wiązaliśmy koniec z końcem, kiedy dzieci były małe. Jedyną względnie interesującą rzeczą, jaką zrobiłam w ciągu ostatnich jedenastu lat, było stworzenie aplikacji *Dlaczego mamusia pije?*. Nie wiem, czy pamiętasz, ale poszło mi całkiem nieźle. Nie wiem też, czy zauważyłeś, ale dzieci nie potrzebują już opiekunki, więc mogłabym zająć się czymś nieco bardziej stymulującym i ambitnym niż niańczenie komputerowych analfabetów i ciągle tłumaczenie Jane z Transportu, że jej komputer jej nie „nienawidzi” i „nie zjada rzeczy”. Co jest takiego złego w tym, że chciałabym zrobić coś dla siebie? Co z moimi ambicjami i nadziejami? Czy ty kierujesz się dobrem dzieci, kiedy podejmujesz decyzje dotyczące swojej kariery? A może myślisz o tym, czego sam pragniesz?

- Przed chwilą powiedziałaś, że twoim największym marzeniem jest trzymać w wannie wydrę, więc wybacz, jeśli nie wspieram cię w każdym pomysle. Poza tym to oczywiste, że kieruję się dobrem dzieci - skłamał, po czym dodał: - Po prostu uważam, że dwójka rodziców pracujących na pełen etat to nie jest najlepszy pomysł.

- Cóż, kochanie, jeśli tak bardzo martwisz się o dobro dzieci, to jest jedno bardzo proste rozwiązanie.

- Jakie?

- Jeśli dostanę tę pracę, będę zarabiać tyle co ty, więc skoro tak bardzo martwisz się, co będzie z dziećmi, kiedy oboje będziemy pracować na cały etat, zawsze możesz przejść na część etatu, a pozostały czas poświęcić domowi.

Simon zbladł.

- Eee... Na pewno jakoś sobie poradzimy. Cokolwiek postanowisz, będę cię wspierał. Nie ma potrzeby, żebym przechodził na pół etatu. Dzieciom na pewno nic się nie stanie.

- Dziękuję, kochanie - odparłam słodkim głosem.

WTOREK, 6 WRZEŚNIA

Ha! Jestem gotowa! Pokażcie, na co was stać!

Kupiłam mundurki, co było drogim i bardzo nieprzyjemnym doświadczeniem. Spędziłam długie godziny w kolejkach w Clarks, desperacko ściskając numerek i patrząc złowrogo na wszystkich rodziców, którzy wyglądają, jakby chcieli wepchnąć się w kolejkę, po czym wydałam porażającą kasę na błyszczące nowiutkie buciki, które zamienią się w znoszone, podarte i umazane błotem trepy w ciągu maksymalnie tygodnia, co kolejny raz doprowadzi mnie do rozważań, po co w ogóle wydawać na obuwie dla moich kochanych urwisów? Czy dzięki temu, że nie będą musiały wciskać małych stópek w za ciasne buty, wyrosną na pełnoprawnych przedstawicieli klasy średniej? A nawet jeśli

tak, to co z tego, skoro zniszczą je w ciągu tygodnia? Mogłam oszczędzić czas i pieniądze i kupić im jakąś taniochę w supermarkecie.

Kupiłam trampki na gimnastykę i stroje na WF. Moje maleństwa trzymają w spoconych rączkach plecaki, piórniki, butelki na wodę i jeszcze pół pieprzonego sklepu papierniczego, chociaż i tak marudzą, że jestem potwornie niesprawiedliwa, bo nie chcę im kupić gumki do ścierania za sześć funtów!

Mam odciski i rany na palcach od przyszywania etykietek z nazwiskiem na ten róg obfitości kapitalistycznego konsumeryzmu. To wszystko przez moją głupią naiwność, kiedy Jane szła do pierwszej klasy. Zamówiłam wtedy pięćset sztuk tych przeklętych etykietek od przemiłych pracowników imperium naszywkowego potentata, myśląc z czułością o tym, jak pięknie będą wyglądać moje dzieci z naszywkami na ubraniach (kupiłam zielone z dinozaurem dla Jane i niebieskie z ciuchcią dla Petera). Szkoda tylko, że kompletnie zapomniałam, że nie umiem szyć i nienawidzę absolutnie wszystkiego, co się z tym wiąże, a każda próba uszycia czegokolwiek kończy się wściekłym ciśnięciem mojego „projektu” na drugi koniec pokoju. A może jesteście ciekawi, ile etykietek mieści się w paczce zawierającej pięćset sztuk? Około stu pieprzonych milionów, ni mniej, ni więcej! Będą je nosić jeszcze na uniwersytecie. Na stronie internetowej sklepu Cash napisali, że przydają się nawet w domach starców, i wcale się nie zdziwię, jeśli te naszywki dotrważą do czasów, kiedy Peter i Jane przeniosą się do

domu spokojnej starości.

W przyszłym roku kupię stempel i będę im wszystko stemplować. Oczywiście planuję to co roku, a później zapominać i w rezultacie mam za mało czasu i przeklinam jak szewc, gdy plamię krwią nowiutkie białe koszulki dzieci, próbując przyszyć te pieprzone naszywki. No trudno, może za rok się uda. Pewnie najlepiej byłoby zrobić to już teraz, ale na ten moment wydaje mi się to rozrzutnym i bezsensownym gestem, skoro mam TYLKO naszywek. Poza tym to taka strata czasu. Mam tyle do przyszywania!

Tak czy inaczej, już po ptakach. Przyszyłam większość. OK, przyszyłam trzy etykiety, po czym spojrzałam na góry ubranek i przedmiotów, na które powinnam jeszcze je przyszyć, i uznałam, że życie jest za krótkie, więc nalałam sobie kieliszek wina i podpisałam je markerem. Możliwe, że robię to co roku, bo jakoś mało ubywa tych naszywek.

Budziki nastawione! Jutro z samego rana wejdziemy w nowy rok szkolny. Może w tym roku wyjdą na jaw ukryte talenty moich maleństw? Wreszcie okaże się, że są w czymś lepsze od innych? Będę mogła pękać z dumy, obnosić się i bezwstydnie przechwalać ich sukcesami na placu zabaw. Boję się tylko, że skoro niedługo skończę czterdzieści dwa lata (CZTERDZIEŚCI DWA! W niebezpiecznym tempie zbliżam się do wieku starej wiedźmy, mimo że obsesyjnie wklepuję w twarz drogie kremy), a sama nie odkryłam jeszcze swoich ukrytych talentów, to szanse są raczej małe.

Kiedy położyłam dzieci spać, ostatni raz rzuciłam okiem na mundurki, które już nigdy nie będą tak śliczne, czyściutkie

i nowe jak dzisiaj. Białe koszulki polo w ciągu tygodnia przeistoczą się w upačkane farbą szmaty, a po praniu dzieci rzucą je na podłogę albo upchną do szafki, kompletnie ignorując fakt, że starannie je poskładałam. Przynajmniej poszłam po rozum do głowy i przestałam je prasować, chociaż nie ukrywam, że aby zmniejszyć związane z tym poczucie winy, specjalnie kupiłam takie, które podobno nie wymagają prasowania.

ŚRODA, 7 WRZEŚNIA

No świetnie. Przez całe wakacje Peter i Jane bez żadnego powodu (może z wyjątkiem tego, żeby zrobić mi na złość, galopując po schodach jak stado słońi albo kłócić się o iPady - bo przecież to niesprawiedliwe, że jedno z nich musi oglądać kretyńskie kreskówki na Netfliksie na kilka miesięcy starszym modelu. Jakby to robiło jakąkolwiek różnicę...) wstawali o szóstej rano, ale dzisiaj, kiedy faktycznie trzeba było wstać i przygotować się do wyjścia, żeby rozpocząć nowy rok jak należy, oczywiście zaspali!

Musiałam siłą wyciągać ich z łóżek, słuchając przy tym pojękiwań i narzekań o tym, jacy są zmęczeni. Warknęłam, że może by się wyspali, gdyby poszli spać o właściwej porze. Wczoraj przez dwie godziny szwendali się po domu. A to chcieli szklanek wody, a to do kibelka, a to narzekali, że nie mogą zasnąć. Przy szóstej próbie położenia ich nie wytrzymałam i warknęłam, że wcale się nie dziwię, skoro zamiast się po prostu położyć, snują się po domu. Ja też nie mogłabym zasnąć w takiej sytuacji. Może byłoby im łatwiej,

gdyby zostali w łóżkach i naprawdę spróbowali zasnąć? Mogłabym wtedy w spokoju pooglądać *Grę o tron* bez wyłączania za każdym razem, kiedy postanawiają mi przeszkodzić w najmniej odpowiednim momencie - na przykład kiedy któraś z aktorek zaświeci biustem! Usłyszałam oczywiście, że jestem okropna, bo WSZYSCY INNI w klasie mogą sami decydować, o której się położą, a poza tym ich mamusi pozwalają im oglądać filmy dla dorosłych i grać w *Call of Duty*. Więc chyba nic dziwnego, że dzisiaj rano nie miałam już cierpliwości do protestów moich najdroższych skarbów.

Udało mi się przynajmniej umyć dzieciaki, nakarmić i ubrać. To znaczy nie do końca, bo w wieku dziewięciu i jedenastu lat same potrafią (rzekomo) to zrobić. W rzeczywistości darłam się:

- UBIERZECIE SIĘ WRESZCIE! - podczas gdy Peter bawił się klockami Lego, a Jane narzekała, że ma „złe skarpetki”.

Chwilę później byliśmy gotowi (tak jakby) i mieliśmy mnóstwo czasu, żeby zrobić obowiązkowe zdjęcie z pierwszego dnia szkoły.

Jak każdy rodzic wie, ten rytuał polega na znalezieniu w domu jakiegoś kącika, w którym nie panuje kompletny bajzel, zagonieniu tam dzieci i pokrzykiwaniu:

- Uśmiechnijcie się, do cholery! Wystarczy mi jedno ładne zdjęcie, tylko jedno! Żebym mogła wysłać je waszym dziadkom i pochwalić się, jakimi jesteście uroczymi maluszkami. I jeszcze żeby wstawić je na Facebooka, żeby moi znajomi widzieli, jak bardzo was kocham. Do jasnej

cholery, to nie może być aż tak trudne! Musicie się tylko uśmiechnąć i spojrzeć na mój telefon w tym samym momencie. Nie, oboje musicie spojrzeć na telefon. OBOJE. Nie, nie możecie mieć zamkniętych oczu. Bo kiedy macie zamknięte oczy, nie patrzycie! I uśmiechnijcie się! Na Boga, nie możecie po prostu się uśmiechnąć?

Niektórzy rodzice wręczają dzieciom specjalne tabliczki, na których są zdjęcia klasowe i pełne entuzjazmu napisy typu: „Witaj, szkoło!”, żeby przy pomocy mediów społecznościowych przypomnieć wszystkim znajomym, że są #szczęściarzami i kochają #najlepszewspomnienia, a kiedy spotka się ich w rzeczywistości, będą się smucić, że wakacje tak szybko minęły, a #sercematki będzie tęsknić za swoimi #pociechami, które #takszybkorosną. Obawiam się, że w ogóle nie mam #sercematki, bo smutek jest ostatnią z emocji, jakie odczuwam, kiedy moje ukochane maleństwa wracają na chlubne łono edukacji po sześciu cholernie długich tygodniach #najlepszychwspomnień, które polegają głównie na łapaniu łez w rożki od lodów po tym, jak kolejny raz wykiwa nas kapryśna brytyjska pogoda.

W tym roku zdjęcie było szczególnie ważne, bo po pierwsze w zeszłym roku zupełnie o tym zapomniałam i potem musiałam przekupywać dzieci, żeby nie wygadały się dziadkom, że wysyłamy im zdjęcie z drugiego, a nie pierwszego dnia (w dodatku musiałam wywalić z kadru buty, które już zdążyli pozdzierać), a po drugie Jane idzie do ostatniej klasy podstawówki. Ciężko mi w to uwierzyć. Zawsze kiedy ktoś mi mówił:

- Tak szybko rosną - miałam ochotę odszczeknąć:

- Serio? Bo mi się wydaje, że nie urosną nigdy i do końca życia będę ganiać dwa siejące zniszczenie w całym domu potworki i wyciągać resztki przeżutych organicznych wafli ryżowych z włosów!

I jeszcze niedawno odliczałam dni, czekając, aż dziecię pójdzie do przedszkola, a teraz kończy szkołę podstawową! W przyszłym roku pójdzie do ogólniaka!

W końcu udało mi się osiągnąć efekt zbliżony do zamierzonego, chociaż skończyłam z kilkudziesięcioma zdjęciami nadąsanymi i strojącymi głupie miny dzieci, które oczywiście szkoda mi będzie skasować, bo przecież #witajszkoło. Po kolejnej kłótni z Jane o to, dlaczego nie pozwolę jej założyć konta na Instagramie („Bo nie skończyłaś jeszcze trzynastu lat! Skończyłaś? Nie, więc ci nie pozwolę! Nie interesuje mnie, że wszystkie dzieci w twojej klasie je mają! Nie ma mowy!”), byliśmy gotowi do wyjścia, bo nawet mnie czasami się udaje nie spóźnić na pierwszy dzień szkoły.

Oczywiście Simon nie może wybrać się z nami, bo musi iść do pracy, ponieważ jest Bardzo Ważny i Zajęty. Nigdy nie przestanę się dziwić, że ważność i zajętość Simona osiąga wyżyny zawsze przy okazji szkolnych wydarzeń, na które ostatecznie muszę iść sama. Jeszcze kilka lat temu stosowałam taktykę mówienia MÓJ MAŻ podniesionym głosem, żeby nie było, że jestem samotną matką. Ale ponieważ mąż nigdy się tam nie zmaterializował, przestałam. Bałam się, że nauczycielki wezmą mnie za jakąś szaloną marzycielkę, która wymyśliła sobie męża i nosi obrączkę,

żeby zachować pozory przyzwoitości zgodne ze standardami moralnymi rodem z lat pięćdziesiątych.

Tak czy inaczej, dzieci trafiły do szkoły bez zbędnego ociągania się. Wychowawczyni Petera jest dosyć młodą praktykantką i sądząc po jej ciasnym sweterku z dużym dekoltem, przyczyni się do nagłego wzrostu liczby tatusiów biorących udział w wydarzeniach szkolnych. Jane też ma nowego nauczyciela - i to w dodatku mężczyznę! No, powiedzmy, bo prawdę mówiąc, wygląda jak chłopiec. Kiedy zobaczyłam go na placu zabaw po raz pierwszy, wydawał się niewiele wyższy niż przecięty uczeń szóstej klasy.

Tego typu pomyłki pewnie będą przytrafiać mi się coraz częściej. Póki co dziwię się, że nauczyciele wyglądają skandalicznie młodo, ale niedługo będę się zachwycać jędrnymi policjantami, a w przychodniach upierać się, że nie wyjdę, dopóki nie zbada mnie „prawdziwy lekarz”, bo smarkacz, który stoi przede mną, na pewno nie ma wystarczających kwalifikacji.

Raz już mi się przytrafiło coś takiego. Kiedy zabrałam Judgy'ego do weterynarza, długo nie chciałam uwierzyć, że ten chłopcomężczyzna, który stoi przede mną, jest prawdziwym fachowcem. Przekonałam się, że owszem, jest, i to niezwykle kompetentnym i utalentowanym, kiedy oświadczył: „Mamy tutaj ślicznego małego terierka!”. Każdy, kto potrafi dostrzec wyjątkowość mojego psa, z pewnością zna się na swoim fachu.

CZWARTEK, 8 WRZEŚNIA

Kurza twarz i kurczę blade! Rozmowa o pracę już jutro. JUTRO! Nie jestem gotowa! Co ja sobie myślałam? Że jakaś odjazdowa, futurystyczna, rodem ze Space Age firma akurat MNIE zatrudni? Na pewno nie będą chcieli kogoś, kto już teraz narzeka, że nauczyciele, doktorzy i policjanci są za młodzi. Przecież oni chcą właśnie tych młodych osób, które moim zdaniem powinny wracać do liceum. Na szczęście po długich poszukiwaniach udało mi się znaleźć sensowne ubranie. Niestety musiałam postawić na szpilki, bo kiedy spróbowałam z zestawem „spodnie ze skróconą nogawką i botki”, żeby wyglądać jak typowy milenials, to osiągnęłam efekt typowy dla osoby, która ubierała się po ciemku i nie mogła znaleźć skarpetek i spodni w odpowiednim rozmiarze. Dziewczyny z Pinteresta tak nie wyglądały! Chryste, skoro nawet z wyglądu nie udało mi się wyjść na milenialsa, jak sprawię wrażenie, że jestem i profesjonalna, i młodzieżowa?

Przeczytałam wszystko na temat firmy i ćwiczyłam różne przyjazne odpowiedzi, ale kto wie, o co się w dzisiejszych czasach pyta na rozmowach? Może wcale nie interesują ich moje słabe i mocne strony? („Uwielbiam pracę zespołową, ale czasami za bardzo daję się ponieść mojemu perfekcjonizmowi?”. HA, HA! Przecież nikt nie mówi prawdy na rozmowach! „Moją najmocniejszą stroną jest to, że potrafię spać za biurkiem z otwartymi oczami i chociaż sprawiaam wrażenie, jakbym była obecna i bardzo produktywna, w rzeczywistości ucinam komara. A największą słabością jest to, że nie umiem korzystać z łazienki, kiedy w pomieszczeniu znajduje się druga osoba,

bo boję się, że przypadkiem puszczę bąka i po wsze czasy przylgnie do mnie ksywka Pierdziawka, więc czasami tracę w łazience bardzo dużo czasu, czekając na to, aż wreszcie będzie pusta, nawet jeśli chce mi się tylko siusiu”). Ale czy ich to aby na pewno interesuje? Może oni stawiają na „kreatywne myślenie” i cenią „niestandardowe pomysły” (o, znalazłam kolejną mocną stronę! W poprzedniej pracy przez trzy lata z kolei byłam mistrzynią Buzzword Bingo!) i będą mi zadawać „krejzolskie” pytania, takie jak: „Gdybyś była drzewem, to jakim?” albo „Wiewiórka czy szop pracz?”, które będą miały na celu wydobyć na zewnątrz moją psychologiczną głębię?

Katie z naprzeciwka zajrzała do mnie na kawę przed odebraniem najstarszej córki, która w tym roku zaczęła szkołę.

- To takie dziwne, że Lily poszła do szkoły. W domu tylko ja i Ruby. Nie wiem czemu, bo przecież kiedy Lily chodziła do przedszkola, było tak samo, ale czuję to jakoś inaczej. Nie mogę uwierzyć, że poszła do szkoły. Jest już taka duża!

- Wiem, o czym mówisz. Najlepsze jest to, że teraz wydaje ci się duża, ale kiedy za kilka lat będziesz patrzeć na młodsze dzieci, będziesz sobie myślała, że są takie malutkie, że nie powinny jeszcze iść do szkoły.

- Tak szybko rosną! - westchnęła Katie, po czym wrzasnęła: - Ruby! Ruby, zostaw psa! Zostaw Judgy’ego w spokoju! Nie ciągnij go za ogon! CO Z TOBĄ, DO CHOLERY! Chryste, chrzanić to, co mówiłam wcześniej. Mogłyby rosnąć o wiele szybciej. Ruby! Nie oblewaj psa

sokiem! Powiedziałam: NIE! Boże, dlaczego one nie rosną szybciej?!

- Katie, czy myślisz, że jest szansa, że ktoś mnie weźmie za milenialsa? - spytałam z nadzieją w głosie.

- Cóż, to bardzo pojemne określenie, prawda? - odparła miło.

PIĄTEK, 9 WRZEŚNIA

Nadszedł Wielki Dzień. Dzień, od którego zależy wszystko. Wymknęłam się z domu po cichu. Cudem udało mi się niczym nie upaprać.

Starannie wszystko zaplanowałam, żeby zdążyć kupić po drodze etycznie poprawną kawę, dzięki czemu miałam wspaniałe wejście z kubkiem sojowego organicznego chai latte, demonstrując swoją wewnętrzną hipiskę i to, że przejmuję się losem świata.

Pewnym krokiem podeszłam do recepcji i podałam swoje nazwisko. Kazali mi spojrzeć w kamerę i wręczyli kartę na smyczy z pośpiesznie wydrukowanym zdjęciem, na którym wyglądałam jak seryjny morderca. I co, do cholery, stało się z moimi włosami podczas krótkiej drogi z samochodu?

Młodzieniaszek w przykrótkich spodniach (po co się nosi takie spodnie? A w szczególności po co noszą je mężczyźni? W dodatku mam wrażenie, że nikt nie zakłada do nich skarpetek. Ciekawe, jaki to miało wpływ na przemysł skarpetkowy?) wysiadł z błyszczącej windy, żeby mnie odebrać z recepcji. Rzucił okiem na moją pioruńsko drogą, etycznie poprawną kawę i pokręcił głową

z niezadowoleniem.

- Zapomniałaś swojego kubka? - zapytał zdziwiony. - Myślałem, że nikt już nie produkuje kubków na wynos.

- Jest biodegradowalny. Z niechlorowanego kartonu. Z recyklingu.

- Hm, ale wiesz chyba, ile energii potrzeba, żeby go zrecyklingować? O wiele więcej, niż żeby umyć własny kubek.

Kurza twarz! Poległam w przedbiegach! Byłam przekonana, że o ile coś można zrecyklingować, to w XXI wieku ujdzie za ekologiczne, ale najwyraźniej się myliłam. Dyskretnie odstawiłam kubek na dużym parapecie, kiedy Młodzieniaszek prowadził mnie przez szklane korytarze, po czym wprowadził do białego pokoju wyłożonego sztuczną trawą.

- To nasza Przestrzeń Twórcza. Tutaj urządzamy burze mózgów, przerzucamy się pomysłami. Kiedy chcemy podzielić się jakimś pomysłem z innymi, zapisujemy je na ścianach zmywalnymi markerami. Pójdę powiedzieć Edowi, Gabrielle i reszcie, że przyszłaś.

Przytaknęłam, a Młodzieniaszek pokazywał mi pomieszczenie. Próbowałam nie zwracać uwagi na to, że jedynym rysunkiem znajdującym się na ścianie był wielki penis z jądrami. Zastanawiałam się, czy nie powinnam go zmyć, żeby nie pomyśleli, że to ja go namalowałam. Tylko że jak nakryją mnie na zmywaniu, już na pewno pomyślą, że to moja sprawka. A może to miał być taki test na zaściankowość i jeśli zetrę penisa z jądrami, to wezmą mnie za

niezaspokojoną burżujkę? Albo test na sprawdzenie, czy będę na tyle odważna, żeby zetrzeć rysunek ze ściany, zanim do środka wejdą szefowie. Nie byłam w stanie przestać myśleć o genitaliach.

Penis na ścianie zdawał się rosnąć w oczach, jądra także. Patrzyłam na nie zamyślona, kiedy otworzyły się drzwi i do środka weszły cztery osoby.

- Cześć, Ellen, przepraszamy, że musiałaś czekać. Jestem Gabrielle z działu HR. A to Ed, który będzie twoim bezpośrednim przełożonym - powiedziała kobieta, która miała na sobie przykrótkie spodnie i botki i wcale nie wyglądała, jakby się ubierała po ciemku. Wskazała na trochę ponurego, ale poza tym zupełnie normalnego mężczyznę, który, co najważniejsze, wcale nie był młody i jędrny. Wyglądał przynajmniej na czterdziestkę, co napawało mnie nadzieją, że może jednak są wystarczająco otwarci na to, żeby zatrudnić kogoś, kto jest na tyle stary, że wiedział, kim był Rick Astley przed powstaniem rickrollingu^[2]. - A to Tony i Gail. Posiedzą z nami, jeśli nie masz nic przeciwko - dodała Gabrielle.

A ja uśmiechnęłam się i wymamrotałam pod nosem coś, co brzmiało jak powitanie. Mam nadzieję.

- U nas panuje swobodna atmosfera. Nie lubimy klasycznego modelu rozmowy, kiedy to siedzisz naprzeciwko nas. Usiądźmy przy jednym stole i porozmawiajmy normalnie. - Gabrielle wskazała na dosyć eklektyczną mieszankę mebli. Wśród nich, niestety, znajdowały się również worki z ziemniakami, różnego rodzaju gąbczaste

bryły i jakieś piankowe kształty, na których chyba można było przycupnąć. Kiedy pokazywała mi „krzesła”, zauważyła rysunek na ścianie.

- Na Boga, a co to tutaj robi?! - wykrzyknęła.

- To nie ja! Był tu już, zanim przyszedłem - wyjaśniłem szybko.

Gabrielle rzuciła mi lekko skonsternowane spojrzenie.

- Nie pomyślałam przecież, że to ty. Niby czemu miałabyś...? Zresztą nieważne. Tony, dowiedz się, kto był w sali jako ostatni i porozmawiaj z nim. To niedopuszczalne. A my usiadźmy wreszcie i porozmawiajmy.

Wykazałam się sprytem i usiadłam na gąbczastej bryle. Wolałam to niż worek z ziemniakami, z którego na pewno nie byłabym w stanie podnieść się z gracją. Miałam za ciasne spodnie i trochę się bałam, że mogłyby pęknąć podczas wstawania, a to raczej nie jest jedno z tych miejsc pracy, w których świecenie cipką zapewnia wymarzoną posadę. Niestety w wyniku mojej decyzji mój potencjalny przyszły szef Ed był skazany na worek ziemniaków. Nie wyglądał na zachwyconego. Mamrotał pod nosem coś, co zabrzmiało jak „Do kurwy nędzy”, po czym ostrożnie usiadł. Obawiam się, że już na wstępie nie zrobiłam najlepszego wrażenia.

Reszta rozmowy przebiegła chyba dobrze. Tak mi się przynajmniej wydaje. Sama nie wiem. Ed zadawał mi pytania o umiejętności i doświadczenie, na które odpowiadałam dobrze, chociaż po każdej odpowiedzi mamrotał coś pod nosem i pochmurniał jeszcze bardziej, więc możliwe, że już mnie nienawidził za to, że kazałam mu siedzieć na torbie

styropianowych kulek.

Gabrielle zadawała typowe pytania, jakie mogą paść z ust menedżera HR-u, czyli specja od „zasobów ludzkich”. Nigdy nie wiem, co mówić w takich sytuacjach. Czy powinnam sprawiać wrażenie normalnej i się nie wychylać, czy może odpowiadać fikuśnie i oryginalnie, żeby wyróżnić się na tle innych kandydatów? Poza tym nigdy nie wiem, które pytania naprawdę dotyczą mnie, a które zadaje się tylko po to, żeby wywęszyć, czy kandydat nie jest przypadkiem psychopatą. Tony i Gail niewiele się odzywali, ale podczas niektórych pytań robili notatki. Pewnie to oni oceniali, czy jestem psychopatką.

Nie pytali, jakim chciałabym być drzewem, chociaż byłam na to przygotowana. Powiedziałabym, że chcę być brzozą, bo brzozy są takie błyszczące i wyróżniają się z tłumu, a do tego są bardzo pożyteczne. Ale widocznie nikogo to nie obchodziło.

Od nowych butów zrobiły mi się odciski. Był też jeden niefortunny moment, kiedy Ed zadawał mi dosyć skomplikowane pytanie, a ja uświadomiłam sobie, że mam w staniku okruchy z tostów, które łaskoczą mnie w sutek. Nie próbowałam nawet dyskretnych ruchów, dzięki którym mogłyby spaść trochę niżej, żeby Tony i Gail nie uznali, że wiercę się w psychopatyczny sposób.

Podajrzewam, że niedługo i tak się dowiem, jak mi poszło. Na pewno nie było tak źle, na przykład jak na rozmowie, o której opowiadał mi ktoś z grupy na studiach. Podobno przypadkiem wywołał minipożar na biurku osoby, która

przeprowadzała rozmowę. Jestem jednak pewna, że mogło pójść lepiej. I wciąż myślę, że penis i jądra były elementem testu psychometrycznego, który z całą pewnością oblałam.

SOBOTA, 10 WRZEŚNIA

Dzisiaj, zgodnie z nowo powstałą tradycją, spotkaliśmy się w pubie z Hannah i Samem, żeby porozmawiać o tym, jak minął nam weekend. Liczyłam na to, że mi powiedzą, że moja rozmowa nie poszła tragicznie, bo Simon tylko pokiwał głową, a po chwili skwitował:

- Co ci strzeliło do głowy, żeby mówić, że to nie ty rysowałaś po ścianach? Co takiego zrobiłaś, że doszłaś do wniosku, że mogli cię o to podejrzewać?

Niestety Katie nie mogła do nas dołączyć i narzekać z nami na prace domowe i pakowanie przeklętych śniadaniówek. Czasami się zastanawiam, dlaczego tak bardzo tego nienawidzę i uważam to za najbardziej żmudną rzecz na świecie. Przecież zajmuje tylko pięć minut, i po sprawie. Mimo to wizja tej czynności zatruwa mi poranki, niczym czarne chmury zwiastujące apokalipsę. Może tak się dzieje przez świadomość, że muszę to robić każdego dnia? Może dlatego, że Peter je tylko kanapki z szynką, Jane z serem i tylko w piątki mogę im spakować parówki w cieście, kiedy nie mam już siły robić nawet tych głupich kanapek. A może po prostu jestem złą matką?

Simon sprawiał wrażenie pogodzonego z tym, że wychodzę, i nie zadawał mi irytujących pytań, kiedy się szykowałam, więc postanowiłam być dobrą żoną i łaskawie

przed wyjściem nie nafaszerowałam dzieci żelkami Haribo i nie zostawiłam go sam na sam z apokalipsą (ach, te niewinne zemsty, do których uciekają się ludzie z tak długim stażem małżeństwa). Mimo to mój spokój i pogoda ducha zostały zmaćcone, kiedy wpadłam do salonu, żeby pożegnać się z przystojnym mężem i uroczymi szkrabami, i zastałam tam Simona i Jane grających na jej telefonie.

- Co robicie, kochani? - spytałam ciepło i dałam im po buziaczku.

- Nic! No, nic takiego. Tatuś mi pomaga. Lepiej już idź, mam, bo się spóźnisz - rzuciła Jane.

Pomyślałam, że coś jest nie tak. Jane jeszcze nigdy nie zbeształa mnie za to, że gdzieś tam nie zdążę. Wręcz przeciwnie, przeważnie wychodzi z siebie, żeby mi przeszkodzić, zestresować, opóźnić moje wyjście, czyli w skrócie: zrobić wszystko, żebym się spóźniła. Jej numerem popisowym jest czekanie na mnie przy drzwiach z kurtką. Kiedy już mam wychodzić, nie chce mi jej dać, bo nagle przypomina sobie jakąś niesamowicie ważną historię, którą musi mi opowiedzieć, pytanie, które chce mi zadać, albo list ze szkoły, który musi mi pokazać w TEJ SEKUNDZIE. Więc zrozumiałe, że od razu wzbudziła moje podejrzenia.

- Simon, co robicie? - zażądałam wyjaśnień.

- Nie martw się, kochanie. Zakładam Jane konto na Instagramie. Powiedziała, że się zgodziłaś, ale nie miałaś czasu, żeby jej pomóc. Poza tym potrzebuje adresu mejlowego, ale nie szkodzi. Użyje mojego.

- Jane! Ty kłamliwa ropucho! - ryknęłam. - Milion razy ci

tłumaczyłam, że nie możesz mieć konta na Instagramie, bo nie masz trzynastu lat! Jak śmiesz okłamywać swojego ojca?

Jane zrobiła smutną minę i krzyknęła, że to niesprawiedliwe, bo wszyscy inni mają konto, i że rujnuję jej życie. Poza tym tatuś powiedział, że to żaden problem, więc dlaczego jestem taka niemą?

- Simon, do cholery! Dlaczego się zgodziłeś?! - krzyknęłam.

- Nie zgodziłem! Powiedziałem, że się zgadzam, jeśli ty nie masz nic przeciwko, a Jane powiedziała, że jej pozwoliłaś - zaprotestowałam.

- Powiedziałam, że może założyć konto, jak skończy trzynaście lat! Jestem na ciebie bardzo zła, Jane. Rozmawialiśmy o tym wiele razy, a mimo to próbowałaś mnie przechytrzyć, okłamując tatę. Czy naprawdę myślałaś, że się o tym nie dowiem? Sama nie wiem, co bardziej mnie złości. To, że nie szanujesz moich zasad, czy to, że okłamałaś ojca. Simon, chyba przyznasz, że Jane zachowała się bardzo niegrzecznie?

- Ech... może faktycznie nie było to wzorowe zachowanie...
- wybąkał Simon.

- Chryste, Simon! Nie było wzorowe? Tylko tyle masz do powiedzenia?

- Przecież to nie koniec świata, prawda? Nie wydaje ci się, że trochę przesadzasz? To tylko nieporozumienie.

Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam spokojnie:

- Jane, czy możesz iść na chwilę do swojego pokoju? Chcę porozmawiać z twoim ojcem na osobności.

Jane odmaszerowała, mruczając pod nosem swoją ulubioną mantrę o tym, że jestem niesprawiedliwa, a ja, mimo że wzięłam kilka głębszych wdechów, nie byłam w stanie zachować spokoju i ryknęłam na Simona:

- To nie było nieporozumienie! To była celowa manipulacja! Ona doskonale wie, że nie może mieć jeszcze konta. Wiedziała, że z tobą łatwiej jej pójdzie, dlatego postanowiła skorzystać z tego, że mnie nie będzie i się nie zorientuję. I dlaczego nie możesz chociaż raz stanąć po mojej stronie? Dlaczego zawsze jesteś tym dobrym policjantem, a ja złym, który krzyczy i się wścieka, podczas gdy ty nie traktujesz mnie poważnie? Zawsze tak robisz! To niesprawiedliwe!

- Zdajesz sobie sprawę, że gdy mówisz, że to niesprawiedliwe, zachowujesz się jak jedenastolatka? - powiedział Simon swoim ulubionym tonem z serii: „Będę zgrywał pioruńsko racjonalnego, żeby zrobić z ciebie histeryczkę”.

- Ale to naprawdę jest niesprawiedliwe! Ty nigdy ich nie karzesz, zawsze zostawiasz to mnie. Kiedy dorosną i zaczną pisać pamiętniki, opiszą mnie jak w *Najdroższej mamusce*, a z ciebie zrobią pieprzonego świętego! Joan Crawford pewnie wcale nie była taką złą matką. Może po prostu miała męża, który nigdy jej nie wspierał?

- Moim zdaniem Joan Crawford nie była dobrą matką... - oświadczył Simon.

- Nie zmieniaj tematu! - odburknęłam.

- No i przecież cię wspieram. Poparłem twoją decyzję, żeby

zabronić Peterowi oglądać telewizję.

- Tak, tylko że kiedy pojechałam po zakupy, ściągnęliście i obejrzelście *Strażników galaktyki*. A potem pozwoliłeś mi grać w *Fortnite'a*. Poza tym faktycznie mnie wspierałeś - powiedziałam, próbując się zaśmiać, chociaż zabrzmiało to jak zduszony bełkot.

- Na litość boską! Przecież cię wspieram. To ty cały czas wyolbrzymiasz! Hormony ci szaleją czy co? Czy to jest początek „wielkiej zmiany”?

- Nie szaleją mi żadne hormony - odparłam chłodno. - Za każdym razem, kiedy wyrażam jakieś emocje, obrażasz mnie, sugerując, że postępuję irracjonalnie... Jakbym była piłką plażową zmytą z brzegu przez niekontrolowaną falę hormonów.

- Cóż za wizja! - zachichotał Simon, bawiąc się telefonem.
- Prawdę mówiąc, kochanie, aplikacja w moim telefonie mówi, że miesiączka ci się spóźnia.

- Mój cykl nie ma nic wspólnego z tym, że zachowujesz się jak dupek! A ta aplikacja jest przerażająca i traktuję ją jako inwazję na moją prywatność! - odburknęłam.

- Wręcz przeciwnie, kochanie. To bardzo użyteczna rzecz, która przypomina mi, kiedy wyciągnąć z szafy kamizelkę kuloodporną - westchnął Simon.

- Jestem spóźniona - odparłam, próbując zachować resztki godności. - Wychodzę. Wrócimy do tego jutro. Chciałabym tylko, żebyś w tym czasie nie zakładał Jane konta na Instagramie. Jeśli nie proszę o zbyt wiele!

Wyszłam z domu, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby

wrzucić do torebki paczkę tamponów, tknięta złym przeczuciem, że może Simon ma rację co do zbliżającej się miesiączki. Nie cierpię, kiedy ma rację!

W związku z powyższym nie byłam w najlepszym nastroju, kiedy przyjechałam do pubu na spotkanie z Hannah i Samem. Zanim zdążyliśmy przejść do tematu nauczycieli i dzieci w klasie, zrelacjonowałam im historię swojej rozpaczki. Córka Sama, Sophie, i córka Hannah, Emily, są w wieku Jane, choć w związku z kapryśnym systemem rekrutacji dzieci Hannah chodzą do innej szkoły, ale i ona, i Sam podzielali moje oburzenie i troski, kiedy narzekałam na pedofilię w sieci i seksting. Nie tak jak Simon, który, kiedy zaczęłam ten temat, zdobył się tylko na niezbyt pomocne uwagi o ustawieniach prywatności i kontroli rodzicielskiej.

Tak czy inaczej, pomimo pełnych sympatii pomruków w reakcji na moje historie o milenialsach w przykrótkich spodniach, kubkach wielorazowego użytku, salach konferencyjnych, które bardziej przypominały place zabaw dla dzieci, a także tego, że ich zdaniem dobrze odpowiedziałam na każde pytanie, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że Hannah wcale nie myśli o Instagramie ani mojej rozmowie o pracę, tylko wierci się na krześle jak dziecko, które dopiero co nauczyło się korzystać z nocnika i musi iść za potrzebą.

- Wszystko w porządku, Hannah? Wyglądasz trochę dziwnie. Masz zapalenie pęcherza?

- Co takiego? Dlaczego miałabym mieć zapalenie pęcherza? Mam inne wieści, chociaż nie powinnam wam

jeszcze o tym mówić – odparła.

- Teraz już musisz. Nie można oznajmić, że ma się wieści, i nie powiedzieć jakie – nadał się Sam.

- Jasna cholera, zaciążyłaś! To dlatego tak się wierzysz! O mój Boże! Przecież masz już czterdzieści dwa lata! Będziesz musiała chodzić na specjalny oddział dla geriatrycznych matek ze wszystkimi innymi staruszkami, które się migdaliły. Chociaż to pewnie i tak lepsze niż wszystkie te stare emerytki, których pełno w klinikach zdrowia seksualnego, bo bzykają się jak króliki bez zabezpieczenia i nawet nie myślą o tym, co będzie, jeśli zostaną geriatrycznymi matkami.

- Dziękuję za wsparcie, Ellen – rzuciła szorstko Hannah. – Po pierwsze, nikt nie nazywa ich już geriatrycznymi matkami. W dzisiejszych czasach mówi się o dojrzałym macierzyństwie, przy czym na listę kobiet dojrzałych wpisują cię po skończeniu trzydziestu pięciu lat, więc nie byłabym jedyną cudaczną suszoną śliwką na oddziale, gdybym zaszła w ciążę. Tyle że nie zaszłam. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale właśnie kończę butelkę cabernet sauvignon! Chyba bym tego nie robiła, gdybym była w ciąży, prawda, panno Marple?

- Chyba nie – dałam za wygraną. – W takim razie o co chodzi?

- Może będziemy zgadywać? Zgadujmy! Możemy się umówić, że każdy, kto spudłuje, pije szota! – ekscytował się Sam.

- Albo niech Hannah powie nam tak po prostu, bo jestem jej najlepszą przyjaciółką i kiedy miałyśmy po jedenaście lat,

obiecała, że będzie mówiła mi wszystko. Albo nie, ona powie tylko mnie, bo to ja jestem jej najlepszą przyjaciółką, nie ty!

- Za to ja jestem jej najlepszym przyjacielem gejem, co zgodnie ze świętym prawem truizmu oznacza, że to przede mną nie ma żadnych tajemnic!

- Może i tak, ale zgodnie ze świętym prawem truizmu po tym, jak najlepszy przyjaciel gej usłyszy sekret, musi iść z przyjaciółką na zakupy po buty i pić drinki cosmopolitan, a ty nie cierpisz kupować butów, a po cosmo masz zgagę. Wygrałam!

- Chryste! Czy was w ogóle interesuje, co chcę wam powiedzieć, czy będziecie się licytować, aż każę wam iść do kąta?

- Mam! Wygrałaś na loterii! Wygrałaś miliony trylionów i podzielisz się nimi ze swoją najlepszą przyjaciółką! - pisnęłam.

- Zamknijcie się wreszcie! Nie jestem w ciąży i nie wygrałam na loterii. Ale... Charlie mi się oświadczył. Jeszcze tego nie ogłosiliśmy i nie mówiliśmy rodzicom, ale ciężko utrzymać mi to w tajemnicy. Popatrzcie na mój pierścionek! - pochwaliła się Hannah i wyjęła z torebki całkiem eleganckie skórzane pudełeczko.

- Chryste przenajświętszy! Bierzesz ślub! Z Charliem! Ja chyba śnię! - wykrztusiłam przez łzy, bo moja najlepsza przyjaciółka, najwspanialsza osoba na świecie ponownie wychodziła za mąż, w dodatku tym razem za uroczonego człowieka, a nie jak poprzednim razem za dupkowatego jaskiniowego trolla, który po pierwsze był beznadziejnym

partnerem, a po drugie, niespodziewanie rzucił ją trzy lata temu.

- Kochana! To superancko! - powiedział Sam, którego oczy też się podejrzenie zaszklily. - Ojej, miałem przestać mówić „superancko”. Sophie twierdzi, że to szczyt obciachu i za każdym razem, kiedy tak powiem, musi się za mnie wstydzić.

- Popatrzcie tylko na ten kamyczek! - piszczałam z radości.
- Jaki błyszczący! Załóż go! Och, co za błyskotka! Jest piękny! Czy mogę pomóc ci planować ceremonię? Proszę, powiedz, że mogę! Masz już sukienkę? Kiedy ślub? Musisz koniecznie urządzić ślub w stylu vintage w odrapanej stodole ze stogami siana i bukietami dzikich kwiatów w starych butelkach. I założyć kalosze do sukni ślubnej!

- Ellen, czy nie wydaje ci się czasami, że spędzasz za dużo czasu na Pinterescie? - zapytał Sam.

- Nie. Nie da się spędzić za dużo czasu na Pinterescie. Poza tym to ja skontaktowałam Hannah z Charliem, więc bankowo będę najważniejszą osobą, która pomaga w planowaniu ślubu. I honorowym gościem. Co za wspaniały dzień! Wreszcie będę mogła sobie kupić wymarzony kapelusz! Tak się cieszę, że wychodzisz za mąż, i będę miała pretekst, żeby kupić ten kapelusz!

- Po pierwsze Sophie mówi, że „bankowo” to słowo, którego używają już tylko smutni starzy ludzie. A po drugie, znajdą się tacy, którzy pomyślą, że skontaktowanie ich było absolutnym minimum po tym, jak złamałaś biednemu Charliemu serce i sprawiałaś, że Hannah latami musiała się za nim uganiać, aż w końcu oboje związali się

z nieodpowiednimi ludźmi – powiedział Sam.

To nie było miłe.

Może faktycznie nasza historia sięga daleko wstecz i przyznaję, że mogłam trochę zwodzić Charliego, po czym dałam nogę z Simonem, i pewnie byłabym lepszym człowiekiem, gdyby Hannah i Charlie zaczęli ze sobą być dwadzieścia lat temu, ale ostatecznie postąpiłam jak trzeba kilka lat temu, więc uważam, że to wszystko moja zasługa. A kto ma zasługi, ten ma prawo do najładniejszego kapelusza na całym weselu!

- Rozmawiamy o kapeluszach, Sam, a nie o nieporozumieniach z przeszłości – skwitowałam dumnie, po czym wróciłam do wizji eleganckiego, ale rustykalnego wesela rodem z Pinteresta.

- Ale ja nie chcę brać ślubu w szopie i kaloszach! – zaprotestowała Hannah. – Poza tym nie ustaliliśmy jeszcze daty, więc odłóż telefon i przestań licytować stare butelki na eBayu, Ellen!

- Tylko oglądałam! – oburzyłam się. – Przecież nie ma nic złego w oglądaniu! Pomogę ci wybrać suknię i będziemy razem zalewać się w trupa darmowym szampanem w drogich sklepach z sukniami! Tylko pomyśl... Suknia ślubna! Elegancka, gustowna, nie taki potworek z tafty jak ostatnio. Czy mogę być twoją druhną? Czy można być druhną w kapeluszu? Emily, Sophie i Jane też mogą być druhnami!

- Ellen, mam czterdzieści dwa lata. To mój drugi ślub. Nie będę miała tysiąca drухen, nie jestem z rodziny królewskiej!

- Byłoby tak miło – zasmuciłam się.

- Już miałam jeden huczny ślub, który w dodatku wymknął mi się spod kontroli, bo wszystko organizowała moja matka. A to, czym nie zajęła się ona, zajęła się moja przeklęta eksteściowa, która zrobiła wszystko, żeby być w centrum uwagi tamtego dnia, łącznie z tym, że pojawiła się w kościele w czymś, co wyglądało podejrzanie podobnie do sukni ślubnej, i powiedziała, że to „tradycja”, żeby mój świeżo upieczony mąż zatańczył z nią pierwszy taniec. Tym razem to ja i Charlie będziemy w centrum uwagi. I oczywiście ty, jako moja najlepsza przyjaciółka, pomożesz mi z planowaniem. Tylko proszę, nie daj się ponieść!

- A czy mogę przynajmniej dać się ponieść w kwestii kapelusza? - negocjowałam.

- Rób sobie co chcesz ze swoim przeklętym kapeluszem! - straciła cierpliwość Hannah.

PONIEDZIAŁEK, 12 WRZEŚNIA

Mam dzisiaj urodziny. Właśnie wkroczyłam w przygnębiający wiek czterdziestu dwóch lat. W dodatku jest poniedziałek. Powinno być jakieś prawo, które zakazuje urodzin w poniedziałki. To najgorszy dzień w tygodniu na urodziny!

Moje czterdzieste drugie urodziny nie były tak udane jak czterdzieste. Przeraziła mnie wizja czterdziestki, bo bałam się, że wraz z nią spadnę prosto w nieuniknioną przepaść raszpłowatości i nudy. Że przyniesie koniec jędrności i zmarszczki, a kiedy będę wchodzić do jakiegoś pomieszczenia, to tylko po to, żeby oznajmić, że nie

pamiętam, po co przyszłam (niestety, to się akurat zdarza coraz częściej). W rzeczywistości jednak Simon zabrał mnie do Paryża na romantyczny weekend (nie polecam uprawiania seksu w łóżku, w którym wcześniej spożywało się croissanty - wszędzie są okruchy, które przylepiają się do całego ciała).

Spacerowaliśmy nad Sekwaną, trzymając się za ręce. Simon jak zwykle nie mógł zrozumieć, po co kupuję stylizowane na stare pocztówki („Bo zawsze tak robię, to nie moja wina, że nie masz duszy”), wzdrygnęliśmy się z przerażenia na widok kolejki do zwiedzania wieży Eiffla, a później Simon musiał siłą wyciągać mnie z Luwru, kiedy poczułam rozczarowanie w związku z ilością turystów skupionych wokół Mony Lisy, bo było mi gorąco i miałam już dosyć ludzi, poza tym komentowałam głośno, że obraz nie robi na mnie wrażenia i jest dosyć mały jak na coś, co wzbudza w ludziach tyle emocji, a kilku turystów, którzy zjechali świat, żeby tylko ją zobaczyć, komentowali pod nosem moje poglądy na dzieła sztuki. Ponieważ Paryż był potwornie zatłoczony, musiałam raz na jakiś czas zajrzeć do małej kawiarenki i pokrzepić się dzbanuszką pysznego *vin rouge*, co w praktyce oznaczało, że nasz romantyczny weekend pamiętam jak przez mgłę.

Dobrze pamiętam za to niefortunny moment, kiedy Simon postanowił zejść do baru na drinka, bo chciałam się wykąpać w obszernej wannie w naszym drogim hotelu. To była największa, najgłębsza i najszersza wanna, jaką kiedykolwiek widziałam, w dodatku miała też funkcję jacuzzi. Błogosławieństwo! - pomyślałam. Stara dobra kąpiel postawi

mnie na nogi i zrelaksuje!

Wlałam gratisowy płyn do kąpeli z malutkiej buteleczki prosto do gorącej wody, wskoczyłam do środka i ustawiłam jacuzzi na pełną parę. Niestety zamiast oprzeć się wygodnie i rozkoszować chwilą relaksu, kiedy ciepły strumień wody będzie masował moje zbolące mięśnie, zostałam wciągnięta przez wir! Wanna była tak duża, a jacuzzi tak silne, że utknęłam na samym środku, nie będąc w stanie dosięgnąć do gałki regulacji mocy i wyłączyć to cholerne draństwo! Co gorsza, z malutkiej buteleczki z płynem do kąpeli uformowała się olbrzymia góra piany, przez którą nic nie widziałam, nie wiedziałam, gdzie jestem i jak moje położenie ma się do panelu sterowania, a wkrótce woda zaczęła się wylewać na podłogę.

Całe szczęście że Simon, gdy tylko wszedł do baru, uświadomił sobie, że nie zabrał telefonu, i musiał wrócić na górę. Kiedy wszedł do pokoju, przywitały go bąbelki wypływające spod drzwi łazienki i moje krzyki o pomoc. Po tym, jak skończył umierać ze śmiechu, wyłączył wannę i uratował mnie, chociaż ciężko sprawiać wrażenie damulki w opałach, kiedy właśnie wyłowiono cię z morderczej wanny niczym karpia, a wyglądem przypominasz zmokniętego szczura.

Tego wieczoru uparłam się, żebyśmy poszli do klubu jazzowego na Montmartre i udawali stylowych wytwornych paryżan. Simon ostrzegał mnie, że nie będzie mi się podobało i faktycznie po około dziesięciu minutach zaczęłam marudzić, że to nie muzyka, tylko jakiś hałas. Za to Simon

zadowoloną miną udawał, że mu się podoba, i nazwał mnie ignorantką. Co gorsza, powiedział, że nie wyjdziemy, dopóki nie dopijemy drinków. Zamówiłam sobie campari z wodą gazowaną, bo pomyślałam, że będę wyglądać europejsko, poza tym podobało mi się, że drink jest różowy. Niestety trochę to potrwało, bo campari z wodą smakuje jak obrzydliwy syrop na kaszel, a Simon powiedział, że nie kupi mi drugiego drinka, jeśli nie wypiję pierwszego, bo w tym przeklętym klubie jazzowym kosili za niego piętnaście euro. Czasami Simon jest bardzo okrutny.

Tak czy inaczej, właśnie skończyłam czterdzieści dwa lata. Bezpowrotnie stałam się czterdziestokilkulatką, co jest jeszcze gorsze niż histeria, w którą wpadłam, kiedy skończyłam trzydzieści jeden lat (głównie dlatego, że jako nastolatka oglądałam *Thirtysomething*^[3] i bohaterowie wydawali mi się potwornie starzy, a wtedy stałam się jedną z nich i dopadły mnie obawy, że będę taka jak Hope, która była świętoszkowatą nudziarą, chociaż nie wiedzieć czemu wiele osób uważało ją za atrakcyjną. Trochę jak Sharon z *EastEnders*). Czterdzieste drugie urodziny upłynęły mi na odkurzaniu i praniu. Oprócz tego nawrzeszczałam na dzieci, że mają nawet na siebie nie patrzeć, nie wspominając o odzywaniu się do siebie, skoro nie są w stanie powiedzieć ani jednego słowa bez rozzłoszczenia drugiego. I jadłam przeciętne żarełko na telefon, bo uparłam się, że nie będę gotować w swoje urodziny. Simon prychnął z niezadowoleniem, kiedy zaproponowałam, że gdzieś wyjdziemy, bo przecież jutro z samego rana ma ważne

spotkanie, a poza tym „jest poniedziałek wieczór, kochanie, i to nie tak, że to jakieś szczególnie ważne urodziny”.

Nie, oczywiście, że to nie są szczególnie ważne urodziny, a głównie dlatego, że są moje. Urodziny wszystkich innych w tym domu zawsze są wyjątkowe, bo robię wszystko, żeby tak było. Szkoda, że nikomu nigdy nie przyszło do głowy, żeby odwzajemnić moją przysługę.

WTOREK, 13 WRZEŚNIA

Nie wiem, co miały sprawdzić penis i jądra namalowane na ścianie w sali konferencyjnej, ale wygląda na to, że zdałam ten test (albo inni kandydaci zareagowali jeszcze gorzej – na przykład domalowali spermę albo włosy łonowe). Tak czy inaczej, najważniejsze jest to, że przeszłam do drugiego etapu rekrutacji! Kolejna rozmowa w przyszły poniedziałek, co oznacza, że mam mnóstwo czasu, żeby się przygotować, i co więcej, będzie to rozmowa telefoniczna z szefem działu rozwoju, który aktualnie przebywa w Kalifornii, więc nie będę musiała przejmować się tym, co na siebie włożyć! Przez chwilę bałam się, że będzie na Skype i będę musiała znaleźć jakiś względnie wyglądający kącik, w którym zasiądę, przyjmując poważną pozę, ale powiedzieli, że wystarczy telekonferencja z Bardzo Ważnym Człowiekiem i ponurym Edem. Nie będę musiała nawet nakładać makijażu i będę mogła wyławiać okruchy ze stanika, jeśli poczuję taką potrzebę! Spóźnione „Najlepszego!” z okazji urodzin! Może moja rodzina ma mnie w nosie, ale przynajmniej mam po swojej stronie wszechświat, karmę czy coś takiego.

ŚRODA, 14 WRZEŚNIA

Do stu tysięcy pierunów! Dzisiaj „wieczerek zapoznawczy z wychowawcą”. Doskonale wiadomo, że nawet jeśli dzieci mają tego samego wychowawcę przez trzy lata z rzędu, obecność na wieczorku jest obowiązkowa (choć wcale się tam nie spotyka z wychowawcą - w trakcie wieczorków siedzi się na malutkich krzeselkach i ogląda przygotowaną w Power Poincie prezentację dotyczącą programu nauczania na dany rok, która i tak nie ma nic wspólnego z rzeczywistością), bo jeśli się nie przyjdzie, spotka się z potępieniem nienapotkanego nauczyciela i reszty rodziców, którzy na pewno odnotują waszą nieobecność. I oczywiście, chociaż większość ludzi ma na tyle oleju w głowie, żeby przyjść w pojedynkę i oszczędzić na opiekunce, zawsze znajdzie się co najmniej jedna zadowolona z siebie i entuzjastyczna parka, która wszystko spowalnia, żeby zadawać bezmyślne pytania o tym, jak nauczyciel poradzi sobie z szeregiem czysto hipotetycznych problemów. W tym czasie reszta z nas będzie usiłowała powstrzymać się od przewracania oczami i walenia głową w ścianę, bo ci upierdliwcy odkładają w nieskończoność moment, w którym możemy wrócić do domu i zamoczyć wargi w obficie wypełnionym kieliszku dżinu.

Chciałam być miła, więc zaproponowałam Katie, że podrzucę ją na wieczerek, żeby nie musiała sama drałować do szkoły, ale było to co najmniej głupie posunięcie. Okazało się, że chociaż jest uroczą i przemiłą osobą, którą dobrze mieć za sąsiadkę, jest również o wiele lepszym człowiekiem

ode mnie, a do tego naiwniaczką, która nie ma pojęcia o zawiłościach polityki placu zabaw.

Tym samym kiedy weszliśmy na szkolny korytarz i natknęliśmy się na Fionę Montague i Perfekcyjną Mamę Perfekcyjnej Lucy Atkinson, kurczowo ściskające w dłoniach teczkę z listą rodziców, którzy złożyli akces do komitetu rodzicielskiego, zamiast przejść obok niezauważalnie z opuszczonym wzrokiem, Katie zatrzymała się i powiedziała, że z przyjemnością posłucha więcej o jego działalności.

- To bardzo ciekawe! Kto by nie chciał pomóc w zbieraniu funduszy na szkołę? No i to świetna okazja, żeby poznać innych rodziców - ekscytowała się.

Mama Lucy i Fiona żywo zapewniły, że owszem, to doskonały sposób, żeby nowi rodzice poznali innych. Wręcz najlepszy.

- A ty, Ellen? Zapiszesz się, prawda? Będziesz mi pomagać, żebym nie zboczyła na złe tory i nie popełniła żadnego politycznego faux pas? Niewiele wiem o tym, jakie zasady rządzą placem zabaw, ale ty jesteś już przecież starą wyjadaczką!

- E... Chodzi o to, że ja... - zaczęłam się desperacko bronić.

- Co takiego, Ellen? Nie chcesz pomóc w zbieraniu funduszy na szkołę? - spytała Katie z naiwnością dwulatka.

- Ależ oczywiście, że chcę! - zaprotestowałam oburzona. - I wpisałam się już na listę osób, które pomagają przy szkolnych wydarzeniach. Obawiam się tylko, że nie nadaję się do komitetu.

- Ależ to nic takiego! - oświadczyła mama Lucy.

- I prawie w ogóle nie zabiera czasu! - zaszcebiotała Fiona.

- I pomyśl o swoich dzieciach! - nalegała Katie.

W ten oto sposób, po siedmiu latach sprytnego unikania komitetu rodzicielskiego, zgodziłam się chodzić na walne zgromadzenia i zaczęłam nawet rozważać objęcie jakiejś funkcji, o ile tylko nie będzie to skarbnik, bo mogłabym któregoś dnia przypadkiem zdefraudować pieniądze, trafić do więzienia i na okładkę *Daily Mail* ilustrowaną zdjęciem moich zasmuconych dzieci.

Simon płakał ze śmiechu, kiedy wróciłam do domu i mu o tym powiedziałam. Przypomniwał też, że kiedy Jane poszła do szkoły, byłam tak przerażona, że ktoś zmusi mnie do wstąpienia do komitetu, że miałam serię snów, w których przychodzę na poranną kawę z rodzicami i uświadamiam sobie, że jestem naga jak mnie Pan Bóg stworzył. Czasami wydaje mi się, że Simon mógłby być bardziej wspierającym mężem. Mam też nadzieję, że moje gołe sny nie były prorocze - żaden obcy nie powinien oglądać kobiety w moim wieku na golasa, niezależnie od tego, co twierdziły Trinny i Susannah, kiedy potrząsały biustem tych wszystkich nieszczęsnych kobiet, które odważyły się przed nimi rozebrać. Swoją drogą, ten program był naprawdę dziwny. Jak ktoś mógł pomyśleć, że to dobry pomysł? „Nie mam za grosz pewności siebie i nie podobają mi się moje ubrania, więc pójdę do telewizji i pozwolę dwóm celebrytkom macać się po piersiach i wysłucham ich rad o tym, że ładny szalik położy kres wszelkim moim problemom!”. To pewnie była

kropla, która przepełniła czarę i doprowadziła do powstania programów takich jak *Wstydlive choroby*, w których ludzie, którzy twierdzą, że wstydzą się pójść do lekarza, z radością wymachują ropiejącymi penisami przed kamerą (raz w życiu popełniłam ten błąd i obejrzałam odcinek poświęcony rzeźączce. Jedynym plusem było to, że schudłam półtora kilograma, bo przez trzy dni nie byłam w stanie nic jeść).

PONIEDZIAŁEK, 19 WRZEŚNIA

GHRGHR! Dzisiaj drugi etap rekrutacji, tym razem przez telefon. Z tej okazji Simon się rozchorował, i to bardzo. Żaden tam katar, przeziębienie czy kaszel. Nie, on jest okropnie, potwornie wręcz osłabiony i prawdopodobnie nie przeżyje. Siedzi skulony przy laptopie, otulony swoim najohydniejszym i najbardziej syntetycznym polarem, czyta w Internecie o swoich symptomach, diagnozuje u siebie choroby śmiertelne i zastanawia się, czy jechać na pogotowie, czy zadzwonić po karetkę. I cały czas dramatycznie pojękuje oraz pokasłuje.

- Masz ludzką grypę! - okazałam zupełny brak współczucia.

Na co Simon żałośnie jęknął:

- To chyba wirus zika.

- Gdzie niby miałbyś go złapać? Przecież nigdzie się nie ruszasz! - zauważyłam słusznie.

- W zeszłym tygodniu byłem w Londynie. Kobieta, która siedziała obok mnie w metrze, bardzo kasłała. Pewnie zaraziłem się od niej.

- Nie, kochanie. Nie złapałeś wirusa zika w metrze, bo on nie przenosi się drogą kropelkową. Poza tym zika jest niebezpieczny tylko dla kobiet w ciąży, a z tego co wiem, nie jesteś kobietą, tym bardziej ciężarną! Dlatego wydaje mi się, że jesteś symulantem i robisz cyrki, chociaż tak naprawdę cierpisz tylko na najzwyklejsze pieprzone przeziębienie!

- Na pewno mam gorączkę - marudził Simon, dalej szukając porad u doktora Google'a. - Mogłabyś mi zmierzyć temperaturę? Ebola przenosi się drogą kropelkową. Może mam ebolę? Z symptomów wymienia się gorączkę, ból głowy, bóle mięśni, stawów i gardła oraz osłabienie mięśni. Mam to wszystko! Boże, mam ebolę! Ja umieram, a ciebie to w ogóle nie obchodzi! Jesteś taka nieczuła! Proszę, zmierz mi temperaturę.

- Gdybyś miał ebolę, wolałabym się do ciebie nie zbliżać. Tyle że ty nie masz eboli, jesteś tylko skrajnym przypadkiem pieprzonej hipochondrii!

- Tak bardzo boli mnie nos. Dlaczego nie mamy w domu chusteczek z balsamem kojącym?

- Bo kosztują dwa razy więcej niż zwykle.

- Dlaczego jesteś taka nieczuła? - wybąkał.

- Bo jesteś przeziębiony. To wszystko! Dorośnij wreszcie! - fuknęłam opryskliwie.

- Ale ja się czuję fatalnie. To na pewno coś gorszego. Możesz mi zmierzyć temperaturę?

- A wiesz, że najbardziej wiarygodnym sposobem sprawdzenia temperatury to pomiar przez odbyty? - spytałam perfidnie.

- Co takiego? Nie ma mowy! Nie będziesz mi wkładać termometru w tyłek! Włóż go pod ramię.

- Jeśli chcesz otrzymać niedokładny wynik...

- Chcę tylko odrobiny miłości i współczucia od mojej żony. Czy proszę o zbyt wiele? Chcę, żebyś się mną zajęła, a ty mi grozisz, że będziesz mnie molestować termometrem. Dlaczego jesteś taka okrutna?

- Jestem bardzo współczująca. Zaparzyłam ci herbaty, kiedy odebrałam dzieci ze szkoły, i nawet nie pisnęłam o bajzlu, który zrobiłeś w kuchni, kiedy mnie nie było, chociaż podobno jesteś tak chory, że nie powinieneś mieć tyle siły, by choćby dźwignąć się z kanapy!

- Musiałem się przecież posilić - wyszeptał anemicznie.

- To skoro już się posiliłeś, zaopiekuj się przez chwilę dziećmi i przypilnuj je, żeby były cicho, bo o wpół do szóstej mam rozmowę o pracę przez telefon. Myślisz, że dasz sobie radę?

- Co? Kto przeprowadza rozmowy o pracę przez telefon o takiej porze? - oburzył się Simon.

- Jeden z szefów jest teraz w Stanach.

- I co z tego?

- Słyszałeś kiedyś o strefach czasowych? Mogę odebrać na górze, tylko dopilnuj, żeby dzieci tam nie wchodziły i trzymały się z dala od moich włosów, żebym mogła się skoncentrować. Proszę cię, Simon, to dla mnie ważne.

- Kiedy tak źle się czuję! Co mam z nimi zrobić? Nie możesz ich poprosić, żeby się grzecznie bawili?

- NIE! Ktoś musi ich pilnować, bo inaczej kiedy tylko

odbiorę telefon, ich wewnętrzne radary to wyłapią i zaczną ryczeć, wrzeszczeć i siać spustoszenie. Nie pamiętasz już, że kiedy ostatnio dzwoniłam w ważnej służbowej sprawie, skończyliśmy na pogotowiu, bo Peter wciągnął nosem ziarenko groszku?

- Naprawdę? - Simon spojrzał na mnie zdziwiony.

- Nie, oczywiście, że nie pamiętasz. - Westchnęłam. - Przecież cię tu nie było. Byłeś w bardzo ważnej podróży służbowej, a ja musiałam ze wszystkim radzić sobie sama, dlatego byłoby miło, gdybyś chociaż raz mi pomógł i trzymał dzieci z daleka.

- Ja tylko mówię, że źle się czuję, a ty każesz zajmować mi się dziećmi. Moja mama nigdy by nie poprosiła ojca, żeby się nami zajął, kiedy był chory - narzekał dalej.

- A jaki to ma związek, do cholery? Nie jesteś swoim ojcem, a ja nie jestem twoją matką! Poza tym żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, więc dostosuj się do realiów i zajmij się dziećmi, bo ja idę się przygotować!

- A co z obiadem? Może mam też zrobić obiad? - zawołał za mną płaczliwie.

- Zrobię obiad, kiedy tylko skończę! - krzyknęłam przez ramię. - Tylko pilnuj, żeby dzieci były cicho.

Na początku było dobrze. Max, czyli bardzo ważny szef, poza tym że przebywał w USA, to jeszcze stamtąd pochodził, więc miał wszystkie typowe cechy Amerykanów. Radosny, pozytywnie nastawiony i bardzo uprzejmy. Ed wciąż niewiele mówił. Jego obecność ograniczała się głównie do trochę niepokojącego chuchania w słuchawkę. Ja i Max

rozmawialiśmy. Po około dwudziestu minutach z dołu dobiegł mnie pisk. Napięłam się jak sprężyna. Chwilę później usłyszałam tupot na schodach. Próbowałam zachować spokój, chociaż kipiałam ze złości. Wtedy zaczęło się walenie w drzwi i ryki.

- Wszystko w porządku, Ellen? Słyszę jakieś śmieszne dźwięki - zapytał miło Max.

- Tak, chyba słyszemy drugą rozmowę - zaryzykowałam w desperacji.

- Drugą rozmowę? Przecież rozmawiasz przez telefon komórkowy, a druga rozmowa może się przebić tylko w rozmowach stacjonarnych. Myślałem, że w dzisiejszych czasach takie rzeczy już się nie dzieją!

- To typowo brytyjski problem - improwizowałam, ale krzyki nasilały się coraz bardziej. W duszy dziękowałam Bogu, że przynajmniej mam zamek w drzwiach do sypialni, więc te małe dranie nie wedrą się do środka. - U nas jeszcze się zdarzają takie problemy z siecią... to... z powodu wojny...

Ed prychnął z drwiną albo może zaczął chrapać, bo pewnie się zdrzemnął z nudów, skoro nie odzywał się przez ostatnie piętnaście minut. A Max powiedział:

- Wojny? Nie wiedziałem, to bardzo ciekawe.

Przez resztę naszej rozmowy desperacko próbowałam się skoncentrować i wypaść na opanowaną, profesjonalną osobę, ale przez te banialuki o wojnie było już po ptakach. Przecież wszyscy wiedzą, że o wojnie się nie mówi. Znam na pamięć wszystkie odcinki *Hotelu Zacisze* i nie wiem, co mi strzeliło do głowy, żeby mówić o wojnie, zamiast po prostu przeprosić

i wytłumaczyć, że winowajcami były moje dzieci z piekła rodem?

Po skończeniu rozmowy zbiegłam na dół. Zadowolony z siebie Simon wychodził z kibelka.

- Do cholery, co ty sobie myślałeś?! Miałeś tylko przez chwilę popilnować dzieci. Nic więcej! Gdzieś ty polazł?

- Musiałem zrobić kupę. Przecież mówiłem ci, że źle się czuję. Czuję się strasznie rozbity. Normalnie robię kupę tylko rano, pod tym względem działam jak w zegarku, ale widocznie ebola zaatakowała też mój przewód pokarmowy.

- I nie mogłeś poczekać? Nie mogłeś poczekać, aż skończę rozmawiać, żebym mogła w spokoju i ciszy przeprowadzić najważniejszy telefon w swoim życiu bez wrzeszczących pod drzwiami dzieci? Nie wiem, czy wiesz, ale Peter zabrał Jane jakiś zaszary breloczek do kluczy, więc Jane za punkt honoru postawiła sobie, żeby drzeć się z tego powodu na cały dom, mimo że ani jedno, ani drugie nie ma nawet klucza, by go na nim zawiesić! Naprawdę nie mogłeś poczekać przez kilka pieprzonych minut?

- Jak trzeba, to trzeba! Co będzie na obiad?

- Na obiad możesz się chrzanić! - syknęłam.

CZWARTEK, 22 WRZEŚNIA

Odbębniłam pierwsze w mojej karierze zebranie komitetu. Zaciągnęłam ze sobą Sama, bo skoro mam spaść prościutko na samo dno, zamierzam zabrać ze sobą jak najwięcej osób. Długo się opierał, twierdząc, że mogłam wykazać się większym sprytem i nie poddać się presji Perfekcyjnej Mamy

Perfekcyjnej Lucy Atkinson i Fiony Montague, chociaż przecież wszyscy wiedzą, jak trudno im się oprzeć, szczególnie kiedy trzymają swoje Bardzo Profesjonalne Teczki. Dodatkowo argumentował, że jako samotny rodzic nie będzie miał z kim zostawić dzieci. Byłam na to przygotowana i odparłam, że Simon zajmie się Sophie i Tobym oraz naszymi drogimi dziećmi. Nie miał ze mną szans, musiał dołączyć do mnie i Katie. Spotkaliśmy się w holu i razem ruszyliśmy korytarzami na zawsze przesiąkniętymi zapachem obiadów ze stołówki - ciężkim odorem kapusty i zaschniętego tłuszczu - na spotkanie mamy Lucy Atkinson i Fiony Montague zasiadających w auli w towarzystwie całych jedenastu osób na około siedmiuset rodziców w całej szkole. Zawsze miałam potworne wyrzuty sumienia, że nie chodzę na zebrania - byłam przekonana, że aula szkolna pęka w szwach od entuzjastycznych ludzi „w typie wolontariusza” z notesami, którzy uwielbiają wszystko „organizować” i potrafią posługiwać się pistoletami klejowymi. Nie miałam pojęcia, że prawie nikt tam nie przychodzi. Teraz już rozumiem, dlaczego mama Lucy i Fiona są takie napastliwe, kiedy werbują do wspierania komitetu.

Mama Lucy Atkinson rozpoczęła posiedzenie od ogłoszenia, że rezygnuje z funkcji przewodniczącej komitetu i zachęcała, by ktoś zgłosił się na jej miejsce. Odpowiedziała jej głucha cisza.

Cara Cartwright, która siedziała obok mnie, wyszeptała:

- Nie martw się, rezygnuje co roku, ale jeszcze nikt nie

odważył się zająć jej miejsca. Robi to, żeby czuć się bardziej potrzebna.

A jednak mama Lucy się wściekła:

- No proszę was! Przecież musi być ktoś, kto może mnie zastąpić. Nie chcę tego więcej robić! Jeśli nikt się nie odważy i nie obejmie tej funkcji, komitet zostanie rozwiązany. Nie będzie dyskoteki na Halloween, Świątecznej Wenty, Święta Lata ani pieniędzy na pieprzone wycieczki szkolne, nowe tablice czy inne pierdoły! Moja córka w tym roku kończy szkołę i chcę być przy niej. PRZY NIEJ, a nie obok, wciskając jej bilon, żeby kupiła sobie kilka kolejnych losów na loterii, bo jestem zbyt zajęta organizowaniem wydarzeń, w których bierze udział. Czy proszę o zbyt wiele?

Zapadła bardzo niezręczna cisza.

- No właśnie! - ryknęła mama Lucy i cisnęła teczką o biurko. - Pieprzyć to! Ja się wypisuję! Do diabła z wami!

Hm, robiło się coraz dziwniej. Bardzo mnie stresują takie momenty i zanim dotarło do mnie, co właściwie robię, złapałam się na tym, że żeby tylko przegnać precz tę niezręczną atmosferę, podniosłam rękę i wymamrotałam:

- Ja to zrobię. Oczywiście jeśli nikt inny się nie zgłosi.

Raz kozie śmierć! Skoro zaprzepaściłam swoje szanse na wymarzoną pracę, równie dobrze mogę zrobić coś pożytecznego między jedną paczką ciastek a drugą i wymyślanie nikomu niepotrzebnych aplikacji.

- Naprawdę, Ellen? - spytała mama Lucy z podejrzanym obłędem w oczach. - To wspaniale! Teraz potrzebujemy jeszcze tylko skarbnika na miejsce Fiony i sekretarza.

- Może Sam? I Katie, w końcu wy mnie w to wciągnęliście - syknęłam, szturchając Sama w żebro.

- Dobrze, będę skarbnikiem - zgodził się z westchnieniem.

- A ja sekretarzem! - dorzuciła Katie.

- To cudownie! - pisnęła mama Lucy. - Jesteśmy wolne! To znaczy bardzo się cieszę, że to zaproponowaliście. Teoretycznie wasze kandydatury powinny być zgłoszone, a potem przyjęte, ale szczerze mówiąc, tak trudno znaleźć ochotników, że w ostatnich latach i tak tego nie robiłyśmy. Czy ktoś jeszcze chciałby dołączyć do komitetu?

- Raz kozie śmierć! - zawołała Cara Cartwright. - Jak się powiedziało A, to trzeba powiedzieć też B.

- Ja też chciałabym dołączyć - odezwał się ktoś nowy z tyłu sali.

Wszyscy odwrócili się, żeby zobaczyć, kto to jest. Do środka weszła wysoka kobieta w pełnym makijażu i perfekcyjnie ułożonej fryzurze z dwójką nieskazitelnie czystych dzieci.

- Przepraszamy za spóźnienie. Jestem Kiki. Robiłam na dworze zdjęcia Lalabelle i Trixierose. Chciałabym dołączyć. Myślę, że możemy tu wiele usprawnić.

Mama Lucy wyglądała przez chwilę na zbitą z tropu, ale szybko wtrąciła się w rozmowę:

- Cóż, pozwól, że ci przerwę. Chodzi to... Przepraszam, umknęło mi, jak się nazywasz. Coco?

- Kiki. Przez dwa „K”.

- Racja. Kiki, to jest spotkanie komitetu rodzicielskiego. Zajmujemy się tylko zbieraniem funduszy, nie polityką

szkoły. Od tego jest rada rodziców.

- Ach tak - powiedziała Kiki przez dwa „K” (kojarzyło mi się to z tytułem tego serialu: *Ania, nie Anna!* Poza tym czy Kiki to nie imię dla papużki?). - Ale skoro już przyszedłam, to zostanę. Jestem ciekawa, na co komitet wydaje zebrane fundusze. Na pewno można zrobić sporo więcej. Na przykład dlaczego plac zabaw na boisku jest taki szary i smutny? Nie mogłam zrobić dziewczynkom ładnego zdjęcia. Gdyby tak wydać część pieniędzy na porządne chodniki, może jakieś rośliny i KONIECZNIE mural...

- A po co nam mural? - spytała mama Lucy.

- Bo wszyscy kochają wrzucać na Instagram zdjęcia z muralami w tle! Instagram to nasza przyszłość. Szkoła powinna w tej kwestii trochę nadgonić.

Mama Lucy zrobiła się purpurowa ze złości, ale Fiona Montague szturchnęła ją w bok i wyszeptała:

- Opuść. Nie nasz cyrk, nie nasza małpa! Skończmy nasze sprawy i uciekajmy do pubu. To problem Ellen.

Niczego nieświadoma Kiki brnęła dalej:

- Skoro już przy tym jesteśmy, dlaczego nasza szkoła nie ma konta na Instagramie? Mogłabym w tym pomóc. Jestem wpływowa, moje konto ma ponad trzystu obserwujących. Nazywa się @kikikochażycie, jeśli jesteście ciekawi. Postuję o dzieciach, lifestyle’u i podróżach. Wiele osób mówi mi, że jestem wschodzącą inspiracją, co bardzo mi schlebia.

Wtedy po raz pierwszy dotarło do mnie, co ja najlepszego zrobiłam.

Reszta spotkania polegała głównie na przekazywaniu

obowiązków świeżo upieczonemu komitetowi (czyli nam) przez odchodzące władze. Raz na jakiś czas Kiki przerywała procedurę, żeby poinformować nas o swoich statystykach na Instagramie, poprosić o przerwę, żeby mogła zrobić zdjęcie swoim córeczkom, jak kolorują kolorowanki, albo zasugerować wspólne selfie (na szczęście wszyscy grzecznie odmówili), po czym przypomnieć nam, że naprawdę powinniśmy śledzić jej konto, bo wiele osób twierdzi, że jest wschodzącą inspiracją.

Jedynym plusem było to, że poza prowadzeniem Instagrama nie interesowała jej żadna inna pozycja w Komitecie, a byłam pewna, że władze szkoły i tak zawetują ten pomysł.

Kiedy wróciłam do domu i opowiedziałam Simonowi, że nie dość, że dołączyłam do komitetu, to jeszcze zostałam przewodniczącą, rzucił mi pełne niedowierzania spojrzenie.

- Chcesz mi powiedzieć, że moment, w którym Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson złożyła rezygnację z okrzykiem: „Pieprzyć to!” w miejscu publicznym, był jednocześnie momentem, w którym uznałaś, że doskonałym pomysłem będzie przejąć od niej rolę, która ją do tego doprowadziła?

- To przez tę niezręczną ciszę, która zapadła. Ktoś musiał coś powiedzieć. Spanikowałam! Nienawidzę ciszy!

- Owszem, ale zazwyczaj wypełniasz niezręczną ciszę chaotycznym bełkotem o tym, że wydry mają kciuki przeciwstawne. Więc co cię napadło, żeby zgłosić się na najbardziej niewdzięczne w historii ludzkości stanowisko?

- Nawet pomyślałam o tym, żeby powiedzieć o wydrach, ale wydawało mi się to nie na miejscu. Ale nie musi być aż tak źle! Przecież Sam i Katie będą mi pomagać! A Cara też wydaje się miła i zupełnie normalna. Będzie dobrze, Simon. Nie rozumiem, czemu tak się martwisz. Pierwsza decyzja, jaką podjęliśmy na inaugurację naszej kadencji, głosi, że spotkania komitetu odbywać się będą w pubie, co bardzo ułatwi nam życie, a obrady potoczą się wartko i w konstruktywnym duchu.

- Hm. Cóż, mogę ci tylko obiecać, że spróbuję się powstrzymać od komentarza: „A nie mówiłem?!”, kiedy to wszystko się posypie - powiedział Simon, nie kryjąc, że bardzo wątpi w nasz sukces.

PIĄTEK, 30 WRZEŚNIA

Dostałam pracę! Nie wiem, jak to się stało, ale ją dostałam! Gabrielle powiedziała mi, że zdaniem Maksa jestem bardzo „kreatywna” (choć odniosłam wrażenie, że ona wcale nie podziela tej opinii). Może umiejętność wymyślenia na poczekaniu skrajnych farmazonów w dzisiejszych czasach uznaje się za zaletę? Co więcej, ponieważ nie jestem nigdzie zatrudniona, mogę zaczynać za tydzień, w poniedziałek, czyli... jasna cholera, za tydzień z hakiem!

Oczywiście zaczęłam panikować. Czy nadaję się do tej pracy? Czy będę w stanie dobrze ją wykonywać? Czy uda mi się połączyć obowiązki przewodniczącej komitetu z pracą na etat i pozostałymi zajęciami? Czy moje dzieci poniosą rany emocjonalne i będą mieć traumę na całe życie? I przede

wszystkim co, jeśli nie będę mogła znaleźć toalety w swoim budynku? Dużo czasu w życiu pochłania mi martwienie się o toalety. To dla mnie bardzo ważny temat. Jeśli nie będę mogła ich znaleźć, to strasznie się zestresuję. Nigdy nie zapomnę mojej pierwszej pracy, w której wszystko szło świetnie przez pierwsze pół roku, bo wiedziałam, gdzie są toalety, ale później przenieśli mnie do innego działu, w którym toalety są ukryte przed pracownikami. Na dodatek nie było tam ani jednej osoby płci żeńskiej, więc wstydziłam się zapytać kolegów, gdzie są toalety, i przez kolejne sześć miesięcy musiałam chodzić do starego działu, żeby się wysiusiać. Aż wreszcie - po takim czasie! - wpadłam na genialny pomysł, żeby śledzić kobietę, która pracowała na tym samym piętrze co ja. Zresztą nie tylko ja mam ten problem. Hannah odrzuciła bardzo dobrą ofertę pracy, bo bała się, że budynek jest tak duży, że nie znajdzie toalety (oczywiście miała też inne powody, ale ten na pewno był najważniejszy). Poza tym to taka nowoczesna i innowacyjna firma... A co, jeśli mają toalety koedukacyjne, jak w *Ally McBeal*? Oby nie! Nie chcę wysłuchiwać marudzenia kolegi, który w pocie i znoju wypróżnia się po spożytym na kolację biryani, kiedy będę zakładać tampon. Albo rozmów o masturbacji, kiedy będę malować usta błyszczkiem. Czy mężczyźni rozmawiają o takich rzeczach w toalecie? Nie mam pojęcia, bo niby skąd miałabym wiedzieć? I wolę, żeby tak zostało. Nie potrafię się wysiusiać, gdy w pomieszczeniu są inne kobiety, to jak to zrobię przy mężczyźnie? (Chociaż przynajmniej jeśli przypadkiem puszcze bąka, będę mogła to

zwalić na któregoś z nich).

Nagle poczułam nostalgię do starych, dobrze znanych kibelków w moim dawnym biurze. Doskonale wiedziałam, gdzie są, a pani Brenda, sprzątaczką, specjalnie dla mnie zostawiała otwartą szafkę z zapasowym papierem, bo wiedziała, że wpadam w panikę, kiedy widzę, że zostało mniej niż pół rolki. Takie numery na pewno nie przejdą w toaletach koedukacyjnych z Brianem i jego biryani. Przecież wszyscy wiedzą, że mężczyźni nie mają za grosz szacunku dla takich przywilejów.

Po chwili się trochę rozpogodziłam. Dostałam wymarzoną pracę! Mimo penisa i jąder na ścianie, braku entuzjazmu Simona, złego kubka do kawy, nieszczęsnych wrzasków moich dzieci i okruszków w staniku, dostałam tę pracę! Oczywiście teraz muszę stworzyć jakąś dobrze przemyślaną kapsułową garderobę. Mam nadzieję, że nie będą mi kazali nosić szpilek. I może wreszcie nauczę się, jak nosić przykrótkie spodnie do botek i nie wyglądać jak oferma.

PAŹDZIERNIK

SOBOTA, 1 PAŹDZIERNIKA

Dzisiaj dostałam mejla od mojego ojca z propozycją „wspólnego” lunchu w najbliższej przyszłości. Byłam przekonana, że wciąż mieszka w Portugalii, więc bardzo się zdziwiłam. W dodatku podobno ma dla mnie jakąś „niespodziankę”. Jestem pełna podejrzeń i mimo że wrodzony optymizm każe mi myśleć, że może postanowił zrobić mi przelew na niebotyczną kwotę albo przepisać na mnie swój dom w Portugalii, żebym nie musiała płacić podatku od spadku, a także dlatego, że zasłużyłam na niego bardziej niż moja siostra, to dobrze wiedziałam, że na ogół nic dobrego nie wynika z jego „niespodzianek”. Na ogół oznacza to, że znowu się żeni albo rozwodzi.

Gdybym chciała być miła, powiedziałabym, że tata to taki dojrzały hedonista o uroku Lesliego Phillipsa, ale obawiam się, że im robi się starszy, jego zwyczaj żenienia się i rozwodzenia mniej więcej raz w roku zaczyna się robić trochę żałosny. Wszyscy liczyliśmy na to, że jego ostatnia żona Caroline sprawi, że w końcu się ustakuje. Wytrzymała z nim zresztą długie siedem lat, zanim się poddała, kiedy przyłapała go w łóżku z panią do sprzątania. To właśnie wtedy wyprowadził się do Portugalii. Podobno żeby grać w golfa, chociaż mama kąśliwie stwierdziła, że

w Sunningdale zabrakło już dla niego kobiet, skoro zaczął zaciągać do łóżka swoje pracownice.

Obawy dotyczące „niespodzianki” potwierdziły się, kiedy zadzwoniła do mnie moja droga siostra Jessica. Też dostała mejla z propozycją spotkania. Jak na starszą protekcyjną siostrę przystało, wyśmiała moje zmartwienia, że ojciec zamierza nam przedstawić najnowszą macochę.

- Na Boga, Ellen, on ma siedemdziesiąt pięć lat! Po co miałby się żenić w tym wieku? Na pewno zdążył już zmądrzeć.

- A jeśli nie? Pamiętasz Carrie Barker? Jej dziadek ożenił się trzy razy po śmierci pierwszej żony. I też miał siedemdziesiąt pięć lat, gdy ostatni raz szedł do ślubu!

- Tak, ale jego żony umierały ze starości i nie miał mu kto prac gaci. To zupełnie inny przypadek niż tata, który wystarczająco długo był sam pomiędzy kolejnymi małżeństwami, żeby nauczyć się względnej samowystarczalności.

- W takim razie o co mu chodzi?

- Skąd mam wiedzieć? Może chce się przeprowadzić z powrotem do Anglii, żeby spędzać więcej czasu z wnukami?

- Przecież on nie cierpi dzieci. Nawet za nami nie przepadał, kiedy byłyśmy małe, i skrzętnie nas unikał. Uwielbia obnosić się z faktem, że nie zmienił ani jednej pieluchy w życiu, i wciąż ma mi za złe, że Jane na niego zwymiotowała, kiedy była noworodkiem. To jedyny plus całej tej sytuacji. Dzięki jego nienawiści do dzieci nie mamy setki braciszków i siostrzyczek, z którymi musiałybyśmy się dzielić

spadkiem!

- Przecież lubi Persephone i Gullivera - powiedziała Jessica rażona gromem matczynej dumy. - Wszyscy ich lubią. Ludzie ciągle mi mówią, że to urocze dzieciaki. Może tata nie lubi twoich dzieci, ale moje lubi na pewno!

- A właśnie że nie lubi!

- Lubi!

- Nie!

- Przestań być taka małostkowa!

- Nie przestanę!

- Ellen, rozłączę się, jeśli natychmiast się nie uspokoisz i nie zaczniesz rozmawiać ze mną w cywilizowany sposób, jak na dorosłego przystoi.

- Niech ci będzie - burknęłam. Nigdy nie zrozumie, co jest nie tak z Jessicą. To moja jedyna siostra i bardzo ją kocham, ale nie mogę powiedzieć, żebym ją szczególnie lubiła. Zawsze bierze mnie pod włos tym swoim niezłomnym przekonaniem, że jest lepsza od wszystkich wokół. Ciągle muszę się powstrzymywać, żeby nie kopnąć jej w kostkę albo z szyderczym śmiechem wepchnąć do kałuży. Co gorsza, z uwagi na oczywisty fakt, że w wieku czterdziestu dwóch i czterdziestu pięciu lat nadal kłócimy się jak dzieci, mam tylko iluzoryczną nadzieję, że Peter i Jane kiedyś przestaną się ze sobą żreć, zostaną przyjaciółmi i porzucą plany, żeby się nawzajem pomordować.

Tak czy inaczej, dzieci Jessiki to przesadnie ambitne i wychowane pod kloszem małe potworki, które prawdopodobnie zaczną rządzić tym krajem jeszcze jako

nastolatki. Muszę jednak przyznać, że za każdym razem, kiedy przypominam sobie, że moi siostrzeńcy nazywają się Persephone i Gulliver, ze wstydu aż mnie skręca. Jessica była z siebie bardzo dumna, kiedy oznajmiła, że NIKT, kogo zna, nawet dzieci mam, które poznała w charytatywnej szkole rodzenia podczas obu ciąż, nie nazywały się tak samo. Ponadto od kiedy prowadzi się listy najpopularniejszych imion, „Persephone” i „Gulliver” ani razu się na niej nie znalazły. Przestała być taką mądralą, gdy po krótkiej sesji z Google’em powiedziałam jej, że oba imiona trafiły na listę najbardziej pretensjonalnych imion dla dzieci z klasy średniej. To był wspaniały dzień...

Ponieważ nie udało nam się rozwiązać tajemnicy, dlaczego ojciec nagle zapragnął się z nami spotkać, Jessica oznajmiła, że zarezerwuje nam stolik. Mam nadzieję, że w restauracji będą podawać frytki. Raz zabrałam Petera w miejsce, w którym nie było frytek. Nie skończyło się to dobrze.

PIĄTEK, 7 PAŹDZIERNIKA

Cholerka! Już Olać-to-Piątek! Próbowałam się przygotować do pierwszego dnia w nowej pracy. Zaklepałam opiekunkę do dzieci, nagotowałam i zamroziłam pełne wartości odżywczych posiłki, żeby moje biedne dzieci nie musiały żywić się jedynie gotowymi daniami, co skończyłoby się cukrzycą i skorbutem. Niestety nie udało mi się skompletować kapsułowej garderoby, ale kupiłam kilka par „zwariowanych” spodni, chociaż nie jestem pewna, czy będę w nich dobrze wyglądać. Kupiłam też torebkę à la korpo,

która szczerze mówiąc, trochę mnie przeraża. Wygląda jak atrybut dorosłego człowieka. Marzy mi się lampka wina i odrobina świętego spokoju, ale dzieci ciągle jęczą, żeby je nakarmić. Te wszystkie książki o wychowywaniu dzieci i przewodniki dla rodziców i owszem, są pełne mądrych słów, wskazówek i „przydatnych porad”, jednak nie wspominają o czymś jakże ważnym. Mianowicie że twoje dzieci będą chciały jeść obiad każdego pieprzonego dnia, mimo że i tak nic im nie smakuje, bo są małymi wybrednymi gnojkami.

Kiedyś byłam pełna nadziei! Myślałam, że co to, to nie! Moje dzieci nie będą wybredne! Jeśli masz wybredne dzieci, to tylko twoja wina, bo jesteś leniwa i za mało się starasz. Moje dzieci (taka byłam mądra!) będą entuzjastycznymi smakoszami pałaszującymi pyszne egzotyczne potrawy ze wszystkich zakątków świata. Och tak!

Jane miała inne poglądy na ten temat. Z wyjątkiem czekolady nic jej nie smakowało. Spędzałam godziny na pichceni, robieniu przecierów, mrożeniu i tak dalej, ale tylko po to, żeby Jane wypluwała moje rozplływające się w ustach przysmaki, krzycząc, że podałam jej watę szklaną. Kiedy mój zamrażalnik pękał w szwach od specjałów z tej przeklętej książki kucharskiej Annabel Karmel *Mały smakosz*, doznałam olśnienia. Mogłam oszczędzić sobie tyle trudu (i nie marnować tyle jedzenia)! Wystarczyło tylko odkryć, co Jane lubi. Postanowiłam kupić i podać jej szeroki wybór potraw dla dzieci. Kiedy będę wiedziała, które jej smakują, to po prostu będę je gotować. Wróciłam z Sainsbury's z całą paletą soczków Ella's Kitchen

i ekosłoiczków Baby Organix (wybrałam je, żeby pozbyć się dręczącego przedstawicieli klasy średniej poczucia, że faszerują swoje maleństwa gotowym jedzeniem w słoikach). Jane posmakowały breje (szczególnie upodobała sobie miksturę „stek ze szpinakiem”, która wyglądała jak zielono-czarny ślimak zarówno przed zjedzeniem, jak i po strawieniu). Słoiczek z lazanią warzywną? „Pychota!” – powiedziałyby Jane, gdyby umiała wtedy mówić. Domowej roboty lazania? „Ohyda!”. I tak dalej.

Kupiłam nawet blender turystyczny, żeby sama przygotowywać dla niej smaczne papki, na przykład na wyjazdach. BLENDER TURYSTYCZNY?! Jakim kretynem trzeba być, żeby wpaść na taki pomysł? Jane jadła tylko gotowe papki ze słoiczków, dopóki nie urosła na tyle, żeby przetrzucić się na frytki i nuggetsy z kurczaka. Wtedy też porzuciła spożywanie wszelkich innych potraw (oczywiście z wyjątkiem regularnie przyjmowanej dawki cukrów prostych i wszelkiej maści literek E).

Byłam zrozpaczona. Raz w tygodniu chodziłam do pielęgniarki, żeby narzekać na upór Jane. A była naprawdę uparta. Jeśli udało mi się wcisnąć jej łyżkę z jedzeniem do dzioba, potrafiła godzinami trzymać je w buzi, żeby tylko go nie połykać. Miałam niezły ubaw, kiedy zastałam w domu Simona z łyżką jakiejś zielonej obślizgłej brei. Powiedział:

- To jakiś absurd, Ellen, ona musi to zjeść! - i zatkał jej nos.

Oczywiście mogłam go ostrzec, co się zaraz wydarzy, ale wolałam się pośmiać, kiedy Jane go opluje. Niestety jedyne,

co usłyszałam, to że jak zgłodnieje, to zje, oraz:

- Nie znam dziecka, które z własnej woli zagłodziłoby się na śmierć.

Może i nie, pomyślałam. Ale co, jeśli Jane będzie PIERWSZA?

Z Peterem poszło łatwiej. Od urodzenia był dosyć żarłoczny (oburzył się, kiedy dałam mu smoczek - jak śmiałam oczekiwać, że będzie ssał coś, z czego nie płynie jedzenie?!) i z pokorą jadł wszystkie ugotowane przeze mnie papki, za co byłam mu niezmiernie wdzięczna, bo nie byłoby mnie stać na to, żeby zaspokoić jego wiecznie domagającą się pokarmu buzię jedzeniem ze słoiczków. Pamiętam pewien niefortunny incydent, kiedy objadł się dyni piżmowej. Zapełnił całą pieluchę, zanim jeszcze ruszyłam z podjazdu, a kiedy byliśmy już w bezpiecznym miejscu, w którym mogłam go przewinąć, jego pupa była cała w wysypce i przez kilka kolejnych dni wyglądał jak mały pawian. Mimo to kiedy wkroczył we wczesne dzieciństwo, stwierdził, że frytki i ciasto wystarczą mu, żeby utrzymał się przy życiu.

Teraz oboje bawią się jedzeniem i wyniośle informują mnie, że przecież wiem, że nie lubią tego czy tamtego. W dodatku każdego dnia muszę zgadywać, na co akurat mają ochotę, bo jeśli nie trafię, palcem nie tkną tego, co każdego innego dnia spałaszowaliby ze smakiem. I oczywiście kiedy jednemu coś smakuje - drugie tego nie cierpi. Na przykład Peter uwielbia zapiekankę z ziemniakami i mięsem, ale Jane jej nienawidzi. Ona uwielbia makaron zapiekany z serem, ale według Petera to danie jest toksyczne, mimo że nie widzi nic złego

w zjedzeniu gotowanego makaronu z masłem i startym serem. Tylko czym to się, do cholery, różni?

Do tego dochodzi jeszcze Simon, który kręci nosem na wszystkie ulubione potrawy dzieci, twierdząc, że są „nijakie”. Kurczak też jest „nijaki” i na jego widok wzdycha i oznajmia, że wolałby zjeść coś „smacznego”, przez co rozumie wydumane potrawy z książki kucharskiej Ottolenghiego, które może i są bardzo smaczne, a przepisy niezbyt skomplikowane, ale jestem pewna, że Yotam Ottolenghi ma co najmniej jedną (a prawdopodobnie więcej) osobę, która pomaga mu ze zmywaniem, bo żeby przyrządzić jakąkolwiek potrawę z jego książki, trzeba użyć wszystkich garnków, które ma się w domu. Simon nie rozumie moich oporów, bo jak każdemu mężczyźnie, również i jemu wydaje się, że ugotowanie czegokolwiek wymaga użycia wszystkich garnków. A także wszystkich noży, łyżeczek, szpatulek i w ogóle wszystkiego, co tylko można znaleźć w kuchni!

Jedyną potrawę, którą lubią wszyscy domownicy, jest lazania. Ta pieprzona lazania! Ona też wymaga użycia wszystkich garnków. Kiedyś lubiłam tę potrawę. To doskonała „mała przyjemność”, ale pod warunkiem, że robi ją ktoś inny. Teraz na sam dźwięk tego słowa dostaję drgawek. Najbardziej denerwuje mnie to, że chociaż tłumaczyłam Simonowi milion razy, że z lazanią jest kupa roboty, on wciąż upiera się, że to „proste danie”. Kiedyś mu powiedziałam, żeby w takim razie sam ją przyrządził. Wytłumaczyłam mu cały proces krok po kroku. I szybko straciłam ochotę do życia, bo musiałam odpowiedzieć na

pierdyliard pytań o to, gdzie są pomidory w puszcze (na tej samej półce, w tej samej szafce co zwykle!), czy powinien dodać odrobinę kminu do sosu (NIE!), a kiedy będzie robił beszamel, czy ma użyć łyżki, czy trzepaczki do jajek i na jaką temperaturę nastawić piekarnik. Wydaje mi się, że chciał mnie zirytować do tego stopnia, żebym straciła cierpliwość i przejęła pałeczkę, ale byłam dzielna i się nie dałam. A kiedy usiedliśmy do stołu, zadowolony z siebie oświadczył:

- Nie rozumiem, o co za każdym razem to całe zamieszanie, kochanie. Przecież lazania to pestka! Aha, posprzątasz w kuchni, prawda? Tak będzie sprawiedliwie, w końcu ja gotowałam.

Czasami wydaje mi się, że jestem obdarzona nadzwyczajnymi pokładami świętej cierpliwości, bo inaczej już dawno bym zwariowała i zaczęła strzelać do przypadkowych przechodniów.

Ponieważ dzisiaj jest O-t-P!, mogę dać dzieciom pizzę bez wyrzutów sumienia, że jestem okropną matką rodem z telewizyjnego show. W piątki wszystkim wolno więcej. Zastanawiam się tylko, po co traciłam tyle czasu na gotowanie przepełnionych miłością gulaszy, zupek i innych potrawek, jeśli i tak nie tkną dziewięćdziesięciu dziewięciu procent tego, co zrobiłam? Chyba chciałam, żeby moje kochane maleństwa miały przynajmniej pożywną i zbalansowaną dietę, skoro porzucam je dla złowrogiego świata biznesu, albo chociaż odrobinę zmniejszyć wyrzuty sumienia związane z tym, że składam swoje potomstwo w ofierze na ołtarzu kariery. Ciekawe, czy mężczyźni

odczuwają coś podobnego? Muszę zapytać Sama, bo Simon na pewno nie.

NIEDZIELA, 9 PAŹDZIERNIKA

Miałam rację! Wypchaj się, Jessica. Mówiłam, że tata przedstawi nas najnowszej wybrance serca, i tak też się stało. Pomijając fakt, że mogę chełpić się tym, że jestem mądrzejsza od Jessiki, to wcale nie jestem wniebowzięta takim obrotem zdarzeń.

Kiedy dotarliśmy do restauracji (przynajmniej umieścili w Internecie menu, więc mogłam zapewnić Petera, że dostanie frytki, i obiecać, że nie każę mu jeść żadnych warzyw), zastaliśmy tatę przy stoliku w towarzystwie bardzo pięknej ciemnowłosej kobiety. Była bardzo piękna i bardzo młoda! Oczywiście kiedy mówię „bardzo młoda”, to nie mam na myśli tego, że nieletnia, tylko mniej więcej w moim wieku, co jest zdecydowanie za mało na mojego ojca.

Tata wyglądał jak kotek, który właśnie dostał mleczko. Pękając z dumy, oświadczył:

- Kochani, poznajcie moją żonę, Natalię. Natalia, to moja młodsza córka, Ellen i jej mąż Simon. A to moje wnuki, Peter i Jane. Peter, co ty wyprawiasz?

- Przecież tańczę dab dance^[4]. Dziadku, no weź! Nie wiesz, co to jest dabbing? - kąśliwie rzucił Peter.

- Wyglądasz, jakbyś miał atak padaczki - poinformował go mój przerażony tatuś. - Proszę, przestań już i przywitaj się z Natalią.

Peter dalej wymachiwał rękoma.

- Cześć, Natalia - ledwie wydusiłam.

- Cześć, Natalia, cześć, Robert - ryknął Simon zgodnie ze starą brytyjską tradycją przykrywania dyskomfortu nadmierną serdecznością i ignorowaniem słonia w salonie.

Nie, żeby Natalia była słoniem. Była irytująco wręcz szczupła.

- Ellen, Simon, dzieci, witajcie! Miło mi was poznać - odpowiedziała.

Dobry Boże, ona jest z zagranicy! Tatuś poszedł na całego. Jego nowa żona jest o wiele młodsza, piękna i w dodatku z zagranicy. Pewnie zamówił ją sobie przez Internet. Och, tatusiu!

- Usiądź koło mnie, Ellen - zaproponowała grzecznie Natalia, podczas gdy ja ukradkiem pisałam Jessice SMS-a ze złą nowiną.

Jane przyjrzała się uważnie Natalii, po czym powiedziała:

- Masz ładną kreskę. Mama nie umie sobie zrobić eyelinerem takiej kreski.

- Och, dziękuję - odparła Natalia.

- Mogłabyś prowadzić na YouTube kanał z poradami. Z taką kreską na pewno byłabyś w tym dobra. Masz Instagrama?

- Eee... tak - odparła zbita z tropu Natalia.

- Farciara! Chciałam zaproponować, że będę cię śledzić, ale nie mogę, bo mama nie pozwala mi założyć konta. Prawda, że to niesprawiedliwe? Czy ty też myślisz, że powinnam czekać do trzynastych urodzin, nawet jeśli wszyscy moi znajomi już dawno mają konto?

- Ja... nie mam pojęcia.

- To niesprawiedliwe! Bardzo - powiedziała szorstko Jane.

- Dość tego! Dopiero poznaliśmy Natalię. To, że nie możesz mieć cholernego konta na Instagramie, jest ostatnią rzeczą, o której chce słuchać! - zaprotestowałam.

- To niezbyt miłe z twojej strony, wiesz? Natalia została moją przybraną babcią, więc ma prawo wiedzieć, jaka jesteś niesprawiedliwa. A może zamieszka z Natalią i dziadkiem? Zobaczymy, czy wtedy będziesz zadowolona! - obraziła się Jane.

Natalia zbladła jak ściana.

- Nie martw się, oczywiście, że Jane nie zamieszka z wami. A ty? Masz dzieci?

- Nie! - odpowiedziała Natalia i mogłabym przysiąc, że pod nosem dorzuciła „I dzięki Bogu!”, kiedy patrzyła na Petera, który kłócił się z Simonem, że chce dostać drinka w plastikowej butelce, żeby móc się pochwalić kuzynom, że jest mistrzem w wyzwaniu z podrzucaniem butelki.

- Czy mogę podać coś do picia, proszę pani? - spytał kelner.

- Kieliszek wina. Duży! - zaordynowałam z westchnieniem.

- Wracając do twojego kanału na YouTube, Natalia. Mogłabym ci pomagać. Od jakiegoś czasu sama robię wideoblogi i myślę, że świetnie mi idzie - nie poddawała się Jane.

- Tato, kiedy się pobraliście? - spytałam, próbując się uśmiechać, jakby wcale mi nie przeszkadzało, że moja nowa macocha jest w moim pieprzonym wieku!

- Około trzech tygodni temu - odpowiedział.
- Dlaczego nas nie zaprosiłeś?
- Nie chcieliśmy czekać, więc pobraliśmy się w tajemnicy - zarechotał ojciec.

Jasna cholera, pomyślałam. Naprawdę zamówił żonę przez Internet! Ale po co? Dlaczego on to robi? Mam nadzieję, że podpisali intercyzę. Co z resztkami mojego spadku? Czy przepuści wszystko na sztuczne futra i środki do rozjaśniania włosów dla Natalii, która ukocha go (mojego tatusia!) na śmierć? Jeśli mam być szczerą, Natalia nie rozjaśniała włosów i nie miała sztucznego futra, ale jakoś mi to nie przeszkadzało, żeby myśleć o niej jak o stereotypowej żonie kupionej przez Internet.

- Skąd jesteś, Natalio? - spytałam.

- Z Rosji - odparła.

Ha! Mówiłam, że kupiona?

Wtedy przyjechała Jessica. Peter zdążył już przewrócić lemoniadę, żeby pokazać Persephone i Gulliverowi, jak wykonuje swój dab dance, jednocześnie pytając, czy któreś z nich nie ma butelkowanego napoju.

- W mojej szkole nie można dabować - rzucił skwaszony Gulliver.

- Ciociu Jessico, nie masz butelki z wodą w torebce? - dopytywał Peter.

Jessica, ewidentnie w szoku, że Natalia jest od niej młodsza, bezmyślnie podała Peterowi do połowy wypitą butelkę wody Evian, podczas gdy ja krzyknęłam desperacko:

- NIEEEEE!

Peter rzucił butelkę na stół, przewracając sztućce, kieliszki z winem i wazoniki z kwiatami.

Przyzwyczajeni do tego, że nasz syn przy każdej możliwej okazji ćwiczy podrzucanie butelki, ja i Simon zrobiliśmy unik, ale Natalia skończyła zalana moim czerwonym winem.

- Cóż, witamy w rodzinie! - powiedział Simon.

Natomiast ja obwieściłam radośnie:

- Mam nową pracę!

PONIEDZIAŁEK, 10 PAŹDZIERNIKA

Mój pierwszy dzień. Najważniejsze jest to, że udało mi się znaleźć toaletę, która na szczęście nie jest koedukacyjna, więc najgorszy problem mam już z głowy. Druga sprawa jest taka, że chyba mam nieodpowiednie buty. Moje baletki są zdecydowanie zbyt „mamuśkowate”. Muszę kupić ekstrawaganckie adidas-y.

Ed oprowadził mnie po biurze i przedstawił współpracownikom. Próbowałam zakodować w głowie ich imiona, ale pamiętam wszystko jak przez mgłę. Na pewno są tam Alan, James, Lydia i Joe, tylko nie wiem, kto jest kim (oczywiście z wyjątkiem Lydii). Będę musiała nad tym popracować. Widziałam też dużo ciekawych koszul i wspomnianych wcześniej ekstrawaganckich adidasów. Pierwszy raz w życiu czuję, że Pinterest mnie zawiódł, bo zdecydowanie przeglądałam nie te „luzackie ciuchy do pracy”, co powinnam.

Jestem troszeczkę rozczarowana, że nie stosuje się tutaj hot deskingu, który zawsze lubiałam, mimo że nie jestem

pewna, jaki ma właściwie cel, bo nigdy nie słuchałam na spotkaniach z menedżerami od ulepszenia wszystkiego na sto dwa. Wydaje mi się, że siedzę obok Alana. Albo Jamesa. Ed przez większość czasu chowa się w swoim biurze, chyba unika ludzi. Myślę, że to cecha godna podziwu u szefa, i jeśli kiedyś stanę się na tyle ważna, żeby mieć własne biuro, będę robić dokładnie to samo. W kuchni nie ma ciasteczek i wszyscy wydają się zatrwazająco zdrowi - w czasie lunchu spożywano bardzo duże ilości awokado. W toalecie jest jednak porządny papier toaletowy, więc wydaje mi się, że jakoś tu sobie poradzę. Ciasteczka zawsze mogę chować w biurku, szczególnie że nie będę musiała go z nikim dzielić i nikt mi ich nie zje.

Jestem za to potwornie zmęczona, bo najpierw musiałam stanąć na rzęsach, żeby wyprawić dzieci do szkoły (a Simon mi pomagał! Bóg jeden wie, jak sobie poradzimy rano, kiedy drugiego nie będzie), później pędziłam, żeby je odebrać, nakarmić, pomóc w odrabianiu pracy domowej i spróbować zamienić z nimi choć słowo, zanim posłałam je do łóżek o rozsądnej godzinie.

WTOREK, 11 PAŹDZIERNIKA

Mam przechlapane. Nie dość, że w nowej pracy muszę przez cały dzień udawać, że jestem normalnym człowiekiem, który nie opowiada z histerycznym śmiechem o wydrach, żeby wypełnić niezręczną ciszę, i nie chowa w biurku ciasteczek (swoją drogą, na sto procent siedzę koło Alana, który przez cały poranek opowiadał mi o „kuloodpornej

kawie^[5]”, ścisłej diecie i reżimie treningowym, a kiedy o jedenastej wyjęłam batonika, prychnął pogardliwie), to jeszcze zaczyna mi działać na nerwy ten cały komitet rodzicielski.

Niedługo po tym, jak zjadłam batonika - Alan nie przestawał narzekać, że czuje zapach miętowych Aero (bzdura! Mint Clubs są o wiele smaczniejsze!) - Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson wysłała mi przerażającą ilość bardzo szczegółowych mejli. Siedziałam akurat przy biurku, udając bardzo skupioną nad jakimś ważnym zadaniem, żeby nikt do mnie nie zagadywał. Bolała mnie już twarz od ciągłego uśmiechania się, żeby wszyscy myśleli, że jestem przyjazna i łatwo nawiązuję kontakty. Niestety nie mam własnego biura, jak ten cholerny farciarz Ed, który nawet nie udaje, że jest przyjazny. Powiedział, żebym do niego nie przychodziła, o ile nie będzie to absolutnie konieczne, poza tym mogę też wysłać mu mejla. Mnie to akurat pasuje.

Wiadomości od mamy Lucy zawierały wskazówki odnośnie tego, co wypada, a co nie przy organizacji wydarzeń przez komitet, a także inne przydatne porady, począwszy od cholernej dyskoteki z okazji Halloween:

Cześć, Ellen,

Halloween Disco

Aula jest zarezerwowana na piątek 28 października w godzinach 18:30-20:30. Rodzice będą narzekać, że Halloween jest innego dnia, pytać, dlaczego dyskoteka odbywa się w piątek wieczór i zaczyna tak wcześnie albo

kończy tak późno. Powiedz im, że po to, żeby mogli pójść w sobotę zbierać słodycze ze swoimi maleństwami, impreza jest w piątek, żeby dzieci nie musiały iść niewyspane do szkoły i że nikt im nie każe przychodzić, jeśli nie podobają im się godziny. Na inne uwagi możesz im odpowiedzieć, żeby szli w cholerę.

Rodzice **MUSZĄ** zostać ze swoimi dziećmi – specjalnie dla nich otwieramy bar, żeby sprzedawać im mierne chardonnay w zawyżonej cenie, które uśmierzy ból związany z koniecznością przebywania na dyskotecie szkolnej (po tylu latach wreszcie udało mi się zdobyć licencję!). Kiedyś nauczyciele opiekowali się dziećmi, ale nie zgadzaj się na to, bo rodzice dadzą nogę i nie odbiorą dzieci o wyznaczonej porze. Pod żadnym pozorem nie wpuszczaj żadnych dzieci bez opiekunów, bo robi się piekło. Szczególnie uważaj na matkę Oscara Fitzpatricka, która będzie twierdziła, że wyskoczy tylko na chwilę do sklepu, ale tak naprawdę przepadnie, a Oscar będzie miał zamęt i zniszczenie. Matka Ediego Prescottta z kolei będzie twierdziła, że musi wracać do dziecka złożonego gorączką. Dwa razy dałam się nabrać na te brednie.

Atrakcjami są głównie sklepik szkolny, łowienie jabłek z miski bez użycia rąk, jedzenie pączków na sznurkach, malowanie twarzy, sztuczne tatuaże i zabawy z zamkniętymi oczami. Dyskonty są od dzisiaj twoim najlepszym przyjacielem.

Będziesz musiała wysłać co najmniej sześć mejli z prośbą do rodziców o zgłoszenie się na pomocników. Zagroź im, że

zabawa się nie odbędzie, dopóki nie zbierasz wystarczającej liczby osób.

Baw się dobrze! Xxxx

Chyba zaczynam lubić mamę Lucy. W życiu bym nie powiedziała, że tyle przeklina i nie cierpi ludzi tak bardzo jak ja. Trochę mi wstyd, ale nigdy nie myślałam też o tym, ile pracy wkładała w działanie komitetu i jak niewdzięczna byłam, kiedy uciekałam przed jej teczką z listą podpisów czy loterią fantową, bo sądziłam, że robi to wszystko tylko po to, żeby poczuć się ważna. Chyba myliłam się co do niej. Z drugiej strony, kiedy ja powysyłam te wszystkie mejle i zajmę się organizacją?

Alan znowu zaczął wokół mnie węszyć w poszukiwaniu źródła miętowej czekolady (może sobie przynudzać o zaletach kawy kuloodpornej i szkodliwym działaniu węglowodanów, ile chce. Każdy, kto ma taką obsesję na punkcie zapachu czekolady, musi w rzeczywistości czuć ogromną pustkę), więc zamknęłam szybko okno z mejlem, bo czuję, że do mojego nowego image'u osoby, która jest prawie milenialsem i musi ograniczyć słodczy, żeby zmieścić się w modne spodnie, nie do końca pasuje udzielanie się w komitecie rodzicielskim.

CZWARTEK, 13 PAŹDZIERNIKA

Jestem pioruńsko zmęczona. Czuję się, jakbym przez miniony tydzień biegała z miejsca w miejsce, próbując nadrobić zaległości. Praca jest jedynym miejscem, w którym

mogę odrobinę odetchnąć, oczywiście nie licząc spływających regularnie mejli od mamy Lucy. Wysłałam wiadomość do wszystkich rodziców, sugerując spotkanie, na którym omówimy plan dyskoteki, ale odpowiedziała mi głucha cisza (a to niespodzianka!), dlatego zaprosiłam do siebie Sama, Carę i Katie. Nakarmiliśmy dzieci paluszkami rybnymi i popijając wino, próbowaliśmy wymyślić nowe i ekscytujące zabawy na dyskotekę, po czym stwierdziliśmy, że szkoda zachodu i zrobimy dokładnie tak, jak pisała mama Lucy, czyli kupimy w dyskontach tonę tandety w rozsądnej cenie.

- Myślicie, że powinniśmy się przebrać? - spytała Katie.

- Obawiam się, że tego się od nas oczekuje... - odparłam markotnie.

- Moglibyśmy zrobić sensację i założyć zdzirowate kostiumy halloweenowe - zasugerowała wesoło Cara. - Matki zawsze narzekają, że na takich imprezach jest mało ojców. Jestem pewna, że jeśli założymy kabaretki i obcisłe kiecki, narobimy małego zamieszania. A Sam będzie przynętą na mamuśki!

- Nie jestem tanim kawałkiem mięsa! - zaprotestował urażony.

- Oczywiście, że nie jesteś - pocieszyłam go. - Jesteś stekiem z polędwicy wołowej. Albo co najmniej z antrykotu!

- Nie bądź taka! Gramy w jednej drużynie! Pamiętaj, że jestem singielką, a moje możliwości na spotkanie męża są bardzo ograniczone. Muszę próbować przy każdej możliwej okazji. Będzie fajnie!

- Nie ma nic fajnego w kobiecie średnim wieku w kabaretkach! - oznajmiłam dumnie, niestety dokładnie w tym samym momencie do pokoju wszedł Simon.

- Kabaretki? Koniecznie powinnaś je założyć! - ucieszył się.

- Widzisz? - rzuciła Cara.

- Nie założę żadnych pieprzonych kabaretek! Powinniśmy rozmawiać o tym, gdzie kupić tani alkohol, żeby nadrobić wydatki, sprzedając go drożej rodzicom. A nie o tym, kto założy kabaretki. A co będzie, jeśli w drodze powrotnej ktoś nas weźmie za prostytutki?

- No, nie bądź taka! - skwitowała Cara.

- No właśnie, nie bądź taka! - dodał Simon.

- Założę kabaretki, jeśli Sam też założy.

- Wolałbym utrzymać swój dobry wizerunek - upierał się Sam. - Nie mogę wparować na szkolną dyskotekę przebrany za doktora Frank-N-Furtera. Jestem szanowanym członkiem tej społeczności.

Debata na temat kabaretek trwała tak długo, że w końcu wszyscy musieli wracać do domów, by położyć dzieci spać, i nie zdążyliśmy niczego ustalić (pomijając fakt, że nie będę miała na sobie kabaretek na dyskotecę). Obawiam się, że nie bierzemy zadań komitetu tak poważnie jak Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson i Fiona Montague. Może też powinnam kupić sobie teczkę, którą będę furiacko wymachiwać, żeby wszystkich zestresować? Albo przed kolejnym spotkaniem ustalę jakiś porządek obrad, chociaż wydaje mi się to potwornie władcze. Nie chcę, żeby wszyscy mnie znienawidzili.

PIĄTEK, 14 PAŹDZIERNIKA

Dzisiaj wreszcie zadzwoniła Jessica w sprawie koszmarne lunchu z naszym tatusiem. Czekałam na jej telefon od zeszłej niedzieli.

Moja siostra swoim zwyczajem miała lekceważący stosunek do tego, że mogę być zajęta, i postanowiła zadzwonić, kiedy byłam w pracy.

- Nie mogę teraz rozmawiać, jestem w pracy - szepnęłam.

- Na Boga, Ellen, przecież nie robisz nic ważnego. Jakieś dyrdymały w komputerze. Oczywiście, że możesz ze mną porozmawiać - fuknęła Jessica.

- To nie są tylko dyrdymały w komputerze. Projektuję interfejsy do oprogramowania.

- No właśnie, mówiłam. Żaden z ciebie lekarz bez granic - upierała się Jessica.

- Cóż, ty tak samo. Jesteś zwykłym bankierem. Ja przynajmniej w swojej pracy nie przyczyniam się do... recesji!

- Ellen, czy ty masz jakiegokolwiek pojęcie o tym, czym się zajmuję?

- I vice versa!

- Dobra, nieważne - westchnęła Jessica. - Ja też jestem w pracy, a jakoś znalazłam dla ciebie chwilę.

- A ja nie! Nie wszyscy mają ten luksus, że mogą się zamknąć we własnym biurze i urządzić sobie pogawędkę. Musiałam się schować w kibelku, żeby odebrać! I odebrałam tylko dlatego, że myślałam, że coś się stało, a nie po to, żeby rozmawiać z tobą o Natalii, którą poznałaś już tydzień temu!

- Naprawdę, Ellen, to, że w wieku czterdziestu trzech...
- Czterdziestu dwóch! Czterdziestu dwóch lat!
- To bez znaczenia. To, że w tym wieku uciekasz do toalety, żeby odebrać prywatny telefon, chyba nie jest moją winą, prawda?
- Rozłączam się, ktoś idzie! - szepnęłam.
- Do łazienki wparowała Lydia. Kiedy mnie zobaczyła, szepnęła coś do słuchawki i rozłączyła się.
- Wszystko w porządku? - spytałam pogodnie.
- Tak. Wszystko w porządku. Tylko nie lubię, kiedy ludzie do mnie dzwonią akurat wtedy, kiedy idę do toalety!
- Muszą mieć szósty zmysł - skwitowałam ze śmiechem. Ciekawe, kto do niej dzwonił? Na pewno nie przemądrzała siostra, która uważa, że wszyscy będą tańczyć, jak im zagra, bo jest najstarsza, a poza tym ma wysoką pozycję w pracy, więc wydaje się jej, że jest lepsza od innych.

SOBOTA, 15 PAŹDZIERNIKA

Hurra! Nareszcie trochę zabawy! Najdłuższy tydzień świata (przynajmniej w moim odczuciu) zakończył się przyjęciem zaręczynowym Hannah i Charliego. I chociaż byłam potwornie zmęczona, bardzo się cieszyłam, że wreszcie upiję się z ludźmi, przy których mogę być sobą, zamiast tracić nerwy, rozmyślając o tym, że moje adidas są ostatniej szansy są niewystarczająco szalone i niedługo wszyscy będą myśleć, że jestem stara i smutna. Albo jeszcze gorzej - trochę dziwna i niepasująca. W tym tygodniu nie odważyłam się nawet zażartować, a to z obawy, że moi nowi

koledzy nie załapią mojego poczucia humoru. Przez większość czasu byłam poważna, przytakiwałam i dużo się uśmiechałam. Nie przeczytałam ani jednego artykułu na *Daily Mail*. Boję się, że jeśli to zrobię, ich serwery padną, włączy się alarm, a ergonomiczne krzesło wystrzeli mnie w kosmos. W pewnym sensie czuję się nawet wyzwolona, chociaż i trochę zagubiona bez codziennej dawki bzdurnych informacji o gwiazdach klasy Z.

Hannah wytrwała w swoim postanowieniu i nie pozwoliła mi przejąć organizacji jej przyjęcia, niezależnie od tego, iloma tablicami na Pinterescie ją bombardowałam. Wciąż jestem zdania, że przyjęcie byłoby bardziej udane, gdybyśmy powiesiły do góry nogami parasolki wypełnione bluszczem, a stoły nakryły rustykalnymi bieżnikami, ale i tak dobrze się bawiłam.

Było to dosyć odświeżające po kilku latach ślubnej suszy. Szczęśliwie część moich przyjaciół jest na tyle miła, że postanowiła się rozwieść i pobrać z kimś innym, więc czeka nas jeszcze druga tura ślubów. Simon nazwał mnie potworem, kiedy mu o tym wspomniałam, po czym zasugerował, że nasi przyjaciele nie po to wygrzebywali się z traum emocjonalnych i przewrócili swoje życia do góry nogami, żeby zapewnić mi okazję to kupienia nowej sukienki na przecenie w Coast i upicia się ciepłym prosecco. Oczywiście zdaję sobie z tego sprawę. Miałam na myśli tylko to, że uwielbiam śluby. I śliczne jedwabne sukienki...

Hannah promieniała i wyglądała na szczęśliwą (promieniała tak bardzo, że nawet nie żłopała szampana jak

opętana. Czyżby to wychodziło z mody? A może jednak spodziewała się tupotu małych stópek...?), a Charliego rozpierała duma.

Wspólnie wygłosili uroczą przemowę. Najbardziej podobało mi się, że wspomnieli o tym, że spotkali się dzięki mnie, na co wielu gościom łezka zakręciła się w oku.

- Czy to nie urocze? - spytałam Simona. - Aż sama bym chciała jeszcze raz wyjść za ciebie.

Simon aż się zakrztusił na ten pomysł.

- Nie ma mowy! Wystarczająco długo spłacaliśmy pierwsze wesele!

- Zawsze moglibyśmy odnowić przysięgę małżeńską - dodałam z westchnieniem.

- A podobno twoją pierwszą myślą na wiadomość o tym, że ktoś odnawia śluby, jest: „Ciekawe, które z nich zdradziło, że musi ponownie przysięgać miłość i wierność?”. I że zawsze, kiedy widziałas gwiazdy odnawiające śluby, niedługo potem brały rozwód.

- To prawda. Mariah Carey i jej Jak-mu-tam-było odnowili śluby w zeszłym roku i raczej nie wyszło im to na zdrowie. Może zamiast tego powinniśmy urządzić drugą podróż poślubną? - zastanawiałam się.

- Jeśli nie będziemy się pobierać, to chyba będą zwykłe wakacje? - zauważył Simon.

- Dlaczego zawsze musisz być taki drobiazgowy? Chciałam być romantyczna, tylko tyle! Może czasami też byś spróbował? Od tego się nie umiera! - obraziłam się.

- Jestem romantyczny. Przecież opuszczam deskę

w kibelku!

- Owszem, chociaż prawdę mówiąc, wolałabym, żebyś tego nie robił, bo potem przychodzi Peter i nigdy jej nie podnosi, tylko sika prosto na nią, a ja na tym siadam. Nie ma nic romantycznego w siadaniu na czyichś zimnych siuśkach, a potem obwąchiwaniu się przez resztę dnia, bo nie wiesz, czy przypadkiem nie masz tych sików na dżinsach. I rozważaniu, czy nie poinformować innych, że śmierdzisz nie dlatego, że masz problemy z trzymaniem moczu, ale dlatego, że twój syn jest obrzydliwym, leniwym, świntuchowatym trollem, który sika wszędzie, gdzie mu się żywnie spodoba. O! Dzień dobry, pani P.! Nie zauważyłam pani wcześniej!

Podeszła do nas mama Hannah. Uwielbiam ją, ale niezależnie od tego, ile razy będzie mnie jeszcze prosić, żebym mówiła jej Julia, dla mnie na zawsze pozostanie panią P. Wydaje mi się, że mam to już we krwi i nigdy nie będę w stanie zwracać się do niej inaczej. Raz postanowiłam spróbować i powiedzieć do niej Julio, ale nie zdołałam tego z siebie wydusić. Mama Hannah była moją przyszywaną matką i kiedy byłyśmy nastolatkami, spędzałam u Hannah więcej czasu niż we własnym domu. Kiedy brałam ślub, moja rodzona matka, prostując mi welon, rzuciła krytyczne spojrzenie i stwierdziła:

- Mam nadzieję, że on wie, co robi. Jedno trzeba mu przyznać, jest bardzo cierpliwy.

Za to mama Hannah wzięła mnie na bok i powiedziała, że ma dla mnie tylko jedną radę dotyczącą małżeństwa i dorosłego życia, a mianowicie żeby nie zawracać sobie

głowy prasowaniem. Podobno jej zajęło dziesięć lat, zanim uświadomiła sobie, że to absolutnie zbędna czynność i olbrzymia strata czasu, i chociaż większość małżeńskich problemów trzeba rozwiązać we dwójkę, rada dotycząca prasowania może sprawić, że przynajmniej nie stracę tyle czasu co ona. Nie ukrywam, że miała rację, a ja wzięłam sobie jej słowa do serca. Pojawienie się w sklepach genialnego wynalazku, jakim są koszule, których nie trzeba prasować, też mi pomogło.

- Czy to nie piękne? Charlie jest o wiele miłszy niż ten dupek Dan, którego poślubiła za pierwszym razem - cieszyła się pani P.

- To cudowne, prawda? Właśnie próbowałam namówić Simona, żebyśmy odnowili nasze śluby, ale nie jest przekonany.

- I słusznie! Moim zdaniem to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Jakoś nigdy nie widziałam w tym zbyt wiele sensu. Poza tym większość ludzi uważa, że robi się to tylko dlatego, że ktoś w małżeństwie miał romans i chce to naprawić. Ale was to nie dotyczy, prawda?

- Oczywiście, że nie! - wykrztusiłam, a Simon spojrzał na mnie z wyższością.

- To dobrze! Chociaż trzeba przyznać, że w dzisiejszych czasach wiele osób tak robi. Za moich czasów więcej osób zamieniało się żonami, i to był główny powód.

Simon się zakrztusił.

- Nas to nie dotyczyło, ale było dość popularne. Zapraszano nas na takie imprezy, ale Edward zawsze mi

mówił, żebym schowała kluczyki do samochodu głęboko w torebce, żeby nikt sobie niczego nie pomyślał. Zresztą robili to głównie członkowie komitetu rodzicielskiego, do którego ja nigdy nie należałam, kiedy wy, dziewczynki, byłyście małe. Edward mi nie pozwolił, żebym przypadkiem nie skończyła na jakimś seksparty.

Niezależnie od tego, jak bardzo czułam się skrupowana, rozmawiając z panią P. o swingersach i seksparty, najlepsze w kontaktach z rodzicami przyjaciół jest to, że niezależnie od tego, ile macie lat, dla nich na zawsze pozostaniecie „dziewczynkami”. Lubię, kiedy ktoś tak o mnie mówi w nieironiczny sposób.

- Ellen dołączyła właśnie do komitetu. Myślisz, że próbuje dać mi coś do zrozumienia, Julio? - spytał Simon.

- Och, nie sądzę! W dzisiejszych czasach do takich celów używa się Internetu. Podejrzewam, że właśnie tam ludzie szukają towarzystwa do imprez. Nie muszą już chodzić na spotkania komitetu. W Internecie można znaleźć wszystko. Raz prawie kupiłam jeża, żeby pozbyć się ślimaków z ogródka, ale w ostatniej chwili zobaczyłam, że to jeż afrykański, którego trzeba trzymać w domu, a to by nie pomogło moim roślinom. Ojej, Hannah chyba mnie woła. Lepiej do niej pójść, jak na obowiązkową matkę przystało. Bardzo miło było cię spotkać, kochana. I trzymaj się z dala od tych seksparty.

Simon dalej chichotał pod nosem, rozbawiony wizją seksparty z moim udziałem.

- No widzisz? - syknęłam. - Miałam rację, że nie powinnam

zakładać kabaretek na dyskotekę halloweenową. Rodzice mogliby źle odebrać nasze intencje, szczególnie gdy się weźmie pod uwagę, że już wiemy, co się działo w latach osiemdziesiątych. Czyli będę musiała zrezygnować z pomysłu na dyskotekę w klimacie tamtych lat, żeby nikt sobie nie pomyślał, że organizujemy seksparty. Co to w ogóle jest? Brzmi bardzo niehigienicznie.

Wtedy podszedł do nas oburzony Sam.

- Hannah powiedziała, że specjalnie dla mnie zaprosiła jakiegoś chłopaka. I żebym rzucił na niego okiem.

- I co z tego? To miłe z jej strony. Przecież wciąż narzekasz, że będziesz samotny i niekochany do końca życia.

- Sama zobacz! - Wskazał na niebudzącego złych skojarzeń mężczyznę, który rozmawiał właśnie z ojcem Hannah.

- Wydaje się sympatyczny, niczego mu nie brakuje. Może trochę zbyt brodaty jak na mój gust i ta pseudohipsterska koszula mi się nie podoba, ale wygląda zupełnie nieszkodliwie.

- No właśnie! Nieszkodliwie! Ma wystarczająco długą brodę, żeby wszyscy wiedzieli, że jest hipsterem, ale nie wystarcza mu odwagi, żeby pójść na całość. Tak samo ta koszula, która jest trochę hipsterska, ale nie całkiem, bo nie nosi szelek. Pewnie chodzi do barów, gdzie podaje się artystowskie drinki w tych pieprzonych słoiczkach po dżemie. Ma rower, ale nie bicykl. I przez piętnaście minut opowiadał mi o kawie. Jest nudny i na wskroś pretensjonalny. Co Hannah sobie myślała? Że niby co nas łączy?

- Sam, przecież nienawidzisz hipsterów! Nieraz głośno i wyraźnie dawałeś do zrozumienia, jak silna, jak wręcz obsesyjna jest twoja nienawiść do nich. A teraz narzekasz, że ktoś nie jest hipsterem?

- Narzekam, bo on jest tak nudny, że nie może nawet być hipsterem. Mniej bym się obraził, gdyby był nim naprawdę.

- Mówisz serio?

- No dobrze, nie. Też bym się zdenerwował, bo wynika z tego jedynie tyle, że Hannah nigdy mnie nie słuchała. Ale nie o to chodzi.

- Nie wiem, do czego zmierzasz - zauważyłam.

- Ja też nie - rzucił smutno Sam. - Może chodzi o to, że przez całe życie miałem nadzieję, że pewnego dnia poznam Tego Jedynego, więc kiedy Hannah powiedziała, że zaprosiła kogoś, kto może mi się spodobać, pomyślałem, że może to będzie on. A tymczasem zaprosiła jakiegoś nudziarza, który nie spodobałby mi się nawet w czasach, kiedy byłem puszczalski. Nie mówiąc już o tym, że jestem już dorosły i wrażliwy, i nawet nie wiem, gdzie miałbym kupić poppersa, gdyby mnie naszała ochota, więc czuję się bardzo zawiedziony. Jeszcze kilka miesięcy temu myślałem, że już zawsze będę sam. Zresztą wiesz, ja, dzieci i pies. Tylko tyle potrzebowalem do szczęścia. Ale Sophie w przyszłym roku idzie do liceum i dotarło do mnie, że moje dzieci kiedyś dorosną i się wyprowadzą, a wtedy będę miał już tylko psa, który też kiedyś umrze, a ja zostanę sam jak palec. Samiusieńki. - I zanucił ni to z rozpaczą, ni to z nadzieją: - Wciąż mam całe życie przed sobą i całą moją miłość do

ofiarowania.

- Czyżbyś zacytował Glorię Gaynor? No to właśnie straciłeś wszelkie prawa do wypowiedzania się na temat gejowskich stereotypów.

- Moje serce krwawi! Co będzie, jeśli już nigdy nikogo nie poznam? Kiedy Robin zostawił mnie i dzieci, nie chciałem kolejny raz przez to przechodzić, ale teraz wydaje mi się, że chyba jednak wolałbym kogoś poznać. Co będzie, jeśli nie poznam? Co będzie? Ten facet przypomniał mi o tym, jak trudno jest spotkać kogoś, z kim chciałoby się spędzić resztę życia albo chociaż pójść na pieprzoną kawę bez wysłuchiwanie o dużej niemieszanej arabice i ciemno palonych ziarnach, a także o tym, jak ją zaparzać, żeby najlepiej wydobyć naturalny aromat. Ale co, jeśli nikt inny nie zostanie? Co, jeśli będę miał do wyboru Pana Kawosza w pseudohipsterskiej koszuli albo samotność? Ellen, co ja wtedy zrobię? Hannah i Charlie są tacy szczęśliwi, a ja już nigdy nie znajdę prawdziwej miłości...

Simon dał nogę już gdzieś przy zdaniu, że Sam nie chciałby sypiać z hipsterem nawet za młodu. Wymamrotał pod nosem coś o drinku i oszedł, zostawiając mnie samą z kryzysem egzystencjalnym przyjaciela.

- Po pierwsze, kochany, czy piłeś dzin? - spytałam.

- Tak - wydusił Sam przez łyżę.

- Rozumiem. Otóż to na pewno ci nie pomaga. Wiesz, że od dzinu ludzie robią się strasznie sentymentalni i łatwo popadają w paranoję.

- To nieprawda!

- Oczywiście, że to prawda! Pamiętasz, jak w zeszłym roku poszliśmy na degustację dżinu i przez cały kolejny dzień płakałam i przeglądałam strony schronisk dla zwierząt, żeby mieć plan awaryjny na dzień, w którym umrze mój ukochany Judgy, mimo że on ma tylko sześć lat i cieszy się doskonałym zdrowiem.

- Pamiętam - przyznał. - Ale to, że potrafisz żłopać dżin jak szalona, jeszcze nie znaczy, że moje obawy o przyszłość nie mają racji bytu.

- Owszem, ja tylko mówię, że dżin na pewno nie pomoże. Poza tym pamiętaj, że zanim Hannah i Charlie się zeszli, przeprowadzaliśmy z nią takie same rozmowy, łącznie z usamodzielnieniem się dzieci i tym, że zostanie na starość całkiem sama. I popatrz na nią! Nigdy nie wiadomo, co czeka za rogiem. Możesz wpaść na swoją miłość w Sainsbury's, kupując mleko. Kto wie? To może nawet być Brodaty Kawosz, jeśli dasz mu szansę.

- To na pewno nie będzie Brodaty Kawosz. To dureń! Poza tym, Ellen, co będzie, jeśli nie spotkam nikogo? Nikogo!

- A może jakiś mój kolega z pracy? Mam tam mnóstwo przystojniaków!

- Naprawdę? - spytał Simon, który zmaterializował się jak zwykle w nieodpowiednim momencie.

- A nie są beznadziejnymi hipsterami? Podobno macie tam pokój zabaw - wymamrotał Sam.

- Nie są tacy źli - odparłam pogodnie.

- Dobry Boże! Robisz się taka jak oni! Niedawno sama mówiłaś, że mają obsesję na punkcie kawy, a teraz mówisz,

że „nie są tacy źli”. KIM JESTEŚ I CO ZROBIŁAŚ Z ELLEN?

- Daj spokój, Sam. Mówię tylko, że nie są tacy źli. Poza tym jeśli wszystko inne zawiedzie, to zdaniem mamy Hannah w jej czasach członkowie komitetu rodzicielskiego urządzali seksparty. Może jest jeszcze dla ciebie nadzieja?

Sam zadrzał z przerażenia.

- Nie ma nic gorszego niż seksparty z komitetem rodzicielskim. Jak to sobie wyobrażasz? W jakim momencie mamuśki miałyby nagle przestać przynudzać o tym, że metoda porządkowania KonMari odmieniła ich życie albo przechwalać się, że Cressida i Barnaby tak szybko się rozwijają, i zmienić się w niegrzeczne dziewczynki?

- Masz rację, to trwałoby wieczność. Wyobrażam sobie mamę Tabithy MacKenzie, która opowiada o tym, że wysłanie córki na zajęcia z matematyki w wieku dwóch lat zaprocentuje na całe życie, podczas gdy tata Feliksa Jenkinsa opiera ją o kredens Perfekcyjnej Mamy Perfekcyjnej Lucy Atkinson. I nagle mama Tabithy MacKenzie zaczyna wyc z rozkoszy, bo kątem oka zobaczyła na stoliku podręcznik Marie Kondo o perfekcyjnych porządkach.

- Czasami naprawdę przesadzasz, Ellen. Choć muszę przyznać, że ten koszmarny obrazek sprawił przynajmniej tyle, że zapomniałem o mojej głębokiej rozpaczy, więc należą ci się podziękowania.

- Po prostu weź się w garść i chodź potańczyć. Tylko nie waż się proponować szotów! - powiedziałam.

Oczywiście Sam zaproponował szoty. Ku mojemu zdziwieniu nawet Simon do nas dołączył i wszyscy

skończyliśmy uroczo, choć też haniebnie jak na osoby w naszym wieku pijani. Wtedy Simon przypomniał sobie, że w jego biurze od tygodnia pracuje nowy architekt i może on pasowałby do Sama, bo nie nosi brody, a jedyna okazja, w której wspomina kawę, to kiedy idzie do kuchni i pyta, czy komuś ją przynieść.

- Nie! - krzyknął Sam. - Ja sam znajdę! W Sainsbury's, z mlkiem! Spotkają się nasze spojrzenia i bum! Miłość! Prawdziwa! Nie chcę kogoś, kto „się nada”. Miłość! Znajdę miłość!

- Och! Wszyscy powinni być zakchani! Jak my! Prawda, Charlie? Miłosną miłością! - wybełkotała Hannah.

- Za miłość! - krzyknęłam, po czym nie trafiłam kieliszkiem i cały szot płonącej sambuki wylałam sobie na dekolt. Dobrze, że Charlie jest lekarzem i pomimo wielu lat nadmiernego picia w czasach studenckich, w kryzysowych sytuacjach potrafi zachować zimną krew i potraktował mój stanik w ogniu szklanką wody. Całe szczęście, bo płonące cycki byłyby zabawnym, ale jednak niezbyt fortunnym zakończeniem imprezy.

SOBOTA, 29 PAŹDZIERNIKA

GHRGHR! Jestem zielona! I to nie metaforycznie, tylko dosłownie! Kurwa mać! Moja twarz ma kolor zielonego groszku! Co ja mam teraz zrobić, do cholery?

Wczoraj wieczorem była dyskoteka organizowana przez komitet. Wszystkie przepowiednie Perfekcyjnej Mamy Perfekcyjne Lucy Atkinson się sprawdziły, łącznie z tym, że

musiałam zrobić awanturę, żeby zgromadzić wolontariuszy. Mamy Oscara Fitzpatricka i Ediego Prescottta rzeczywiście próbowały wepchnąć nam synów i zwiac, a większość rodziców była bardziej zainteresowana przesiadywaniem w barze i zalewaniem się w trupa niż pilnowaniem dzieci, które jak opętane biegały po całej szkole na cukrowym hajcu. Ale najważniejsze jest to, że rodzice wypili monstrualne ilości australijskiego chardonnay, które kupiliśmy w dyskoncie za cztery funty za butelkę, a sprzedawaliśmy po cztery pięćdziesiąt za kieliszek. W końcu najważniejsze są pieniądze!

Aula, ozdobiona wszystkimi możliwymi gadżetami z minimum trzech dyskontów, wyglądała przepięknie, a radosne okrzyki naszych kochanych urwisków, kiedy pakowały do dziobów niezliczone ilości cukrów prostych i literek E, utwierdziły mnie w przekonaniu, że odwaliliśmy kawał dobrej roboty. Kiki (która ubrała się jak puszczalska wiedźma z cyckami na wierzchu i co chwilę robiła sobie selfie) oczywiście i tak wzdychała, że nie to miała na myśli i nie była pewna, czy nasz wystrój miał potencjał „dobrego contentu”, a gdyby nasza szkoła miała konto na Instagramie, być może Party Pieces zostałyby naszym #sponsorem, a Pippa Middleton na pewno zaczęłaby ją obserwować. A jeśli nie ona, to chociaż Binky z *Made in Chelsea*.

Mając w pamięci ostrzeżenia pani P. na temat swingersów, włożyłam odpowiednio dużo wysiłku w to, żeby przebrać się za najmniej seksowną czarownicę świata - moją inspirację stanowiły stare zielone wiedźmy. Nawet pomalowałam sobie

twarz. Efekt był naprawdę niezły, w dodatku trochę straszny, bo kilkoro dzieci na mój widok zaczęło płakać i wrzeszczeć z przerażenia.

W naszych uszach długo jeszcze pobrzmiwała *Macarena*. Wolontariusze zadziwiająco szybko dali nogę, w związku z czym do sprzątnia zostaliśmy tylko Sam, Cara, Katie i ja. Okazało się jednak, że ci, którzy obsługiwali barek, zamiast rozlewać do końca wino z butelek, co chwilę otwierali nową. Dużo wina by się zmarnowało, gdybyśmy je wylali, więc nietaktem byłoby go nie wypić.

Kiedy skończyliśmy sprzątać, mieliśmy jeszcze sporo resztek, więc postanowiliśmy dopić je u mnie w domu, dokąd pojechaliśmy policzyć pieniądze. Uwielbiam liczyć pieniądze, nawet jeśli nie są moje. Układanie stosików z banknotów dziesięciofuntowych zawsze dodaje otuchy. Czasami zastanawiam się, czy nie minęłam się z powołaniem i nie powinnam zostać obracającym gotówką sprzedawcą antyków w typie Arthura O. Lovejoya. Oczywiście byłabym też świetna w rozpracowywaniu zbrodni, chociaż akurat w tamtym momencie mogłabym trochę za bardzo zwracać na siebie uwagę, ponieważ, jak już wspomniałam, byłam ZIELONA, DO CHOLERY!

Tak czy inaczej, kiedy pieniądze zostały policzone, wino wypite i wszyscy odmaszerowali do domów chwiejnym krokiem, byłam tak zmęczona organizacją dyskoteki, że usiadłam na chwilę na kanapie, żeby odpocząć. Zanim zmyłam z twarzy farbę wiedźmy. Z nadejściem poranka obudziłam się na kanapie i chociaż przestraszyłam się na

swój widok, pocieszałam się, że to tylko farbka, którą zaraz zmyję. Tyle że okazało się, że nie można zostawiać jej na twarzy na więcej niż czternaście pieprzonych godzin, bo to cholerstwo zostaje na skórze, więc obecnie jestem jasnozielona!

Że kurwa mać! Co ja teraz zrobię? Przecież nie mogę tak iść do pracy! Nawet w szkole tak się nie pokażę! Takie rzeczy nigdy nie przytrafiają się mamie Lucy Atkinson. Google podpowiedział mi, żebym spróbowała oliwy, więc wylałam na twarz pół butelki extra virgin, ale dalej jestem zielona, bo ten cholery Google kłamie! Może spróbuję oleju kokosowego? Oliwa jest przecież passé. Simon i dzieci śmieją się do rozpuku i pokazują mnie sobie palcami. Przynajmniej ktoś ma pożytek z mojej farby. Dranie!

PONIEDZIAŁEK, 31 PAŹDZIERNIKA

Wciąż zielona. Powoli schodzi, ale nadal dyskotekowo mienię się na zielono. W przypiływie natchnienia przypomniałam sobie, że do maskowania rumienia używa się korektora z zielonym pigmentem, więc pomyślałam, że może powinnam zrobić na odwrót i nałożyłam róż pod podkład. Niestety nie podziałało. Wyszedł mi fiolet z głęboką nutą zieleni. Odwołałam wszystkie spotkania i chowałam twarz we włosach jak najstarszy na świecie emodziaciak, nie wystawiając nosa z za komputera i licząc na to, że nikt nie będzie chciał ze mną rozmawiać. Oczywiście nagle wszyscy zapragnęli ze mną rozmawiać, łącznie z Edem, który po raz pierwszy, od kiedy zaczęłam pracę, wyszedł ze swojego

biura.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak, w porządku - wymamrotałam wpatrzona w biurko.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Czuję się świetnie! Doskonale!

- Masz dziwny kolor.

- Co takiego?

- Jesteś jakby... zielona.

- To pewnie przez te jarzeniówki. Alan też jest trochę seledynowy, nie sądzisz?

- Nie, tylko ty jesteś zielona.

- Czy powiedziałaś „zielona”? Faktycznie, mogę być troszkę zielona, skoro już o tym mówimy.

- Ale dlaczego?

Jasny gwint. Dlaczego? Dlaczego jestem zielona? Ed może nie mówi wiele, ale nie wygląda mi na osobę, której łatwo wcisnąć kit. Postanowiłam, że najlepiej będzie się przyznać.

- Chodzi o to, że musiałam się przebrać na imprezę halloweenową, trochę za dużo wypiałam i zostawiłam zielony makijaż na twarzy ciut za długo, przez co zrobiłam się zielona.

- Ach tak. To dobrze, bałam się, że to coś zaraźliwego. Postaraj się tylko, żeby nie weszło ci to w nawyk, jeśli to nie problem.

- Żaden problem - odpowiedziałam, próbując zachować resztki godności.

Ed pośpiesznie wycofał się do bezpiecznego gabinetu, w którym nie czaiły się na niego żadne zielone kobiety. Jak

tylko zniknął, Alan parsknął śmiechem.

- Rock'n'roll, Ellen! Myślałem, że twoją jedyną używką jest joga! Obstawiałem, że przedawkowałaś zielone smoothie i dlatego jesteś taka zielona. Kiedyś zrobiłem sobie zielony detoks. Przez tydzień robiłem zieloną kupę. Nigdy więcej! - wzdrygnął się.

Swoją drogą, mogłam sprawiać wrażenie osoby, która chodzi na jogę. Raz byłam na zajęciach. Mam nawet w domu matę, kupiłam tanio w TKMaxx.

- Upiła się na imprezie... - westchnęła Lydia. - Kiedyś to były czasy! A potem urodziłam dzieci. Teraz czuję się, jakbym miała permanentnego kaca, bo większość nocy zarywam przez noworodka. Szczęściara z ciebie, Ellen! Nie pamiętam nawet, kiedy ostatnio byłam na imprezie, na której serwowano przekąski w innych naczyniach niż kolorowe miseczki z Ikei. Albo na której serwowano coś innego niż parówki w cieście i minipizzę.

- To nie było tak... - zaczęłam tłumaczyć.

- Mojej współlokatorce przydarzyło się coś podobnego w czasie studiów. Domyła się pastą do mycia rąk dla robotników - włączył się do rozmowy James.

Ha! Czemu o tym nie pomyślałam?

- O! Już pora lunchu! Wskoczę do delikatesów. Kupić wam coś? - spytał James.

- Cholera, muszę zadzwonić do niańki. Kiedy wychodziłam, dziecko miało biegunkę - przypomniała sobie Lydia.

- Dziękuję, James. Idę na siłownię - powiedział Alan.

- To wcale nie było takie rock'n'rollowe... -

zaprotestowałam, ale uświadomiłam sobie, że mówię do pustego biura, bo wszyscy już wyparowali.

LISTOPAD

PIĄTEK, 4 LISTOPADA

- Dołącz do komitetu - mówili.
 - Poczuj ciepło na sercu i miłą ekscytację na myśl o tym, że robisz coś dobrego dla dzieci - mówili.
 - To nie zajmie ci wiele czasu - mówili.
- Cóż, jeśli tak mówili, to KŁAMALI! Jak jeden mąż! Wielkie, tłuste, wstrętne kłamczuchy!

Ledwie zdołałam domyć zieloną farbę, i dostałam kolejnego mejla od mamy Lucy Atkinson. Poprosiłam Simona, żeby dla odmiany on popędził z pracy na łeb na szyję, odebrał ze szkoły dzieci i nafaszerował ich piątkową pizzą, bo ja wychodzę z moimi nowymi znajomymi na piwo do pubu dla fajnych ludzi. Fajnych i młodych! Może nawet zostawię na mieście samochód i zamówię taksówkę, jak przystało na dorosłego!

Mój entuzjazm lekko opadł, kiedy popijałam trzeciego Gibsona (to taki drink, do którego dodaje się piklowaną cebulkę. Co za wspaniały pomysł!) i zobaczyłam kolejnego mejla od Perfekcyjnej Mamy tej przeklętej Perfekcyjnej Lucy Atkinson, bo dokładnie tak samo jak w przypadku Jessiki jej mejle nie wróżą nic dobrego i na ich widok zalewa mnie zimny pot.

Byłam już podchmielona, więc otwieranie go nie było

najlepszym pomysłem, ale stało się:

Cześć,

jak pewnie pamiętasz, co roku organizuję zbiórkę na prezenty gwiazdkowe dla nauczycieli, ale pomyślałam, że może mogłabyś to ode mnie przejąć? Mam tyle na głowie!

Xxxx

Cztery całuski to wskaźnik, jak wielkie i głębokie jest bagno, w które właśnie mnie wpakowała. Kiedy ludzie, których nie znamy zbyt dobrze, podpisują się całuskami, ich liczbę odbieram jako pasywno-agresywny wskaźnik, jak dużo bólu dupy na ciebie przerzucają. Im więcej buziaczków, tym więcej bólu dupy.

Wszyscy wiedzą, że kupowanie prezentów dla nauczycieli to jak chodzenie po polu minowym. Teoretycznie prosta sprawa - każdy wrzuca pięcioletnią kopertę do koperty, po czym wybrana osoba kupuje bon podarunkowy na zakupy w domach towarowych John Lewis albo Marks & Spencer. To taki uprzejmy sposób, żeby powiedzieć: „Drogi nauczycielu, dziękujemy, że wytrzymałeś kolejny rok z naszymi małymi potworkami. Proszę, przyjmij ten podarunek w dowód naszej wdzięczności i kup sobie alkohol (albo nowe spodnie), aby stępić ból duszy wywołany przez te diabelskie pomioty. Z wyrazami szacunku, mamusie i tatusiowie”.

Ale to nigdy nie jest takie proste. Dostałam sto milionów mejli, bo ci wszyscy dranie, którzy uwielbiają uprzykrzać innym życie przy każdej wiadomości, klikają „odpowiedz wszystkim”. Już czuję, że to skończy się jedną wielką

katastrofą - szczególnie ze mną u steru. Mama Lucy jest wręcz irytująco perfekcyjna ze swoimi węższymi od najwęższych rurek džinsami, sojowym latte pitym w drodze na jogę i idealną fryzurą nawet wtedy, kiedy wieje wiatr, jest też mistrzynią subtelnego sprowadzania na ziemię wszystkich mamus, które chciały w ramach prezentu adoptować sierotkę z Gwatemali albo kupić kolczyki z przetworzonych odchodów himalajskiej kozy. Ja nie umiem być taktowna. Istnieje bardzo duża szansa, że przy trzecim mejlu powiem im, żeby się chrzaniły.

O, kolejny mejl! Chwalmy Pana!

Zapomniałam wspomnieć, że osoba, która zajmuje się prezentem, na ogół organizuje też wieczorne wyjście dla mam. Już nie mogę się doczekać!

Xxxxx

Pięć całusków?! Kurwa mać! Mam zorganizować wigilię dla mam? Toż to jak picie wina mszalnego z trucizną (nawet w porównaniu z Drinkami Zagłady, które piłam na zeszłorocznej wigilii dla mam). Trzydzieści podekscytowanych kobiet (a właściwie dwadzieścia osiem kobiet i Sam, który otrzymał status „mamusi”, bo jest samotnym ojcem i gejem, oraz Julian, który każdej napotkanej kobiecie opowiada o tym, jaki jest wrażliwy, od kiedy został kurą domową, chociaż mam wrażenie, że to tylko taki sposób na podryw. Jego wrażliwość bynajmniej nie polega na tym, że pomaga przy organizacji wydarzeń komitetowych. Sprowadza się głównie do przychodzenia na

coroczne wigilie, gdzie zachowuje się jak rozpustnik. I jeszcze wciska swoje dzieci wszystkim, którzy wykazują choćby ślad zainteresowania jego „fotobiznesem”, bo przecież „bycie rodzicem na pełen etat tak ciężko połączyć z prowadzeniem studia, więc jeśli mogłabyś na kilka godzin wziąć do siebie Phoebe i Marcusa, byłbym wniebowzięty! Dam ci zniżkę na sesję zdjęciową dla twojej rodziny! Och, dziękuję, prawdziwy z ciebie anioł! Odbiorę dzieci koło siedemnastej! Najpóźniej o osiemnastej, a już na pewno przed dziewiętnastą, bo Susan będzie już wtedy w domu. Wielkie dzięki! To do zobaczenia! Ach, jeszcze jedno! Mogłabyś dać im obiad? Tylko pamiętaj, że Phoebe je bezglutenowo, a Marcus nie toleruje laktozy. Świetnie! Pa!”)

stłoczonych w pubie w papierowych koronach, które musiały założyć wbrew własnej woli, pochylonych nad pioruńsko drogim i ledwie ciepłym indykiem, i udających, że mamy ze sobą coś wspólnego, chociaż jedynym, co nas łączy, jest to, że jakimś cudem udało nam się wypchnąć z brzuchów inną istotę ludzką w tym samym roku. To ostatnie nie dotyczy oczywiście Juliana i Sama, chociaż Julian ma trochę niepokojący nawyk opowiadania historyjek porodowych Susan, co moim zdaniem jest lekko nie na miejscu, biorąc pod uwagę to, że podczas dwuletniej kariery jego dzieci w naszej szkole jeszcze nikt nie widział Susan na własne oczy. Kiedyś nawet pomyślałam, że Susan jest tylko wytworem wyobraźni Juliana, a dzieci pożyczają od niczego niepodejrzewających przyjaciół tylko po to, żeby zasadzać sidła na jędrne mamuśki, ale później przypomniałam sobie,

że Simon też prawie nigdy nie pojawia się w szkole, więc mnie też można by podejrzewać, że mam zmyślonego męża.

A miałam się cieszyć miłym wypadem do schludnego pubu z innymi dorosłymi. Chociaż raz! Dlaczego to musiało się stać właśnie dzisiaj? W dodatku Simon cały czas zadreślał mnie SMS-ami z pytaniami, kiedy powinien wstawić pizzę do piekarnika, o której wrócę i czy dać dzieciom pizzę na spólkę czy po jednej dla każdego. Płakałam w duchu nad swoim nieszczęściem, kiedy Alan, puszcżając oczko, postawił przede mną czwartego drinka.

- Od razu widać, że jesteś singielką, Ellen - powiedział, szczerząc zęby.

- Co takiego? Dlaczego? Czemu tak mówisz? Czy ja wyglądam na jakąś starą, smutną desperatkę?

Dobry Boże! Pewnie za bardzo się starałam! Po co chciałam wyglądać młodzieżowo? Trzeba było zostać przy znoszonych baletkach i grzecznym sweterku. Wiedziałam, że obcięcie sobie grzywki to ryzykowny pomysł!

- Nie, chodzi o to, że nie piłaś czterech drinków z piklowaną cebulką, gdyby w domu czekało na ciebie jakieś migdalenie. - Znowu mrugnął.

- Też mogłam zamówić drinki z cebulką - westchnął James.

- Moja żona i tak będzie albo pijana, albo zbyt zajęta dziećmi, żeby się migdalić.

- Tak to już jest, jak dasz się omotać. A mogłeś być wolny i nieskrępowany jak ja i Ellen!

Wolałam wyjść na wolną i nieskrępowaną, niż prostować teorie Alana. Szczególnie że po czterech drinkach nie byłam

już w stanie sklecić spójnego logicznie zdania. Przez resztę wieczoru uśmiechałam się mgliście, w duchu licząc na to, że nie przewrócę się w drodze do toalety.

PONIEDZIAŁEK, 7 LISTOPADA

Minął miesiąc, od kiedy zaczęłam nową pracę, i mogę już stwierdzić, że na naszym nowym systemie zaczynają pojawiać się drobne pęknięcia. Kiedy mówię „drobne pęknięcia”, mam na myśli wielkie pieprzone szczeliny. Chciałam podzielić obowiązki domowe równo między mnie i Simona, więc stworzyłam grafik z informacjami o tym, kto i kiedy ma wykonywać dane czynności (na przykład czyja jest kolej na zrobienie obiadu i tym podobne). Powiesiłam go na lodówce i wytłumaczyłam wszystko Simonowi. Cmokał, prychał, pojękiwał i wzdychał, ale wykonuje wszystkie swoje obowiązki. I ani odrobiny więcej – powinnam dodać. Kiedy jest jego kolej na podrzucenie dzieci do szkoły, robi to, ale jeśli po drodze dzieci rozsypią płatki śniadaniowe po całej podłodze, nie raczy ich sprzątnąć, bo „jego kolej na odkurzanie” wypada innego dnia. W związku z tym wszyscy chodzą po płatkach, aż wreszcie ja wracam do domu i to robię. Też bym chciała zastosować taki strajk włoski i robić tylko to, co mam na swojej liście, ale brakuje mi uporu i umiejętności olewania bałaganu.

Całe niedzielne popołudnie gotowałam i mroziłam obiady na nadchodzący tydzień. Zaczęliśmy w pracy pierwszy większy projekt, w którym biorę udział, więc zrobiłam to na wypadek, gdybym musiała zostać dłużej. W takich sytuacjach

dobrze jest mieć zamrożony obiad, który można podgrzać i mimo wszystko zjeść porządny posiłek.

Kiedy wróciłam do domu, okazało się, że Simon nie dość, że sam nic nie ugotował, to jeszcze rozmroził tadżin, który miał być na jutro, i zapiekankę z kurczaka, na którą nakleiłam karteczkę z bijącym po oczach napisem „Czwartek”. Podobno nie mogli się zdecydować, co wolać.

Opadły mi ręce.

- Do kurwy nędzy, Simon! To miało być na jutro! Dzisiaj ty miałeś zrobić obiad!

- Przecież zrobiłem! Podgrzałem to wszystko! Jak inaczej to nazwiesz, jeśli nie „zrobieniem obiadu”?

- To jest oszukiwanie! To nie jest gotowanie! To odgrzewanie jedzenia, które miało być na później!

- Czyli ty możesz sobie podgrzewać i mówić, że to gotowanie, a ja nie?

- Zacznijmy od tego, że ja to jedzenie najpierw ugotowałam! Kiedy ty siedziałeś na kanapie, oglądając *Fanów pieprzonych czterech kółek*, ja...

- Wcale nie oglądałem *Fanów czterech kółek*. Przestałem oglądać, od kiedy odszedł Edd China! - sprostował.

- To bez znaczenia, wszystko jedno, co oglądałeś! Rzecz w tym, że przez całą niedzielę się obijałeś, podczas gdy ja gotowałam, żebym nie musiała o tym myśleć w tygodniu. A ty oszukujesz i podgrzałeś to, co JA zrobiłam, zostawiając jedynie nędzne resztki. Dlatego jutro ty gotujesz. Jutro i do końca tygodnia!

- Co takiego? Dlaczego niby ja mam gotować? Przecież

robię to, co do mnie należy. Jest mój dyżur i twoje dzieci są nakarmione. Jutro jest twój dyżur, więc ty gotujesz!

- Ale ty nic nie ugotowałeś! To ja ugotowałam!

- Skoro i tak gotujesz z wyprzedzeniem, czemu nie możesz gotować na wszystkie dni? A nie tylko na swoje? - spytał bezczelnie.

- Bo nie tak miało być! I co takiego byś robił, gdybym ja gotowała na cały tydzień? Chcesz odrabiać z dziećmi więcej prac domowych?

- Ciągle z nimi odrabiam! - ryknął. - Chryste, czy ty w ogóle masz pojęcie, jak ciężko pracować i jednocześnie być kurą domową?

- TAK! Wyobraź sobie, że mam! - wrzasnęłam. - I jedyne, o co cię proszę, to żebyś wywiązywał się ze swoich obowiązków.

- Czy myślisz, że mój ojciec odniósłby jakikolwiek sukces, gdyby musiał w kółko myśleć o pieprzonym odkurzaniu i gotowaniu obiadków? NIE! Mógł się koncentrować na pracy tylko dlatego, że mama mu pomagała. Jak ja mam cokolwiek osiągnąć, kiedy cały czas się mnie czepiasz? Kiedy ojciec wracał do domu, czekał na niego prawdziwy domowy obiad, a nie jakieś mrożonki. A w domu był porządek! I nikt nie narzekał na koszty opiekunek do dzieci i tym podobne bzdury!

- A co twój ojciec ma z tym wspólnego? Czasy się zmieniły, Simon. Teraz kobiety też muszą pracować i rzadko kiedy mogą sobie pozwolić na to, żeby siedzieć w domu i bawić się w małą kobietkę obsługującą swojego wspaniałego

mężczyznę, który każdego poranka rusza na polowanie, a wieczorem wraca z truchłem mamuta na obiad! W przeciwieństwie do twojej matki, ja mogę przynieść do domu mamuta!

- Nie mieszaj w to mojej matki!

- Sam zacząłeś, gadając o swoim ojcu. Zresztą czy myślisz, że twój ojciec chociaż raz okazał wdzięczność twojej matce za jej udział w jego sukcesie? Nie widzisz, że twoja matka jest znudzoną i sfrustrowaną kobietą, która próbowała nadać swojemu życiu jakikolwiek sens?

- Moja matka jest bardzo szczęśliwa. W przeciwieństwie do ciebie uwielbiała się nami opiekować.

- Twoja matka pręła ci majtki i robiła za ciebie dosłownie wszystko, dopóki nie zamieszkaliśmy razem. Kiedy poszedłeś na studia, kupiła ci SZEŚĆDZIESIĄT PAR MAJTEK, żebyś nie musiał męczyć się praniem, które robiła za ciebie, kiedy raz na dwa miesiące wracałeś do domu. Zresztą to też jej zasługa, że zostałeś takim bezużytecznym dupkiem. I jeśli chcesz wiedzieć, NIKT NIE LUBI PRAĆ GACI, NAWET ONA!

- Jesteś śmieszna. Nie będę z tobą rozmawiać takim tonem. Jedyne, czego bym chciał od żony, to odrobina wsparcia, a ty mnie cały czas krytykujesz!

- A ja chciałabym odrobiny wsparcia od męża, podczas gdy jedyne, co dostaję, to wyrzuty, że nie jestem jakąś cholerną żonką ze Stepford. Chrzań się!

- Sama się chrzań!

- Ja pierwsza powiedziałam, żebyś się chrzanił. Ja wygrałam!

- Jesteś niemożliwie dziecinna.
Od tamtej pory nie rozmawiamy ze sobą.

WTOREK, 8 LISTOPADA

Ten dzień nie zaczął się dobrze. Czasami czuję się, jakbym była niewidzialna. Moją rolą jest szukanie zgubionych strojów na WF, bidonów i odrabianie prac domowych, podczas gdy wszyscy wokół się obijają i liczą na to, że będę ich obsługiwać. Czarę goryczy (i może to nic wielkiego, ale właśnie drobiazgi wyprowadzają nas z równowagi) przelał dzisiaj Simon, który zamknął się w łazience „na dłuższe posiedzenie” tuż przed tym, jak musiałam wyjść z domu, żeby zawieźć dzieci do szkoły. Oznaczało to, że nie zdążę umyć zębów, chociaż chwilę wcześniej oznajmiłam, że „muszę jeszcze tylko umyć zęby i wychodzimy”. Nie dość, że zignorował otaczający go chaos, skupiając się na tym, żeby wypić w spokoju kawkę, podczas gdy ja kleciłam kanapki, podpisywałam pisma ze szkoły, które dzieci „właśnie znalazły”, i przepytywałam je z ortografii, próbując jednocześnie zrobić makijaż, żeby wyglądać na spokojną i opanowaną profesjonalistkę, to jeszcze wybrał łazienkę, w której była moja szczoteczka do zębów. Tak więc kiedy Simon siedział w kibelku, robiąc poranną kupę, ja podejmowałam decyzję, czy się spóźnić do pracy, czy wyjść z nieumyтыми zębami. To przecież strasznie samolubne!

Musiałam porzucić postanowienie, żeby już nigdy więcej się do niego nie odzywać, i zaczęłam walić w drzwi, żeby się pośpieszył, a on odpowiedział, że „tych spraw nie da się

przyśpieszyć”. Zaproponowałam, żeby w takim razie odwiózł dzieci do szkoły, ale okazało się, że niestety nie może, bo jest Bardzo Ważny i Zajęty, w związku z czym nie może się spóźnić. Poinformowanie go, że mam dzisiaj rano ważne spotkanie i też nie mogę się spóźnić, okazało się równie nieskuteczne, co dalsze walenie w drzwi. Kiedy w końcu wyszedł, wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Wparowałam do łazienki (musiałam wstrzymać oddech rażona falą smrodu) i pobieżnie wyszorowałam zęby, po czym zagoniłam dzieci do samochodu i ruszyłam z piskiem opon. Na pytanie „Po co ten pośpiech?” kolejny raz poinformowałam je, że mam nową pracę i bardzo ważne spotkanie, ale w ich oczach dostrzegłam tylko znudzenie i kompletny brak zainteresowania. Żadne z nich nie życzyło mi powodzenia czy miłego dnia ani nie pogratulowało. Mam wrażenie, że dla mojej rodziny jestem tylko służącą. Osobą pozbawioną praw. Mam pakować drugie śniadania, prać im ubrania, odkurzać, smażyć paluszki rybne i podnosić ich majtki.

Wbiegłam do biura i wślizgnęłam się do sali konferencyjnej dziesięć sekund przed Alanem, za którym wszedł James. Miał lekko podkrążone oczy i ziewał.

- Zabalowałaś, James? - spytał Alan.

- Nie, mój pięcioletni synek miał koszmary. Przez pół nocy nie mógł spać. Moja żona budziła mnie za każdym razem, kiedy wracała do łóżka, dlatego jestem kompletnie nieprzytomny!

- Twoja żona nie pracuje? - spytałam.

- Pracuje, podobno zasnęła w pociągu i przegapiła przystanek czy coś takiego. Z jakiegoś powodu twierdzi, że to moja wina. Chryste!

Lydia wparowała niedługo po Jamesie. Rozgorączkowana kończyła rozmowę telefoniczną.

- Rozumiem, mamó, ale obiecuję, że wrócę, jak tylko będę mogła. Zostań chociaż rano, proszę. Dobrze? Poproszę Chrisa, żeby wrócił wcześniej, jeśli ja nie będę mogła.

- Wszystko w porządku, Lydio? - spytał Alan.

- Tak - rzuciła szorstko.

- Kolejny rodzinny kryzys? Co tym razem?

- Niania zachorowała, więc mama ją zastępuje, kiedy nie mogę wyrwać się z pracy, ale nie radzi sobie z tym najlepiej - odparła smutno Lydia.

- Chryste! Chyba jesteśmy jedynymi osobami, które jakoś się dzisiaj trzymają, Ellen. James wygląda, jakby ktoś mu podbił oczy, a Lydia... Lydio, masz buty nie do pary! Ed i nowy klient zaraz tu będą. Joe dzisiaj nie przyjdzie, bo jego dziewczyna ma pierwsze USG, więc niedługo też dołączy do niewyspanych zombie. Ellen, założę się, że kiedy na nich patrzysz, cieszysz się, że nie masz dzieci!

Otworzyłam buzię, ale zaczęłam myśleć o kłótniach, niewdzięczności i tym, że nikt mnie nie docenia. Kocham swoją rodzinę, ale w tamtym momencie nie bardzo ją lubiłam. Nie miałam siły odpowiadać. Po chwili wszedł Ed, oczywiście bardzo niezadowolony, że ktoś każe mu opuścić biuro, a za nim nasz klient VIP. Lydia pośpiesznie ukryła stopy za workiem z ziemniakami.

ŚRODA, 9 LISTOPADA

Kurza twarz, jasna cholerka, chujemuje dzikie węże i w dupę jeża! Podbudowana tym, jak świetnie poszła organizacja halloweenowej dyskoteki (może z wyjątkiem wpadki z zieloną twarzą), beztrosko się objąłem, zadowolona, że doskonale się wywiązuję z obowiązków przewodniczącej komitetu i mogę trochę odpocząć.

Niestety okazało się, że nie. Kiedy chowałem się w barze kanapkowym z Jamesem, żeby uniknąć kolejnego wykładu Alana na temat niebezpieczeństw spożywania glutenu i dlaczego powinniśmy na lunch jeść sashimi (zauważyłam, że „zdrowe odżywianie” według Alana polega na tym, że od poniedziałku do czwartku jest wywyższającym się maniakiem fitnessu, a od piątku do niedzieli wypija równowartość swojej wagi w każdym możliwym rodzaju alkoholu. W dodatku twierdzi, że tak właśnie robiliby jaskiniowcy, gdyby w ich czasach istniały puby), dostałam kolejnego mejla od Perfekcyjnej Mamy Perfekcyjnej Lucy Atkinson:

Cześć, Ellen,

właśnie uświadomiłam sobie, że nie przesłałam ci jeszcze listy straganiarzy, którzy zgłosili swój udział w Świątecznej Wencie (w załączeniu). Pewnie powinnam ci też przypomnieć, że musisz wydrukować i rozwiesić plakaty reklamujące kiermasz w tym tygodniu, bo aula jest zarezerwowana na 2 grudnia. Kilka stanowisk jest już zajętych, ale będziesz potrzebowała jeszcze co najmniej dziesięciu wystawców - postaraj się tylko poszukać różnych,

bo nikt przecież nie będzie chciał brać udziału w kiermaszu, na którym można kupić tylko szaliki i muffinki. Zapytaj też żłobek i Szkolny Komitet Sprawiedliwego Handlu, czy będą się w tym roku wystawiać. Pamiętaj, żeby mieć zapas grzanego wina i babeczek świątecznych. Będziesz potrzebowała wielu wolontariuszy, żeby pomogli ci rozstawić i pochować wielkie stoły i stoiska - najlepiej poproś o to dużych i silnych tatusiów. Aha, ktoś będzie też musiał być Mikołajem. Będziesz musiała zrobić dla niego osobne stanowisko, ale nie martw się za bardzo - lampki choinkowe potrafią zdziałać cuda! Trzeba też będzie zrobić zbiórkę na loterię fantową. Loteria z napojami zawsze się sprawdza. Tylko nie daj sobie wcisnąć soli kąpielowych z 1970!

Powodzenia!

Xxxxxx

Pieprzyć moje pieprzone życie! Nie dość, że mam pracę na pełen etat, w której przed kolegami i koleżankami muszę udawać bezdzietną singielkę, bo jest już za późno na ogłoszenie sprostowania, to jeszcze muszę zorganizować Świąteczną Wentę (dlaczego, do kurwy nędzy, to się nazywa „wenta”? Dlaczego nie może być po prostu „kiermaszem”? Czy nadal jest w mocy jakieś odwieczne prawo, które nakazuje nam używać leciwych wyrazów, by święto bardziej odświętnym się stało? A może powinnam się zbuntować i pierwszą dyrektywą za mojej kadencji zmienię nazwę z „wenty” na „kiermasz”).

W dodatku mam na to tylko trzy tygodnie. Zapewne będę musiała użyć w tym celu pistoletu klejowego i zszywacza

elektrycznego, a mając w pamięci fakt, jak trudno było zmobilizować tych wszystkich drani, żeby zgłosili się na wolontariuszy przy dyskotecce, również prawdziwego pistoletu na ołowiane kule, bo tylko pod groźbą śmierci rodzice wezmą się do roboty. Spróbuję pomyśleć o pozytywach i wyobrazić sobie, że gram w odcinku *Challenge Anneka* i mimo przeciwności losu udaje mi się wszystko dopiąć na ostatni guzik, tyle że bez biegania w obcisłym kombinezonie.

Powinnam zacząć od surowego mejla do wszystkich potencjalnych pomocników. Potem zostawię Jamesa sam na sam z sałatką z raków i jego pasywno-agresywnymi pomrukami pod adresem żony, bo jeśli zostanę tu choć minutę dłużej, nie wytrzymam i powiem mu, żeby się wreszcie zamknął i wziął odpowiedzialność za swoje dzieci. A kiedy już wyjdę, poprawię sobie nastrój, kupując kolejną parę niepraktycznych i prawdopodobnie nieetycznie wyprodukowanych butów.

CZWARTEK, 10 LISTOPADA

Cóż, mój surowy mejl do rodziców nie przyniósł oszałamiających rezultatów. Zaproponowałam szybkie popołudniowe spotkanie przyjazne dzieciom z darmowymi paluszkami rybnymi. Liczyłam na to, że paluszkami rybnymi skuszę wszystkich rodziców, którzy narzekali, że nie przychodzą, bo nie mają z kim zostawić dzieci (moja poprzednia i jakże optymistyczna wizja, żeby zebrać rodziców w pubie, legła w gruzach jeszcze przed próbą

realizacji), ale jedynymi osobami, które się pojawiły, to Sam, Katie i Cara Cartwright.

Popędziłam z pracy do domu, wrzuciłam do piekarnika dwa tuziny paluszków i blachę frytek, po czym zaczęliśmy spotkanie. Zgodziłam się, żeby Cara przebrała się za seksownego elfa, ale pod warunkiem, że jeśli ktoś pomyśli, że robimy sekwsparty, weźmie to na klatę. Szybko straciła entuzjazm do kokieteryjnych przebieranek. Pomimo entuzjazmu, jakim Cara darzy kabaretki i skąpe ubrania, prace organizacyjne szły gładko. W końcu jesteśmy grupą wrażliwych ludzi, którzy mają ten sam cel.

Katie miała zrobić rekonesans cenowy i kupić najtańsze grzane wino, które zawiera alkohol, ale od którego nikt nie oślepie. Sam, najpierw głośno zakławszy, zgodził się być Świętym Mikołajem, ale pod warunkiem, że pozwolę mu zabrać kostium do domu i go wygotować, bo miał podejrzaną plamę i dziwny zapaszek, który sugerował, że ostatni raz widział pralkę w czasach, kiedy pani P. unikała swingersów na spotkaniach komitetu.

Ponieważ nie mogłam już cichaczem drukować w miejscu w pracy, zgłosiłam Simona, żeby wydrukował plakaty świąteczne i rozwiesił po okolicy, a na siebie wzięłam wyszukanie wystawców na stoiska z pomocą cudacznego wynalazku, jakim są grupy na Facebooku.

Nie bez powodu nazywam te grupy „cudacznymi”. Większość z nich to szaleństwo w czystej postaci połączone ze słabo zawoalowanym rasizmem, który kryje się w naszych podmiejskich domach, na przemian z „pilnymi” prośbami

o polecenie „godnych zaufania” usługodawców (zawsze mnie zastanawia, dlaczego to jest takie „pilne”? Rozumiem, że ktoś pilnie potrzebuje hydraulika albo elektryka, ale nie mogę przestać się dziwić, kiedy ktoś na cito potrzebuje dekoratora wnętrz). Poza niekończącymi się debatami na temat psich odchodów, z zamiłowaniem śledziłam postrzelony wątek pewnej pani, która przez dwa tygodnie w zamieszczanych postach domagała się informacji o swojej papużce, albowiem ukochana ptasia kruszynka wyleciała przez okno i nie wróciła. Kobieta groziła, że jeśli nie spełnimy jej żądania, to włączy w sprawę policję. Był też mężczyzna, który prowadził kampanię na rzecz żywopłotów, których przycinanie nazywał „tortuowaniem roślin”. Dorzućcie do tego te wszystkie zawoalowane groźby w stylu: „Wiesz, kim jesteś i CO zrobiłeś, nie muszę nawet mówić, co TO było, bo przecież dobrze wiesz” i zagorzałe kłótnie o to, że „Nie ja TO zrobiłem, ale wiem, co TY zrobiłeś, chociaż tego nie napiszę, ty śmieciu” w połączeniu z czymś, co wydaje się kwintesencją błędów gramatycznych i literówek całej lokalnej populacji. (Zaskakująco dużo osób sprzedaje „dekordery” telewizyjne, a jeśli nie „dekordery”, to „deckodery”. Popularne są też „kredęsy” i mój ulubiony rodzaj biżuterii – „piersing”, a z mebli uwielbiam „Piękne komody wiktoriańskie – stempel mówi, że z 1914 roku”).

Przy takich kwiatkach często okazuje się, że nie wiadomo kiedy straciliście pół dnia na czytaniu głupot. To jeszcze lepsza rozrywka niż program Jeremy’ego Kyle’a. Niestety pomoc tych grup jest wprost nieodzowna, kiedy trzeba

znaleźć wystawców na Świąteczną Wentę (a może Wętę?), więc zostałam zmuszona, żeby zanurzyć się w mroczne wody, zamiast przyglądać się im z oddali.

Cara dostała zadanie, by podstępnie wyłudzić od niczego niepodjejrzejających rodziców datki na loterię i wykupić pół Poundlandu. Wszystko mieliśmy już właściwie dopięte, kiedy nagle pojawiła się Kiki przez dwa K.

- Och, widzę, że zaczęliście beze mnie. Próbowałam zrobić Lalabelle i Trixierose zdjęcia, jak bawią się wśród jesiennych liści, ale cały czas narzekały, że im zimno. Potworna strata, kupiłam im przecież piękne jesienne sweterki. Mogliście powiedzieć, że zaczniecie tak wcześnie - oznajmiła z westchnieniem.

- Przykro mi, Kiki. Mówiłam, że zaczniemy punktualnie kwadrans po szóstej, a jest już osiemnasta czterdzieści trzy... Ale może twoje dziewczynki mają ochotę na paluszki rybne i frytki?

Lalabelle i Trixierose rozpromieniały na widok zarumienionych delicji z zamrażalnika, które inne dzieci wsuwały po hojnym oblaniu keczupem.

Natomiast Kiki zadrżała z przerażenia.

- Chryste, Ellen, nie! My się zdrowo odżywiamy! Nie masz może młodych liści sałaty, nasion granatu albo miodu manuka?

- Specjalnie wystawiłam na stół miskę z pomidorkami cherry i ogórkiem, żeby dzieci miały co zignorować.

Kiki spojrzała na miskę i zaczęła kręcić nosem:

- Czy to są kolorowe pomidory z rodzimych upraw?

- Nie. To najzwyklejsze pomidory z przeceny, które wybrałam dlatego, że i tak nikt ich nie tknie. Postawiłam je na stole tylko po to, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia i poczuć, że przynajmniej próbuję serwować swoim dzieciom zdrową żywność - odparłam.

- Mamusiu, czy możemy zjeść paluszki rybne? - spytała Lalabelle.

- Kochani, przecież wiecie, że my nie jemy takich rzeczy.

- Przecież jemy cały czas! - zaproponowała zdumiona Lalabelle. - Wczoraj jedliśmy nuggetsy z kurczaka i ziemniaczane bużki!

- Jak to? Wczoraj jedliśmy sałatkę z awokado i komosy. Mamusia zrobiła zdjęcie na Instagram, jak się nią zajadacie z Trixierose, nie pamiętasz?

- Mówisz o tej paskudnej papce, którą musiałyśmy zjeść, zanim nam dałaś normalną kolację? - skrzywiła się Lalabelle.

- Ha, ha, ha! Ale śmieszne, Lalabelle! Ty i ta twoja wyobraźnia! No dobrze, skosztujcie paluszków rybnych.

- Bierzmy się do rzeczy! Z grubsza mamy już wszystko zaplanowane, ale każda pomoc się liczy, Kiki - powiedziałam, kiedy Lalabelle i Trixierose zapełniły talerze.

Zapomniałam zapytać Kiki, czym się inspirowała, kiedy wymyślała imiona dla córek, ale i tak bez żadnej zachęty poinformowała mnie o tym. Jej głównym celem było znalezienie „czegoś oryginalnego”, co pomoże rozwijać „markę” i będzie „wyróżniać się” w mediach społecznościowych. Chciałabym tego nie oceniać, ale nie umiem.

- Mam mnóstwo pracy, więc nie wiem, czy będę bardzo pomocna - powiedziała Kiki.

- A co właściwie mogłabyś dla nas zrobić? - spytała Cara.

Kiki roześmiała się pogodnie i odparła:

- Przecież ci mówiłam! Jestem influencerką w mediach społecznościowych. Żadne z was jeszcze nie zaczęło mnie obserwować, a mówiłam już tyle razy! @kikikochażycie!

- To jest twoja praca? Zarabiasz na tym?

- Cóż, wciąż jeszcze buduję markę, ale znani influencerzy zarabiają miliony!

- Tak, wiem, ale jak można zostać jednym z nich? - drażniła się z nią Cara.

- Cóż... Budujesz markę... Tworzysz sieć znajomości... Hm... Ja na przykład lubię podróżować. Oferuję unikatowe spojrzenie na podróżowanie z dziećmi, dzięki czemu odzywają się do mnie różne marki i oferują partnerstwo. Wakacje i tym podobne.

- Dostajesz darmowe wakacje?

- Nie do końca darmowe, bo kiedy tam jesteś, musisz pracować. Robić zdjęcia, pisać recenzje... To trudniejsze, niż mogłoby się wydawać - tłumaczyła dalej Kiki.

- A gdzie do tej pory byłaś? - milutko spytała Cara.

Podziwiam ją za to, że potrafi ukryć podłość pod płaszczkiem troski i zainteresowania. Ja nie umiem być taka przebiegła w subtelny sposób.

- W zeszłym miesiącu byliśmy w luksusowym ośrodku na Seszelach. All-inclusive - powiedziała zadowolona z siebie Kiki.

- Och... - Z Cary nagle wyparował entuzjazm.

- Seszele były beznadziejne! Paskudnie jedzenie i było za gorąco! Fujka! - wtrąciła Lalabelle.

- Nonsens, kochanie, przecież ci się podobało! Mamusia zrobiła mnóstwo zdjęć, na których widać, że świetnie się bawiłaś - syknęła Kiki.

- A czy zarabiasz tyle, żeby się z tego utrzymać? - spytała Cara.

- Czasami mi płacą.

- I wystarcza ci na życie?

- To bez znaczenia. Mój mąż jest menedżerem firmy, która zajmuje się funduszami hedgingowymi.

Cara wymamrotała pod nosem coś, czego nie dało się powtórzyć. Wątpię, żeby w najbliższej przyszłości zaczęła śledzić Kiki na Instagramie.

- Czy możemy wreszcie wrócić do tematu wenty? - podjęłam desperacką próbę postawy asertywnej, mimo że to, jak Cara wierciła Kiki dziurę w brzuchu, dawało mi sporo satysfakcji.

- Poczekajcie! Zrobię tylko zdjęcie dzieciom przy stole. Będzie świetną ilustracją do wpisu o „rodzinnym chaosie” na moim blogu.

- Chwileczkę! - zaprotestowała Katie. - Nie możesz bez naszej zgody wrzucać zdjęcia naszych dzieci do Internetu!

Wszystkie się zgodziłyśmy, że Kiki nie powinna wykorzystywać naszych dzieci jako swojego „contentu”, na co odpowiedziała nam dąsami i zarzuciła, że się czepiamy bez powodu. A Jane wciąż nie rozumie, dlaczego nie

pozwalam jej założyć konta na Instagramie!

Kiedy w końcu udało nam się wrócić do tematu Świątecznej Wenty, Kiki spytała:

- A co z dekorowaniem sali?

- No właśnie! Dobrze pytanie! - odparłam.

- Mogłabym się tym zająć - zaoferowała Kiki.

- Dziękuję, to by było wspaniałe! W szafce komitetu w szkole jest chyba pudełko z dekoracjami, no wiesz, łańcuchy, bombki, gwiazdki i tak dalej. Na pewno możemy też wypożyczyć ładne lampki choinkowe.

Kiki zamrugła powoli.

- Myślałam, że nadamy imprezie trochę skandynawskiego szyku. Chciałabym, żeby ta impreza się wyróżniała. Nie obraż się, ale dyskoteka na Halloween była trochę tandetna. Świąteczna Wenta powinna mieć więcej charakteru. Jaki jest budżet na dekoracje? Myślę, że dwa tysiące mi wystarczą, ale jeśli uda się wysupłać ciut więcej, obiecuję, że dokonam cudu.

Kiedy skończyłyśmy się śmiać, wyjaśniłyśmy Kiki, że budżet na dekoracje wynosi okrągłe zero. Jeśli uda nam się uezierać dwa tysiące na całe wydarzenie, to będzie cud. W najlepszym wypadku, jeśli okaże się, że łańcuchy szkolne są całkiem wyświechtane, może wysupłamy pięć funtów, za które będzie mogła zaszaleć w Poundlandzie.

Kiki pobladła z przerażenia, na co Cara zasugerowała, żeby potraktowała to jako wyzwanie, które będzie mogła później opisać na swoim blogu: „Dekoracje Świąteczne na Głodowym Budżecie”. Kiki nie wyglądała na przekonaną, ale ponieważ

Cara użyła magicznego sformułowania „okazja do stworzenia contentu na Instagramie”, nie była w stanie odmówić. Wycofała się do kącika, wyciągnęła telefon i zaczęła robić sobie selfie, podczas gdy jej dzieci łapczywie pochłaniały keczup, a my zajęliśmy się dopinaniem szczegółów. Kiedy wszyscy wyszli, posprzątałam na stole, załadowałam zmywarę i nie licząc na wiele, zajrzałam do lodówki w poszukiwaniu inspiracji na kolację dla siebie i Simona, podjadając przy tym paluszki rybne, aż w końcu wrócił mój ukochany, który najwyraźniej uznał, że lepiej będzie „pracować do późna” niż stawiać czoła piekłu komitetu i wałęsającym się po domu dzieciom.

PIĄTEK, 11 LISTOPADA

Nie miałam ochoty na kolejny wieczór pełnych urazy spojrzeń i wymownej ciszy, a ponieważ dzieci szły na nocowanki do Sama, przyjąłam zaproszenie na piątkowego drinka ze znajomymi z pracy (wyłączając Lydię, która musiała pędzić do domu, żeby nie dostać kolejnego wypowiedzenia od opiekunki, i Eda, który unika wszelkich aktywności wymagających komunikacji z innymi ludźmi. Czasami myślę, że powinnam przedstawić Edowi Simona – mogliby razem bać się ludzi i siedzieć w ciszy, nienawidząc wszystkich wokół).

Tym razem poszłam po rozum do głowy i nie zamawiałam Gibsonów. Nie z powodu piklowanych cebulek, ale dlatego, że są potwornie mocne i można się nimi upić w ekspresowym tempie, a wtedy powstaje nieprzyjemna obawa, czy zdąży się

rozpiąć spodnie, zanim się posiusia.

Wzięłam głęboki wdech i przygotowałam się psychicznie na grobową atmosferę, jaka czeka na mnie w domu, po czym otworzyłam drzwi frontowe. Odpowiedziała mi cisza. Tylko mój pies Judgy podbiegł do mnie radośnie. Zawsze, kiedy wracam, otrzymuję dawkę co najmniej dziesięciu minut niezmaconej radości. Judgy cieszy się, że wróciłam, bo myślał, że wyszłam już na zawsze. Dopiero po jakimś czasie przypomina sobie, że go zostawiłam, i przez kolejną godzinę jest obrażony. A jednak odnoszę wrażenie, że z nas wszystkich Judgy najlepiej sobie radzi z moim powrotem na pełen etat. Pewnie dlatego, że przychodzi do niego petsitterka, którą może terroryzować (terrieryzować), dopóki nie wrócę wieczorem. Uwielbiam naszą petsitterkę.

- Przynajmniej ty się cieszysz z mojego powrotu, piesku. -
Wtuliłam twarz w jego futerko. Wiele osób zachwyca się zapachem niemowlaków, ale ja nigdy tego nie rozumiałam. Dzieci śmierdzą talkiem, skwaszonym mlekiem i sudocremem. O wiele bardziej lubię zapach futerka Judgy'ego, tej słodkiej kombinacji ciasteczek, ziemi i powiewu świeżego powietrza. Oczywiście nie mówię o sytuacjach, kiedy jest przemoczona, bo wtedy Judgy śmierdzi jak każdy mokry pies, czyli niezbyt ładnie. A teraz zrobił to, co uwielbia, czyli wtulił się w moją szyję i zaczął pomrukiwać, trzymając łapki na mojej dłoni, żebym nie miała jak uciec. - I ktoś mnie kocha, prawda, panie Szczekczyński? - szepnęłam mu do uszka, na co odpowiedział mi pełnym wyrzutów spojrzeniem. Nie lubi, kiedy nazywam go panem

Szczekczyńskim. To mu ubliża.

Za to po Simonie ani śladu. Albo skorzystał z okazji, że nie ma dzieci, i gdzieś wyszedł, albo wielce obrażony zaszył się w domu. Trzymając Judgy'ego na rękach, poszłam do kuchni w poszukiwaniu wina i może jeszcze chipsów na zakąskę.

Kiedy weszłam do kuchni, prawie upuściłam psa ze zdziwienia. Simon tam był, w dodatku gotował, a przez drzwi do jadalni, której używamy tylko przy specjalnych okazjach, zobaczyłam, że nawet nakrył do stołu, i to dla dwóch osób. I zapalił świece! Zauważyłam też, że sterta papierów, które zawsze leżą na stole, w magiczny sposób zniknęła. Gdzie się podziały? Mam nadzieję, że ich nie wyrzucił. Miałam tam mnóstwo ważnych dokumentów starannie poskładanych w kupki pomiędzy mniej ważnymi papierami.

- Spodziewasz się kogoś? - spytałam chłodno.

- Tylko ciebie, kochanie! Ugotowałem dla nas obiad! - powiedział dziarsko.

Z czego tak się cieszył? Pewnie z tego, że wyrzucił wszystkie moje dokumenty.

- Ugotowałeś czy tylko rozmrażasz to, co ja zrobiłam wcześniej?

- Jeśli mam być szczery, kupiłem gotowe w Marksie i Spencerze. Czy to się liczy?

- Niech będzie, że się liczy - zgodziłam się łaskawie.

- Pomyślałem, że miło będzie spędzić razem trochę czasu. Ciągle się gdzieś śpieszymy, zonglujemy śniadaniówkami i próbujemy zrobić sto milionów rzeczy na raz, używając naszej ulubionej frazy.

- „Sto milionów” już nie jest moją ulubioną frazą. Teraz moją ulubioną frazą jest „dupowata kurza twarz” - poinformowałam go.

- Piękna! Tak czy inaczej, pomyślałem, że dobrze nam to zrobi. Zjemy razem posiłek, porozmawiamy, zamiast na siebie krzyczeć, może nawet przypomnimy sobie, po co wzięliśmy ślub...

- Chcesz mnie zaciągnąć do łóżka? - spytałam podejrzliwie.
- Tylko dlatego to robisz?

- Nie! To znaczy nie powiem, że nie miałbym ochoty, ale to nie jest mój powód.

- I zamierzasz też pozmywać?

- Oczywiście, kochanie. Taki jest urok kuchni od panów Marksa i Spencera, że po posiłku do zmywarki wstawia się jedynie dwa talerze. Resztę można wyrzucić.

- Niezbyt ekologicznie... Moi koledzy z pracy nie byliby zachwyceni - mruknęłam.

- Całe szczęście, że nie jesteś w pracy. To jak? Może odstawisz śmierdzącego kundla, nalejesz sobie wina i usiadziemy do kolacji?

- On wcale nie śmierdzi! Nie słuchaj go, Judgy, on nie ma pojęcia, o czym mówi.

- Jasne... - mruknął Simon.

Natomiast po kolacji (jedliśmy polędwiczkę w cieście francuskim, pomysł trochę retro, ale jaki smaczny!) oznajmił:

- Przepraszam. Nie powinienem tyle mówić o tym, jak moja matka wspierała ojca. Czasami czuję się po prostu nieadekwatnie, kiedy pomyślę o tym, w jakim miejscu był

mój ojciec w moim wieku. W porównaniu z nim czuję się, jakbym poniósł porażkę. Nigdy nie będzie mnie stać na taki dom, jaki ma on, ani na to, żeby posłać dzieci do szkoły z internatem. Pewnie jestem też zwyczajnie zazdrosny, bo on nigdy nie musiał się martwić o to, że trzeba odebrać dzieci ze szkoły, ugotować czy wykonać jakieś prace domowe. Wystarczyło, że w niedzielę skosił trawnik.

- Nikt z nas nie jest już tam, gdzie byli kiedyś nasi rodzice. Nie poniosłeś żadnej porażki, po prostu świat się zmienił. Mało kto żyje tak samo, jak żyło się kiedyś. Albo jak żyli ich rodzice. A kobiety nie chcą już być tylko i wyłącznie paniami domów na utrzymaniu mężów, nawet jeśli ich na to stać. Popatrz choćby na Kiki. Jej mąż zarabia fortunę, a mimo to ona próbuje zrobić karierę jako influencerka w mediach społecznościowych...

- Jako kto?!

- Nieważne, kochanie. Chodzi mi o to, że próbuje coś osiągnąć. Chce mieć coś swojego i zdobytego przez siebie, coś, co wykracza poza zwykłe i oczywiste bytowanie. Wszystkie tego chcemy. Zastanów się, czemu twojemu ojcu było tak łatwo. I jak czuła się twoja matka, która zawsze stawiała jego i wasze potrzeby na pierwszym miejscu, a dopiero na końcu myślała o sobie... Myślę, że musiało to być nudne i frustrujące. Wiele razy dawała mi to do zrozumienia.

- Pewnie masz rację. Kiedy życie stało się takie ciężkie, Ellen? Przecież miało być tak pięknie. Mieliśmy się pobrać i żyć szczęśliwie do końca naszych dni. Co się z nami stało?

- Dorośliśmy.
- Tęsknię za tobą. Czasami czuję się, jakbyśmy stali się dwoma statkami, które nocą mijają się w porcie.
- Moi rodzice też tak mawiali, kiedy oboje pracowali. Możemy sobie zostawiać karteczki, tak jak oni.
- Z całym szacunkiem, Ellen, ale nie sądzę, żeby to było dobre rozwiązanie, mając w pamięci, w jakiej atmosferze odbył się ich rozwód.
- Masz rację. To co zrobimy?
- Nie wiem, kochanie. Coś wymyślimy.

WTOREK, 22 LISTOPADA

Dzisiaj dostałam mejla od Jessiki. Pewnie powinnam być jej wdzięczna, że mnie wysłuchała i nie zadzwoniła do mnie, kiedy byłam w pracy (co prawda zauważyłam, że w mojej firmie panuje dość swobodne podejście do prywatnych telefonów, ale mimo wszystko nie chcę rozmawiać z Jessicą, bo wiem, że od razu wymyśli jakiś powód, żeby się wywyższać), ale i tak zamarłam, kiedy zobaczyłam jej imię na skrzynce pocztowej, bo Jessica nigdy nie odzywa się, żeby się podzielić radosną nowiną, pogadać albo wysłać śmiesznego mema. Robi to tylko wtedy, gdy czegoś chce albo zamierza mnie poprosić, żebym coś za nią zrobiła. Ponieważ jednak jestem niepoprawną optymistką i nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się zmienić w pragmatyczną pesymistkę, nie straciłam wszelkiej nadziei nawet wtedy, kiedy zobaczyłam, że mejl jest zatytułowany: „Wigilia”.

Cześć, Ellen,

mama mówi, że jeszcze jej nie odpisałaś, czy przyjedziecie do niej i Geoffreya na Wigilię. Prosi, żebyś jak najszybciej jej odpowiedziała, bo będzie zamawiać jedzenie z Waitrose'a i chciałyby już wiedzieć, dla ilu osób zamówić, żeby jak najszybciej to załatwić, bo ma dużo na głowie.

Neil, ja i dzieci będziemy u mamy. Będzie też córka Geoffreya, więc myślę, że i wy powinniście przyjechać.

Proszę, daj znać mamie, jakie masz plany, bo przesyłki świąteczne trzeba szybko rezerwować, żeby zdążyli z dostawą.

Najlepsze życzenia,

Jessica

Kurwa mać! Mama pisała dopiero wczoraj! W CZORAJ! I nic nie wspominała o tym, żeby jej odpisać jak najszybciej, bo musi zarezerwować jedzenie z Waitrose'a. Nic z tych, kurwa, rzeczy! Z tonu mejla wnioskuję, że to, że przyjedziemy do niej na kolację wigilijną i tak już uznała za fakt, więc nie mamy innego wyjścia. A teraz jeszcze narzeka Jessice, swojemu pieprzonemu oczku w głowie, że jej mniej udana, okrutna i nieczuła córka ma w nosie to, czy dostanie się na listę z rezerwacjami, bo przecież ta mniej udana córka jest samolubna i źle wychowana, i właśnie dlatego zawsze bardziej kochała Jessicę. Poza tym jestem ciekawa, co takiego niby mama ma na głowie, że musi składać swoje cholerne świąteczne zamówienie już w listopadzie? Rozpadnie się przez nią klub tenisowy, jeśli choć na chwilę spuści z oczu komitet? A może jej chór się zbuntuje i wyrzuci

pastora na zbity pysk, kiedy mama weźmie wolną godzinę, żeby złożyć zamówienie przez Internet? A może członkowie Stowarzyszenia Ogrodniczego oszaleją bez jej nadzoru i powtórzą mrożący krew w żyłach skandal z 2013 roku, kiedy posadzili pelargonie i begonie w wiszących doniczkach przed spożywczakiem? Mama wciąż nie może tego przeboleć. Twierdzi, że przez to miasteczko zaczęło wyglądać prostacko i „jak komuna”.

A może boi się, że jeśli straci czujność w okresie świątecznym, Geoffrey wykorzysta to, żeby wypić o jeden kieliszek sherry za dużo przed kolacją, czym obudzi swojego wewnętrznego czytelnika *Daily Mail* i zacznie wykrzykiwać jakieś bzdury o imigrantach i lewakach oraz domagać się przywrócenia obowiązkowej służby wojskowej, zamiast jak zawsze trzymać pod kneblem swoje rasistowskie poglądy? Bóg jeden wie. Mama lubi opowiadać o tym, jaka jest zajęta, ale przeważnie oznacza to tylko tyle, że wściubia nos w cudze sprawy i mówi innym, co mają robić. Przede wszystkim mnie. I jak mogłam zapomnieć o przyjemności obcowania z idealną córką Geoffreya, Sarah, i jej równie wspaniałym mężem Piersem!

Do tego dochodzi sam Geoffrey. Mama była bardzo przebiegłą osobą. Po piętnastu latach odgrywania przed skromną publicznością spektaklu pod tytułem *Zraniona żona*, którą się stała, gdy wykopała ojca po przyłapaniu go na bzykaniu sekretarki podczas imprezy wigilijnej w pracy (mam nadzieję, że ktoś później wyczyścił kserokopiarkę), trzynastu lat temu znalazła sobie bogatego wdowca. („To

o wiele wygodniejsze niż rozwodnik. Nie będzie się za nim pałętać żadna upierdliwa eks i nie trzeba będzie brać pod uwagę alimentów w obliczaniu wspólnej emerytury”). Wyprowadziła się do Yorkshire, gdzie zgrywa panią na włościach, próbuje odtworzyć georgiański splendor i bezlitośnie organizuje życie pozostałym mieszkańcom wioski, oczywiście wbrew ich woli.

W oczach mamy Geoffrey był dobrą partią. Zaradny, wypłacalny, głosuje na torysów, ma ładny dom („Jak możesz funkcjonować bez piekarnika Aga, kochanie? To musi być takie trudne! Jesteś bardzo odważna. Możesz w ogóle ugotować coś z przepisów Mary Berry? Czy jesteś skazana na Delię, biedaczko? A może gotujesz z Nigellą? Wprawdzie jej ojcem jest kochany Nigel Lawson, ale kiedy ona gotuje, jest taka obślizgła. Wygląda jak rozbuchany seksualnie labrador!”), po prostu idealny dla perfekcyjnej pani domu. I co zdaniem mamy najważniejsze, Geoffrey „nie naciska na robienie TEGO”. Mimo to nigdy nie zapałałam do niego sympatią. Na pewno nie pomogło, kiedy z dumą oświadczył, że jego ukochana córka aktywnie udziela się w młodzieżówce Partii Konserwatywnej. Na początku się zaśmiałam, bo myślałam, że żartuje, a kiedy zaprzeczył, powiedziałam „Serio?”, bo nie sądziłam, że ktokolwiek naprawdę robi takie głupoty (no, może z wyjątkiem Williama Hague’a), a Geoffrey strasznie się naburmuszył. Poza tym, mimo że mama wyszła za niego, kiedy miałam dwadzieścia dziewięć lat i sama byłam już od kilku lat mężatką, Geoffrey czuł się w obowiązku, żeby udzielać mi ojcowskich porad. Kiedyś

zasugerował, że szybciej zajdę w ciążę, jeśli odejdę z pracy i zostanę w domu. Podobno w jakimś artykule przeczytał, że siedzenie cały dzień przed komputerem przyspiesza tykanie zegara biologicznego. Niezbyt przydatna porada, szczególnie że wcale nie staraliśmy się wtedy z Simonem o dziecko.

Nie zamierzam do niej oddzwaniać. Jestem Bardzo Ważna i Bardzo Zajęta, więc mam ważniejsze sprawy na głowie, niż tańczyć, jak mi zagrają Jessica i mama. Zastanawiam się, czy zaprosiła nas tak wcześnie tylko dlatego, żebyśmy nie spędzili świąt z tatą i Natalią. Wcale bym się nie dziwiła. Od bardzo dawna każdego roku podczas świąt mama i Geoffrey wpływali na turystyczne rejsy po morzach i oceanach, więc pewnie uznała, że tata, który wiedział o tym, nawet jeszcze nie zaczął myśleć o świątach, dzięki czemu mogła go wyprzedzić i zaprosić mnie oraz Jessicę do Yorkshire. Oczywiście chodziło jej tylko o to, żeby pokrzyżować mu plan spędzenia Wigilii z córkami i wnukami. Choć są już dwadzieścia osiem lat po rozwodzie, mama wciąż chowa urazę. Zapomina tylko, że tacie zapewne nawet nie przejdzie przez myśl, że dobrze by było spędzić święta z nami, bo sam zarezerwował rejs po jakimś egzotycznym morzu.

ŚRODA, 23 LISTOPADA

Ponieważ czuję się gruba, napuchnięta i ospała od ukradkowego wtrącania batoników w pracy, postanowiłam zapytać Alana, gdzie chodzi na siłownię, a on radośnie poinformował mnie, że w czasie lunchu chodzi na zajęcia, które trwają tylko dwadzieścia minut.

Dwadzieścia minut! Tyle na pewno wytrzymam! Może nawet będę miała ochotę zostać dłużej. Dwadzieścia minut ćwiczeń to przecież żaden nadludzki wysiłek.

W porze lunchu spakowałam błyszczącą nowością torbę sportową i ruszyłam za Alanem. Sam zakup nowych adidasów sprawił, że czułam się chudsza!

- Zajęcia nazywają się TW. To trening wytrzymałościowy o wysokiej intensywności, w której ćwiczenia przeplata się krótkimi interwałami odpoczynku - poinformował Alan.

- Odpoczynku? Zajęcia trwają zaledwie dwadzieścia minut i jeszcze się odpoczywa? - zdziwiłam się.

To dla mnie pestka. Kiedyś chodziłam na step aerobik. Zajęcia trwały godzinę i nie było ani chwili przerwy. Ci milenialsi to niezłe mięczaki! - odezwała się we mnie próżność.

Okazało się, że było trudniej, niż myślałam. Musieliśmy robić najokropniejsze ćwiczenie na świecie zwane „padnij - powstań” i bezlitosne przysiady z podskokiem, które polegają na kucaniu, a potem wyskakiwaniu w górę. Były też pajacyki, które w szkole podstawowej musieliśmy robić za karę. Istny koszmar! A wspomniane przez Alana „interwały odpoczynku” trwały po dwie sekundy, czyli mniej więcej tyle, ile potrzeba, żeby przed kolejną dawką tortur zdążyć pomyśleć o nadciągającej śmierci.

Najgorsze było na końcu. Wreszcie mogliśmy się położyć, chociaż sadysta każący nazywać siebie „instruktorem” od razu zaczął na nas krzyczeć, że będziemy robić ćwiczenia na mięśnie dna miednicy. Nawet się ucieszyłam. To jedno

umiem. Kilka relaksujących ćwiczeń na koniec i po robocie. Nie wiedziałam tylko, że mężczyznom też coś dają takie ćwiczenia. Może zacieśniają im prostatę czy coś w ten deseń.

Oprawca instruktor pochylił się nade mną i ryknął:

- Umiesz robić ćwiczenia na mięśnie dna miednicy?!

Arogancko odparłam, że oczywiście, po czym niemal zemdlałam, kiedy nikczemnik podał mi olbrzymi ciężarek. Co, do cholery? Co ja z nim... Gdzie mam go... włożyć? Czy to na pewno bezpieczne? I higieniczne? A mężczyźni? Gdzie oni go włożą?

Odetchnęłam z ulgą, kiedy okazało się, że trener miał na myśli ćwiczenia na dolne partie mięśni pleców i brzucha, które wykonuje się, leżąc na podłodze. Zastanawiałam się, czy nie podejść do niego po zajęciach i nie porozmawiać o tym, że wprowadza ludzi w błąd, ale moim największym pragnieniem był gorący prysznic, po którym mogłabym się położyć w pozycji embrionalnej w ciemnym pokoju i cicho popłakiwać. Zaczęłam się też obawiać, że moje nogi się popsuły.

Kiedy czerwona jak burak, kuśtykając z bólu i sapiąc ze zmęczenia, wychodziłam z pomieszczenia, a zadowolony z siebie Alan zapytał, jak mi się podobało, miałam ochotę resztkami sił złapać jeden z ciężarków i rozkwasić mu twarz, ale akurat zadzwoniła mama.

- Halo - wystękałam.

- Chryste, Ellen, zwariowałaś? Uprawiasz seks? Zmieniłaś się w jedną z tych kobiet, które znajdują spełnienie w obskurnych hotelikach na tajnych schadzkach w czasie

lunchu?

- Nie, mam. Wychodzę z siłowni!

- Ach tak, rozumiem. Nie ukrywam, że odrobina ruchu ci nie zaszkodzi.

- Po co dzwonisz, mam?

- Ależ ty jesteś miła! A ja specjalnie dzwonię do ciebie w porze lunchu, bo zabroniłaś mi dzwonić do pracy, choć nie rozumiem, co takiego niby tam robisz, że nie możesz przez chwilę ze mną porozmawiać. Ale mniejsza o to. Dzwonię, bo ciągle jeszcze nie odpowiedziałaś na mojego mejla dotyczącego świąt. Jessica z tobą nie rozmawiała? Muszę wiedzieć, Ellen, bo zamierzam dzisiaj złożyć zamówienie w Waitrosie! Przychodźcie czy nie?

Kiedy powiedziałam Simonowi o zaproszeniu, nawet się ucieszył, bo przeważnie kończymy w święta z Jessicą, Neilem i ich dwoma czartami (to znaczy moim ukochanym siostrzeńcem i siostrzenicą) na głowie oraz wszystkimi tymi, których spotkałam w grudniu, będąc na rauszu, i uznałam, że to świetny pomysł, żeby ich też zaprosić. W związku z powyższym święta kosztują nas fortunę, bo zapraszam za dużo ludzi, których później muszę wyżywić (najgorzej było, kiedy spadła nam na głowę siostra Simona, Louisa, wraz z szóstką wiecznie umorusanych bachorów i odpychającym mężem Bardem. Rzadko kiedy jestem za coś komuś wdzięczna, ale do końca życia będę się cieszyć, że Louisa rzuciła Barda i wyprowadziła się do Francji, gdzie może zawracać głowę tylko nieszczęsnym rodzicom Simona, więc już nigdy więcej nie będę musiała z nią spędzać Wigilii. To

były najgorsze święta w moim życiu – Louisa, Bardo i ich dzieci byli bezglutenowymi weganami, którzy żywili się głównie soczewicą. Istny klops dla moich toalet). Po drugie jestem tak bardzo zestresowana ogromem tego, co jeszcze mam do zrobienia, że na koniec wybucham i krzyczę na wszystkich wokół. Raz rzuciłam nawet tacką ciastek w Simona, kiedy zasugerował, że powinnam „się wyluzować”.

Simon słusznie zauważył, że jeśli pojedziemy do mamy i Geoffreya, to zaoszczędzimy mnóstwo kasy, a ponieważ moja mama nie ufa mi w kuchni (do dziś, mimo że byłam wtedy nastolatką, wypomina mi, jak podpaliłam garnek ze spaghetti), nie będę musiała uwijać się jak mrówka, krzycząc, że „Chciałam tylko obejrzeć *To cholernie wspaniałe życie*, czy to naprawdę tak wiele?”. Powiedział, że może nawet uda mi się naprawdę obejrzeć *To wspaniałe życie*, co byłoby prawdziwym wigilijnym cudem. Poza tym jeśli pojedę do mamy, będę mogła w spokoju pracować, zamiast czytać nieskończone ilości mejli od Jessiki o bezglutenowych nadzieniach.

Zacisnęłam więc zęby i powiedziałam mamie, że chętnie wpadniemy, na co zrzuciła aż do tej chwili utajnioną bombę i poinformowała mnie, dlaczego w tym roku nie jadą z Geoffreym na rejs. Otóż Sarah, to CUDOWNE DZIECIĘ Geoffreya, którą mama kocha jeszcze bardziej niż Jessicę, jest PRZY NADZIEI.

- To takie ekscytujące! Nasza pierwsza wnuczka! Takie wspaniałe wieści! - trajkotała mama.

- Mamo, przecież macie już czworo wnuków - zauważyłam.

- Och, Ellen, nie bądź taka. Przecież doskonale wiesz, o co mi chodzi.

Nie, nie miałam bladego pojęcia, o co jej chodziło. Zresztą jak zwykle, ale miałam ważniejsze zmartwienia na głowie. Podpierałam ścianę sali gimnastycznej i obawiałam się, że zaraz się przewrócę.

- Mamo, muszę już kończyć - wydusiłam, szukając wzrokiem najkrótszej trasy do przebieralni.

- Tak, kochanie, ja też. Muszę złożyć zamówienie w Waitrosie! - zaświergotała mama.

Chyba zaraz odpadną mi nogi.

SOBOTA, 26 LISTOPADA

Jane zachowywała się dzisiaj okropnie. To znaczy była wrzeszczącą, pełną wyrzutów i pyskującą kwintesencją wściekłości - i niby nic w tym dziwnego, bo można by rzec, że w takim stanie wyszła na świat z matczynego łona - ale działało się to w skali, jakiej jeszcze nie widziałam. Nie mogłam się zdecydować, czy Jane czuła się niekochana, bo samolubna matka ją porzuciła i zostawiła na wychowanie zgrai wilków, czy może zaczęła przeżywać burzę hormonów. Nie jestem jeszcze gotowa na comiesięczną dawkę furii - ona jest za młoda, a ja nie jestem wystarczająco silna. Tak czy inaczej, po długiej serii krzyków, wrzasków i trzaskania drzwiami, w końcu udało mi się dotrzeć do sedna sprawy. Mianowicie Peter rzucił jakiś niewinny komentarz na temat Jacka O'Connora ze swojej klasy, i Jane odbiła palma.

- Jack O'Connor jest BEZNADZIEJNY! A jego siostra Megan jest jeszcze gorsza! Nienawidzę i jej, i tej całej rodziny!

Co do cholery? Zawsze myślałam, że O'Connorowie to przemili ludzie. Boże, a jeśli tak nie jest? Jeśli ich dzieci są okrutne i znęcają się nad Jane, a ja tego nie zauważyłam zaślepiona faktem, że jeżdżą audi, kupują ciuchy w drogich sklepach i wydają się przeciętnymi członkami klasy średniej? Co, jeśli w rzeczywistości ich dzieci są psychopatami dręczącymi Jane przy każdej możliwej okazji, a ja tego nie zauważyłam? Co, jeśli Jane czuła, że nie może o tym nikomu powiedzieć, bo zmieniałam się w okropną i nieczułą pracującą matkę, której nie można już ufać? Może Jane wyczuła, że w pracy udaję, że nie mam dzieci? Co, jeśli moja mała niewinna córeczka przeżyła traumę, która wyryje głęboki ślad na jej psychice na resztę życia, a wszystko przez to, że zostawiałam ją z niańką, kiedy miała pół roku, żebym mogła pracować na pół etatu, bo potrzebowałam pieniędzy, żeby pławić się w luksusie (jakim jest jedzenie i dach nad głową), a teraz robię karierę kosztem własnych dzieci? W dodatku pozwoliłam dzieciom porzucić niektóre aktywności pozalekcyjne, w których biorą udział dzieci wszystkich członków klasy średniej (mimo że podobno są nudne), a co gorsza, nie zapisałam moich kochanych maluszków na jeszcze więcej zajęć i zaprzepaściłam ich szanse na to, żeby stali się przykładowymi członkami społeczeństwa! O mój Boże! Jestem okropną matką i właśnie zniszczyłam Jane życie! TO WSZYSTKO MOJA WINA!

Podczas gdy zadręczałam się myślami o tym, jak bardzo zawiodłam jako matka i zastanawiałam się, czy powinnam poszukać w Internecie artykułów o tym, jak porozmawiać z Jane w odpowiedni do sytuacji delikatny i empatyczny sposób, do rozmowy wtrącił się Peter:

- Dlaczego już nie lubisz Jacka i Megan, Jane? Może dlatego, że jesteś głupia jak but? I śmierdzisz kupą?

- Peter! Nie mów tak do swojej siostry! - krzyknęłam.

- Ale ona nazywa mnie Pierdzisławem, królem wszystkich bąków! - poskarżył się Peter.

- Nic mnie to nie obchodzi! Macie ze sobą nie rozmawiać w ten sposób! - Dobry Boże! A jeśli Peter też przeżył traumę? To pewnie przez to, że nie nosiłam ich w chuście tak długo, aż dorosną na tyle, by kupić sobie w pubie kolejkę. Co ze mnie za rodzic?! Przez wiele lat myślałam, że życie Petera toczy się wokół jedzenia, rozmów o kupie, Pokémonów i obrażania siostry, ale może nie zauważyłam drzemiącej w nim wrażliwości? Co prawda kiedy ostatnio spanikowałam, że jest otępiały emocjonalnie, i zaproponowałam, żebyśmy porozmawiali o uczuciach, powiedział, że czuje, że zaczyna cisnąć go na kupkę, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

- Jane, kochanie - zwróciłam się do niej, zakładając maskę troskliwej i kochającej matki. - Powiedz mi, co takiego zrobili ci Jack i Megan, że jesteś na nich zła?

- Nie chcę o tym rozmawiać. A Peter naprawdę jest Pierdzisławem, królem wszystkich bąków. Pierdzisław, Pierdzisław! - skandowała.

Chryste, jestem pewna, że chciała odwrócić moją uwagę od

swojego cierpienia. Co prawda poprzez zadawanie cierpienia bratu, ale to chyba też się liczy. Może powinnam przynieść lalkę Barbie i poprosić córkę, żeby pokazała, gdzie ją zranili?

Spróbowałam jeszcze raz z tym samym wyrazem twarzy:

- Wiesz, że możesz mi powiedzieć. Mamusia zrozumie. Kocham cię, Jane. Ze mną możesz porozmawiać o wszystkim.

- Ha! Widzisz? Mamusia kocha mnie! A ciebie wcale, Peter!

- Maaaaaamo! Ona mówi, że mnie nie kochasz! To niesprawiedliwe! - zawył Peter.

Słodki Jezu w morelach! Te wszystkie pieprzone artykuły o komunikacji z dziećmi, słuchaniu ich potrzeb, zachęcaniu, żeby się przed tobą otwierały, nigdy nie wspominają o tym, co zrobić, kiedy twoim dzieciom bardziej zależy na tym, żeby dowalić sobie nawzajem, zamiast szczerze z tobą porozmawiać. Te przekłete bachory z artykułów wprost nie mogą się doczekać, kiedy powiedzą mamusiom i tatusiom o swoich lękach i marzeniach. I wcale nie uważają, że fajniej będzie powymyślać okrutne, choć zabawne przezwiska, i oskarżać siebie nawzajem o puszczanie bąków! Obawiam się, że te wrażliwe i emocjonalnie stabilne dzieci w ogóle nie istnieją. Tak samo jak bohaterki powieści Judy Blume, które w podskokach biegną do domu, by powiedzieć mamusi, że właśnie dostały pierwszej miesiączki. Jakby miesiączka była fantastycznym przeżyciem, o którym można rozmawiać godzinami. Przecież NIKT tego nie robi! A już na pewno nie w tak trudnym wieku. Mnie i moim koleżankom słowo „miesiączka” nie przechodziło przez gardło, dopóki nie

skończyliśmy dwudziestu lat. Oświadczenie z dumą, że dostało się jej po raz pierwszy, na pewno nie wchodziło w grę. Jestem pewna, że tym ostatnim, o czym pomyśli Jane, to wparowanie do domu i obwieszczenie: „Mamo! Jestem kobietą!”. Przynajmniej mam taką nadzieję, bo byłoby to potwornie niezręczne.

- Oczywiście, że cię kocham, Peter - powiedziałam stanowczo. - Jane się tylko droczy.

- Wcale się nie droczę! Mama cię nie kocha, bo nie jesteś jej prawdziwym dzieckiem. Znalazła cię na śmietniku - rzuciła Jane.

- MAAAAAAAMO! - krzyknął Peter.

- Jane, do cholery! Zamknij się wreszcie! - ryknęłam.

- A podobno chciałaś rozmawiać! Sama mówiłaś: „Ze mną możesz porozmawiać o wszystkim”. Powiedziałaś to dosłownie sekundę temu. A teraz mówisz, że mam się zamknąć. Zdecyduj się, bo ja już nic nie rozumiem - oburzyła się Jane.

- GHRGHR! Tak, chcę z tobą porozmawiać, ale ty nieustannie dręczysz brata i mówisz mu, że znalazłam go na śmietniku.

- To niesprawiedliwe! Może w ogóle mam przestać się odzywać?

- Ale mamo! Ona mówi, że znalazłaś mnie na śmietniku! Prawda, że kłamie? Powiedz jej, że to nieprawda. Nie możemy jej powiedzieć, żeby się wyprowadziła? Ona jest okropna! - biadolił Peter.

- Oczywiście, że nie znalazłam cię na śmietniku. Jane się

tylko wygłupia - zapewniłam syna.

Na co Jane wrzasnęła:

- Miałaś rozmawiać ze mną, a słuchasz tylko tego śmieciarza!

Żeż kurwa mać! Bolała mnie już głowa.

- ONA NAZWAŁA MNIE ŚMIECIARZEM!

- JAK DLA MNIE, MÓGŁBYŚ SIĘ WCALE NIE URODZIĆ!
NIGDY NIE CHCIAŁAM MIEĆ BRATA!

- A JA NIE CHCIAŁEM MIEĆ SIOSTRY! TY WSTRĘTNA
RURO!

- MAMO, ON MNIE NAZWAŁ WSTRĘTNĄ RURĄ!

- NATYCHMIAST SIĘ USPOKÓJCIE! ZAMKNIJCIE SIĘ
OBOJE, DO JASNEJ CHOLERY! I SKOŃCZCIE SIĘ
WRESZCIE PRZEZYWAĆ! ZARAZ PRZEZ WAS ZWARIUJĘ!

- Ale...

- Ale...

- Ale, ale, dupa i żale! Cisza!

- Mama powiedziała „dupa”! - zarechotał Peter.

- A ty nie masz dupy! Nie masz dupy, bo jak spałeś,
rozwiązałam ci pępek i ci odpadła razem z resztkami
pępowiny!

- DOŚĆ TEGO!

W końcu udało mi się zaprowadzić względny spokój.
Postanowiłam spróbować jeszcze raz, bo Bóg jeden wie, że
staram się być dobrą matką, mimo że porzuciłam dzieci dla
kariery i często odnoszę wrażenie, że wychowuję czarty
piekielne, a nie ludzkie istoty.

- Jane, powiedz mi, jaki masz problem z dziećmi

O'Connorów?

- Żaden.

Peter otworzył usta, ale wcisnęłam mu do dzioba garść ciasteczek, żeby stłumić wszelkie potencjalne obelgi, które mogły cisnąć mu się na usta, i dodałam:

- Synu, rozmawiam z Jane. Z tobą porozmawiam później. Jane, widzę, że coś cię musiało zdenerwować. Proszę, powiedz mi, co takiego.

- Śniło mi się... - wymamrotała pod nosem Jane.

- Przepraszam, co?

- Powiedziała, że śniło mi się, że Megan zaprzyjaźniła się z Sophie i była dla mnie niemiła i zabrała moją ulubioną gumkę do ścierania i Sophie nie chciała ze mną rozmawiać.

- Aha... Czy dobrze słyszę, że to się wydarzyło w twoim śnie? Czy Megan zrobiła ci też coś niemiłego w rzeczywistości?

- Nie, ale jak już mówiłam, we śnie była dla mnie okropna. Dlatego jej nienawidzę.

- Jane, kochanie, nie możesz nienawidzić ludzi za coś, co zrobili ci we śnie. Oni nie są odpowiedzialni za to, co ty wyśniłaś - wytłumaczyłam, chociaż czułam się trochę jak hipokrytka, bo niejedną raz przez kilka dni stroiłam fochy, bo przyśniło mi się, że Simon zrobił coś okropnego w moim śnie (najgorzej było, kiedy uciekł z Hannah - jak mogli mi to zrobić? Mój mąż i moja najlepsza przyjaciółka! Byłam wściekła za to, co zrobiły mi ich senne alter ego).

Peter właśnie skończył przeżuwać ciastka i wybuchnął:

- Jesteś BEZNADZIEJNA! Nie możesz się obrażać na

Megan i Jacka za coś, co Megan zrobiła we śnie! To śmieszne!

- A właśnie że mogę! Słyszałam, jak mama się pruć do taty za coś, co zrobił we śnie, więc ja mogę się pruć do Megan!

- Jane, proszę cię, nie mów „pruć się”. To nieładnie - spróbowałam wprowadzić odrobinę dyscypliny.

- Ty mówisz dużo gorsze rzeczy - odpaliła Jane.

- Ja jestem dorosła i mogę.

- Jesteś zwyczajną hipokrytką! - zaprotestowała.

- Tak czy inaczej, nie możesz się obrażać na Megan za coś, o czym ona nawet nie wie.

Jane nie była przekonana.

Później podsłuchałam, jak Peter rozmawia z Simonem.

- Tato, czy wszystkie kobiety są psychiczne? - spytał.

- Czemu o to pytasz, synku?

- Mama i Jane są psychiczne.

- Nie powinieneś mówić o ludziach, że są psychiczni, to niemiłe - odparł Simon wymijająco.

- Ale one są psychiczne! Jak w takim razie mam o nich mówić?

Simon nie zaprzeczył, że jego ukochana żona i najdroższa córka są „psychiczne”. Zamiast tego zasugerował, że lepszym określeniem będzie „napięte emocjonalnie”.

- Jak chcesz - powiedział Peter. - Czy wszystkie kobiety są tak „napięte emocjonalnie” jak mama i Jane?

- Drogi synu, nie masz najmniejszego pojęcia o tym, jak bardzo kobiety potrafią być szurnięte. I obawiam się, że z czasem będzie już tylko gorzej.

- Dlaczego ty możesz mówić, że są szurnięte, a ja muszę nazywać je „napiętymi emocjonalnie”? I co to niby znaczy, że będzie jeszcze gorzej? Czy zrobią się jeszcze bardziej popieprzone, niż są?

- Peter, nie mów o nich, że są „popieprzone”. Kto cię w ogóle nauczył takich wyrazów?

- Mama. Słyszałem, jak mówiła, że ciocia Louisa jest popieprzoną hipiską. Czyli można tak mówić, prawda? Popieprzona. Powiedziała też, że ocipiejesz, kiedy dowiesz się, że znowu porysowała samochód. Ocipiałeś?

Dzięki, Peter. Wielkie, kurwa, dzięki! Czekałam na odpowiedni moment, żeby powiedzieć Simonowi, że miałam małe tête-à-tête z pacholkiem na parkingu, ale musiałeś mnie wydać, ty parszywy gnojku!

- Mama znowu porysowała samochód? Co, do cholery? Kiedy? Jak? Kiedy zamierzała mi o tym powiedzieć?

- Nie wiem - odparł wymijająco Peter.

Wspaniale. Dostarczył wystarczająco dużo informacji, żeby wywołać burzę, ale kiedy tylko usłyszał pierwszy grom, stracił zainteresowanie tematem i wrócił do poprzedniego:

- Dlaczego mówisz, że mamie i Jane się pogorszy? Z Jane nie może być już gorzej! Ona jest dla mnie okropna. Tatusiu, nie możemy się jej jakoś pozbyć? Moglibyśmy oddać ją do adopcji. Tylko musimy skłamać, że jest miła, bo nikt jej nie adoptuje, gdy będzie wiedział, jaka jest naprawdę.

- Peter, nieładnie mówić takie rzeczy o własnej siostrze.

- Ale ona jest dla mnie niemiła! Powiedziała, że robi mi kiblopranie, i to tylko dlatego, że byłem w jej pokoju i na coś

patrzyłem. A ja przecież niczego nie wziąłem. Nawet niczego nie dotknąłem, ja tylko patrzyłem!

- Co to, do licha, jest kiblopranie? - zdziwił się Simon.

- Kiedy wkładasz czyjaś głowę do kibelka i spuszczasz wodę. Sam widzisz, jaka ona jest.

- Ach tak...

- Właśnie dlatego powiedziałem, że gorzej już być nie może. A ty twierdzisz, że może. To co miałeś na myśli?

- E... Nic takiego, synu. Do tamtej rzeki wejdziemy, kiedy przyjdzie na to odpowiednia pora. To samo dotyczy twojej mamy. Do tego czasu najlepiej, żebyś się nie wychylał. Ja tak robię. I schowaj wszystkie ostre przedmioty. A teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym porozmawiać z twoją mamą o tym, jakim cudem znowu porysowała samochód.

Ja też nie wiem, co on miał na myśli. Schowałam się w spiżarni, dopóki nie usłyszałam, że Simon wchodzi do garażu. Wolałam uniknąć rozmowy o samochodzie. Zresztą to tylko małe zadrapanie. I może jeszcze tycie wgnieconko. Ledwie widoczne.

GRUDZIEŃ

PIĄTEK, 2 GRUDNIA

Po pierwsze: GHRGHRGHR! Do jasnej cholery, jak to się stało, że już jest grudzień? Nie jestem jeszcze gotowa na grudzień! Grudzień to przecież czas dekorowania ścian wieńcami z ostrokrzewu, kołędników o zaróżowionych od mrozu policzkach i baileysa - dużo pysznego baileysa. Tymczasem ja nie jestem na to wszystko ani trochę przygotowana. Mam masę roboty, bo nasz Wielki Projekt kończy się dopiero na początku stycznia. Wciąż chodzę na ten potworny fitness, chociaż nie jestem do końca pewna, po co to robię. Jednym z powodów na pewno jest to, że nie chcę, żeby Alan pomyślał o mnie, że łatwo się poddaję. Przyznam jednak, że jest mi odrobinę łatwiej, a kiedy przeczytałam artykuł o tym, ile wyskoków musiałabym zrobić, żeby spalić batoniki Mint Clubs, moja odwieczna ochota na nie nieco zmalała.

Świąteczny duch, który mnie zawsze nawiedzał, w tym roku chyba się gdzieś schował. Sama nie wiem. Grudzień niewątpliwie nas zagruził (byłam bardzo zadowolona z tej gierki słownej, chociaż Simon jej nie zrozumiał nawet wtedy, kiedy krzyczałam: „SŁUCHAJ, CO MÓWIĘ!”) toną mejli od rodziny, która domaga się sugestii w kwestii prezentów pod choinkę i tych przeklętych puddingów świątecznych, nie

wspominając o pocztówkach od ludzi, których nie widziałam sto milionów lat. Nie lubiłam ich nawet wtedy, więc nie rozumiem, czemu myślą, że będę zainteresowana najnowszymi niesamowitymi osiągnięciami ich Jemimy, Sebastiana czy Bóg wie kogo jeszcze. Żeby tego było mało, zamiast jednej przygnębiającej wigilii dla wszystkich pracowników firmy w drugorzędnym hotelu, mamy milion pieprzonych imprez. Dla naszego „teamu” zaplanowano wigilijny lunch (czuję, że Ed się popłacze), oprócz tego jest przyjęcie dla pracowników działu i osobne dla całej firmy. Wszystkie odbywają się w ładnych hotelach i restauracjach, więc prawdopodobnie czeka mnie jednocześnie morze alkoholu i udawanie, że jestem „normalnym człowiekiem”. No i jeszcze malutki szczegół – wszyscy myślą, że jestem bezdzietną singielką. Właśnie dlatego nigdy nie należy robić założeń co do innych, bo ostatecznie wy wychodzicie na dupków, ja wychodzę na dupka, i że tak powiem, sama przestaję wiedzieć, kim jestem, do cholery! A z plusów: jeśli będę wytrwale chodzić na zajęcia z TW, może uda mi się wcisnąć w jakąś względnie obcisłą kieckę i nie będę musiała kolejny raz wybierać ciucha, którego główną zaletą jest to, że „maskuje niedoskonałości figury”...

O rety, jeszcze tyle do zrobienia!

Po drugie, dzisiaj wreszcie była ta przeklęta Świąteczna Wenta. Powiedziałam „wreszcie”, bo przygotowywanie tej imprezy to był istny wyścig z czasem. Ale udało się.

Musiałam wziąć wolne popołudnie. Pozwoliłam sobie na

małe kłamstewko, że idę do lekarza, i przebiegle poinformowałam Alana i resztę, że chodzi o „kobięce sprawy”, żeby uniknąć wszelkich potencjalnych pytań. Wmawiałam sobie, że poniekąd tak właśnie jest, bo wszystkim wokół wydaje się, że dzieci to problem kobiet, a nie mężczyzn. Wymówki z „kobięcymi sprawami” używałam przez wiele lat, chociaż czuję o wiele większe zażenowanie, kiedy muszę powiedzieć o tym smarkatym milenialsom, niż kiedy chodziło o moich nieśmiałych kolegów w średnim wieku z poprzedniej pracy.

Rano, przed wszystkimi psiarzami, wymknęłam się do parku i nazbierałam wielką torbę bluszczu, co zapewne można nazwać kradzieżą, ale to przecież dla dzieci, więc w dobrej sprawie, a po południu Cara, Katie, Sam, ja i wystawcy pojawiliśmy się w szkolnej auli i udekorowaliśmy ją wszystkimi możliwymi lampkami choinkowymi, jakie wpadły nam w ręce.

W przyływie entuzjazmu kupiłam zszywacz przemysłowy. To najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek miałam! Jest niesamowity! Chcesz coś powiesić na ścianie? Bardzo proszę: zrobisz PYK i gotowe! (Może kiedyś przyczepię nim do ściany klejnoty Simona, bo kolejny raz powiedział, że jest zbyt zajęty, żeby odebrać dzieci ze szkoły, i przypomniał mi, że jego zdaniem dołączanie do komitetu było błędem). Za pomocą zszywacza udekorowałam aulę bluszczem, ignorując sceptyków, którzy marudzili, że podobno szkoła nie pozwala używać zszywacza. Wyobrażałam sobie przy tym twarz Simona, jako że kolejną zaletą zszywaczy jest to, że kiedy

ktoś cię irytuje, możesz podczas zszywania wyobrazić sobie, że jesteś jak Robert De Niro w *Taksówkarzu* i mrużyć pod nosem: „Na mnie patrzysz?“, co jest niezmiernie satysfakcjonujące. Natomiast Kiki wszystkim przeszkadzała i stroiła się w bluszcz, aż wreszcie złowieszczo wcelowałam w nią zszywacz i powiedziałam, żeby się wzięła do roboty.

Wystawcy przyjechali ze wszystkimi swoimi dobrami. Myślałam, że to będą urocze, wesołe, przyjazne i uśmiechnięte starsze panie, ale okazało się, że w tym świątku wszyscy skaczą sobie do gardeł i byłam zmuszona interweniować w kilku kłótniach, kiedy próbowali bezprawnie wepchnąć się na przestrzeń konkurenta z dodatkowymi wieszakami na ubrania. W przyszłym roku będę musiała to lepiej zaplanować, bo wygląda na to, że stawianie obok siebie „Manufaktury świec Kooky” i bomb kąpielowych „To bomba!” było znaczącym faux pas. Okazało się, że nienawidzą się nawzajem od dnia, w którym Kooky pomyliła apetycznie jaskrawą bombę kąpielową z ciasteczkiem, więc kupiła ją i nadgryzła. Zrobiło się niezłe bagno, bo Kooky puściła pianę z ust i długo jeszcze pluła brokatem. Oskarżyła „To bombę!” o próbę morderstwa, choć z uwagi na nazwę firmy powinna to przewidzieć. Z kolei „To bomba!” zarzuciła Kooky, że bezwstydnie ukradła jej bombę kąpielową. Od tamtej pory są śmiertelnymi wrogami.

Pomijając powyższe, obyło się bez dramatycznych spięć. Sam był przeszcześliwy, że nikt na niego nie nasiusiał, kiedy robił za Mikołaja, chociaż długo narzekał, że dwie godziny w kombinezonie z poliestru sprawiły, że ugotowały mu się

jajka. („To właśnie dlatego nigdy nie noszę ubrań z tworzyw sztucznych, Ellen!”). Później stwierdził, że znając jego szczęście, to właśnie teraz opłaci mu się szwendanie po Sainsbury’s i w alejce z oliwą extra virgin spotka miłość swojego życia, tyle że akurat będzie drapał się po swędzących klejnotach, więc jego ukochany ucieknie gdzie pieprz rośnie.

Peter i Jane przepadli w tłumie rozwrzeszczanych dzieci na cukrowym haju i staruszek (swoją drogą, skąd się biorą te tabuny starszych pań na kiermaszach świątecznych? Przy żadnej innej okazji nie widuję tylu naraz. Może mają jakiś specjalny autobus, którym podróżują po kraju, odwiedzając każdy możliwy kiermasz i zabierając po drodze kolejne emerytki, żeby powiększyć szeregi i skuteczniej blokować alejki, narzekając przy tym, że stoisko z domowymi wypiekami jest beznadziejne, bo kto to widział, żeby sprzedawać taki zakalec po trzy funty, powinni się wstydić, bo to jest wstyd, a nie biszkopt. I szkoda, że nie ma ciasta z owocami). Raz na jakiś czas moje dzieci wracały, żeby poprosić o pieniądze. Później odkryłam, że Peter wydał większość kieszonkowego na losy na loterii i z podejrzanym entuzjazmem oddawał się hazardowi, co może oznaczać, że będziemy mieli w przyszłości problemy z bukmacherami. A może powinnam pielęgnować w nim smykałkę do hazardu, tylko pokierować nim tak, żeby został profesjonalnym pokerzystą jak Victoria Coren Mitchell? Podobno zarabia na tym mnóstwo pieniędzy. Musielibyśmy tylko popracować nad jego pokerową miną, bo na dzień dzisiejszy potrafię

zdiagnozować, że chce mu się kupę na dziesięć minut wcześniej (swoją drogą, dotyczy to też Simona), a kiedy uda mu się puścić cichego, ale radioaktywnego bąka, nie jest w stanie powstrzymać głupiego uśmiešku zadowolenia wywołanego swym najnowszym osiągnięciem. Kiedyś liczyłam na to, że może zostanie światowej sławy playboyem, bo potrafi stopić serce każdej starszej pani, ale tak było, zanim pojawiły się u niego pierwsze oznaki zamięłowania do puszczenia bąków. Mógłby spróbować połączyć karierę playboya i pokerzysty, bo o ile wiem, obie wymagają spędzania wielu godzin w kasynach, w takich miejscach jak na przykład Monte Carlo. Muszę jednak przyznać, że nie poświęciłam wiele czasu na zdobywanie informacji dotyczących obu tych ścieżek kariery.

Kiki musiała na chwilę wyskoczyć do domu. Podejrzewam, że chciała przebrać siebie i dzieci w bardziej fotogeniczne ciuszki, bo kiedy wrócili, była ubrana w zadziwiająco obcisły sweterek w świąteczne wzorki i wlokła za sobą dwa naburmuszone elfy, to znaczy Lalabelle i Trixierose. Dołączył też do nich malkontent w garniturze i pod krawatem, który okazał się jej mężem o imieniu Keith. Przez resztę wieczoru posykiwał na nią:

- Chryste, Karen, odłóż wreszcie ten telefon! Nie możesz chociaż przez pięć minut wytrzymać bez robienia zdjęć?

Na co Kiki w rewanżu posykiwała:

- Nie nazywaj mnie Karen. Ludzie mają nazywać mnie Kiki, żebym była kojarzona ze swoją marką. Popsułeś mi Insta Story! Będę musiała zrobić drugie. Keith, a może wcale nie

chcesz wygrać tej wycieczki na Malediwy?

NIEDZIELA, 4 GRUDNIA

Po wielu latach raczej nieszkodliwego zaniedbywania ojciec chyba postanowił, że na starość zacznie odgrywać rolę głowy rodziny. Dzisiaj rano zadzwonili z Natalią, że „akurat przejeżdżają przez miasto” i może wpadliby do nas jutro na lunch. Do tej pory za przygotowywanie niedzielnego lunchu odpowiedzialny był Simon, który sprytnie wymyślił, że na popołudniową przekąskę idealne będą kanapki z serem.

Nawet mnie to rozbawiło i czekałam z niecierpliwością, aż odkryje, że nie jest to takie proste, jak mu się wydaje, bo Jane je te kanapki tylko wtedy, gdy ser został starty na tarce (broń Boże w plasterkach!), a w kanapkach Petera pod żadnym pozorem nie może być masła. Sam Simon lubi do kanapek z serem dodać ogórka konserwowego, ale jeśli dzieci odkryją, że ogórek choćby musnął ich kanapki, zagrożą, że zwymiotują na miejscu. Dlatego ja traciłam ochotę do życia, jeszcze zanim opowiedzieli mi o swoich kanapkowych preferencjach i nachodziła mnie nieodparta ochota, żeby powiedzieć im wszystkim, żeby pocałowali się w cztery litery i poumierali z głodu, a ser dam swojemu kochanemu psu, któremu jest wszystko jedno, czy zetrę go na tarce, czy pokroję w plasterki. Nie muszę go nawet kroić na mniejsze kawałki, bo poradzi sobie z każdym rozmiarem (co odkryliśmy, kiedy włamał się do lodówki i wyjadł wielką kostkę cheddara, nieotworzoną paczkę taleggio, spory kawałek brie i całego camemberta. Niedługo później zwrócił

to wszystko naraz, jakby chciał zrobić fondue. Aż się zaśmiałam). Wolę jednak nie dawać psu sera, bo puszcza potem śmierdzące bąki, a wtedy trudniej go kochać bezgranicznie.

Wracając do tematu: to, że mój tata, który „akurat przejeżdża przez miasto” i postanowił wprosić się na lunch, oznaczało, że musiałam pędzić co tchu do Sainsbury’s, żeby kupić mięso na pieczeń. Wykorzystałam tę okazję, żeby zostawić Petera i Jane z Simonem i zahaczyć o zajęcia z TW, bo kupiłam sobie sukienkę na wigilię dla pracowników, która bynajmniej nie „maskuje niedoskonałości figury”, a wręcz przeciwnie, jest dość obcisła. Kupiłam też przy okazji śmieszne zestawy małych prezentów, które odłożę w bezpieczne miejsce i albo znajdę w okolicach czerwca, albo całkiem o nich zapomnę, albo jeśli stanie się cud, faktycznie powkładam je kochanej rodzinie do wywieszonych skarpetek na prezenty. Oczywiście na nikim nie robi to wrażenia. Udało mi się za to złowić ostatnią pomarańczę z czekolady, hurra! Zwinęłam ją sprzed nosa trochę przerażającej kobiecie. Jestem pewna, że wpadłam już na nią kiedyś w bawialni. W końcu ile osób może mieć na karku tatuaż z napisem „Juztin Beebor 4ever”?

Ponieważ kobieta wyglądała na niebezpieczną, szybko uciekłam z miejsca zbrodni ku wielkiej uciechu Simona, który zupełnie nie rozumie potrzeby umieszczania w świątecznych skarpetach „uroczych rzeczy” i zawsze zadręcza mnie niepomocnymi komentarzami w stylu: „Nie możemy do skarpet włożyć zwykłych prezentów? Musimy znowu bawić

się w te drobiazgi?”. To tylko kolejny dowód na to, że Simon nie ma duszy, bo przecież wszyscy inni doskonale wiedzą, że skarpetki są nie po to, żeby wkładać do nich duże prezenty (nawet jeśli nie są duże - oficjalne prezenty to duże prezenty), które trafiają pod choinkę i nie ma odstępstw od tej zasady, bo kto ją złamie, ten zniszczy Boże Narodzenie na ZAWSZE!

Lunch wypadł stosunkowo miło. Peter zakochał się na zabój w Natalii i przez większość czasu bezwstydnie z nią flirtował. By udowodnić, że jest godny jej miłości, zjadł równowartość swojej wagi w pieczeni i puddingach Yorkshire. Niestety Natalia pozostawała niewzruszona nawet wtedy, gdy poinformował ją, że zjadł dwanaście puddingów, dziewięć pieczonych ziemniaków i cztery porcje pieczeni. Swoją drogą, nigdy nie przestanę się zastanawiać, gdzie on to wszystko mieści. Tak czy inaczej, ponieważ wybranka jego serca nie paliła się, żeby odwzajemnić jego dozgonną miłość, Peter oznajmił, że może zjeść jeszcze więcej puddingów i zaraz weźmie sobie dokładkę. Musiałam interweniować, bo zaczęłam obawiać się, że skończy się to wymiotowaniem. Nie wiem, gdzie on upycha to jedzenie. Potrafi pochłonąć monstrualne ilości zarcia i nigdy nie przybiera na wadze. Gdybym zjadła tyle puddingów co on, nie wcisnęłabym się w żadną spódnicę niezależnie od tego, czy chodziłabym na zajęcia z TW, czy nie.

Jedyny niezręczny moment nastąpił, kiedy tata zapytał, co robimy na święta, i musiałam powiedzieć, że jedziemy do mamy.

- Jessica też?

- No... tak.

- Racja. Trochę szkoda, bo liczyliśmy na to, że spędzimy święta z tobą i twoją siostrą. W końcu to pierwsza Wigilia, od kiedy Natalia dołączyła do naszej rodziny. Nie mogłabyś zmienić planów? I namówić Jessicę? - spytał płaczącym tonem.

Najpierw zakrztusiłam się winem, dopiero potem odparłam:

- Zmienić plany? Tato, czy naprawdę prosisz mnie o to, żebym powiedziała mamie, że jednak nie przyjadę na święta, bo zamierzam spędzić je z tobą i Natalią? Chryste! Chyba już zapomniałeś, jaka ona jest! Gdybym to zrobiła, wynająłaby płatnego zabójcę, żeby cię załatwił, a nas porwał i siłą zawiózł do Yorkshire. Nie chcę tam jechać związana w furgonetce. Mam chorobę lokomocyjną! Poza tym dobrze wiesz, że Jessica nigdy nie zmienia planów. Po dziś dzień jestem przekonana, że przekupiła personel szpitala, żeby nie odłączali aparatury trzymającej babcię przy życiu przez tydzień dłużej, żeby nie musiała odwoływać wakacji na Antigui! Jestem pewna, że zmiana planów nie wchodzi w grę.

- Och, Ellen, jak zawsze przesadzasz! Jessica nie jest taka zła. Chociaż twoja matka... W tym może masz rację. To zimne jak lód psychiczne babsko!

- Nawet dziadek może mówić „psychiczne babsko”! To niesprawiedliwe! Dlaczego mi nie wolno? - oburzył się Peter.

- Dziadkowi wolno, bo nie odpowiadam za to, jakiego używa języka. Za to odpowiadam za twój - odwarknęłam.

Zastanawiałam się, czy nie powinnam stanąć w obronie mamy, szczególnie że ojciec oczerniał ją przy Natalii, ale nie przychodziły mi do głowy żadne kontrargumenty. Wygląda na to, że jego ocena była całkiem obiektywna.

Chryste, nie mogę się już doczekać, aż pójdę do pracy i trochę odpocznę!

CZWARTEK, 8 GRUDNIA

Odziana w wyszczuplającą bieliznę (może jednak powinnam wybrać sukienkę, która trochę lepiej „maskuje niedoskonałości”, bo zajęcia z TW i rezygnacja z ciasteczek wcale nie przyniosły aż tak rewolucyjnych efektów, jak się spodziewałam) ruszyłam wesoło na wielkie przyjęcie wigilijne dla pracowników.

Było bosko! Trochę żałowałam, że mam na sobie tę bieliznę, bo nie mogłam rzucić wyzwania apetycznym przekąskom. Przez chwilę myślałam nawet, żeby skoczyć do kibelka i ją zdjąć, ale nie wiedziałam, co z nią zrobić. Była za wielka, żeby ją upchnąć do kopertówki, i za droga, żeby się z nią rozstać raz na zawsze. Istniało też ryzyko, że ktoś połączy fakty i zorientuje się, że po wypadzie do toalety wyglądam pulchniej niż przed, i pomyśli, że się z kimś bzykałam. Wątpię, żeby przyszło im do głowy, że chciałam jedynie poprawić krążenie w moich intymnych sferach. Zdecydowałam, że lateksowe gacie zostają.

Drugim minusem bielizny było to, że nie miałam miejsca na zagrychę i szybko się ululałam darmowym alkoholem. I to srogo.

Przypomniałam sobie później, że usiadłam koło Eda i spytałam go, czy jądra i penis na ścianie podczas mojej rozmowy kwalifikacyjnej to był wymyślony dla mnie test psychometryczny. Ed się speszył, po czym stanowczo zaprzeczył, na co ja powiedziałam, że szkoda, bo byłam przekonana, że to, jak sobie poradziłam z tym problemem, przeważało szalę na moją korzyść przy rekrutacji. Ed odparł, że nie. Tym, co przeważało szalę na moją korzyść, był fakt, że w przeciwieństwie do pozostałych kandydatów nie siliłam się na pustą korporacyjną nowomowę, i na tej podstawie uznał, że będę najmniej irytującym współpracownikiem. Cóż, chyba istnieją gorsze powody, żeby kogoś zatrudnić.

Później były tańce – jedyna rzecz, przed którą nie jestem w stanie się powstrzymać, kiedy się ubzdryngolę. Mój taniec był na pewno entuzjastyczny, choć najpewniej pozbawiony gracji i taktu. Tyle dobrego, że postanowiłam nie zdejmować lateksowych gaci i przynajmniej nie upokorzyłam się, święcąc tym i owym porwana przez gorące rytmy.

A później zdarzył się cud! W ramach rozrywki specjalnie dla nas zaproszono dawno zapomniany boysband z lat dziewięćdziesiątych. Byłam pewna, że chłopaki dawno porzucili muzykę i sprzedają ubezpieczenia czy coś podobnego, ale nie! Okazało się, że wciąż istnieją i grają koncerty. Co prawda na przyjęciach wigilijnych dla pracowników, co może nie jest ostatecznym obciachem, ale jakże dalekim od wielkich sal koncertowych, ale ja byłam w siódmym niebie!

- Co za wspaniała dawka ironicznego kiczu! - zachwycił się

Alan, kiedy zespół wyszedł na scenę.

Poczułam się urażona.

- Nie nazywaj muzyki mojej młodości „ironicznym kiczem”!
Któregoś dnia sam będziesz wniebowzięty tym, że... -
Próbowałam sobie przypomnieć nazwę jakiegoś młodego „fajnego” zespołu, ale ponieważ słucham tylko Radia 2, jedyną osobą, która przyszła mi do głowy, był Ed Sheeran, a nawet będąc podchmielona, wiedziałam, że zdaniem Alana on nie jest cool, więc wybrnęłam takim oto zdankiem: -
Wniebowzięty tym, że kogoś, kogo wciąż lubisz, możesz posłuchać za darmo, a on jest tak blisko, że mógłbyś go polizać!

- Ellen, nie można lizać zespołu! To niedozwolone! -
zaniepokoił się Alan.

Nie polizałam. Za to odśpiewałam z nimi wszystkie hity, łącznie z tymi, o których myślałam, że są piosenkami innych zespołów. Te boysbandy łatwo było pomylić nawet w latach dziewięćdziesiątych, a co dopiero teraz. Lydia też okazała się fanką, i jak mi się zdaje, zacieśniłyśmy więź poprzez wspólne śpiewanie.

To był wspaniały wieczór! Lepiej byłoby tylko wtedy, gdyby wystąpił Rick Astley albo Chesney Hawkes. Zrobiłam sobie selfie z zespołem. Chyba oprawię je w ramkę.

PIĄTEK, 9 GRUDNIA

GHRGHR! Co za podły drań wymyślił, żeby robić wigilię dla pracowników w czwartkowy wieczór? To bardzo głupi pomysł. Nie wiem, po co ktokolwiek w ogóle przychodził

dzisiaj do pracy. Wszyscy się obijali i snuli po biurze jak zombi, popijając herbatę i unikając patrzenia innym w oczy po wczorajszym pijackim zacieśnianiu więzi i wylewaniu żali. Musiałam zanieść Edowi jakieś dokumenty i byłam pewna, że nie ma go w biurze, ale w pewnym momencie usłyszałam chrapanie i dotarło do mnie, że zasnął pod biurkiem. Przywileje szefów, pomyślałam, spekulując przy tym, że Ed wcale nie musiał mieć większego kaca niż pozostali. Może przesypia tak każdy dzień i właśnie dlatego nie lubi wychodzić z gabinetu ani zjawiać się na spotkaniach?

A wieczorem czekała mnie jeszcze rozkoszna atrakcja, czyli wieczorek z mamami (oraz Samem i Julianem). Dobry Boże, te spotkania były wystarczająco męczące, kiedy z obowiązku pojawiałam się na nich, a teraz musiałam je jeszcze organizować! To, że nikogo nie udusiłam podczas tych wieczorków, to prawdziwy cud, po pierwsze dlatego, że każdy miał inne wymagania żywieniowe (dieta paleo, dieta odchudzająca, potencjalna alergia na jajka, „bo zawsze kiedy zjem omlet, czuję się trochę dziwnie”, tylko rodzime produkty, zero sosów, potrawy nie mogą się dotykać na talerzu i tak dalej. Jediną osobą, która nie robiła zamieszania z powodu jedzenia, była Helen O'Connor, która autentycznie choruje na celiakię), a po drugie, że musiałam ścigać wszystkich, żeby opłacili składkę (jedna osoba próbowała mi nawet zapłacić bitcoinami. CO, DO CHOLERY?!).

W końcu nadszedł ten wielki dzień! Pomimo desperackich manewrów, żeby usiąść pomiędzy Samem a Carą, skończyłam uwięziona na drugim końcu stołu pomiędzy Ericą

„Tylko Rodzime Produkty” Mitchell i „Totalnie Paleo” Julianem. Próbowałam zachować spokój, kiedy Erica tłumaczyła mi, co jest rodzimym produktem, a co nie (tikka masala z kurczaka jest w porządku, tak samo jak kebaby, bo nie są aż tak „zagraniczne”, za to sushi to istne dzieło szatana, bo jej dziadek walczył na wojnie). Julian z kolei przynudzał o tym, że zbiera grupę chętnych na pilates w niedzielne poranki, i pytał, czy jestem zainteresowana. Pytał też, czy nie myślałam kiedyś o modelingu, bo mam bardzo ciekawe kości policzkowe i mógłby zaproponować mi świetną zniżkę na sesję portretową. Tylko ja i on. Ugryzłam się w język nawet wtedy, kiedy podsłuchałam, że Abigail „Zły Gluten” Porter zamawia jako danie głównie rybę z frytkami, mimo że rybę przecież smaży się w cieście ociekającym glutenem, ale podobno nie jest to taki sam gluten jak w chlebie, tylko całkiem inny. Pocieszała mnie jedynie myśl, że Sam wylądował między Fioną Montague (która kolejny raz poinformowała mnie, że wyglądam na zmęczoną, i zaproponowała numer do swojej pani od maseczek, która robi cuda. „Kochana! Nie uwierzysz, jak one naciągają skórę twarzy!”) i Darcy „Śmiercionośne Jajka” Chisholm, która wymieniała wszystkie po kolei pozycje z menu i pytała, czy zawierają jajka, a później, mając Sama za słuchacza, narzekała, jak trudno ich unikać. I żaliła się, że lekarz, do którego chodzi, nie traktuje poważnie jej uczulenia tylko dlatego, że test alergiczny wyszedł negatywnie.

Po wczorajszym „już nigdy nie będę piła” twardo postanowiłam, że dzisiaj to już na pewno nie będę pić, bo

przecież alkohol jest zły, ale po pięciu minutach pękłam i w desperackiej próbie uśmierzenia bólu zamówiłam lampkę taniego pinot grigio.

Kiedy w końcu odpaliliśmy ostatnią bożonarodzeniową petardę z niespodzianką, ostatnia tandetna papierowa korona spadła pod stół i opowiedziano ostatni dowcip, a Erica zaczęła się bulwersować, że ma już dosyć poprawnych politycznie dowcipów i dopytywać, dlaczego nie może używać słowa „czarnuch”, gdy ma na to ochotę, uznałam, że pora poprosić o rachunek. Kiedy go dostałam, wszyscy popatrzyli na mnie z wyczekiwaniem, licząc na to, że powiem każdemu z osobna, ile ma się dorzucić. Przypominam, że byłam już po butelce wina stołowego.

- Może podzielimy się po równo? - krzyknęła Francesca Shaw, która uparła się, że nie będzie pić wina stołowego, zamówiła butelkę markowego wina Rioja za czterdzieści funtów i nie dzieląc się z nikim, sama je wytrąbiła, po czym wlała w siebie jeszcze trzy duże baileysy. Dodam tylko, że Francesca jeździ lexusem z napędem na cztery koła, mieszka w jeszcze większym domu niż Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson, a jej mąż jest potwornie zajęty i ważny, bo pracuje w bankowości inwestycyjnej.

Nieśmiało zauważyłam, że moim zdaniem niesprawiedliwie będzie dzielić rachunek po równo, bo nie wszyscy zamówili bardzo drogie wina i likiery, a niektórzy przyjechali samochodem i pili tylko napoje bezalkoholowe albo wodę. Dowiedziałam się, że to niedorzeczne i dlaczego Francesca ma płacić więcej niż pozostali? Kiedy w końcu udało mi się

wszystko policzyć i poinformowałam każdego z osobna, ile muszą się dorzucić, Deborah Green dodała jakże pomocnie:

- Oczywiście od każdej kwoty należy odliczyć depozyt, który już zapłaciliśmy.

- Nie - poprawiłam ją. - Depozyt zapłaciłam w zeszłym miesiącu i został już odjęty od rachunku.

- Ale przecież zapłaciliśmy depozyt, więc każdy powinien odliczyć sobie po dziesięć funtów - upierała się Deborah.

Kropłą przepełniającą czarę goryczy była Diana Baker, która w pewnym momencie skończyła klikać w telefon, podniosła wzrok i oznajmiła:

- Policzyłam wszystko jeszcze raz i wyszło mi, że każdy z nas powinien zapłacić o dwa funty mniej, niż chcesz nam policzyć.

Zacisnęłam zęby i wycedziłam:

- Przecież mówiłam, Diano, że do każdej kwoty doliczyłam po dwa funty, ponieważ rachunek nie uwzględnia kosztów obsługi. To będzie napiwek. Poza tym jeśli zaokrąglimy do dwóch funtów, będzie nam łatwiej podzielić się resztą.

- Ale to wychodzi sześćdziesiąt funtów napiwku! Dlaczego zostawiamy tak wysoki napiwek? - przeraziła się Eleanor Blackstone.

- Cóż... - zaczęłam tak spokojnie, jak tylko umiałam, chociaż miałam ochotę zacząć walić głową w cegłówkę, krzycząc: „Co z wami, do cholery?!”. - Może dlatego zostawimy im tak wysoki napiwek, bo wymagaliśmy dużo uwagi z racji tego, że jesteśmy dzisiaj największym stolikiem i przez cały wieczór musieli się uwijać wokół nas, przynosząc

nam drinki i kawę, więc po takiej nocy ZWYCZAJNIE IM SIĘ NALEŻY?!

- No tak, ale... sześćdziesiąt funtów?! Przecież to nie tak, że nie płaci im się za pracę - spierała się Diana.

- Minimalną stawkę! Zarabiają minimalną stawkę godzinową! Masz w ogóle pojęcie, ile to jest?! - podniosłam głos.

- Po prostu wydaje mi się, że wystarczy, jeśli każdy z nas zostawi po jednym funcie, a tym, że minimalna stawka nie wystarcza na przeżycie, powinien zająć się rząd. To przecież nie jest nasz problem... Zresztą zawsze mogą poszukać innej pracy, na przykład w maglu albo... Sama nie wiem...

- DO JASNEJ CHOLERY! To różnica jednego funta! Jednego pieprzonego funta! Podczas wakacji jeździsz na trzy tygodnie na Bahamy razem z CAŁODOBOWĄ niańką do dzieci, a będziesz wyklócać się o napiwek?! Poza tym jeśli każdy da po jednym funcie, nikt nie będzie mógł wydać równo i będziemy się rozliczać i wydawać sobie w nieskończoność, a ja chcę już WRACAĆ DO DOMU! KAŻDY ZOSTAWIA PO DWA FUNTY NAPIWKU I KONIEC!

Zrobili, jak kazałam.

Sam powiedział mi później, że cała ta scenka przypominała mu początek *Wściekłych psów*, z tą tylko różnicą, że zamiast wybijać wszystkich po kolei przez resztę filmu, zabiłabym ich na miejscu za jednym zamachem. Pewnie chodziło mu o moje piorunujące spojrzenie.

Przynajmniej nikt więcej nie poprosi mnie o organizację kolejnego wieczorku dla mam. Szkoda tylko, że

zapomniałam, że muszę jeszcze wydusić pieniądze na prezenty dla nauczycieli od tych skąpiradeł.

PONIEDZIAŁEK, 12 GRUDNIA

Zauważyłam w swojej pracy coś, czego nie zauważyłam jeszcze nigdy wcześniej. Zawsze kiedy Lydia - jedyna kobieta w naszym dziale, która ma dzieci (a raczej przyznaje się, że je ma) - wychodzi wcześniej albo przychodzi troszkę później, bo musi załatwić coś związanego z dziećmi, wszyscy mamroczą pod nosem i narzekają. Lydia wydaje się bardzo sympatyczną osobą, stara się i wykonuje wszystkie zadania na czas, w ogóle się nie obija, a jednak odnoszę wrażenie, że kiedy weźmie chwilę wolnego rano czy po południu, wszystkim wydaje się, że wymiguje się od obowiązków, zwalając to na dzieci. Natomiast kiedy któryś z mężczyzn w biurze wychodzi, żeby załatwić coś związanego z dziećmi, nikt nie traktuje go jak leniwca i obiboka. Wręcz przeciwnie, zostaje okrzyknięty Ojcem Roku, wystarczy, że pójdzie na przedstawienie bożonarodzeniowe albo wywiadówkę.

Pewnie nigdy wcześniej nie zwróciłam na to uwagi, bo sama wybiegałam z pracy na koncert bożonarodzeniowy, Dzień Sportu i Dni Otwarte. Nikt też nie powiedział Lydii, że gardzi tym, że bierze sobie wolne, żeby być z dziećmi, ale dobrze wyczuwam tę atmosferę poirytowania. Jak śmie być jednocześnie matką i pracować? Dopiero teraz usłyszałam kąśliwe uwagi pod adresem Lydii, mimo że wcześniej sama byłam adresatką podobnych, ale bez kontekstu, jakim są dodatkowe uwagi rzucane za jej plecami. Wcześniej nie

zdawałam sobie sprawy, jak bardzo takie zachowanie irytuje innych. I bynajmniej nie chodzi tylko o mężczyzn. Gaby z działu HR rzucała uszczypliwe komentarze, kiedy „zajrzała” do biura i zobaczyła, że Lydii „znowu” nie ma (choć prawdę mówiąc, myślę, że Gaby to prostu złośliwa jędza).

Lydia wcale nie bierze więcej wolnego, niż jej przysługuje. Nie zostaje później, jak Alan, ani nie przychodzi wcześniej, jak James, żeby zwalić wożenie dzieci do szkoły na swoją biedną żonę. Mimo to wszyscy zakładają, że skoro jest matką, na pewno nie będzie potrafiła połączyć pracy – którą wykonuje dobrze – z rodzicielstwem. Kiedy ostatnio powiedziałam, że w najbliższy piątek muszę wyjść wcześniej, bo mam wizytę u dentysty (choć w rzeczywistości chodziło o koncert świąteczny), usłyszałam:

- Oj, biedactwo! Nie cierpię chodzić do dentysty! Mam nadzieję, że nie będzie bolało! – i nikt nie zadawał więcej pytań.

Alan powiedział nawet, że jeśli nie zdążę skończyć pracować nad swoją częścią naszego wielkiego projektu, nie muszę się martwić i mogę dokończyć w przyszłym tygodniu.

Natomiast kiedy Lydia przyszła do biura o wpół do jedenastej rano prosto na spotkanie, bo musiała zahaczyć o świąteczny koncert w szkole dzieci (swoją drogą, chyba przeniosę dzieci do jej szkoły, skoro tam koncerty trwają tylko godzinę! U nas ciągną się w nieskończoność, szczególnie piosenka o tym pieprzonym Rudolffie czerwono nosym. Przysięgam, że z roku na rok ma coraz

więcej linijek. Pewnie specjalnie wymyślają nowe tylko po to, żeby robić nam wodę z mózgu), Alan złośliwie rzucił:

- Miło, że do nas dołączyłaś, Lydio. Oczywiście byłoby lepiej, gdybyś przyszła trochę wcześniej i przygotowała dla mnie dane, których potrzebuję do projektu „Łowca”, zanim rozpoczniemy spotkanie, ale najwyraźniej nie było to możliwe.

Lydia poradziła sobie z tym całkiem nieźle, bo wzruszyła ramionami i odparła:

- Tak mi przykro, Alan, ale przecież wysłałam ci te dane w piątek. Widocznie nie było cię już w biurze. Chyba wyszedłeś koło czternastej. Tak czy inaczej, sprawdź skrzynkę pocztową. Powinny tam być.

Było mi potwornie szkoda Lydii, bo nawet gdy to powiedziała i Alan wymamrotał pod nosem raczej złowrogo brzmiące: „Hm, no tak. Są. Dzięki”, zauważyłam, że zaciska zęby ze złości, że znowu musi się tłumaczyć. Powinnam powiedzieć Alanowi, żeby się zamknął i przestał być takim dupkiem, ale spanikowałam. Za krótko tu pracuję, żeby mówić ludziom takie rzeczy, no i poza tym, że jestem tchórzem, to jestem też kłamczuchą i nie chciałam zwracać na siebie uwagi, poruszając temat kobiet i dzieci, więc ostatecznie nie powiedziałam nic. Ograniczyłam się do cichego nienawidzenia samej siebie i wymyślania ciętych ripost, które mogłabym rzucić od adresem Alana. Posłałam Lydii sympatyczny uśmiech, ale obawiam się, że kiepsko mi to wyszło, bo popatrzyła na mnie z lekkim przerażeniem.

ŚRODA, 14 GRUDNIA

Co za szczęśliwy dzień! Ledwie przekroczyłam próg domu (nawet nie zdążyłam zdjąć butów), a Jane wcisnęła mi listę prezentów świątecznych. Byłam z siebie dumna, że wreszcie przestała nagabywać mnie o konto na Instagramie i rozumiała moje mądre lekcje o zbyt szybkim dojrzewaniu oraz o rozkoszach związanych z delektowaniem się ostatnimi chwilami dzieciństwa, i oczywiście o zagrożeniach związanych z kontaktowaniem się z obcymi ludźmi przez Internet, którzy mogą obejrzeć jej zdjęcia, znaleźć ją, zamordować i porzucić rozczłonkowane ciało w worku na śmieci (no dobrze, kilka z tych detali pominęłam w moim krótkim kazaniu o niebezpiecznych nieznajomych). No więc ucieszyłam się, że to wszystko wreszcie do niej dotarło, i postanowiła poczekać, aż skończy trzynaście lat.

I oto co trafiło na jej listę:

Konto na Instagramie

Kanał na YouTubie

Kamerka GoPro HERO

Dron GoPro

Statyw

Laptop z software'em do edycji wideo

Przejrzałam listę, po czym oddałam ją Jane i rzuciłam tylko:

- Nie.
- O MÓJ BOŻE, mamó! No, czemu nie? - wściekła się Jane.
- O MÓJ BOŻE, po pierwsze dlatego, że prosiłam cię, żebyś nie wtrącała co drugie słowo O MÓJ BOŻE i „no”. No bo

wiesz, to jest strasznie irytujące, no nie? A po drugie dlatego, że już mówiłam, że nie pozwolę ci założyć konta na Instagramie, dopóki nie będziesz wystarczająco duża. Ponieważ nie widzę na twojej liście maszyny do podróży w czasie, będziesz musiała jeszcze chwilę poczekać! Właśnie dlatego mówię „nie” zarówno kontom w mediach społecznościowych, jak i pioruńsko drogim aparatom i laptopom. Masz dopiero jedenaście lat!

- GHRGHR! Nie próbuj być śmieszna! Jesteś żalosna, kiedy próbujesz być śmieszna! I nie cierpię, kiedy udajesz, że mówisz tak jak ja. Jesteś wtedy jak dziwaczka w depresji! I na nikim nie robi to wrażenia. Poza tym to takie niesprawiedliwe, że nie pozwalasz mi założyć konta na Instagramie. Nie mogę uwierzyć, że jestem jedyną osobą w całej klasie, która jeszcze nie ma konta! - wściekała się Jane.

- To nieprawda, kochanie. Sophie też nie ma.

- Tylko dlatego, że zrobiłaś Samowi pranie mózgu i przekonałaś go, że na Insta są sami pedofile. Zrujnowałaś tym dwa życia, mamó! Jesteś z siebie dumna?

- Chryste, Jane, przesadzasz. Freddy Dawkins też nie ma Instagrama. Daisy Cooper też nie.

- I chcesz, żebym też taka była? O MÓJ BOŻE! Przecież Freddy Dawkins nie ma przyjaciół, bo kiedy dorośnie, zostanie seryjnym mordercą. I nikt nie będzie chciał go śledzić na Insta, bo będzie wrzucał jakieś chore gówna, na przykład martwe zwierzęta czy coś. No a Daisy Cooper nawet nie ma telewizora, bo jej mama nie wierzy

w elektronikę, no bo mówi, że telewizor smaży mózg, więc Daisy też nie ma żadnych znajomych, bo nigdy nie słyszała o Zoelli! No i jej mama nosi ubrania ze sklepów, w których kupuje się ubrania po trupach! Tego mi życzysz? Może mam jeszcze chodzić w ubraniach po trupach? Pewnie tych, których zabił Freddy Dawkins! Ty mnie chyba nienawidzisz!

- krzyczała Jane.

Od jakiegoś czasu wydawała mi się podejrzenie spokojna. Widocznie zbierała siły na jeden porządny wybuch.

- Wolałabym, żebyś nie przeklinała.

- Sama przeklinasz! Jesteś straszną hipokrytką! Poza tym i tak nigdy cię tu nie ma! Zawiesiłaś mi na szyi klucz i porzuciłaś, żeby robić karierę, ale nie pozwalasz, żebym zaczęła robić własną karierę!

- Jane, masz jedenaście lat, nie musisz jeszcze myśleć o karierze. I co to za sklepy z ubraniami po trupach, o które robisz tyle szumu? - spytałam, próbując zmienić temat z mojego przeklinania, hipokryzji i tego, że stanowią zły przykład dla własnych dzieci.

- Dobrze wiesz, to te sklepy na High Street, do których zawsze musimy wchodzić, żebyś mogła kupić używane książki. Strasznie tam śmierdzi i sprzedają ubrania po trupach, a nawet ich DVD. Kto w dzisiejszych czasach w ogóle kupuje DVD?

- Masz na myśli sklepy charytatywne? - spytałam zdezorientowana.

- Tak! Sklepy z rzeczami po trupach!

- Ale to nie tak. Poza tym trafiają się tam świetne okazje.

Krążą miejskie legendy o ludziach, którzy upolowali stare torebki Chanel w świetnym stanie za piątaka, chociaż prawdę mówiąc, nigdy nie trafiłam na nic, co nie wyglądałoby trochę jakby...

- Ktoś w tym umarł? - podpowiedziała Jane.

- No właśnie.

- Bo to są sklepy z rzeczami po trupach! I nie zmieniaj tematu! Robisz to tylko po to, żeby nie przyznać, że rujnujesz mi życie!

- Jane, posłuchaj, kochanie - zaczęłam łagodnie. - Nawet gdybym zgodziła się, żebyś założyła konto, co się oczywiście nie wydarzy, nie oczekuj ode mnie, że kupię ci kamerkę za sześćset funtów, drona za osiemset funtów albo nowego laptopa! Przecież masz sprawny komputer. I nie będę zachodzić w głowę, jak łączyć na drogie oprogramowanie dla jedenastoletniego dziecka!

- I to jest właśnie kolejny dowód na to, że rujnujesz mi życie! Gdybyś pozwoliła mi założyć konto, kiedy pierwszy raz o to poprosiłam, miałabym już mnóstwo obserwujących i GoPro dałoby mi wszystkie te rzeczy za darmo! To twoja wina, że musisz to teraz kupić! Mogłam mieć już masę sponsorów i zarabiać mnóstwo pieniędzy z reklam na YouTube. Wiesz, że jest dziecko, które zarabia miliony na recenzjach zabawek? Ale nie! Nie, bo ty musisz robić durne zamieszanie o „bezpieczeństwo w Internecie” i niszczyć mi życie! I wcale nie chcesz, żebym była szczęśliwa ani żebym zarabiała mnóstwo pieniędzy, bo zwyczajnie mnie nie lubisz! - krzyczała Jane.

- Na litość boską! Może mi w takim razie powiesz, ile osób z twojej klasy, którym rodzice pozwolili mieć Instagrama i kanał na YouTube, dorobiło się milionów obserwatorów i zarabia mnóstwo pieniędzy na postach sponsorowanych?

- Nigdy nie mówiłam, że to jest łatwe! Poza tym w mojej klasie są sami kretyni! Ze mną byłoby inaczej. A Kiki?

- Kochanie, każdemu się tak wydaje... I tylko małej garstce osób naprawdę się udaje. A Kiki może robić to, co robi, bo nie musi się martwić o spłatę kredytu i rachunki. Dla niej pieniądze nie są żadnym problemem.

- Tak, ale niektórzy odnoszą olbrzymie sukcesy. Dlaczego nie miałabym być jedną z nich? Gdybyś tylko dała mi szansę! Ale nie, ty mi jej nie dasz, bo nie obchodzą cię moje marzenia ani moja droga do szczęścia!

Szlag by trafił tę pieprzoną „drogę do szczęścia”! W dzisiejszych czasach wszyscy na niej są. Nie można po prostu „czegoś robić”, tylko wszystko musi być częścią jakiejś wydumanej podróży do gwiazdki na niebie. Moim zdaniem to wina *X Factora*. Zdaje się, że właśnie stamtąd wzięły się te banialuki o „drodze do szczęścia”. Naiwniacy, którzy brali w nim udział, nie podejrzewali, że wykorzystuje się ich dla taniej sensacji, pokazując przesłuchania, na których beznadziejnie wypadli, i ujęcia, kiedy płaczą z powodu doznanego upokorzenia, ale twórcom uchodzi to na sucho, bo sprzedają to jako wyboisty fragment „niesamowitej drogi do szczęścia”.

- Chryste, Jane, nie bądź śmieszna.

- Aha! I jeszcze śmiejesz się z moich marzeń! Śmiejesz się

ze mnie! A ja wiem, że jest mi pisane zostać gwiazdą YouTube'a, to pewne jak w banku!

- Nie zawracaj mi głowy! W życiu nie słyszałam podobnej bzdury. Z czego niby zamierzasz być znana? Będiesz otwierać pudełka? Jajka z niespodzianką? Nakładać makijaż? Robić kaczy dzióbek do kamery, opowiadając o swojej najnowszej #współpracy ze #sponsorem? A może wyznaczysz sobie bardziej realistyczny cel? Przecież ci ludzie nie będą tego robić przez całe życie! A kiedy skończą, czym się zajmą, skoro jedyne, co będą mogli wpisać w CV, to robienie kaczego dzioba i otwieranie pudełek? A co z twoimi planami, żeby zostać biologiem morskim, archeologiem albo paleontologiem? Dlaczego ni z gruszki, ni z pietruszki tak się zafiksowałaś na prowadzeniu vloga z jakimiś farmazonami, że któregoś dnia przyłapałam cię na nagrywaniu telefonem relacji ze schodzenia ze schodów?! Nie wspominając już o tym, że byłaś tak zaaferowana pozwaniem, że prawie spadłaś i złamałaś sobie kark! Kiedy mówiłam, że w przyszłości możesz zostać, kim zechcesz, nie miałam na myśli, że zostaniesz głupią gwiazdką Internetu! Skoro tak bardzo zależy ci na mediach społecznościowych, to możemy pójść na kompromis i chociaż uważam, że jesteś jeszcze za młoda, pozwolę ci założyć konto na Facebooku, o ile dodasz mnie i tatę do znajomych, żebyśmy mogli sprawdzać, czy żadne niepożądane osoby nie próbują się z tobą skontaktować. Co ty na to, skarbie?

Jane spojrzała na mnie, jakbym spadła z Księżyca, po czym klasnęła w dłonie i z przerażeniem ciągnęła tyradę:

- Facebook? O MÓJ BOŻE, mamó! Czy ty mówisz serio? Facebook już dawno jest passé! Korzystają z niego tylko starzy ludzie, tacy jak ty! Nie mogę uwierzyć, że mi to proponujesz! Jesteś okrutna! To jest znęcanie się nad dziećmi! Mogłabym to zgłosić opiece społecznej! Wiesz, co moi znajomi by powiedzieli, gdybym założyła konto na Facebooku? Po co ty mnie w ogóle rodziłaś, skoro tak mnie nienawidzisz?!

Z tymi słowami Jane wymaszerowała z pokoju, na odchodnym trzaskając drzwiami, co obudziło psa. Zniesmaczony tym faktem rzucił mi jedno z arsenału swoich krytycznych spojrzeń.

- Nawet nie zaczynaj - rzuciłam.

Szczęśliwie Jane wyszła, zanim odpowiedziałam na jej (retoryczne, mam nadzieję) pytanie. Kiedy się tak zachowuje, autentycznie zaczynam się zastanawiać, po co rodziłam dzieci. Na pewno nie sądziłam, że będzie tak trudno. Czy było warto wkładać tyle wysiłku w wychowanie silnej, odważnej, niezależnej i wojowniczej dziewczynki, która zawsze tańczy tak, jak sobie sama zagra, tylko po to, żeby wszystkie te cechy ćwiczyła na mnie, kłócąc się o każdą najmniejszą bzdurę? I po co opowiadałam jej o feministkach i sufrażystkach, ubierałam ją w dzinsy i bluzy z kapturem (choć muszę przyznać, że to akurat była bardziej estetyczna niż ideologiczna decyzja, bo jeśli istnieje na tym globie jakieś dziecko, które źle wygląda w różowym, to jest nim Jane, a większość dziewczęcych spódniczek i koszulek z brokatem wyglądała na niej upiornie), skoro teraz się na

mnie wypięła i tak jak każde inne dziecko w tym kraju, zapragnęła zostać sensacją Internetu i zarabiać miliony, robiąc słodkie minki na Instagramie i wdzięcząc się na YouTubie? Czy fanatyczna sufrażystka Emily Davison zmarła pod kopytami królewskiego konia tylko po to, by szczytem ambicji dorastających dziewczynek było otwieranie pudełek i nakładanie szminki? Naprawdę o tym marzyłaś, Emily?

Mamrotałam tak pod nosem, kiedy Jane wparowała z powrotem.

- Skoro już rujnujesz mi życie i nie dajesz mi spełnić marzeń, może chociaż pozwolisz mi przekłuć sobie uszy na Gwiazdkę?

- Jane, o tym też rozmawiałyśmy. Powiedziałam ci, że przekłujesz sobie uszy, jak skończysz trzynaście lat.

- Mamo, ale to jest za sto lat! Dlaczego nie mogę teraz? Czy wymagam aż tak wiele? Chcę tylko przekłuć uszy!

- Myślałam, że chcesz tylko, żebym wydała trzy i pół tysiąca funtów na laptopy i kamerki, żebyś mogła ośmieszać się w Internecie - odparowałam, natomiast Jane rzuciła mi wściekłe spojrzenie, a ja zaczęłam pękać. Nie miałam siły na kolejną scenkę. Jane uparcie świdrowała mnie wzrokiem. - Dobrze, dobrze. Pójdę na kompromis. Nie przekłujesz sobie uszu w tę Gwiazdkę, bo nie mam siły wysłuchiwać narzekań babci, że wyglądasz jak prostytutka, ale pozwolę ci przekłuć uszy na dwunaste urodziny. To tylko rok czekania. W porządku? I tylko po jednym kolczyku na każde ucho rocznie! To moja ostateczna oferta!

- Dziękuję, mamusiu! - odparła słodko Jane i pusząc się

z radości, wybiegła z pokoju, przez co zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem cała ta awantura o YouTube'a i GoPro nie była skrupulatnie zaplanowaną akcją służącą temu, żebym w końcu pękła i zgodziła się na to, na czym naprawdę jej zależało.

Prawdę mówiąc, sama kiedyś tak zrobiłam, kiedy tata zabrał mnie na zakupy po sukienkę na bal uniwersytecki. Pojechaliśmy po nią specjalnie do Londynu. Od razu wpadła mi w oko idealna sukienka w Selfridges, ale kiedy tata spojrzał na metkę z ceną, poblądł z przerażenia i powiedział, że nie zamierza tyle płacić za taką kusą szmatę. Wtedy postanowiłam, że będę przymierzać każdą sukienkę po kolei we wszystkich sklepach na Oxford Street, aż wreszcie straci chęć do życia i kupi mi tę wymarzoną tylko po to, żeby wreszcie wrócić do domu i wypić wielką szklankę dżinu z tonikiem. Wygląda na to, że Jane wycięła mi ten sam numer.

Dopiero teraz rozumiem, dlaczego biedny tatuś tak bardzo potrzebował dżinu. Zawód rodzica to ciężki kawałek chleba i z perspektywy czasu widzę, że bezsenne noce z niemowlakami to tylko niewinny początek. Kiedyś myślałam, że z czasem będzie lepiej, ale ten moment jakoś nigdy nie nadchodzi. Zmieniają się wyzwania, ale nie robi się łatwiej. W dodatku nawet wtedy, kiedy czasami ma się ochotę wyrzucić swoje kochane maleństwa przez okno (albo udawać w pracy, że nie istnieją), gdyby ktokolwiek inny choćby pomyślał o wyrządzeniu im najmniejszej krzywdy albo stwierdził, że są dalekie od ideału, obudziłaby się w was

chęć mordy. Bo nawet jeśli są potworami z piekła rodem, to są waszymi potworami i jednocześnie największym szczęściem, jakie was w życiu spotkało i kochacie je tak mocno, że momentami rozpiera was bezgraniczna miłość. Nie rozumiem tylko, czemu autorzy książek o wychowywaniu dzieci nas na to nie przygotowują!

PIĄTEK, 16 GRUDNIA

Od dłuższego czasu próbowałam zorganizować wspólny wypad do pubu z Hannah, Samem i Katie, ale los nam nie sprzyjał. Zaraz będą święta i jeśli nie zrobimy tego natychmiast, nadejdzie styczeń, a w styczniu wszyscy są biedni i smutni, na diecie, na detoksie lub na obu naraz. Dlatego postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce i po pioruńsko długim i odbierającym radość życia koncercie świątecznym (może słuchanie niekończącego się fałszu tak długo, aż wreszcie uznam, że leczenie kanałowe jest mniej bolesne, miało być karą za kłamanie w pracy) złapałam Sama i Katie na placu zabaw.

- Wychodzimy wieczorem? - spytałam radośnie.

Spojrzeli na mnie jak na kosmitkę i spytali tępo:

- Dzisiaj?

- Tak, dzisiaj!

- Ale przecież się nie umawialiśmy! - powiedziała zdziwiona Katie.

- I dokąd mielibyśmy iść? - marudził Sam.

- Do pubu, rzecz jasna, a gdzieżby indziej? Bądźmy spontaniczni! Moi znajomi z pracy ciągle tak robią! -

ekscytowałam się.

- Ale oni są młodzi... Poza tym co zrobimy z dziećmi? Och, nasze kochane maleństwa. Co z nich wyrośnie? - przynudzali.

- Nie wiem, czy pamiętasz, ale jestem samotnym ojcem, Ellen - przypomniał mi Sam. - Robin jest równie użyteczny, co wibrator z marcepanu, kiedy mowa o dorosłości i braniu odpowiedzialności za nasze dzieci. A skoro już o tym mowa, w łóżku był równie nieprzydatny - dodał gorzko.

- To całkiem proste - powiedziałam. - Katie, mówiłaś, że Tim dzisiaj gotuje, co oznacza, że będzie w domu, więc może zostać z dziewczynkami i położyć je spać. A Sophie i Toby mogą przyjść na noc do mnie. Simon się nimi zajmie. Dla niego to i tak lepiej, niż gdyby został tylko z naszymi dziećmi, bo chłopcy będą grali w odmóżdżające gry, a Jane i Sophie będą robić wszystko to, co robią jedenastoletnie dziewczynki, czyli paplać jak katarynki, piszczec i obsypywać się brokatem. Kiedy Peter i Jane nie mają nic lepszego do roboty, zrą się jak pies z kotem.

- Ale w co ja się ubiorę? Nie miałam w planach wyjścia. Musiałabym się umalować i wyprostować włosy... Nie byłam na to przygotowana psychicznie! Nie mogę wyjść bez uprzedzenia. Co mam powiedzieć Timowi? - marudziła Katie.

- Zachowujesz się, jakby Tim nigdy nie zadzwonił do ciebie z wiadomością, że po pracy wyskoczy na drinka, albo nie wspomniał mimochodem, że w sobotni wieczór idzie z kolegami na piwo - nalegałam.

- Tak, ale...

- Żadnego „ale”! To dokładnie taka sama sytuacja. Napisz mu SMS-a, że musi wrócić do domu punktualnie, bo wychodzisz na drinka, ponieważ jesteś dorosłą kobietą, a nie tylko pełnoetatową matką! Możesz tak zrobić? Czy usłyszę wreszcie „Hip, hip, hurra!”?

- No... chyba mogę, ale wciąż nie wiem, w co się ubiorę. I nie powiedziałam dziewczynkom, że wychodzę. Co będzie, jeśli się na mnie obrażą?

- Zaufaj mi, Katie. Obiecasz, że włączysz im kilka odcinków więcej *Psiego patrolu* i choćbyś z biustem w ogniu tańcowała nago po salonie, nie zwrócą na ciebie uwagi. A co dopiero jak wyskoczysz na chwilę z domu. Poza tym ich ojciec na pewno się nimi zaopiekuje. Może nie całkiem zgodnie z twoimi standardami, może do snu założy im piżamki nie do pary, ale na pewno przeżyją jedną noc w niedopasowanych piżamkach bez większych szkód na psychice.

- Niech ci będzie... Ale nie czuję się z tym dobrze. Nie lubię wychodzić z domu, jeśli nie mam dwóch tygodni, żeby się oswoić z tym faktem. To nie jest normalne!

- To absolutnie normalne! Robiliśmy tak latami, aż wreszcie urodziły nam się dzieci i dopiero wtedy wmówiliśmy sobie, że musimy poświęcić każdą godzinę swojego życia na spełnianie ich potrzeb i zachcianek. Tyle że będziemy o wiele lepszymi ludźmi, jeśli raz na jakiś czas zrobimy coś dla siebie, zachowamy się spontanicznie i przypomnimy sobie, że jesteśmy też ludźmi, a nie tylko rodzicami!

- Tak! Masz rację! Wchodzę w to! - powiedziała Katie.

- Hurra! Sam, a ty?

- No nie wiem... Moja ulubiona niebieska koszula jest w praniu, czuję się dzisiaj wzdęty, nie obejrzałem jeszcze ostatniego odcinka *Outlandera*, a poza tym zanoszą się na deszcz...

- Sam! Dorośnij wreszcie! Załóż inną koszulę i chodź z nami do pubu! To najbardziej frajerskie wymówki, jakie kiedykolwiek słyszałam!

- No dobrze, pójdę, ale ty stawiasz pierwszą kolejkę, bo zmuszasz nas do wyjścia z domu i strefy komfortu.

- Do cholery, jedyne, do czego was namawiam, to odrobina spontaniczności! Wyobraź sobie, że spotykasz swoją miłość w Sainsbury's i on nagle proponuje ci randkę, a ty mówisz: „No nie wiem... Nie lubię wychodzić tak zniecka!”. Potraktuj dzisiejszy wieczór jako rozgrzewkę.

- I tak nigdy nikogo nie poznam w Sainsbury's. Wszyscy, którzy wyglądają na singli, mają w koszykach szparagi, małże, małe koszyki ze świeżymi karczochami i drogie wina. Obawiam się, że mój wózek wypełniony po brzegi danonkami i mrożonym groszkiem działa na nich odpychająco.

- A może dzisiaj kogoś poznasz? Na pewno nie spotkasz miłości swojego życia, siedząc w domu w jednoczęściowej piżamce i wzdychając do Jamiego Frasera. Poza tym w ostatnim odcinku ani razu się nie rozbiera do rosołu, więc spokojnie możesz sobie darować.

- No dobrze. Skoro Jamie się nie rozbiera, faktycznie mogę odpuścić ten odcinek...

Potem zadzwoniłam do Hannah i musiałam przeprowadzić z nią niemal identyczną konwersację, łącznie ze spoilerami *Outlandera* i przypomnieniem jej, że Charlie jest lekarzem, więc w pewnym sensie jest jeszcze lepiej wykwalifikowany do opieki nad dziećmi niż ona. W końcu udało mi się ją namówić i wszyscy spotkaliśmy się w pubie.

Po godzinie, w trakcie której Katie obsesyjnie wypisywała do Tima, Sam narzekał, że wygląda grubo, a Hannah zadzwoniła do Charliego, żeby upewnić się, że zapłacił depozyt za salę ślubną, zaproponowałam po kolejce Gibsonów.

- Śwtnieest bć f pubie! - bełkotała później Katie.
- Msimy tak rbić częścij! - wtórowała Hannah.
- Zamwiłem dodtkowe cbulki! Dzisiaj nie bdzie barabara! - oznajmił Sam, po czym dodał: - O! Tamten wgląda aptycznie! Macie miętówkę?

PONIEDZIAŁEK, 19 GRUDNIA

Kurwa, kurwa, kurwa! Mam przerąbane! Pędzę na łeb, na szyję prosto w paszczę corocznego świątecznego załamania nerwowego. Zazwyczaj ma ono miejsce w Wigilię, ale w związku z tym, że w tym roku zostaliśmy wezwani do Yorkshire, prawdopodobnie będzie miało miejsce trochę wcześniej.

Simon działa mi na nerwy jak nigdy. Pokłóciliśmy się o to, czy powinniśmy kupować choinkę, i jeszcze mu nie wybaczyłam. Według niego skoro nie będzie nas tutaj w Wigilię, choinka jest niepotrzebna. Powiedziałam mu, że

musimy mieć choinkę i koniec, na co on zasugerował, że może w takim razie wystarczy nam malutka. Odparłam, żeby sam bawił się w Scrooge'a i Grincha, ale ja **CHCĘ PRAWDZIWĄ CHOINKĘ**. Wtedy zaczął mamrotać coś pod nosem o tym, że żona to stan umysłu, który jest ponad jego siły, i tęsknym wzrokiem spoglądał w kierunku wejścia na strych. Ostatecznie kupiliśmy prawdziwą choinkę, bo przecież jestem choinkową terrorystką, no i bez wielkiego drzewka święta się nie liczą.

Simon jest też przemyślnym, zarozumiałym padalcem, który co dwadzieścia minut przypomina mi, że zrobił już wszystko, co miał do zrobienia ze swojej przedświątecznej listy. Łącznie z zapakowaniem prezentów, które miał kupić. Dupek. Mogę się założyć, że paskudnie je zapakował. I jeszcze ma czelność z uśmiechem mówić, że nie rozumie, o co tyle krzyku, „to przecież wcale nie takie trudne, kochanie”.

Jakby tego było mało, Jessica wysyła mi mejle co dwadzieścia minut, próbując mnie przekonać, że powinniśmy na spółkę kupić mamie i Geoffreyowi blender kielichowy NutriBullet. Oczywiście liczy na to, że ja go kupię, zapakuję i wręczone mamie, mówiąc, że to od nas, a Jessica zbierze wszystkie pochwały. Nie wiem, po co upiera się, żebyśmy się na niego zrzuciły, skoro zarabia jakieś sto milionów funtów rocznie i bez mrugnięcia okiem mogłaby kupić dwanaście takich blenderów. Tyle że ona ma się za takiego ważniaka, że chce, żebym wszystko zrobiła za nią, bo przecież sama nie może sobie pozwolić na to, żeby

wyskoczyć na chwilę do sklepu. Albo chce wykorzystać to, że mam konto na Amazon Prime, którego sama nigdy nie założy, żeby móc się chwalić innym, że kupuje tylko w małych lokalnych manufakturkach. Nawet nie wiem, czy mama i Geoffrey ucieszą się z blendera. Jestem pewna, że gdybym sama jej go wręczyła, rzuciłaby jakiś podły komentarz w rodzaju: „Chyba zdajesz sobie sprawę, że jeszcze mam zęby”, ale jeśli zrobi to Święta Jessica z Mądrówkowa, na pewno przyjmie go z radością. Staram się też kupować ludziom prezenty, z których się ucieszą, zamiast poddać się pokusie i wybrać najdroższe. Przecież nie o to chodzi w świętach.

Do stu piorunów! Kiedy przeglądałam na Amazonie oferty z blenderami, dotarło do mnie, że popełniłam faux pas. Wysłałam mojej teściowej, Sylvii, która ma obsesję na punkcie mopsów, poduszkę z takim samym wzorem, jak dwa lata temu. Chciałam ją trochę pocieszyć w związku z tym, że jej niedawno zmarły i gorącymi łzami opłakiwany Napoleon Mopsaparte po wielu latach terroryzowania drobnych zabawek swoją wiecznie niezaspokojoną chucią, pewnego dnia został znaleziony w swoim koszyczku zimny jak lód. Tuż przy nim leżał pluszowy miś, który wyglądał na przerażonego, więc Sylvię przynajmniej pocieszyła myśl, że odszedł, zaznając rozkoszy. Podejrzewam, że o ile pierwsza poduszka mogła zostać przyjęta jako wyraz wsparcia i dobrych intencji, drugą potraktuje jako sypanie soli na ranę. Co gorsza, od kiedy wtajemniczyłam Sylvię w magiczny świat eBaya, coraz trudniej mi coś dla niej wybrać. Obawiam

się, że ma Wigilię codziennie, a konwój padających ze zmęczenia kurierów pędzi dzień w dzień do jej francuskiej willi, podczas gdy Sylvia, popijając różowe wino na tarasie, otwiera kolejne kartony i z rozbawieniem stwierdza:

- Nie pamiętam, żebym to licytowała! Ale śmiesznie! Michael, kochanie, popatrz! Wygrałam! Mamy kolejne cudencko. Gdzie je postawimy?

A niepokieszony tata Simona odpowiada:

- To nie jest sztucznie postarzane, Sylvio. To zwykły kawał rupiecia! Starzeję to się ja, kiedy patrzę, ile pieniędzy trwonisz na te głupoty! I przykro mi, ale wcale tego nie wygrałaś! Kupiłaś to! Ile razy mam ci mówić, że na eBayu kupuje się za prawdziwe pieniądze? Nie przechytryłaś systemu i nic nie wygrałaś! Zresztą po co mam strzępić język? Postaw to w rupieciarni.

Przynajmniej z listy prezentów mogłam już skreślić Natalię i tatę. Kupiłam im szal i butelkę whisky. Ciekawe, co ludzie dawali sobie w prezencie, zanim wymyślono szale? To taki uniwersalny prezent. Można nawet dawać je mężczyznom! Może powinnam kupić mamie szal, a Jessice powiedzieć, żeby wypchała się swoim blenderem?

Co jeszcze muszę zrobić? Zrobię sobie listę. OK:

Zrobić listę.

Kupić prezenty.

Zapakować prezenty.

Posprzątać.

Uprać cały świat, żeby uniknąć sytuacji, w której dzieci znowu będą wyglądać jak łachmaniarze w święto.

Kupić świąteczne sweterki, żeby sprawić wrażenie, że jesteśmy dobrze funkcjonującą i kochającą się rodziną. (Hm... Czy jeśli założymy z Simonem dopasowane sweterki, będziemy wyglądać słodko, czy jak ofiary losu? Czy uda mi się w ogóle nakłonić Simona, żeby założył świąteczny sweterek? Wątpię...).

Posprzątać w schowku pod schodami.

Porobić z dziećmi ozdoby świąteczne.

Zmusić dzieci, żeby napisały pocztówki świąteczne.

Jestem pewna, że było tego więcej. Ale przynajmniej mogę skreślić „Zrobić listę”, to jedno mam już z głowy! Brawo ja! Zasłużyłam na kieliszek wina. Oczywiście nie dlatego, że jestem pijaczką, tylko dlatego, że jest okres przedświąteczny.

Simon spojrział przez ramię na moją listę i zapytał, po co chcę sprzątać w schowku, robić ozdoby i zmuszać dzieci do pisania pocztówek. Simon jest Grinchem z krwi i kości. Nie ma pojęcia o prawdziwej atmosferze świątecznej, która polega na tym, że jest się wściekłym i obrażonym na wszystkich wokół.

PIĄTEK, 23 GRUDNIA

Jesteśmy w Yorkshire. Wstaliśmy z samego rana, spakowaliśmy samochód i mieliśmy tylko jedną małą kłótnię, która skończyła się tym, że powiedziałam Simonowi, że żądam rozwodu, a jeśli nie chce, to zadżgam go nożem, kiedy będzie spał, ale powiedzmy sobie szczerze, w okresie świątecznym taka sprzeczka się w ogóle nie liczy.

Peter i Jane wsiedli do samochodu i natychmiast wlepili nosy w tablety. Na nic się zdały moje radosne namowy, żeby grać w gry przez całą drogę do babci. Odpowiedziały mi jęki przerażenia i błaganie o litość ze strony Simona.

- Ale to przecież taka świetna zabawa! - powiedziałam wesoło, wysyłając ostatniego mejla przed wyjazdem.

- Nie, mamo. Znowu każesz nam grać w Zwierzaki i wybierzesz to dziwne zwierzę, którego nazwy nikt z nas nie pamięta, a potem będziesz się chełpić zwycięstwem i wyzywać nas wszystkich od głupków - zaprotestowała Jane.

- Przecież mangusta wcale nie jest dziwnym zwierzęciem. To nie moja wina, że nie potraficie zapamiętać jej nazwy.

- Albo zaczniesz oszukiwać. Wybierzesz królika, a potem odpowiesz „nie”, kiedy zapytamy, czy to zwierzę żyje w Anglii - dołączył Peter.

- To była cenna lekcja z historii i biologii - obruszyłam się.

- Właśnie dlatego królik jest świetnym wyborem! Zbija graczy z tropu, bo mało kto wie, że króliki pochodzą z Afryki Północnej i zostały przywiezione do Wielkiej Brytanii dopiero przez Rzymian. Wiedzielibyście o tym, gdybyście oglądali ze mną *Strrrraszną historię*^[6].

- Mamo! Przecież ty oglądasz *Strrrraszną historię* tylko dlatego, że podoba ci się piosenka Dicka Turpina. Jesteś taka obciachowa!

- Mmm... Mathew Baynton - rozmarzyłam się, na co Simon zapytał: „Kto?”, a ja pomyślałam, że chyba czas wyczyścić historię przeglądanych stron.

- To może pogramy w Kota Ministra? - nie poddawałam

się.

- Na brzydkie słowa? - spytała Jane z nadzieją.

- To może jednak nie... - dodałam pośpiesznie, bo Jane jest zatrwazająco dobra w Kota Ministra na brzydkie słowa. Co gorsza, z roku na rok robi się coraz lepsza, bo jej słownictwo się poszerza. Oczywiście tylko jeśli chodzi o przekleństwa, bo cała reszta kuleje. Przynajmniej tak mi się wydaje, ale prędko się nie dowiem, bo rzadko kiedy mam możliwość posłuchać w całości jakiegoś zdania. Tak długo to trwa, kiedy co drugie słowo wtrąca się „no”.

Poddałam się. Nawet ja nie miałam siły, by zaproponować kolejną zabawę, na przykład w zgadywanki, tylko po to, żeby później się spierać z Peterem i jego nietuzinkowym podejściem do literowania wyrazów, że nie można wybrać czegoś, co minęliśmy po drodze, więc nikt nie zgadnie, co to było.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z podjazdu, zadzwoniła Jessica:

- Ellen! Tak się cieszę, że cię złapałam! - zaczęła pełnym rozpaczy głosem.

- Co się stało, Jess? Chodzi o dzieci? Coś wam się stało?

Na co wylała z siebie szereg kompletnie niezrozumiałych słów, z których wyłuskałam tylko jedno: „Neil”.

- Coś się stało Neilowi? Jessico, nie rozumiem, co mówisz. Uspokój się, weź głęboki oddech i powtórz jeszcze raz, ale powoli. Możesz to dla mnie zrobić? Tylko się nie rozłączaj, mów do mnie - powiedziałam zadowolona, że potrafię zachować zimną krew w sytuacjach kryzysowych i wiem, jak poradzić sobie z nimi przez telefon. Wiem to oczywiście

z seriali o lekarzach i policjantach.

- Neil dał świąteczny pudding z Fortnum and Mason Agnieszce! Mój głupi jak but mąż dał MÓJ pudding z Fortnum and Mason sprzątacze w prezencie świątecznym, a ona wywiozła go do Polski!!! Mówiłam mu, że powinien jej dać pudding z Aldiego. Nie wiem, jak on to zrobił, że je pomylił, ale jakoś mu się udało. Tyle że obiecałam mamie, że przywiozę ten pieprzony pudding, a JA GO NIE MAM!

- Aha.

- Aha?! Tylko tyle potrafisz mi powiedzieć? Aha. ELLEN, JA POTRZEBUJĘ PUDDINGU! Będziesz musiała zatrzymać się w Waitrosie i kupić pudding Hestona. Wiem, że to nie to samo, ale tylko tyle mogę zrobić.

- Co?! Dlaczego ja mam się zatrzymać w Waitrosie? Czemu ty nie możesz? I jak to możliwe, że ja będę kupować pudding, ale to ty „tylko tyle możesz zrobić”. I czemu nie możesz po prostu przywieźć puddingu z Aldiego?

- Deleguję zadania, Ellen! Chyba nie oczekujesz, że w takim delikatnym stanie emocjonalnym pojedę do supermarketu dzień przed Wigilią? Poza tym wy na pewno będziecie mijać jakiegoś Waitrose'a, a my nie.

- Jedziemy w to samo miejsce, Jessico! Przez dwieście pięćdziesiąt kilometrów będziemy jechać tą samą drogą! Będziemy mijać dokładnie te same miejsca! Weź pudding z Aldiego, nic się nie stanie.

- Jak możesz mówić, żebym wzięła pudding z Aldiego? Mam go wręczyć Świętej Sarah z Mądrówkowa, która będzie zachwycać się swoimi organicznymi serami z manufaktur

i krakersami ręcznie lepionymi przez jakieś pieprzone magiczne krasnale żyjące na Hebrydach czy czymś podobnym?!

- Nie ma mowy. Nie zrobię tego. Nie wiem, dlaczego zakładasz, że możesz mną rządzić, jakbyś była najważniejszą osobą na świecie, której wszyscy powinni się podporządkować. Nie widzę powodu, dla którego sama nie możesz pojechać do Waitrose'a. Czy wyrażam się jasno? Nie zrobię tego!

Pierwszy raz w życiu odmówiłam Jessice. Wspaniałe uczucie!

- Jak możesz mi to robić? Moja siostra nie chce mi pomóc uratować świąt! Jak możesz być taka bezduszna, Ellen? - powiedziała drżącym głosem.

- Wcale nie jestem bezduszna. Po prostu uważam, że sama możesz to zrobić.

- Ja mogę? Ja? JA właśnie próbuję uratować święta i wybacz, jeśli mam czelność poprosić o odrobinę pomocy! - Zrobiła krótką pauzę, żeby pociągnąć nosem, po czym ciągnęła dalej: - Nie mogę uwierzyć, że Neil mi to zrobił. Nie, Neil, to ty zrujnowałeś święta! Wcale nie wyolbrzymiam! A teraz bądź tak dobry i się zamknij, bo właśnie rozmawiam z Ellen i wspólnie próbujemy posprzątać bałagan, którego narobiłeś! Jeśli Persephone płacze, to idź do niej i zrób coś z tym! Przepraszam, Ellen, na czym to ja skończyłam? Ach tak, jesteś taka kochana, że zgodziłaś się pojechać do Waitrose'a i kupić dla mnie ten pudding. Dziękuję ci bardzo, jesteś moją bohaterką!

- Nie, Jess, wcale się na to nie zgadzałam. Nie będę się nigdzie zatrzymywać. Powiedziałam przecież, że...

- Przepraszam, muszę już kończyć, przed nami długa droga. Jeszcze raz ci dziękuję, pa, pa! - Zakończyła rozmowę.

I to jest właśnie powód, dla którego nigdy nie odmawiam Jessice: to nie ma żadnego sensu!

- O co chodziło? - spytał Simon.

- Wygląda na to, że musimy pojechać do Waitrose'a, bo inaczej Jessica utnie Neilowi jaja i poda je nam zamiast świątecznego puddingu - poinformowałam.

Do mamy jechaliśmy pięć godzin, czyli mniej więcej dwa razy dłużej, niż powinniśmy. Dużo czasu spędziliśmy w korkach. Simon wrzeszczał na innych kierowców („Rusz się, kretynie!”, „No jedź wreszcie, debilu!”) stojących w samochodach przed nami, kiedy tylko samochód stojący przed nimi poruszył się choćby o milimetr. Było dużo zmieniania pasów, bo Simon jest przekonany, że sąsiedni pas jest zawsze „najszybszy”. Był przystanek w Waitrosie - moment, w którym rozważałam, żeby minąć nasz samochód i iść w nieznaną, dopóki nie opadnę z sił. No i jeszcze ciągle narzekanie, żeby się zatrzymać, bo dzieciom chce się siusiu, i skargi, że to „ona/on się na mnie gapi”.

Mama i Geoffrey wyszli nam naprzeciw. Zabrałam dzieciom iPady i syknęłam:

- Na Boga, wyprostujcie się, przytulcie dziadków, bądźcie mili i patrzcie im w oczy, kiedy do nich mówicie. Jane, nie chcę więcej słyszeć tych bzdur o twojej autonomii, przestrzeni prywatnej i tym, że nie będziesz nikogo

przytulać! Natychmiast idź przytulić się do dziadków!

- Dzień dobry, kochani - powiedziała mama wspaniałomyślnie, po czym zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów i dodała: - No proszę! Wreszcie trochę schudłaś! Ale wyglądasz jakoś blado, nie wiem, czy ze zmęczeniem ci do twarzy. Może jesteś przepracowana? Nie rozumiem, po co wracałaś na pełen etat.

- Cześć, mamó - rzuciłam chmurnie. Pobiła w tym roku rekord, komentując moją wagę, pracę i wygląd, jeszcze zanim przekroczyłam próg jej domu. Powinnam była się domyślić, że nawet po latach namów, żebym schudła, i tak nie będzie w stanie powiedzieć nic miłego, tylko rzuci jakąś pasywno-agresywną uwagę. Przemilczałam to i spytałam, czy Jessica już przyjechała.

- Nie, jeszcze nie, ale na pewno niedługo będzie. Czy moje kochane wnuczki przyjdą się przytulić? Chodźcie, skarby!

Przynajmniej pamięta, że to jej wnuki. Ostatnio twierdziła, że Smrodek Światłej Sarah jest jej pierwszym wnukiem.

Kiedy Geoffrey i Simon wymieniali przelotny, męski i emocjonalnie zdystansowany uścisk dłoni, na podjeździe pojawił się samochód Jessiki i Neila. Prowadził Neil. Wyglądał jak ktoś, kto jeśli jeszcze raz usłyszy słowo „pudding”, z radością rzuci się z mostu prosto do rzeki. Biedaczek. Podróż z Jessicą, która przez całą drogę suszyła mu głowę, musiała wydawać się potwornie długa.

W trakcie dalszych powitań i wypakowywania walizek Jessica złapała mnie za ramię i syknęła:

- Kupiłaś? Kupiłaś pudding?

Wręczyłam jej torbę z Waitrose'a, a ona zajrzała do środka.

- Ellen! To nie jest pudding Hestona! To pudding Essentials! Jak mogłaś mi to zrobić? Poprosiłam cię o jedną małą rzecz, i nawet to musiałaś schrzanić!

- Jessico - zaczęłam wyjątkowo spokojnie jak na osobę, która jednocześnie snuła ociekające psychopatycznym sadyzmem fantazje o tym, żeby zatłuc siostrę na śmierć puddingiem. - To był ostatni pieprzony pudding w całym sklepie. Półki były już puste. Musiałam przelać krew, pot i łzy, żeby go zdobyć. Musiałam rzucić wyzwanie wszystkim rozgorączkowanym przedstawicielkom klasy średniej, które chciały wypełnić bagażniki swoich range roverów na wypadek zbliżającej się apokalipsy. Musiałam dosłownie walczyć ze staruszką w bliźniaku! Siłowałyśmy się w alejce. Nawet nie wiesz, jaka była silna! Przepraszam, ale ten pudding musi ci wystarczyć.

- Ale co mama powie, kiedy go zobaczy?

- Na litość boską! Wyjmij go z opakowania, zawiń w serwetkę i powiedz mamie, że słyszałaś, że puddingi z Fortnum and Mason zeszyły na psy, dlatego przywiozłaś ten przepyszny, ręcznej roboty, rzemieślniczy pudding kupiony na małym targu lokalnych rolników.

- Myślisz, że to przejdzie? - spytała Jessica.

- Niech idzie w diabły! - wykrzyknęłam, kończąc puddingową tyradę. - Powiedz jej, że Kirstie Allsopp też taki kupiła, to ją uciszy. Może nawet dozna pierwszego puddingowego orgazmu na myśl o tym, że je to samo co wytworna Kirstie!

SOBOTA, 24 GRUDNIA – WIGILIA

Nie ma to jak magia wyczekiwania kolacji wigilijnej. Niestety dziś rano magia została mocno przyćmiona (w domu mamy panuje niepodważalny rygor. Śniadanie punktualnie o wpół do dziewiątej. Nie ma opcji, żeby powylegiwać się w łóżku i wcisnąć niewyspanym, wgapionym w tablety dzieciom płatki śniadaniowe w polewie cukrowej – mama ma nawet specjalny stojak na tosty), kiedy Persephone i Gulliver zaczęli wesoło szczebiotać, że bardzo się cieszą na przyjście Świętego Mikołaja, na co Jane, mimo że kategorycznie zabroniłam jej mówić cokolwiek na ten temat, pogardliwie rzuciła, że przecież Święty Mikołaj nie istnieje. Persephone zalała się łzami i zaczęła błagać Jane, żeby przyznała, że kłamie. Zaczęłam kopać Jane pod stołem i rzucać jej wymowne spojrzenia, ale wtedy dołączył do niej Peter.

– Litości, Persephone – powiedział, potrząsając głową z niedowierzaniem. – Masz jedenaście lat jak Jane! Ja mam dziewięć, ale już od dawna wiem, że Mikołaja nie ma!

– To nieprawda! – płakali Persephone i Gulliver.

Jessica była u siebie w pokoju. Pewnie robiła Neilowi kolejny wykład na temat puddingu albo strofowała go za coś innego.

– Litości, Ellen! Nie możesz zrobić porządku z własnymi dziećmi? Jest Wigilia! Nie planowałam na dzisiaj gaszenia pożarów wywołanych przez rozhisteryzowane dzieci!

– Robię, co mogę, mamó – wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

Wtedy wparowała Jessica. Kiedy zobaczyła, że jej latorośle

płaczą, podbiegła do nich i spytała:

- Co się stało, moje maleństwa?

- Oni mówią, że prezenty przynosisz nam ty i tatuś! - zakwilił Gulliver.

- Och, oni się tylko z wami drocą - odparła stanowczo Jessica.

- Ciociu Jessico, nieładnie jest kłamać. Jutro idziemy do kościoła i jeśli Bóg istnieje, na pewno ukarze cię za kłamstwa - odparła równie stanowczo Jane.

- Tylko że Boga nie ma. Został wymyślony tak samo jak Mikołaj! - dodał Peter.

Persephone i Gulliver zapłakali jeszcze głośniej.

Sarah cmoknęła z niezadowoleniem i pogłaskała się po brzuchu.

- Ja będę wychowywać dzieci w szacunku dla wiary innych ludzi - oświadczyła, patrząc z niesmakiem na moją córkę agnostyczkę i syna ateistę, którzy nie przestawali dręczyć pochlipujących kuzynów, opowiadając im o nieuchronnej czarnej próżni, która czeka ich po śmierci, i o tym, że Mikołaj nie istnieje. To drugie martwiło ich o wiele bardziej.

Szczerze mówiąc, trochę niepokoi mnie fakt, że Sarah, córka Geoffreya, tu jest. Kiedy mama powiedziała mi, że Sarah spodziewa się dziecka, nie myślałam, że będzie w tak zaawansowanej ciąży. Byłam w szoku, kiedy wczoraj ledwie się tu doczłapała i okazało się, że ma termin na piątego stycznia. Kiedy spytałam, czy zabrała na wszelki wypadek torbę z rzeczami i dokumentami potrzebnymi w szpitalu, odparła, że ich nie potrzebuje, bo zdecydowała się na poród

domowy. A kiedy zasugerowałam, że jest bardzo daleko od domu, a termin tuż-tuż, rzuciła mi protekcyjne spojrzenie, bo przecież WSZYSCY WIEDZĄ, że pierwsze dziecko ZAWSZE rodzi się po terminie.

Przez chwilę rozważałam, czy poinformować ją, że ku naszemu wielkiemu zdziwieniu Jane przyszła na świat o trzy tygodnie za wcześnie (byliśmy na weselu, kiedy odeszły mi wody. Simon był zalany w trupa i trochę mu zajęło, zanim zrozumiał powagę sytuacji. Po dziś dzień mam mu za złe, że miał takiego kaca w trakcie porodu, że położne przynosiły mu kawkę i ogólnie poświęcały więcej uwagi niż mnie – a to przecież ze mnie właśnie wychodził człowiek! A później, kiedy wymiotowałam, zjadł tosty, które były dla mnie! Dupek!), ale Sarah zmieniła temat i zaczęła opowiadać o zaletach porodu w hipnozie i wyjaśniać, dlaczego jest absolutnie przeciwna nacinaniu krocza przez lekarzy, a także o tym, że robi tam sobie masaż organicznym olejkiem kokosowym, żeby przygotować to miejsce na poród, dlatego nie ma potrzeby, by ją nacinać, bo jej dziecko „wyjdzie z niej w naturalny sposób wraz z wydychanym powietrzem”. Zapytała mnie, czy nacinano mi krocze, a kiedy odparłam, że tak, stwierdziła:

– Tak myślałam. Pewnie byłeś też na lekach. Ja będę rodzić bez żadnych sztucznych substancji, stuprocentowy organiczny poród, jak tego pragnie matka natura. Kobiety często doznają orgazmu w trakcie porodu, wystarczy zacisnąć odpowiednie mięśnie i wsłuchać się w swoje ciało.

W tym momencie Simon zakrztusił się orzechem

brazylijskim i duszkiem wypił cały kieliszek wina. Słuchanie o orgazmicznych porodach i nacinanym oraz nienacinanym kroczu przelało czarę goryczy. Przez resztę wieczoru pomrukiwał ponuro Jessica, jak bardzo nie cierpi Sarah.

Natomiast ja uznałam, że to przemilczę, skoro i tak niedługo sama się przekona, jak jej opowieści mają się do rzeczywistości. Jedno mogę jej oddać: dzięki niej ja i Jessica mamy powód, żeby się do siebie zbliżyć. Niestety, po dzisiejszych porannych rewelacjach Sprytna Sarah i Pierwsza Kobieta w Cięży na Świecie może nie wystarczyć, żeby Jessica wybaczyła mi, że moje kochane maleństwa zrujnowały magię świąt jej uroczym urwiskom.

Resztę Wigilii spędziłam głównie na obieraniu ziemniaków. (Sarah została zwolniona z tego obowiązku ze względu na dziecko, a Jessica była zbyt zajęta przekonywaniem Persephone i Gullivera, że ich dzieciństwo nie było oparte na kłamstwie. Oczywiście w świecie mamy mężczyźni nie nadają się do obierania ziemniaków, a ja „robiłam sceny”, kiedy powiedziałam, że muszę popracować dwie godzinki, zanim zabiorę się do obierania – jak widać, ziemniaki były w tym momencie najważniejszą rzeczą na świecie). Oczywiście przez cały czas mama twierdziła, że robię to źle, bo obieram za grubo, a przecież pod skórką jest najwięcej wartości odżywczych. („Tak, mamo, wiem, bo przypominasz o tym przy każdej możliwej okazji, od kiedy skończyłam dwanaście lat. Mimo to jakoś nikt w mojej rodzinie jeszcze nie zmarł z pieprzonego niedożywienia!”) Po co nam w ogóle tyle ziemniaków w Wigilię?

Peter i Jane nie polepszyli sprawy, bo kiedy tylko odkryli, że Persephone i Gulliver ochłonęli trochę po doznanej wcześniej emocjonalnej traumie, zaczęli wykrzykiwać: „Nie wierzę we wróżki! Kolejna bzdura, ha, ha, ha!”. I chociaż było to okrutne i nieczułe ze strony moich kochanych dzieci, częściowo się z nimi zgadzałam, że ich kuzyni powinni wreszcie dorosnąć i przestać być takimi naiwniakami.

Kiedy mama dostała załamania nerwowego nad pasternakiem, porzuciłam worki z ziemniakami, żeby chwilę popracować, bo złowroga data złożenia projektu nadchodziła wielkimi krokami, a ja nie chciałam robić wszystkiego na ostatnią chwilę. Schowałam się w naszej sypialni (oczywiście mieliśmy osobne łóżka. Mama w życiu nikogo by nie zachęcała do „tych” rzeczy), do której nagle wszedł Simon.

Rzuciłam mu wrogie spojrzenie, a on wyszeptał konspiracyjnie:

- Przyniosłem ci lampkę wina. I skończyłem za ciebie ziemniaki. Twoja mama otrząsnęła się już z pasternakowej depresji i suszy Geoffreyowi głowę, żeby pojechał do sklepu, bo właśnie uświadomiła sobie, że nie ma szalotki, a zwykła cebula na pewno się nie nada. Nikt nie zauważył, że to ja obrałem, więc możesz przypisać sobie wszelkie zasługi.

Czasami, chociaż nie zdarza się to często, przypomina mi się, dlaczego wyszłam za Simona. Odłożyłam laptopa i zaproponowałam, żebyśmy zniweczyli mamine próby narzucenia ostrych zasad moralnych i odświeżyli nasze umiejętności robienia „tego” w jednoosobowym łóżku, jak za czasów studenckich.

- O kurka! - powiedział Simon. - Gdybym wiedział, że wystarczy, że obiorę za ciebie ziemniaki, to mielibyśmy już całe przedszkole!

NIEDZIELA, 25 GRUDNIA - PIERWSZY DZIEŃ ŚWIĄT

Świątecznego cyrku ciąg dalszy. Z jakiegoś powodu zapomniałam, że mama przejęła od rodziny Geoffreya okrutną tradycję, zgodnie z którą nie można otwierać prezentów aż do powrotu z kościoła. Moje konsumerystyczne diabełki przeżyły istny szok, kiedy zostały z wrzaskiem przegonione od stosu prezentów ułożonych pod choinką.

Nasz pobyt w kościele przebiegł zaskakująco gładko, bez żadnych przygód. Z wyjątkiem świątecznych wizyt u mamy nie chodzimy do kościoła, więc nie uniknęłam marudzenia i narzekania „Muszę iść?” od dzieci (i Simona), a szczególnie od Petera. Ponieważ postanowił, że będzie pełnoetatowym ateistą, czuje się w obowiązku oświecać masy otumanione religijnym opium, więc musiałam co chwilę kopać go w kostkę, żeby przestał krzyczeć w trakcie mszy, że Boga nie ma. W oczach mamy skandalizująca scenka w kościele byłaby czymś jeszcze gorszym od zrujnowania świąt kuzynom poprzez unicestwienie wróżek i Świętego Mikołaja. Poza tym pastor mógłby się na nią obrazić i skreślić z listy parafian dekorujących kościół kwiatami.

Osobiście nawet lubię chodzić w święta na mszę, szczególnie do urokliwych, malutkich wiejskich kościółków, jak ten, do którego chodzą mama i Geoffrey. Owszem, bywam infantylna i zachichotałam, kiedy Maryja Dziewica

spytała, jak może stać się brzemienną, skoro jest dziewicą, a anioł udzielił instrukcji, że Duch Święty ją odwiedzi, ale lubię raz do roku pośpiewać kolędy. Nawet tak bardzo dałam się ponieść, że nie zauważyłam, kiedy Peter wydrapał słowo „dupa” na kościelnej ławie scyzorykiem, który kupiłam mu do skarpety na prezenty, bo pomyślałam, że to dobry prezent „dla chłopca” (żeby nie było - Jane też dostała scyzoryk, mimo że boję się, co będzie, kiedy dam jej wolną rękę i pozwolę nosić przy sobie ostry przedmiot), ale jak mawiają: „Dzisiaj wandalizm, jutro sztuka” (czy coś takiego), więc za kilka lat napis ma szansę zyskać miano kultowego.

Koniec końców, nie było tak źle, może z wyjątkiem tego, że mama zarzuciła mi, że dodałam za dużo tłuszczu gęsiego do pieczonych ziemniaków i wyszły zbyt tłuste (ale umówmy się, nie da się dodać za dużo tłuszczu gęsiego do pieczonych ziemniaków), a Sarah rozgrzebywała widelcem każdą potrawę po kolei, po czym zbolałym tonem pytała, czy ciężarna kobieta na pewno może jeść coś takiego.

Kiedy przyszła pora na pudding świąteczny, Jessica zaczęła panikować, że jej fortel wyjdzie na jaw, a Sarah ewidentnie poczuła, że poświęca się jej za mało uwagi, bo złapała się za brzuch i wydała z siebie dramatyczny stęk.

- Kochanie, co się dzieje? - jęknął Piers.
- GHRGHR! - ciągnęła Sarah.
- Mówiłam ci, że ziemniaki były za tłuste! Przez ciebie Sarah ma niestrawność!
- AAA, chyba mam skurcze!
- O nie, kochanie! Nie możesz jeszcze rodzić! Nie zdążyłem

ściągnąć podcastów do medytacji porodowej! I nie mamy basenu do rodzenia!

- AAAAA! Co my teraz zrobimy? Dzidzius nadchodzi!

- Musicie jechać do szpitala - skwitowała mama.

- Ale ja chciałam rodzić w domu!

- Przecież nie możesz rodzić tutaj! Gdzie niby miałybyś to zrobić? - przeraziła się mama.

- Mogłabym urodzić w salonie. - Sarah podparła się o kredens i zaczęła się kiwać w przód i w tył.

Jednak mama nadal upierała się przy swoim:

- Nie możesz tutaj rodzić! Dopiero co zakończyłam remont! A na górze mamy pościel z bawełny egipskiej! Musicie jechać do szpitala i koniec!

- AAAAA! Piers! Piers, miałeś masować mi plecy, żebym mogła oddychać! - krzyknęła Sarah i prawie zgięła się wpół.

Geoffrey wstał od stołu, delikatnie odprowadził córkę od kredensu i podstawił jej krzesło, pomrukując:

- Oprzyj się tutaj, kochanie, tylko ostrożnie, bo to chippendale...

- Mówiłam, że przydałaby się jej torba z rzeczami do szpitala. Wiedziałam, że coś takiego się wydarzy, po prostu wiedziałam! - rzuciłam w przestrzeń zadowolona z siebie, że miałam rację.

Sarah jęknęła jeszcze raz, po czym krzyknęła:

- Nadchodzi! Boże, rodzę!

A potem puściła najgłośniejszego bąka, jakiego kiedykolwiek słyszałam. Istny grom niósł się echem po salonie przez dłuższą chwilę. Wszyscy pozostali byli zbyt

zszokowani, by się odezwać.

- O, już mi lepiej! - oznajmiła Sarah i wyprostowała się.

Mama, która z każdą minutą coraz mniej lubiła Sarah, wyglądała jak kot z biegunką, a Persephone i Gulliverowi oczy wychodziły z orbit z przerażenia. Szepnęli coś do Jessiki, na co ona odparła, że później im wytłumaczy, skąd się biorą dzieci. Pełna dobrych chęci Jane wtrąciła, że widziała w szkole DVD z filmem o porodach i chętnie wyreczy Jessicę. Sięgając po swój scyzoryk, dodała, że kiedy dziecko się rodzi, odcina mu się kawałek, na co Persephone i Gulliver zająknęli się z przerażenia, a Jessica szybko podziękowała Jane za pomoc.

- Czy ciocia Sarah wyprukała dzidziusia? - zapytał zafascynowany Peter. - Na DVD w szkole nie było nic o prukaniu, tam dzieci wychodziły z wielkiej owłosionej pochwy. Ciocia nie ma owłosionej pochwy? Dlatego musi wyprukać dzidziusia?

Geoffrey, mężczyzna, który ewidentnie nigdy w życiu nie poruszał przy stole tematu pochew (owłosionych czy nie), przez chwilę wyglądał, jakby miał dostać zawału i zamienić jeden nagły wypadek w drugi. Sięgnął do kredensu po butelkę whisky i zapytał Simona, czy dołączy do niego w gabinecie. Simon nie wahał się ani chwili.

- To może przyniosę pudding? - spytałam dobitnie. - Wolicie budyniowy czy brandy?

WTOREK, 27 GRUDNIA

Dzisiejszy dzień zaczął się dobrze. Wszyscy byli dla siebie

mili, bo wiedzieli, że święta się kończą. Jessica z Neilem wyjechali rano, chociaż wcześniej siostra mówiła mi, że pobędzie tu do środy. Dlatego sama też postanowiłam zostać tak długo, bo nie chciałam, żeby mama szantażowała nas emocjonalnie i narzekała, że jej dzieci nie chcą z nią spędzać czasu. Tymczasem ta krowa Jessica złamała obietnicę i zwinęła się z samego rana.

Mimo że było nas o czworo mniej, a my mieliśmy wyjechać jutro, mama i tak przeżyła załamanie nerwowe, kiedy zobaczyła, że zostały jej tylko trzy litry mleka, cztery bochenki chleba w zamrażalniku i tuzin jaj, w związku z czym czeka nas śmierć głodowa! Wczoraj w nocy zaczęło padać i wciąż jeszcze sypało z nieba, więc mama uznała, że pobliski spożywcza błyskawicznie zostanie ogołoceny, bo emerycy rzucą się na świeżą dostawę jak szarańcza (siebie mama z uporem nie uważa za emerytkę. Twierdzi, że to dlatego, że dopóki im go nie odebrano, cały zasiłek grzewczy od rządu wydawali z Geoffreyem na wino), dlatego zarządziła, że ktoś z nas pojedzie do supermarketu, żeby zrobić zapasy.

Piers, który był skołowany i wyczerpany tym, że Sarah nieustannie mu rozkazuje, zgłosił się na ochotnika, twierdząc, że kończą się zapasy oleju kokosowego (dobry Boże, jak wielkie musi być krocze Sarah, że od przyjazdu zużyła już cały słoik?), chociaż wydaje mi się, że prawdziwym powodem była rozkoszna wizja chwili ciszy i spokoju.

Pożegnaliśmy go, jak przystało na kochającą rodzinę, natomiast mama zaniepokoiła się, czy z powodu ośnieżonych

dróg uda nam się jutro wyjechać. Mnie też zlał zimny pot na myśl o tym, że utknę tu z mamą i Geoffreyem (a także stoma milionami litrów mleka, czterdziestoma tysiącami bochnów chleba, pierdylionem tuzinów jajek i cysterną oleju kokosowego, które Piers przywiezie ze swojej akcji humanitarnej). Nonszalancko stwierdziłam, że sobie PORADZIMY, bo mam napęd na cztery koła, więc nic nie stanie nam na przeszkodzie.

Peter i Jane narzekali, że śnieg już im się „znudził” i nie wiedzą, co ze sobą zrobić (wraz z wyjazdem ich kuzynostwa faktycznie stracili najnowszą ulubioną rozrywkę – nie było już kogo dręczyć). Mama oznajmiła, że tylko nudni ludzie się nudzą i zaproponowała im szereg żmudnych prac, które mogliby wykonać, ale mamrocząc pod nosem, że coś sobie znajdą, wymigali się od pomagania. Mama pękała z dumy i z uśmiechem wyższości rzuciła do mnie:

- Trzeba po prostu wiedzieć, jak się z nimi obchodzić!

- Mamo, chyba zdajesz sobie sprawę, że oni poszli poszukać jakiegoś ekranu, by się w niego gapić. Nie poszli pisać opowiadań, wierszy czy sztuki teatralnej – zauważyłam.

- Może i tak – obruszyła się mama.

Poza tym popołudnie upływało w miłej atmosferze. Śnieg prószył, w kominku strzelało drewno, a w domu po raz pierwszy od kilku dni panowała cisza. Zwinęłam się w kłębek na jednym z foteli przy oknie, żeby zatopić się w lekturze starego i zmaltretowanego egzemplarza *Zaczarowanych baletek*. Stwierdziłam, że dzieci nie miały w ostatnim czasie wielu okazji do zabaw iPodami, więc jedno popołudnie im nie

zaszkodzi, a ja będę mogła sobie pomarzyć o pełnej blichtru karierze na scenie, której nigdy nie zrobię (wiem, że wszystkie powinnyśmy marzyć o tym, żeby być jak odważna chłopczyca Petrova, ale mnie zawsze ciągnęło do rozpuszczonej Posy paradującej w baletkach na czubkach palców). Simon gdzieś się szwendał, Geoffrey zniknął w gabinecie, Sarah rozłożyła się na kanapie przed kominkiem w pozycji embrionalnej, a mama przeglądała *Tatlera* i udawała, że zna wszystkich znanych ludzi z działu o galach i przyjęciach.

Kiedy zaczęło zmierzchać, Sarah spojrzała na nas i powiedziała, że byłoby uroczo, gdyby ktoś przyniósł jej kubek wrzątku z sokiem z cytryny. Mama, która nie wybaczyła jeszcze Sarah za zrujnowanie Bąkiem Zagłady eleganckiego świątecznego przyjęcia, zignorowała ją. Kiedy prośba została ponowiona, niezbyt przyjaźnie rzuciłam:

- Na tym etapie ciąży nadmierne wylegiwanie się nie przysłuży ci się dobrze. Jeszcze dostaniesz zakrzepicy. Ruch i aktywność są dla ciebie o wiele zdrowsze. Mały spacer do kuchni po coś do picia to świetny pomysł.

- Ale ja jestem w ciąży! Nie wierzę, że nikt nie zechce mi pomóc w MOIM STANIE! Gdzie jest Piers? I gdzie tatuś?

Ponieważ nikt nie okazał jej więcej empatii, niż ja to uczyniłam, Sarah zwlekła się z kanapy, mruczając coś pod nosem. Kiedy się podniosła, nagle usłyszałam wielki plask, jakby rozlała coś na dywan.

Mama, która do tej pory udawała, że nic nie słyszy, na ten dźwięk podniosła wzrok i pisnęła:

- Mój dywan z Aubusson! Co się stało, do cholery?

Sarah, która stała pośrodku kałuży, powiedziała przerażona:

- Nie zsiusiałam się. Przysięgam!

- Chryste, Sarah! Odeszły ci wody płodowe!

- Co takiego? To niemożliwe! Nie otrzymałam żadnego ostrzeżenia! Wszyscy mówili, że będę wiedziała, kiedy dzidzius postanowi wyjść z brzuszka i powinnam słuchać swojego organizmu! I ja słuchałam, ale dzidzius nic do mnie nie mówił, a teraz nadchodzi, a przecież miał przyjść po terminie, i tak mówili ci kłamliwi oszuści! Że pierwsze dziecko zawsze rodzi się po terminie! W dodatku nie ma Piersa, bo zgubił się gdzieś w śnieżycy i pewnie umrze z zimna, zanim pozna swoje maleństwo, a ja zostanę samotną matką! Dobry Boże, to nie może być prawda!

Niechętnie odłożyłam *Zaczarowane baletki*, porzucając Pauline i Petrovą w trakcie przesłuchania do *Snu nocy letniej*, i ruszyłam do akcji. Ponieważ oglądałam wszystkie odcinki *Z pamiętnika położnej* łącznie z przerażającym dodatkiem świątecznym, w którym była zakonnica Shelagh uwiodła doktora Turnera w szybkoschnącym nylonowym szlafrocisku, czułam, że sobie poradzę.

- Nie denerwuj się, Sarah - dodawałam jej otuchy (w serialu *Z pamiętnika położnej* mówili, że ważny jest non stop uśmiech, bo uspokaja matkę - chociaż z drugiej strony mówili też, że warto ciężarnej zrobić lewatywę. Postanowiłam skupić się na uśmiechu), głaszcząc ją po dłoni.
- Dzieci rodzą się bardzo długo. Wszystko będzie dobrze.

Pamiętaj o oddechu. Piers zaraz wróci, pewnie stoi w kolejce. Albo może szukał oleju kokosowego. O nic się nie martw.

- Co ja mam zrobić? O Boże!!!

Sarah ewidentnie wpadła w histerię. Zastanawiałam się, czy nie powinnam jej spoliczkować. Prawdę mówiąc, marzyłam o tym od lat i pewnie już nigdy nie zdarzy się lepsza okazja. Z drugiej strony policzkowanie kobiety w ciąży, nawet jeśli jest upierdliwa i rozwrzeszczana, mogłoby wywołać sprzeciw otoczenia, więc porzuciłam ten pomysł i dalej głaskałam ją po dłoni, próbując wydawać z siebie „kojące dźwięki”.

Kiedy Sarah, wciąż pojękując, padła z powrotem na kanapę, dołączyła do niej mama. Mogłyby razem założyć chór grecki.

- Boże, Ellen, zrób coś! Niech ona zejdzie z kanapy! Natychmiast! Kupiłam ją w salonie Laury Ashley! Poduszki są z kolekcji Summer Palace, którą właśnie przestali produkować. Już i tak zniszczyła mi dywan!

- Mamo, ona rodzi! - oburzyłam się. - Więc powinnaś czymś innym się martwić niż jakąś kanapą. Sarah potrzebuje ciepła, wygody i otuchy. Nie jesteś zbyt pomocna, wiesz?

- Tkanina na poduszki kosztowała trzydzieści sześć funtów za metr! Którą część wyrażenia „przestali produkować” mam ci wyjaśnić, Ellen? - syknęła podle mama, wzbudzając strach nawet we mnie.

- Po prostu zadzwoń po karetkę.

- Ale co my z nią zrobimy, zanim przyjadą?

- Ja tutaj jestem! - upomniała się Sarah.

- Może garaż? Co prawda stoi tam jaguar Geoffreya, ale i tak nigdy go nie lubiłam, więc nic się nie stanie, jeśli Sarah porysuje lakier.

- MAMO! Nie ma mowy! Nie zaprowadzimy jej do żadnego garażu! - wydarłam się, nie mogąc uwierzyć, że miłość do przedmiotów martwych jest dla niej ważniejsza niż szansa obcowania z cudem narodzin.

- Dlaczego nie? Przecież garaż to nowoczesna wersja stajenki, więc jak najbardziej pasuje, a już szczególnie w święta.

- O MÓJ BOŻE! - zawyła Sarah. - Czy nikt z was nie może zadzwonić do Piersa?! Tak po prostu zadzwonić i powiedzieć, żeby wrócił jak najszybciej?!

- Mamo, zadzwoń po karetkę, a potem daj znać Piersowi - zarządziłam, po czym zwróciłam się do Sarah: - Wszystko będzie dobrze. Nie masz się o co martwić. Na dziecko musimy jeszcze poczekać, i na pewno nie pozwolę mamie zamknąć cię w garażu. Najwyżej poświęcimy poduszki. Karetka zaraz tu będzie. Mamo, dlaczego wciąż tu jesteś? Miałaś zadzwonić po karetkę i do Piersa. Ma wracać, a przedtem Sarah chce z nim porozmawiać... Mamo, trzeba zagotować wodę. I przynieść ręczniki! Dużo ręczników!

- Chyba nie mówisz o moich ręcznikach z White Company? Możemy użyć tych, którymi wycieram koty po kąpielu.

- Maaamooo!!! - Ostatecznie straciłam cierpliwość. - Ona rodzi! Natychmiast dzwoń! I przestań mi truć o swoich pieprzonych ręcznikach! I nie waż się dać jej ręczniki po kotach! A im dłużej będziesz się certolić z telefonem, tym

większa szansa, że urodzi na twoich zasranych poduszkach!

Mama wymaszerowała, mamrocząc coś pod nosem, a ja zwróciłam się do Sarah, która jęczała w kolejnym skurczu.

- Oddychaj spokojnie. Wyobraź sobie coś pięknego. Na przykład tropikalną plażę. Weź głęboki wdech i pomyśl o tym. Czy orgazm nadchodzi? - powiedziałam radośnie, niemal puchnąc z dumy, jak świetnie sobie radzę z kryzysem porodowym.

- Zamknij się, Ellen! To boli jak cholera! Oddychanie nic tu nie pomoże! Potrzebuję znieczulenia!

- Nie, wcale nie potrzebujesz. Przecież chciałaś mieć naturalny poród, pamiętasz? Szykowałaś się do porodu w hipnozie i byłaś przeciwna znieczuleniu i medycznej interwencji. Zamiast tego miałaś oddychać. Powiedziałaś, że poród boli tylko dlatego, że myślimy o nim jak o czymś bolesnym, ale jeśli uwierzymy, że jest inaczej, stanie się pozytywnym i dającym siłę doświadczeniem. Chcesz, żebym pottrzymała cię za rękę?

- **PIEPRZYĆ TO GÓWNO!** - zawyła Sarah, po czym ścisnęła mnie o wiele mocniej, niżby wypadało. - Z mojej małej brzoscwinki właśnie wyłazi CZŁOWIEK! Co za kretyn ubzdurał sobie, że to może nie boleć?

- Hm... Sama jeszcze niedawno tak mówiłaś. Pamiętaj o oddychaniu - podpowiedziałam pomocnie.

Na szczęście skurcz minął i Sarah puściła moją dłoń. Zastanawiałam się, czy wyjdę na za mało wspierającą, jeśli nie podam jej ręki drugi raz. To było bardzo bolesne. Trzeba jej przyznać, że ma uścisk. Pewnie była kapitanem drużyny

tenisowej w szkole. Trochę współczuję Piersowi.

- GHRGHR! Przestań pieprzyć o oddychaniu. Czy to ci pomogło, kiedy rodziłaś?

- Prawdę mówiąc, nie. Wszyscy tak mówią, kiedy się rodzi, jakby rodząca była idiotką i zapomniała, jak się oddycha. Jak przez mgłę pamiętam, że krzyczałam na położną, że „przecież oddycham, do cholery”, i na moment wstrzymałam oddech tylko po to, żeby zrobić jej na złość. Jakoś nie padła z wrażenia, ale z drugiej strony byłam pod wpływem leków. Może w takich sytuacjach ludzie faktycznie zapominają? Może to całe jęczenie jednak pomaga? Po latach te wspomnienia stają się niewyraźne. Zapominamy, co się dokładnie działo, to taki sposób natury na...

- Boże, Ellen, przestań głądzić! Mam kolejny skurcz! I nie mów mi, żebym oddychała! Chcę znieczulenie! Chcę dostać takie same prochy jak ty! To takie niesprawiedliwe!

Nagle dotarło do mnie, że odstępy między skurczami są coraz mniejsze. Próbowałam sobie przypomnieć, ile trwają odstępy, kiedy sprawa staje się naprawdę poważna, i w tym momencie weszła mama, a tuż za nią Geoffrey. Nie wyglądała na szczęśliwą.

- Piers nie odbiera - oznajmiła zalękniona.

- O MÓJ BOŻE! - zawodziła Sarah. - Piers umarł w zamieci śnieżnej! GHRGHR! - zawarczała nieludzko. - Mam kolejny skurcz!

- Kochanie, czy naprawdę musisz tak krzyczeć? - spytał lekceważąco Geoffrey.

- Ellen, dlaczego ona wciąż leży na kanapie? Prosiłam cię,

żebyś ją przesadziła - narzekała mama.

- Nie chcę być wdową! Nie chcę być samotna matką sierocznego dziecka! - wyszlochała Sarah.

- Pewnie są zakłócenia sygnału ze względu na śnieżycę - mądrzył się Geoffrey.

- Mamo, zadzwoniłaś po karetkę?

- Nie! Próbowałam dodzwonić się do Piersa! - odparła urażona.

- Zadzwoń po karetkę! To jest ważniejsze niż Piers!

Mama znowu odmaszerowała.

Jane wybrała idealny moment, żeby przyjść i oświadczyć mi, że od śniadania nie widziała Simona.

- Czy ciocia Sarah znowu wyprukuje dzidziusia? - zainteresowała się. - Mogę zostać i popatrzeć? Kiedy oglądaliśmy DVD w szkole, nie uczyli nas tej metody. Pokazywali tylko, jak rodzić przez owłosioną waginę.

Odnutowałam w pamięci, żeby w przyszłości porozmawiać z Jane na temat braków w jej edukacji seksualnej.

- Może pójdziesz poszukać tatusia, kochanie? - zasugerowałam, na co Jane się nadąsała i odeszła, mamrocząc pod nosem, że to niesprawiedliwe, bo zawsze omija ją najlepsze.

- Następny! Następny! Gdzie ta karetka? Do kurwy nędzy, może powinnam zacząć przeć? - wrzasnęła Sarah i rozłożyła nogi na drogocennej kanapie mamy.

- Nie możesz jeszcze przeć! Dopiero zaczęłaś rodzić! Ani się waż przeć! - spanikowałam.

- Nie ma potrzeby używać takiego słownictwa, młoda

damo! – po ojcowsku zganił córkę Geoffrey, patrzą na Sarah, z której pot lał się strumieniami.

– Pieprz się, tato! Połknij całego arbuza i wyciągnij go sobie przez odbyty! Wtedy porozmawiamy o słownictwie!

Do pokoju wparowała spanikowana mama.

– Nie wiedzą, kiedy dotrze do nas karetka, bo ta śnieżycą! Mają samochody z medykami, ale wszystkie kursują, a poród nie jest klasyfikowany jako nagły wypadek. Pytają, jak często masz skurcze.

Kurwa mać. Liczenie odstępów między skurczami. Wiedziałam, że powinnam robić coś więcej, niż tylko uspokajać rodzącą.

– Nie mam pojęcia! Boże, Ellen, porozmawiaj z nimi! – Mama z jękiem wcisnęła mi słuchawkę.

– Dobrze, poproszę o informację, czy to pierwsze dziecko? Ile lat ma pacjentka? Dobrze usłyszałam, trzydzieści dziewięć? Nie było powikłań? Ciśnienie w normie? Termin porodu? Rozumiem, dziecko rodzi się kilka dni wcześniej – profesjonalnym tonem mówiła pracowniczka pogotowia.

A ja przekazywałam jej wszystko, co myślałam, że wiem, licząc na to, że skoro Sarah chciała mieć poród w domu, to nie miała żadnych poważniejszych problemów w trakcie ciąży.

– Rozumiem. Czy mogłaby pani przywieźć pacjentkę do szpitala?

– Ja?! – przeraziłam się.

– To najszybszy sposób, żeby trafiła do nas. Biorąc pod uwagę warunki pogodowe, nie wiem, ile czasu musieliby

państwo czekać na karetkę. Ma pani samochód z napędem na cztery koła?

- Tak - ledwie wyszeptałam.

- Świetnie, w takim razie proszę podrzucić pacjentkę i ją zarejestrować. Gdyby sprawy przyśpieszyły, proszę do nas zadzwonić i zobaczymy, czy będziemy mogli zadziałać inaczej.

Rozłączyłam się i zobaczyłam, że mama wyglądała przez okno.

Rozpaczliwie wyjęczałam:

- Pada coraz bardziej, a skurcze są coraz częstsze. Co my, do cholery, zrobimy?

- Chryste! JA RODZĘĘĘ! - zawyła Sarah.

Wzięłam głęboki wdech i krzyknęłam głośniejszym głosem od wszystkich:

- USPOKÓJCIE SIĘ NATYCHMIAST, DO JASNEJ CHOLERY!

- Czy ciocia Sarah pokaże nam swoją włochatą waginę? - spytał zafascynowany Peter, który nie wiedząc kiedy wślizgnął się do salonu.

- Nie! Wynocha stąd! Idź poszukać ojca! - krzyknęłam. - A ty, mamó, zadzwoń do szpitala i powiedz, że wieziemy Sarah.

Po chwili do salonu wszedł Simon, a za nim mama, która trajkotała coś do słuchawki, po czym zwróciła się do nas:

- Nie wiedziałam, do którego szpitala zadzwonić, więc zadzwoniłam do lokalnego centrum zdrowia, ale tam nie odbierali, więc zadzwoniłam do Julie Carmichael, która tam

kiedyś pracowała. Pyta, jak duże jest rozwarcie macicy. Warto to wiedzieć, zanim się pojedziecie do szpitala.

- Co takiego?! - Ręce mi opadały.

- Jak duże jest rozwarcie? - powtórzyła mama.

- Powiedz pieprzonej Julie żeby się odpieprzyła! To nie ma z nią nic wspólnego! I zadzwoń do najbliższego szpitala, w którym jest porodówka!

- Ale ja nie wiem, gdzie jest najbliższa porodówka. Wielkie nieba, po co miałabym wiedzieć coś takiego? Nie, Julie, ciągle tu jestem. Nie wiedzą, jakie jest rozwarcie. Tak, wiem. Och, absolutnie!

- Poszukać szpitala w Google'u? - zaproponowała Jane, która niezauważona wślizgnęła się z powrotem do salonu.

- Poproszę, Jane, bardzo byś mi pomogła. - Wreszcie trafiłam na kogoś, kto miał choć odrobinę oleju w głowie.

- Możesz prowadzić? - spytałam Simona.

- Ja? Skądże! Od lunchu popijam czerwone wino! - odparł wesoło i na dowód pomachał mi przed nosem kieliszkiem.

- Chryste Panie... - westchnęłam desperacko.

Mama wciąż wisiała na telefonie. Opowiadała Jane Carmichael o ręcznikach dla kotów i poduszkach na sofie. Geoffrey fukał z niezadowoleniem, że „po co robić tyle hałasu o nic?”, Simon był kompletnie ululany, Peter ciekawsko zaglądał do salonu, a Sarah nie przestawała jęczeć o parciu.

- Dobra, znalazłam! - zawołała radośnie Jane. - Najbliższy szpital z porodówką i ostrym dyżurem. Wysłałam ci mapkę na twój telefon, mamó.

- Kocham cię, Jane! - Cud prawdziwy, że przynajmniej jedna osoba zachowała w tym cholernym chaosie trzeźwość umysłu.

- Dobra! Mamo, kończ rozmawiać, musisz przygotować dla Sarah torbę szpitalną. Zapakuj czystą piżamę, jakieś podpaski... Mogą być dla starszych kobiet...

- Nie używam takich podpasek! - obruszyła się mama.

- To bez znaczenia! Po prostu spakuj piżamę, koce, kilka ręczników, byle nie tych pieprzonych ręczników dla kotów, i cokolwiek, co uznasz za przydatne. Aha, i jeszcze sosjerkę.

- Moją sosjerkę?! A po co jej sosjerka?

- Żeby obmyć się wodą po siusianiu, jak już będzie po wszystkim. To o wiele mniej boli!

- Ale kupiłam ją w Lakelandzie! Nie może być coś innego? Może malutka konewka do podlewania roślin domowych? - jęczała mama, podczas gdy Geoffrey tak pobladł, że tym razem naprawdę zaczęłam się bać, że dostanie zawału.

- DASZ JEJ SOSJERKĘ I KONIEC! - rozkazałam, bo nie było czasu na dyskutowanie o takich szczegółach. - Simon, pojedziesz ze mną.

- Ja? Dlaczego akurat ja?

- Na wypadek, gdyby po drodze zaczęła rodzić. Ktoś będzie musiał złapać dziecko, przecież nie puszczę kierownicy! I możesz mi wierzyć, że ze wszystkich opcji akurat ty, niestety, wydajesz się najlepszą.

Przez chwilę myślałam nawet o tym, czy nie zabrać Jane, bo miałam wrażenie, że będzie bardziej przydatna, ale obawiam się, że przyjmowanie porodu w delikatnym wieku

jedenastu lat mogłoby okaleczyć ją na resztę życia. Simon (choć może nie w pełni świadomie) doświadczył już „cudu narodzin” z mojej waginy, więc już niewiele może mu zaszkodzić.

Kiedy skończyło się narzekanie, fochy, jęki i krzyki (głównie mamy, która nie chciała rozstać się z sosjerką), zapakowaliśmy biedną Sarah na tylne siedzenie mojego samochodu przyozdobione psim futrem, opakowaniami po frytkach z McDonalda i paczkami po chipsach. Simona też bezceremonialnie odesłałam do tyłu, więc usiadł najdalej, jak to było możliwe.

W końcu ruszyliśmy, a Sarah od razu zaczęła starą śpiewkę o tym, że chyba powinna zacząć przeć, więc raz na jakiś czas musieliśmy z Simonem wydrzeć się na nią, że COKOLWIEK BY SIĘ DZIAŁO, NIE ZACZYNAJ PRZEĆ! I tak jechałam wśród śnieżnych zasp, pokrzykując na panią z Google Maps, która uważała, że wie lepiej ode mnie, jak się prowadzi auto.

Całe szczęście Sarah nie urodziła na szosie, chociaż muszę przyznać, że prowadzenie, kiedy ktoś drze ci się prosto do ucha, nie jest najłatwiejsze. Na szczęście miałam już w tym sporo wprawy, bo Peter i Jane też podczas podróży uwielbiają piszczeć jak oszalałe strzygi. Porwałam się nawet na bardzo imponujące, choć nadzwyczaj nielegalne parkowanie w zatoczce dla karetek w stylu *Diuków Hazzardu*, po czym wypakowałam Sarah i Simona i poszukałam takiego miejsca, gdzie ryzyko założenia blokady będzie mniejsze.

Gdy już się z tym uporałam, pobiegłam do szpitala, gdzie

Sarah i Simon wciąż stali przy recepcji, próbując wyjaśnić, co się dzieje. Mówiąc ściślej, Sarah trzymała się za brzuch i jęczała coś o osieroconym dziecku, a Simon z przerażoną miną wskazywał na nią i mamrotał coś o „dzieciach”.

- Czy pan jest partnerem? - spytała zdezorientowana recepcjonistka.

- Nie! - zaprzeczył stanowczo Simon.

- Ach tak... W takim razie czy pani jest partnerką? - spytała mnie.

- Co?!

- Wszystko w porządku. My nie oceniamy. Często widzimy nowoczesne związki - odparła miło.

- Nie! To znaczy nie mam nic przeciwko parom jednopłciowym, ale to jest moja przyrodnia siostra. A on jest moim mężem. Rozumie pani?

- Hm, to rzadziej spotykane... - Położnej zrzęda mina. - Ale jak już mówiłam, my nie oceniamy.

- Ale to nie jego dziecko! Przywieźliśmy ją tutaj, bo jej mąż pojechał po mleko, bo moja matka jest psychiczną nabiółową tyranką! Dlatego musieliśmy ją przywieźć, ale może przestaniemy już o tym rozmawiać i pomożemy jej wydobyć dzidziusia?

- Nie pochwalamy takich terminów jak „psychiczny” - oschle skwitowała recepcjonistka.

- Najwyraźniej nie poznaliście mojej matki! - syknęłam, a Sarah znowu zawyła, przypominając nam wszystkim, po w ogóle tu przyjechaliśmy.

Dziesięć minut później Sarah została zakwaterowana

i przydzielono jej przemiłą położną. Rozwarcie miało już dziewięć centymetrów, więc dziecko powinno wkrótce się narodzić.

Najchętniej zostawiłabym „siostrę” pod fachową opieką personelu, ale nie chciała mnie puścić, błagała, żebym nie wychodziła. Sytuacja była trudna, bo cała uwaga skupiła się na mnie, do tego doskonale pamiętałam, jakie to uczucie, gdy kobieta rodzi całkiem sama, bo tak urodziłam Jane, dlatego uznałam, że nie wypada małostkowo powoływać się na to, że nigdy się z Sarah nie dogadywałyśmy, więc niby czemu mam jej pomagać, i rzuciłam tylko:

- Oczywiście, że zostanę!

Pepełniłam małe faux pas, kiedy miła położna zapytała, czy mamusia chciałaby trochę gazu, a ja krzyknęłam:

- O tak! Poproszę! Kocham gaz! To tak samo jak być pijaną, a ja kocham być pijaną! Miałam taki stresujący dzień! Byłoby wspaniale!

Na co położna chłodno poinformowała mnie, że pytała osobę, która potrzebuje znieczulenia o wiele bardziej niż ja.

Dwadzieścia minut później (choć wydawało mi się, że całe to parcie, krzyki i przekleństwa trwały całą wieczność. Przynajmniej taki z tego zysk, że wreszcie zrozumiałam, dlaczego Simon, gdy ja rodziłam, wolał się schować w kącie jak tchórz, bo zrobiłam dokładnie to samo, kiedy tylko dotarło do mnie, że nie dostanę gazu) z brzucha Sarah wyskoczyła zdrowa jak rydz dziewczynka. Nie było nawet potrzeby nacinać krocza, więc przynajmniej wcieranie oleju kokosowego nie poszło na marne.

- Chciałaby pani przeciąć pępowinę? - spytała wesoło położna, na co ja schowałam się jeszcze głębiej w kąciku. Nie miałam najmniejszej ochoty tam podchodzić. Mam mgliste wspomnienia ze swoich porodów, ale dobrze pamiętam, że Simon zareagował z podobnym przerażeniem, kiedy zaproponowano mu przecięcie pępowiny, kiedy urodziła się Jane. Co gorsza, położna spytała o to nawet mnie. Pamiętam, że odpowiedziałam coś w stylu: „To raczej ponad moje siły, jestem na totalnym haju przez ten uroczy gazik. Ja i ostre przedmioty to nie jest najlepsza kombinacja”, na co położne się skrzywiły. Chyba walnęłam gafę.

Sarah tuliła swoje dziecko. Na twarzy miała wypisane zdziwienie i szczęście - to, co widać u wszystkich kobiet po urodzeniu dziecka (oczywiście z wyjątkiem mnie. Ja byłam spocona i na haju. Udało mi się tylko wyglądać na zdziwioną). Zawołano, żebym wyszła z kącika i zobaczyła nowo narodzone dziecko, które podobno było „prześliczne” (nieprawda - wyglądało jak wszystkie inne noworodki, czyli jak wściekła suszona śliwka, ale nie wypada mówić takich rzeczy na głos). Łakomie zerkałam na herbatę i tosty, które przyniesiono Sarah, bo nie była nimi zainteresowana. Wtedy do pomieszczenia wparował Piers, któremu wcześniej mama kazała zrobić rundkę po supermarketach w poszukiwaniu organicznego odtłuszczonego mleka, a kiedy w końcu go dorwała, bo odzyskał zasięg, musiał jechać naokoło, bo jakieś audi wpadło w poślizg i zabarykadowało drogę.

- Ach, więc to pan jest tatusiem? - spytała położna, która wciąż nie mogła się połapać w nieszablonowych relacjach

rodzinnych.

Piers widział jednak tylko Sarah i swoje małeństwo.

- Tak! - odpowiedziałam z ulgą, zadowolona, że nie będę musiała już więcej się tłumaczyć.

Ale gdy zaczęłam po cichu wychodzić z pokoju, Sarah, która wciąż promieniała (wstręciucha!), powiedziała do Piersa:

- Kochanie, Ellen okazała się prawdziwym skarbem! Nie wiem, co bym bez niej zrobiła! Może powinniśmy poprosić ją, żeby wymyśliła imię?

Co, do cholery?! Nie ma mowy! Nie proście mnie, żebym nazwała wasze dziecko! Imiona to bardzo subiektywna i delikatna sprawa. Ja i Simon prawie się przez to rozwiedliśmy, a wy chcecie, żebym zrobiła to za was?! Bardzo chciałam nazwać córkę Isolde, ale Simon powiedział, że to pretensjonalne i żalosne, chociaż moim zdaniem to bardzo tajemnicze i romantyczne imię. I zaproponował, by nasza córka nazywała się Deirdra, na co chłodno odparłam, że takie imię brzmi jak zaczerpnięte ze staroirlandzkiej mitologii, a poza tym przez resztę życia musiałabym myśleć o bohaterce opery mydlanej, Deirdre Barlow, więc nie ma mowy! W sumie mogłabym skorzystać z okazji i chociaż teraz przepchnąć Isolde. Zastanawiałam się nad tym przez chwilę, po czym odparłam:

- Dziękuję, Sarah, bardzo mi to pochwala, ale nie mogę się zgodzić na taki zaszczyt. Sami wybierzcie imię!

- W takim razie moglibyśmy dać jej na drugie imię Ellen.

To było naprawdę urocze. Aż zaczęłam trochę lubić Sarah.

- To szalenie miłe, ale nie podejmujcie pochopnych decyzji. Przemyślcie to jeszcze! - powiedziałam, chociaż w duchu pomyślałam: „Tylko spróbujcie się rozmyślić!”.

Kiedy w końcu wyszłam z izby porodowej, przyszło mi do głowy, że gdyby ich córeczka urodziła się synkiem i drugie imię daliby jej na cześć Simona, byłabym wściekła jak bąk, bo w całej tej sytuacji nie można było na nim w ogóle polegać.

Mama i Geoffrey czekali zniecierpliwieni, kiedy wróciliśmy do domu.

- No i? - spytała mama.

- Córeczka! Waży trzy siedemset! Imienia jeszcze nie wybrali, ale jest duża szansa, że drugie imię dostanie po mnie. Mama i dzidzia czują się dobrze. Piers jest z nimi.

- Tak, tak - niecierpliwie rzuciła mama. - Już mi to mówiłaś przez telefon. Ale co z moją sosjerką?

- Przykro mi, ale kiedy poszła się wysiusiać, użyła twojej sosjerki.

Mama jęknęła żałośnie. Cóż, po co jej wnuczka, skoro zniszczono zarówno dywan z Aubusson, jak i sosjerkę?

- Nie mam już siły. Muszę się napić! - poddałam się.

Ku mojemu zdziwieniu Geoffrey był dla mnie szalenie miły i podziękował za pomoc. Poczułam się szlachetnie i heroicznie. Bardzo się też cieszyłam, bo wiedziałam, że Jessica pęknie ze złości, kiedy się dowie, że uratowałam sytuację i zostałam rodzinną bohaterką, drugą po najdroższej Sarah. Ha!

PIĄTEK, 30 GRUDNIA

Zajrzałam na chwilę do biura, bo przy Simonie i dzieciach, którzy snują się po domu i zawracają mi głowę, nic się nie da zrobić. Dzięki temu odzyskam trochę sił na inne przyjemności, takie jak na przykład pieprzone koncerty świąteczne – hurra! Tak czy inaczej, żałowałam, że nie wpadłam na ten pomysł wcześniej. Bo to po prostu wspaniałe! Jestem sama w całym biurze. Co za spokój! To niesamowite, ile można zrobić, kiedy nikt nie wydzwaniania, nie wysyła ci mejli albo nie podchodzi na chwilę, żeby zapytać, czy chcesz herbaty i zostaje na krótką pogawędkę. To tylko potwierdza moją tezę, że świat byłby o wiele piękniejszy, gdyby nie było na nim innych ludzi.

Minusem tej sytuacji było to, że samotne przebywanie w pustym budynku nie należy do najprzyjemniejszych, kiedy zaczniemy się zastanawiać nad tym, czy przypadkiem za rogiem nie czyha na nas seryjny morderca albo psychopata, jak w *Lśnieniu*. W pewnym momencie zaczęłam nawet bać się iść do łazienki, bo gdybym faktycznie została zamordowana, wcale bym nie chciała, żeby mnie znaleziono z opuszczonymi majtkami i zalaną krwią (szczególnie że dzisiaj mam na sobie niewyjściowe majtki). Czyli wszystko ma wady i zalety.

SOBOTA, 31 GRUDNIA / NIEDZIELA, 1 STYCZNIA

Stare dobre czasy, kiedy sylwester oznaczał wielogodzinne ubieranie się i nakładanie ton makijażu, tracenie godności i obsceniczne całowanie się z bandą obcych chłopaków na ulicy, dawno za nami. W czasach studenckich Simon,

Hannah, Charlie i ja spędziliśmy kilka wywrotowych i niegrzecznych sylwestrów w Edynburgu (przynajmniej moje były wywrotowe i niegrzeczne, chociaż Simon też kilka razy okazał się zabawny, na przykład kiedy ściągnął gacie na Royal Mile, historycznym trakcie Edynburga, a później narzekał, że odmroził sobie jajka. Hannah i Charlie twierdzą, że byli od nas o wiele grzeczniejsi). Z czasem moje zamiłowanie do uspołeczniania się trochę osłabło. Kilka lat temu próbowałam zorganizować przyjęcie sylwestrowe z prawdziwego zdarzenia, ale skończyło się tym, że nienawidziłam wszystkich aż do Wielkanocy.

Tym razem stwierdziliśmy, że zaprosimy tylko kilku najbliższych i starannie wyselekcjonowanych przyjaciół. Będziemy mogli siedzieć w piżamach, nasze najdroższe dzieci podłączymy do elektronicznych nianiek, w buzie i talie upchniemy tony kanapeczek z Marksa i Spencera i lekko wstawieni porozmawiamy o tym, jak uratować świat. Dlatego przyszli tylko Hannah i Charlie, Katie i jej nudny mąż Tim oraz Sam. Wszyscy w towarzystwie swoich szkrabów, z własną parą kapci i przekąskami, żebyśmy mogli spędzić takiego sylwestra, jakiego obchodzą ludzie w średnim wieku.

Zaoferowałam wszystkim, że przenocuję ich dzieci (z wyjątkiem dzieci Katie, bo po pierwsze są jeszcze tak małe, że trzeba podcierać im tyłki, a ja nie podcieram tyłków dzieciom innych ludzi, a po drugie dlatego, że z racji wieku można je bez trudu wziąć na plecy i odnieść do własnych łóżek, kiedy przyjdzie odpowiednia pora). Dla Hannah i Charliego przygotowałam osobny pokój, żeby nie musieli

godzinami czekać na taksówkę w Nowy Rok. Sam mieszkał na tyle blisko, że mógł się doczłapać do domu o własnych siłach, kiedy nie spoczywał na nim obowiązek odeskortowania dzieci. Tak się bawią odpowiedzialni dorośli.

Mając na uwadze powyższe, Sam stanął w progu mojego domu, trzymając w rękach coś, co mogłabym opisać tylko jednym słowem: MROK. Poinformował mnie, że to kawowa tequila.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? Mieliśmy się dzisiaj bawić jak cywilizowani ludzie. Przygotowałam paróweczki mini w sosie miodowo-musztardowym. Mam minihamburgery do odgrzania. Czy powinniśmy pić szoty? Co, jeśli dzieci nas przyłapią? - spytałam pełna wątpliwości.

- Dzieci się nie zorientują. Będą zbyt zajęte wyzywaniem się i gapieniem w swoje ekrany. W ogóle nie zainteresują się tym, co robimy - zapewnił Sam.

- Hm...

A jednak dzieci wykazały się nadzwyczajnym zainteresowaniem i co dwadzieścia minut wściubiały nosy do salonu z pytaniem, czy już północ, choć w sumie posiadały z tryliard iPadów i innych tego typu urządzeń, z których KAŻDE ma zegarek. W końcu nie wytrzymałam i wydarłam się, że jeśli się wreszcie nie odpieprzą (no dobrze, nie użyłam tego słowa, ale obawiam się, że wyłapały niuanse w mojej wypowiedzi), skończy się całe to czekanie i natychmiast pomaszczą do łóżek.

Pomijając powyższe, mieliśmy bardzo przyjemnego i prawie dorosłego sylwestra. Szkoda tylko, że ta przeklęta

glazurka do miniparówecek przywarła do dna mojego najlepszego garnka i postanowiła zostać tam na zawsze, a Simon okazał mi kompletny brak szacunku, bo mimo że powiedziałam mu, że parówki są gorące i powinien poczekać, aż ostygną, napchał do gęby rozgrzanych jak piec hutniczy parówek tylko po to, żeby po chwili krzyczeć, że parzy, i wypluć wszystko na ziemię. Co gorsza, mój pies radośnie je Chapmaną i przeżył dokładnie to samo. To, że bardziej się przejmuję poparzonym językiem mojego kochanego piesuńcia niż językiem mojej bratniej duszy, chyba nie czyni ze mnie troskliwej i kochającej żony.

Koło północy, kiedy dzieci podostawały gorączki z podniecenia (z wyjątkiem małych Katie - Ruby spała za kanapą, a Lily uległa pokusie położenia się „na chwilę” pod biurkiem Jane), odliczyliśmy razem z Jools Holland i zawołaliśmy:

- SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!

- To wszystko? - spytała rozczarowana Jane. - Myślałam, że coś się zmieni z początkiem nowego roku. Myślałam, że poczuje się jakoś inaczej, a wszystko zostało takie same. Beznadzieja!

- Niestety, tak właśnie działa sylwester, kochanie - odparłam.

Jane zrobiła kwaśną minę, ale po chwili rozpromieniła się:

- Ale skoro jestem o rok starsza, czy pozwolisz mi założyć konto na Instagramie?

- Nie jesteś o rok starsza. Jeśli już, to o pięć minut, więc z konta nici - sprostowałam.

- O MÓJ BOŻE! Tyle się mówi, że NOWY ROK - NOWA JA! A ty jesteś tak samo okropna jak zawsze! To niesprawiedliwe!

- Jane, zgadzam się, że nowy rok to nowy start, dlatego nie chcę, żebyśmy zaczynały go tymi samymi dyskusjami co w zeszłym roku. Jasne? - powiedziałam stanowczo.

- Tak. Rozumiem, że w tym roku za główny cel swojego życia wybrałaś zrujnowanie mojego życia! Doskonale to rozumiem! - obraziła się Jane.

Jedynym pocieszeniem było to, że Hannah i Sam kłócili się dokładnie o to samo z Emily i Sophie. Zaczęłam podejrzewać, że dziewczynki zaplanowały zmasowany atak na nas, mając nadzieję, że damy się urobić w chwili emocjonalnej słabości. Podśluchałam też, że Simon i Charlie tłumaczą Peterowi, Lucasowi i Toby'emu, dlaczego nie pozwolą im wznieść toastu noworocznego piwem. To nie wróżyło najlepiej.

Kiedy dzieci udało się przynajmniej na tyle uspokoić, żeby położyć je do łóżek - choć nadal narzekały na nasz niczym nieuzasadniony upór w chronieniu ich przed pedofilami i alkoholizmem u młodych - a Tim i Katie smutno odmaszerowali do domu po drugiej stronie ulicy z dziećmi na rękach, napisałam kilka SMS-ów z życzeniami noworocznymi i przejrzałam Facebooka, żeby upewnić się, że wszyscy bawią się lepiej ode mnie. Alan wysłał mi zdjęcie, na którym próbuje włożyć do nosa minipetardę z konfetti. Zastanawiałam się, czy mu odpisać, że to nie brzmi jak dobry pomysł, kiedy Sam wyciągnął Butelkę Zagłady.

- To może jeden szocik za dobry Nowy Rok? -

zapropował niewinnie.

Po krótkiej chwili stwierdziliśmy chórkami:

- Ale tylko jeden!

Okazuje się, że kawowa tequila w ogóle nie smakuje jak tequila. Wręcz przeciwnie, jest pyszniejsza jak szot Tii Marii z turbodoładowaniem (przy czym każdy wie, że Tia Maria to nie alkohol, tak samo jak baileys). Poza tym to tylko jeden szocik. I jeszcze jeden. I jeszcze jeden.

Druga sprawa jest taka, że kawowa tequila działa podobnie jak sztandarowy i bezlitosny drink lat dziewięćdziesiątych, czyli wódka z Red Bullem. Z jednej strony jesteś pijana jak baba, ale z drugiej masz mnóstwo energii, więc robisz z siebie kretynkę o wiele dłużej niż po normalnych drinkach, po których szybko padłabyś spać... Dlatego najlepiej będzie, jeśli na resztę wieczoru spuścisz zasłonę milczenia. Wystarczy, że powiem, że były tańce, wspólne śpiewy i moje rozdzierające serce, skąpane we łzach i pełne emocji wykonanie piosenki *How Much Is That Doggy in the Window*^[7], kiedy to z całej siły ściskam mojego przerażonego psa i płaczę mu do ucha na myśl o niekochanym czworonogu z wystawy.

STYCZEŃ

NIEDZIELA, 1 STYCZNIA

GHRGHR. Dzisiejszy dzień był co najmniej męczący. Gdy o siódmej rano obudził mnie tupot małych chłopców biegających po schodach, dotarło do mnie, że skoro mam pod opieką dzieci innych ludzi, to ktoś powinien przynajmniej próbować udawać, że jest odpowiedzialnym dorosłym. Kopnęłam Simona w kostkę.

- Mhm... - mruknął, po czym przewrócił się na drugi bok i nakrył głowę poduszką.

- Chłopcy wstali. Zejdź do nich i zrób im śniadanie - syknęłam.

- Saaaj! - burknął.

Podejrzewam, że chciał powiedzieć: „Spadaj!”.

Ponieważ mój mąż został przez naturę hojnie wyposażony w dar snu, śpi jak przysłowiowy kamień nawet wtedy, gdy jego ukochane potomstwo drze się wniebogłosy, bo najpewniej dźga nożem siebie, inne dziecko albo listonosza, natomiast ja jestem tylko przedstawicielką słabej płci, którą najcichszy dźwięk, pisk czy kwik od razu stawia na nogi, jeśli tylko istnieje choćby bardzo nikłe prawdopodobieństwo, że wydało je wspomniane wyżej potomstwo, więc westchnęłam i zwlokłam się z łóżka.

Pozycja pionowa była bolesna, i to bardzo. Kawowa tequila

z pewnością nie zostanie moją przyjaciółką. Nie mogę uwierzyć, że porwałam się na szalony czyn, jakim było zapisanie się na fitness dla pośladek na dziś rano, bo ubzdurałam sobie, że jestem dorosłym i zdrowym człowiekiem. Nie ma mowy, żebym tam poszła! Ledwie powstrzymałam wymioty, a co tu mówić o wyskokach! Poczłapałam na półpiętro i natknęłam się na Hannah, która właśnie wychodziła z pokoju gościnnego i wyglądała prawie tak samo źle jak ja, natomiast Charlie spał rozwalony na kołdrze i głośno pochrapywał. Spojrzałyśmy w lustro z niesmakiem.

- Ja pierdziele! Gdybym była psem, uśpiliby mnie, żebym się dłużej nie męczyła...

Na dole Sam równie głośno chrapał na kanapie. Jakaś dobra dusza przykryła go kocem. Mam rozmyte wspomnienia, które sugerują, że mogłam nią być ja. Wydaje mi się, że kiedy przykrywałam go pod szyję, zaczynały mu wystawać nogi, a kiedy przykrywałam nogi, wystawały ramiona. Dużo czasu zajęło mi rozwiązywanie tego skomplikowanego problemu. Ostatecznie doszłam do wniosku, że jeśli narzucę na niego koc wystarczająco szybko, na pewno przykryję go całego. Oczywiście nie miałam racji.

Szturchnęłam Sama, który wydał z siebie bardzo nieatrakcyjny dźwięk, po czym w błagalnym geście wyciągnął dłoń.

- Kawy! Królestwo za filiżankę kawy! - wychrypiał.

- Wstawaj! - rzuciłam bezlitośnie. - To wszystko zaczęło się od twojej kawowej tequili!

W kuchni chłopcy po równo rozdystrybuowali między sobą cały karton płatków czekoladowych (to było opakowanie rodzinne!). Między sobą, a także na blat kuchenny i podłogę. Kiedy weszłam, byli zajęci starannym rozlewaniem mleka na każdą powierzchnię, której wcześniej nie posypali płatkami.

Podjęłam próbę nastawienia czajnika, żeby zaparzyć uzdrawiającą herbatkę dla potrzebujących, podczas gdy Hannah i Sam przycupnęli przy stole, kuląc się z bólu.

Jane i dziewczynki zajrzały do kuchni i spojrzały na nas z obrzydzeniem.

- Dlaczego wyglądacie tak okropnie? - zażądała wyjaśnień Jane.

- Pewnie złapałam jakiegoś wirusa - wyszeptałam dzielnie.

- Pewnie masz kaca. Wstydź się, mamo! Nie stanowisz dla nas dobrego przykładu! - skwitowała bezlitośnie córka.

- To prawda. Ale może przynajmniej będziemy dla was przestrogą - odparł Sam.

Po jakimś czasie, ponieważ ból nie znikał, a nawet zaczął się rozprzestrzeniać na pozostałych gości (zarówno tych zapowiadzianych, jak i niezapowiadzianych), zebrałam resztki sił i poszłam do kuchni przygotować pieczeń dla taty i Natalii, jako że w chwili słabości zaprosiłam ich do siebie dręczona wyrzutami sumienia, że na święta pojechałam do mamy.

Poczułam się trochę mniej winna, kiedy zjawili się opaleni na heban, bo Wigilię spędzili na Antigui.

- Ponieważ zarówno ty, jak i Jessica postanowiłyście pojechać do matki, nie było sensu czekać na was tutaj -

skwitował tata.

- Powinnaś kiedyś tego spróbować, Ellen. To niesamowite, jaką różnicę może zrobić kilka dni na słońcu w środku zimy - dodała Natalia.

Dranie. I jedno, i drugie. Wcale nie byłam zazdrosna o ich skąpany w słońcu wypad i to, że popijali drinki nad basenem, kiedy ja odbierałam poród Sarah, a teraz próbowałam nie zwrócić puddingów Yorkshire, bo miałam najgorszego kaca w życiu. Wcale nie żałuję, że nie spędziłam tych świąt z nimi!

Jeszcze nigdy nie byłam tak wdzięczna Peterowi za to, z jakim poświęceniem potrafi pchać sobie do buzi kilka kawałków ciasta biszkoptowego na raz, bo Natalia przyglądała mu się z absolutnym przerażeniem.

- Zawsze taki jest? - ledwie wydukała.

- Tak - odparłam desperacko.

- Właśnie dlatego posiadanie brata jest do bani! - włączyła się do rozmowy Jane. - Nikomu nie życzę brata. Bracia są obrzydliwi. Szkoda, że nie jestem jedynaczką.

- A ja nikomu nie życzę siostry! Próbuje ją sprzedać, ale nikt jej nie chce, nawet za dopłatą! Siostry są o wiele gorsze od braci, a Jane jest najwredniejszą głupią babą, jaką kiedykolwiek poznałem, i nikt jej nie lubi!

Simon, skulony w drugim końcu stołu i zagubiony w bolesnych wspomnieniach o kawowej tequili, otworzył jedno przekrwione oko i powiedział:

- Co się dzieje? Dlaczego wszyscy krzyczą! Moja głowa!

Peter i Jane w końcu zostali rozdzieleni (choć nie przestawali krzyczeć i fukać na siebie jak wściekłe koty).

Korzystając z naszej nieuwagi, pies wylizał resztki ciasta, po czym zwymiotował na zamszowe buty Natalii, za co musiałam ją milion razy przeprosić (po jaką cholere wkłada luksusowe ciuszki, kiedy do nas przychodzi? Nie zauważyła jeszcze, że w naszym domu nie ma miejsca na ładne rzeczy?), po czym na chwilę zamknęłam się w spiżarni i poleżałam pięć minutek na kojących, cudownie chłodnych kafelkach na podłodze. Na szczęście wtedy nadszedł czas, żeby się pożegnać.

- Po co za niego wyszła? - spytałam Simona. - Jessica twierdzi, że ona chce mieć dziecko.

- O Boże. Tak mi źle. Myślisz, że piwo by mi pomogło? - wystękał Simon.

- Ale co z Natalią i dzieckiem?

- Ona nie chce mieć dzieci.

- Dlaczego nie?

- A niech to! Piwo wcale mi nie pomaga, chyba zaraz zwymiotuję... Nie wszyscy chcą mieć dzieci. Poza tym sama przyznasz, że do najmłodszych już nie należy.

- Ale mogłaby mieć dziecko. Nawet ja mogłabym jeszcze urodzić!

Simon pobladł. Byłam pod wrażeniem, bo wydawało mi się, że bledszy już być nie może.

- Ale nie chcesz mieć dziecka, prawda? - spytał przerażony. - Czy może po tych wszystkich przygodach z Sarah nagle zapragnęłaś zająć w ciążę? I dlatego masz taką obsesję na punkcie Natalii i dzieci, bo w głębi ducha sama tego chcesz?

Pobladałam tak samo jak on.

- Dobry Boże i Chryste na bicyklu, nie! Nawet gdyby zachciało mi się kolejnego dziecka, to poród Sarah z pewnością by mnie z tego wyleczył. Poza tym kiedy Peter i Jane wreszcie zaczynają nabierać cywilizowanej ogłady, choć oczywiście tylko zgodnie z ich standardami, to można uznać, że nasza rodzicielsko-wychowawcza harówka przynosi jakiś efekt... I chwała Najwyższemu! Ale kolejne dziecko? To byłby totalny klops! Prawdę mówiąc, po tym, co przeżyliśmy z Sarah, proponuję ci wazektomię. Nie mamy czasu dla samych siebie, a co dopiero mówić o dzieciach?

Simon odetchnął z ulgą, chociaż chwilę później buntowniczo oświadczył, że nikt się nie będzie zbliżał z nożem do jego ptaszka.

PIĄTEK, 13 STYCZNIA

Poniosłam porażkę z fitnesssem pośladków, ale udaje mi się wytrwać przy postanowieniu, żeby zdrowiej się odżywiać. Nie powiem, że polubiłam jarmuż i komosę, chociaż jadałam gorsze rzeczy. Przynajmniej tak mi się wydaje. Zaliczyłam jedną wpadkę, kiedy dałam się ponieść i zjadłam na lunch coś obrzydliwego, co przyjęło formę sałatki z brukselką. Przez całe popołudnie prukałam jak koń pociągowy, chociaż oczywiście się nie przyznałam. W pewnym momencie Lydia stwierdziła, że musimy wezwać konserwatorów, żeby sprawdzili, czy w wentylacji nie leży zdechły szczur. Ja uparcie twierdziłam, że nic nie czuję, a im się tylko wydaje. (A było naprawdę źle. Gorzej niż potrafi Peter, a jego baki to

istna broń biologiczna).

Skończyliśmy nasz wielki projekt (Hurra!), więc w zeszły piątek całym zespołem zalaliśmy się w trupa. W pewnym momencie Alan zapytał, czy wysyłał mi jakieś zdjęcia w Nowy Rok, bo podobno wysłał kilka „niefortunnych”, zanim upuścił telefon do kibelka, co dla elektronicznego urządzenia oczywiście okazało się śmiercionośne. Przez „niefortunne” zdjęcia pewnie miał na myśli portrety swojego penisa, bo poczuł olbrzymią ulgę, kiedy pokazałam mu zdjęcie, na którym wsadza sobie do nosa zabawkę z konfetti. Nie jestem pewna, czy cieszę się, że Alan szanuje mnie na tyle, żeby nie wysyłać mi zdjęć swojego penisa, czy może zła, że uznał mnie za zbyt starą i spróchniałą, żeby to zrobić. Próbuję wmówić sobie, że chodzi o to pierwsze.

W ramach podziękowania za to że, jak głosi oficjalna formułka, znakomicie wykonaliśmy pierwszy wielki projekt, dostaliśmy do zrobienia jeszcze większy i ważniejszy. W nagrodę za to, jak głosi nieoficjalna formułka, że tego pierwszego udało się nam nie spieprzyć.

Innymi słowy, zero presji.

A skoro już mowa o presji, to nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam pracę w takich godzinach. Nasz ostatni wysiłek, żeby wszystko dopiąć, kosztował nas naprawdę wiele, do tego zmienił Simona w chodzącą furję, kiedy tylko musiał odebrać dzieci, gdy przypadała moja kolej.

Ponieważ i tak był już na mnie obrażony, uznałam, że gorzej nie będzie i powiedziałam, że wychodzę z Hannah i Samem. Kiedy zaczął narzekać, że znowu będzie musiał

robić za niańkę, przypomniałam mu (zresztą nie pierwszy raz), że to nie ma nic wspólnego z niańczeniem. To się nazywa rodzicielstwo.

- Chyba pierwszy raz w życiu udaje ci się wytrwać w postanowieniu, żeby zdrowiej jeść i uprawiać sporty, Ellen. Robisz to samo co roku, od kiedy skończyłaś piętnaście lat, i jeszcze nigdy nie wytrzymałaś dłużej niż jeden dzień! - zdziwiła się Hannah.

- Chciałabym, żeby ktoś wymyślił dietę, która pozwala jeść tylko paszteciki i zapewnia schudnięcie! - powiedziałam, patrząc smutno na drinka z wódki, wody i limonki, zamiast na pyszne winko. - Wyobraźcie sobie tylko, ile osoba, która opracowałaby taką dietę, natłukłaby kasy! Może to jest moje powołanie, może dzięki temu stanę się sławna i bogata. Pieprz się, Joe Wicksie! Twój czas minął! Ellen Russell i Pasztecikowa Dieta to najnowszy trend! Wyobrażam sobie moje książki kucharskie w supermarketach. Na okładce ja, moje umięśnione ciało i wielki, pyszny pasztecik z nadzieniem z wieprzowiny. Mogłaby mnie sponsorować jakaś sieciówka piekarnicza.

- A może to się nigdy nie wydarzy. Paszteciki nie dostarczają prawie żadnych wartości odżywczych i nie da się od nich schudnąć - oburzył się Sam.

- I frytki... O odżywczości składników uczyłam się od Petera i Jane, kiedy byli malutcy. Przeczytałam wszystkie książki o rodzicielstwie i bardzo dobrze ich karmiłam.

- A czy w którejś z tych książek była informacja, że można schudnąć na pasztecikach?

- Nie, ale przecież o to właśnie chodzi! To dlatego będę sławna i bogata, bo dzięki mojej diecie pokażę ludziom, że można schudnąć na pasztecikach, tak jak doktor Atkins pokazał, że można schudnąć, pożerając tłuszcze. To ta sama zasada!

- No, nie do końca... - powątpiewała Hannah.

- Ach, odczepcie się! - obraziłam się. - Albo wykażcie trochę więcej wiary we mnie. Jakie wy macie postanowienia noworoczne?

- Ja nie mam żadnych. Wolę planować ślub z Charliem.

- A czy zaplanowałaś już, że uczynisz mnie nadworną pomocnicą do spraw planowania?

- Nie! To będzie mój ślub, nie twój, a ja już tyle razy ci mówiłam, że nie chcę mieć ślubu ani w stylu francuskim, ani na wzór Jane Austen, ani w stylu *Peaky Blinders*. Swoją drogą, co to w ogóle za propozycja?

- Uważam, że garnitury i kaszkiety są bardzo szykowne - broniłam się.

- Właśnie dlatego sama wszystko zaplanuję!

- A mogę chociaż z tobą chodzić na kiermasze ślubne? - naciskałam.

- Nie! Nie będę chodzić na żadne kiermasze! Mówiłam ci, że już to przerabiałam, Charlie zresztą też. Chcemy prostej ceremonii, w której wyznamy sobie zaangażowanie, a nie vintage'owych gramofonów, tak zwanych ekstrawaganckich gadżetów, kwiatów, sukni i pieprzonych falbanek!

- Ale ty jesteś... Po co w ogóle przepełniać nasze serca radością i organizować ślub, kiedy porzuciliśmy już wszelkie

marzenia o ślubach, i nie chcesz tego zrobić, jak należy?

- Ellen, nadchodzą takie chwile, kiedy powinnaś się cieszyć, że znam cię na tyle długo, że nie możemy już przestać się przyjaźnić, bo żeby przyjaźnić się z kimś dłużej niż z tobą, musiałabym zacząć teraz i czekać do osiemdziesiątych piątych urodzin. Ale czasami jesteś tak strasznie wkurzająca! Tu nie chodzi o ślub, tu chodzi o małżeństwo! Ellen, czy ty w ogóle mnie słuchasz? A może znowu oglądasz sukienki na Pinterescie?

- Przepraszam, sprawdzałam pocztę. Przegapiłam jednego mejla w drodze do domu. Dlaczego wszyscy zawalają nas robotą w piątek o osiemnastej? No, mniejsza z tym. Chciałam ci tylko pomóc. Obiecuję, że nie będę już więcej nic sugerować. A ty, Sam? Na co liczysz w nowym roku?

Sam ożywił się i odparł:

- Postanowiłem, że w tym roku będę proaktywny w zabieganiu o partnera.

- CO?! KOGO?! OPOWIADAJ NATYCHMIAST! -
pisnęłyśmy.

- Przecież jeszcze go nie spotkałem! Właśnie o to chodzi. Doznałem objawienia!

- Chyba trochę za późno - zachichotałam.

- Zamknij się, Ellen. To poważne sprawy, a przez ciebie zgubiłem wątek. Ach tak, objawienie! Na pewno nie jestem jedynym normalnym samotnym mężczyzną na ziemi, który szuka drugiego normalnego samotnego mężczyzny, prawda? Przecież to zwyczajnie niemożliwe. Ale im jestem starszy, tym jest ich mniej, więc szanse na to, że spotkam kogoś

przypadkiem, zrządzeniem losu albo szczęśliwym zbiegiem okoliczności, stają się coraz mniejsze. A zegar tyka! Chcę poznać kogoś, póki mogę jeszcze w kimś wzniecić choćby iskierkę pożądania, zanim tyłek oklapnie mi raz na zawsze i urośnie brzuch. Ile jeszcze będę musiał robić te cholerne przysiady?! W każdym razie postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce, olać to, jakie wszechświat ma dla mnie plany, i założyłem konta na kilku portalach randkowych. I Tinderze.

- Jesteś tego pewien? Zanim poznałam Charliego, próbowałam stron do randkowania, ale miałam mieszane uczucia - powątpiewająco rzuciła Hannah.

- A raczej spanikowałaś, kiedy po niecałym tygodniu dostałaś zdjęcie penisa, kochana. A drugi portal, na który się zapisałaś, to „Bzyknij mojego przyjaciela”, i żeby tego było mało, o notkę przyjaciela poprosiłaś Ellen, co nie mogło być specjalnie inspirujące, prawda? Ja jestem gotowy na zdjęcia penisów. Co więcej, zacznę je oceniać w skali od jeden do dziesięciu. Może nawet założę stronę internetową oceniemojegowacka.com, na którą będę wrzucał zdjęcia tych najbrzydszych. A może nawet sam wyślę komuś zdjęcie! I zrobię sobie opis, z którego będzie wynikało, że jestem o wiele ciekawszym człowiekiem niż w rzeczywistości. I tym sposobem na pewno uda mi się kogoś złowić.

- Naprawdę masz konto na Tinderze? Czy to jest ta aplikacja, która wysyła ci powiadomienie, kiedy znajdziesz się blisko osoby, która chce uprawiać przygodny seks? - ekscytowałam się.

- Nie, kochana, mówisz o Grindrze, chociaż wiele osób

pewnie używa Tindera w tym samym celu. W każdym razie Tinder to ta aplikacja, w której przewijasz profile osób na lewo lub na prawo w zależności od tego, czy ci się podobają, czy nie.

- Aha! Zawsze chciałam dowiedzieć się o tym czegoś więcej. Nie boisz się, że ktoś cię zamorduje?

- Jak na osobę, która zarabia na życie jako programistka, jesteś niemożliwie uprzedzona do nowych technologii. Ryzyko, że zostaniesz zamordowana na randce z Tindera, jest małe, nie większe niż na tradycyjnej randce. Nawet Brodaty Kawosz może skrywać ciemną stronę, chociaż szczerze w to wątpię. Jego ulubionym narzędziem zbrodni byłoby zanudzanie ludzi na śmierć historyjkami o tym, dlaczego automaty Nespresso rujną prawdziwą sztukę parzenia kawy.

- Ja nie jestem uprzedzona do technologii, tylko do ludzi, którzy ich używają - obruszyłam się.

- Ellen, a ty? Jakie są twoje postanowienia noworoczne?

- Chryste, nie mam pojęcia! Jak tak na siebie patrzę, to wydaje mi się, że we wszystkim zawodzę. Chciałam być lepszą matką, lepszą żoną, lepszym pracownikiem, dawać z siebie sto dziesięć procent, ale na nic nie starcza mi czasu! Ciągłe się spóźniam po dzieci, bo nie puszczają mnie z pracy o czasie, a ja i Simon chyba nie przeprowadziliśmy ani jednej cywilizowanej rozmowy od Wigilii. Nie wiem, co mam ze sobą zrobić. Kocham swoją pracę, nie chcę wracać do tego, co było, szczególnie że dzieci szybko dorastają. Żarty żartami, ale chyba potrzebuję żony!

- A może au pair^[8]? - zasugerował Sam.

- Au pair? A to nie jest wynalazek dla bogatych ludzi, którzy nazywają swoje dzieci Cressida i Jeremy?

- Nie bądź śmieszna, Ellen. Mnóstwo mam z naszej szkoły korzysta z pomocy niań albo au pair. Może twoje dzieci są już za stare na niańkę, ale au pair na pewno ułatwiłaby ci życie rano i wieczorami. Może dzięki niej przestalibyście się z Simonem tak bardzo stresować i wreszcie mogłabyś spełnić swoją życiową ambicję, żeby nauczyć się języka obcego?

Au pair. Przecież to genialny pomysł!

- Czy myślisz, że mogłaby też za mnie odwalać prace w Komitecie Rodzicielskim? - zaczęłam się zastanawiać.

- Raczej nie. Myślę, że nie byłoby to dobrze widziane, chyba że trafiłaby ci się jakaś miłośniczka różnych rzemiosł. Mogłabyś zaznaczyć w podaniu do agencji, że potrzebujesz miłośniczki prac rzemieślniczych z dyktatorskim zacięciem, ale twoje motywy mogą wzbudzić podejrzenia.

- Nigdy nie mów nigdy! Może są takie osoby. Ale dość o mnie. Pokaż tego Tindera! Wprowadź nas w mroczny świat internetowego seksu! - zarządziłam.

- W Tinderze nie chodzi tylko o seks... Przesuwasz w lewo... W lewo! O MÓJ BOŻE, patrz na tego! Ooo, ten wygląda sympatycznie. O nieeee! W lewo, w lewo. Ten napisał „wziąć” zamiast „wziąć” i „w każdym bądź razie” zamiast „w każdym razie”! A może ten? Chryste, nieee, w lewo, w lewo, w lewo!

Było zabawnie i przyznaję, że się wciągnęłam. A może moje przekonanie o tym, że w Internecie wszyscy chcą mnie zabić,

jest tylko efektem prania mózgu, które zaserwował mi Simon, upierając się, że najbezpieczniej dla kobiety to po prostu być mężatką?

CZWARTEK, 19 STYCZNIA

Wygląda na to, że stałam się największym guru Sarah w kwestiach rodzicielstwa. Po moim (jakże genialnym i znakomitym) udziale w przyjściu na świat małej Orli Ellen (Simon twierdzi, że nie muszę używać obu jej imion za każdym razem, kiedy o niej wspomynam, ale jak inaczej przypomnieć ludziom, że nazwano ją na cześć mojej heroicznej przeprawy przez zawieruchę śnieżną? Poza tym imię Isolde nadal podoba mi się najbardziej i trochę żałuję, że w przyływie szlachetności zrzekłam się szansy, żeby ją tak nazwać) Sarah musiała uznać, że jestem wyrocznią w kwestiach macierzyństwa i dzwoni do mnie przynajmniej raz dziennie, aby zaczerpnąć z mojej skarbnicy wiedzy i mądrości. Na początku mi to schlebiało, ale jej córeczka ma dopiero trzy tygodnie, a już zaczyna działać mi na nerwy. Co, jeśli będę musiała to znosić przez najbliższe osiemnaście lat?

Dzisiaj zapytała mnie, czy poleciłabym jej spanie z dzieckiem. I co mam jej odpowiedzieć? Że powinna być zimną matką bez serca i odkładać dziecko do łóżeczka, żeby rozkoszować się krótką chwilą, kiedy nie ma uwieszonego przy szyi człowieczka, który ją maca i wbija w nią pazurki (może z małym wyjątkiem dla Piersa)? A jeśli to sprawi, że Sarah i Orla będą mieć później problemy z nawiązaniem więzi i jej córka będzie dorastać w poczuciu, że jest

niekochana i niechciana, dręczona przez poczucie odrzucenia przez matkę, którego doznała, kiedy miała tylko kilka tygodni? A może powinnam powiedzieć Sarah, żeby spała z dzieckiem, bo będzie to doskonała okazja do zbudowania więzi, a oksytocyna – czy Bóg wie co jeszcze – sprawi, że poczuje się cudownie, i jeśli tego nie zrobi, będzie żałować do końca życia? A później Sarah przewróci się na drugi bok i zmiążdży swoje maleństwo we śnie?

Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Dla mnie spanie razem brzmiało obrzydliwie. W idealnym świecie nie musiałabym dzielić swojego łóżka z nikim, nawet z Simonem. Mielibyśmy osobne sypialnie niczym szanowane pary z epoki wiktoriańskiej i moglibyśmy „składać sobie wizyty”. Nie potrzebuję go nawet do ogrzewania stóp, bo mój pies świetnie sobie z tym radzi (naturalnie mój ukochany pies się nie liczy, kiedy chodzi o niechęć do dzielenia łóżka. Kiedy Simon chrapie, mam ochotę go zadźgać. Kiedy robi to mój malutki pan Szczekczyński, jest to urocze i słodkie. Ale koniec tych dygresji!). Dla mnie pomysł, żeby oddawać choćby centymetr kochanego łóżeczka chrapiącej, sapiącej, często cuchnącej i obślizgłej dziecinie, którą musiałam dźwigać wszędzie przez cały dzień, przepelnia mnie zgrozą. Ale są tacy, którzy twierdzą, że to był najlepszy pomysł, na jaki wpadli w życiu, więc co ja tam wiem?

Odpowiedziałam Sarah pokrętnie, sugerując, że powinna zaufać instynktowi i zrobić to, co uważa za słuszne.

– Kiedy moje instynkty nic mi nie podpowiadają! – biadoliła Sarah. – Pielęgniarka mi powiedziała, że nie powinnam spać

z Orlą, bo zgniotę ją jak winogrono swoim wielorybim cielskiem...

- Naprawdę tak powiedział? To niezbyt miłe.

- Oczywiście parafrazuję, ale czuję się strasznie gruba. Myślałam, że kiedy urodzę, brzuch mi zniknie, ale wciąż wyglądam, jakbym była w ciąży. Któregoś dnia szłam z Orlą w chuście, a jakieś cholerne babsko zapytało mnie, kiedy rodzę! I ten pielęgniarz powiedział, że nie powinnam spać z dzieckiem, ale na zajęciach w szkole rodzenia powiedzieli, że to jedyne słuszne wyjście, więc sama już nie wiem, co mam robić!

Biedna Sarah. Ale czy istnieje na ziemi jakaś matka, która od początku wie, co robić? Owszem, zdarzają się kobiety z tak silnie rozwiniętym instynktem macierzyńskim, że można odnieść wrażenie, że urodziły się tylko po to, by zostać matkami, i zawsze wiedzą, jak postępować. Jednak większość z nas, szczególnie przy pierwszym dziecku i w pierwszym roku macierzyństwa, skupia się na tym, żeby utrzymać dziecko przy życiu. I zastanawia się, co za idiota wpadł na pomysł, żeby stwierdzić, że jest wystarczająco odpowiedzialna, żeby powierzyć jej życie drugiego człowieka.

Najgorsze jest to, że wszyscy wiedzą lepiej. „Uwolnij pierś”, „Przykryj się, kochana!”, „Karm tylko o wyznaczonych porach”, „Karm, kiedy jest głodne”, „Kąp dziecko codziennie - to je uspokaja, bo przypomina mu, kiedy było w łonie”, „Kąpiele tylko raz w tygodniu - inaczej wysuszysz dziecku skórę”, „Powinnaś z dzieckiem gaworzyć, to stymulujące”, „Pilnuj się, żeby nie gaworzyć, to hamuje rozwój dziecka”,

„Śpij z dzieckiem każdej nocy”, „Dziecko powinno spać w łóżeczku, żeby uczyć się samodzielności”, „Używaj smoczka”, „Powinnaś urodzić, póki jesteś młoda”, „Chryste! Dlaczego zniszczyłaś sobie życie? Nie masz już żadnych perspektyw! Trzeba było poczekać, aż ustabilizujesz ścieżkę kariery”, „Ha, ha, ha, powodzenia ze staraniem się o dziecko, samolubna, bezpłodna wiedźmo!”, „Karm dziecko tylko organicznymi produktami”, „Karm, dopóki dziecko będzie chciało”. Do tego dochodzą dylematy, jaki wybrać fotelik, wózek, jaką chustę, jakie łóżeczko i jaką pościel do tego pieprzonego łóżeczka? I czy wybrana zabawka będzie je stymulować, czy może jest nudna, czy wystarczająco dużo im czytam, czy nie rozpieszczam dziecka, spełniając każdą jego zachciankę, który zestaw do ćwiczeń ruchowych dla niemowlaków wybrać, który nocnik? Czy to, że nie mam siły i czasu na stosowanie pieluch bawełnianych, sprawi, że kiedy moje dziecko dorośnie, przyjdzie mu żyć w postapokaliptycznym środowisku? Czy zrekompensuję to, kupując dziecku śpioszki z bawełny organicznej? W jakim miejscu na siatce centylowej powinno się znajdować moje dziecko? Czy jest za duże? Za małe? Czy dziecko tamtej kobiety jest w lepszym miejscu? Czy moje dziecko powinno mieć więcej zębów? A może mniej? Więcej włosów czy mniej włosów? Czy powinno tak często robić kupę? A może jeszcze częściej? I czy jego kupa powinna być ZIELONA? RATUNKU, NIE MAM POJĘCIA!

Gdziekolwiek się udasz, jakiś zarozumiały drań będzie na ciebie czyhał z dobrą (jego zdaniem) radą. Od momentu,

kiedy pojawią się na twoim ciele pierwsze oznaki ciąży, nawet OBCY LUDZIE będą przekonani, że mogą ot tak, do ciebie podejść i zacząć cię macać po brzuchu. A potem będą ci mówić, że urodzisz chłopca albo dziewczynkę, oceniając to po kształcie ciąży. Albo pytać, czy jesteś pewna, że to nie bliźniaki, bo jak na szesnasty tydzień jesteś wielka jak góra. Będziesz też wdawać się w dyskusje, których wcale nie chciałaś prowadzić. O tym, że dziecko żony brata ciotki ich kuzyna PRAWIE UMARŁO, bo większość ludzi czuje się w obowiązku podejść do ciebie, kiedy twoje dziecko płacze w miejscu publicznym, i poinformować cię, że jest zestresowane, bo jest mu za gorąco albo za zimno, jest głodne, potrzebuje się przytulić i tym podobne. Bo przecież wiadomo, że jakiś kompletnie obcy człowiek z ulicy wie, czego potrzebuje twoje dziecko o wiele lepiej od ciebie. Zawsze znajdzie się ktoś, kto uważa, że ma prawo się wtrącać i sprawiać, że czujesz się jak kupa. Jakbyś robiła wszystko źle albo po omacku. Przeważnie tak jest, ale CO Z TEGO?

Istnieje też cały szereg „profesjonalnych” porad. Gina Ford, Superniania, książki poświęcone rodzicielskiej bliskości, strony internetowe, na których piszą, żeby „dać dziecku się wypłakać”. Do tego dochodzą porady od położnych, internistów, mamek w szkołach rodzenia i wszelkiej maści konsultantów. Ale kiedy pewnego dnia stwierdzisz, że udało ci się zastosować do wszystkich ich wytycznych, stwierdzą, że wszystko, co mówili wcześniej, było złe, a teraz mają nowe wskazówki. Jeśli myślisz, że to

wszystko, to się mylisz, bo jest jeszcze cała rzesza czwartoligowych celebrytek, które po tym, jak wycisną z siebie niemowlaka, bombardują cię „poradami” o tym, jak być idealną matką, tak jak one. Zachować świetną figurę i mieszkać w domu w całości gustownie udekorowanym na biało.

Nie ukrywam, że mamy to szczęście, że żyjemy w świecie pełnym przywilejów. Możemy zdecydować, kiedy zająć w ciążę i urodzić, mamy dostęp do świetnej służby zdrowia, co oznacza, że nie musimy rodzić dziesięciorga dzieci z nadzieją na to, że któreś z nich przeżyje i dorośnie, i nie musimy stawiać czoła śmierci swoich dzieci spowodowanej chorobami czy głodem. Oczywiście są to dogodności wynikające z tego, że żyjemy tu, gdzie żyjemy. Ale mimo to rodzicielstwo urosło w naszej rzeczywistości do rangi przemysłu stworzonego po to, by mącić w głowach rodzicom, a w szczególności matkom.

Dawno temu mieliśmy swoją wieś i swoje plemię – społeczność, która angażowała się w wychowywanie naszych dzieci, i w tamtej rzeczywistości nie znałybyśmy innych metod niż te, które zaczerpnęłyśmy od matek, sióstr, kuzynek i ciotek (oczywiście o ile nie zostałybyśmy wcześniej spalone na stosie jako czarownice). A teraz żyjemy w małych dwupokoleniowych rodzinach. Prowadzimy pośpieszny, a nawet gwałtowny tryb życia charakterystyczny dla dwudziestego pierwszego wieku, gdzie nie ma miejsca na wieś, tylko „współczesne rodzicielstwo” polegające głównie na krytyce i dawaniu mylących rad.

Co gorsza, z czasem wcale nie robi się łatwiej. Oczywiście mniej się martwimy, że upuścimy dziecko, i nie panikujemy tak bardzo z powodu kupy (choć muszę przyznać, że Peter robi niemożliwie wielkie kupy jak na dziecko w swoim wieku - skąd to się bierze? Jakim cudem takie małe dziecko produkuje codziennie tyle kupy?!), ale dochodzą nowe zmartwienia - o szkołę, dzieci, które je dręczą, Internet, ile czasu możemy pozwolić grać w gry, o to, żeby jadły warzywa, o wyznaczanie granic i ich niedotrzymywanie. Najbardziej przerażającą rzeczą w dzieciach jest to, że każde jest zupełnie inne, a ty masz tylko jedną szansę. Nie ma powtórek. Jeśli popełnisz błąd, to po ptakach, nigdy tego nie naprawisz. Pewnie nadchodzi w życiu moment, w którym przestajesz się martwić, siadasz wygodnie w fotelu i mówisz: „Myślę, że dobrze sobie poradziłam” (albo: „Schrzaniłam po całości, prawda?”). Tylko czy to cokolwiek zmienia?

Nie powiedziałam tego Sarah. Zapewniłam ją tylko, że dopóki Orla jest syta i otoczona ciepłem i miłością, reszta nie ma znaczenia, ale jeśli Sarah wciąż się zastanawia, powinna zacerpnąć różnych opinii i zdecydować, które są jej najbliższe...

Chryste, o ile łatwiej udzielać życiowych porad innym ludziom! Szczególnie kiedy samemu siedzi się w bezpiecznej odległości w czystym i przyjaznym biurze, kiedy nic się do ciebie nie klei i jesteś z dala od zarazków!

LUTY

ŚRODA, 1 LUTEGO

W lutym jest zawsze trochę lepiej, po pierwsze dlatego, że kończy się styczeń, a jedynym plusem stycznia są przeceny (chyba za bardzo dałam się ponieść „niepowtarzalnym okazjom” - obawiam się, że kapsułowa garderoba nie powinna się wylewać do pokoju gościnnego...), a po drugie dlatego, że zostają już tylko dwa tygodnie do urodzin Simona, które wypadają (jakże niefortunnie) w walentynki. Przeważnie w dzień urodzin przechodzi mu gburostwo i przestaje się zachowywać jak dupek żołądny, którym rokrocznie staje się w okolicach pierwszego stycznia. W tym roku jest jeszcze gorzej niż zwykle, bo ciągle mu się nie podoba, że pracuję na cały etat, chociaż przynajmniej przyznał mi rację, że niania au pair to całkiem niezły pomysł. Mam nadzieję, że miał na myśli praktyczne aspekty tej decyzji, a nie to, że skrycie liczy na gorącego młodego kociaka, który będzie przechadzał się po domu w seksownej bieliźnie. Zastanawiam się, czy w zgłoszeniu obok informacji o tym, że szukam „miłośniczki prac rzemieślniczych z dyktatorskim zacięciem, a także schludnej, niezbyt rozmownej i umiejącej prasować”, mogłabym jeszcze dopisać, że powinna być przeciętnej urody i może troszkę pulchna? Chyba raczej nie.

Luty jest najbardziej romantycznym miesiącem w roku. Są walentynki (których Simon nie obchodzi, bo w tym dniu świętuje urodziny) i lata przestępne, a kobiety mogą się oświadczać mężczyznom, choć oczywiście mamy XXI wiek i mogą to robić, kiedy tylko zechcą, niekoniecznie w walentynki. Swoją drogą, jeśli same się oświadczają, czy muszą sobie kupić pierścionek? Jaka obecnie obowiązuje etykieta? Nie podoba mi się pomysł, że nie dość, że się oświadczam, to jeszcze muszę kupić pierścionek sama sobie. A może to dlatego, że jestem leniwa? Gdyby Simon mi się nie oświadczył, sama na pewno bym tego nie zrobiła.

Zresztą nasze zaręczyny nie należały do specjalnie romantycznych. Skończyliśmy studia, a w Edynburgu zaskoczyło nas wyjątkowo ciepłe lato (poprzednie cztery lata zamarzialiśmy w wilgotnych kamienicach i drżeliśmy, kiedy mgła zasnuwała Fotel Króla Artura). Nagły powiew ciepła był przyjemną odmianą - mogliśmy nawet uprawiać seks bez skarpetek. Po kilku dniach w mieście zrobiło się jednak potwornie duszno, więc Simon zawiózł nas do Yellowcraig w East Lothian - uroczym pasemku piaszczystej plaży z widokiem na starą latarnię morską na wyspie, która podobno stanowiła inspirację do *Wyspy skarbów*. Ponieważ był środek tygodnia, plaża była opuszczona i daliśmy się ponieść romantycznej wizji uprawiania miłości na piaszczystych wydmach. Szybko okazało się, że to nie był dobry pomysł. Po pierwsze wszędzie ma się piasek, a po drugie plaża wcale nie była tak opuszczona, jak myśleliśmy, i kilka zniesmaczonych osób, które wyprowadzało psy na

spacer, zobaczyło więcej, niż się spodziewało. Porzuciliśmy nasz pomysł, który okazał się niewypałem, i wylegiwaliśmy się na słońcu.

Zaczęłam odpływać w sen, więc trochę się zezłościłam, kiedy Simon mnie obudził, łapiąc za rękę, i usiadł naprzeciwko, zasłaniając mi słońce, po czym wymamrotał coś pod nosem.

- Co znowu? - rzuciłam zaspiana.

- Powiedziałem, że chciałbym się z tobą ożenić. Co ty na to?

Zerwałam się jak sprężyna i prawie uderzyłam go głową w nos. Nasz romantyczny wieczór został uratowany tylko dzięki temu, że Simon rzucił się na piasek w samoobronnym odruchu.

- O mój Boże! Oczywiście! To wspaniały pomysł! Pobierzmy się! - krzyknęłam i tak właśnie wyglądały nasze zaręczyny. Wróciliśmy do miasta zdezelowaną fiestą Simona (żartowaliśmy, że nie można jej zawieźć na myjnię, bo trzyma się już tylko na brud). Trzymaliśmy się za ręce, co może nie ułatwiało mu zmieniania biegów, ale i tak mnie nie puścił. Promienieliśmy ze szczęścia. Następnego dnia kupił mi w jednym z hipisowskich sklepików na West Bow srebrny pierścionek, mały i niedrogi, ale z prześlicznym kamieniem księżycowym.

Chcieliśmy się pobrać jak najszybciej. Urządzić skromną romantyczną ceremonię, najlepiej tylko dla nas dwojga i może jeszcze dwójki nieznajomych, których zgarniemy z ulicy na świadków. Ale kiedy nasze matki dowiedziały się

o zaręczynach, było po ptakach. Musieliśmy urządzić „prawdziwe wesele” z florystką, druhnami, malutkimi kanapeczkami, metrami tafty i kłótniami, kto założy większy kapelusz - mama czy Sylvia? Dlatego pobraliśmy się dopiero dwa lata później, kiedy udało nam się zorganizować wesele, które nasze matki uznały za „prawdziwe”, i mieliśmy bardzo mało do powiedzenia odnośnie samej ceremonii (pomijając to, że uparłam się, że muszę mieć suknię z bufkami. Za inspirację służyła mi wczesna Ania Shirley i po dziś dzień żałuję tej decyzji, kiedy oglądam zdjęcia).

Pierścionek z kamieniem księżycowym został zastąpiony „prawdziwym” niedługo po narodzinach Jane, po nagłym i niespodziewanym okresie finansowej stabilności, kiedy dostaliśmy po dwie wypłaty za pracę na pełen etat, ale nie musieliśmy jeszcze wydawać na opiekunkę. A później wpadliśmy w wir wychowawczy, zaczęliśmy się interesować rynkiem mieszkaniowym i kredytami, rejonami, podaniami do szkół, wywiadówkami i pracami domowymi. Czasami myślę, że dzień po dniu stajemy się sobie coraz bardziej obcy, a te dwa zakochane w sobie po uszy i przepełnione szczęściem dzieciaki z plaży, które są przekonane, że radośnie spędzą ze sobą resztę życia, to tylko postaci z książki lub filmu.

Dlaczego w ogóle myślę o tej dwójce i plaży w deszczowy środowy poranek w lutym, kiedy powinnam przysłuchiwać się bardzo ważnemu spotkaniu? Ach tak, od lutego przeszłam do lat przestępnych, a później oświadczyłam. Dążyłam do tego, że powinnam lubić luty, a jednak uważam, że jest

beznadziejny. Powinna już być wiosna, kiedy kwitną żonkile, a nasze serca przepelniają nadzieja i radość. Tymczasem luty rozpełzł się po świecie niczym wielki osmolony diabeł, żeby zasłaniać nam wiosnę i słońce. Pieprzony luty!

PIĄTEK, 10 LUTEGO

Hej, ho! Hej, ho! Do teściów by się szło! Nie wiem, jak to się stało, ale w tym roku byłam na tyle dobrze zorganizowana, że przypomniało mi się, że niedługo ferie, i nie obudziłam się z ręką w nocniku. A co jeszcze dziwniejsze, nawet Simon oświadczył, że bierze tydzień urlopu, bo chce odwiedzić rodziców.

Niestety ja nie mogłam wziąć całego tygodnia wolnego, bo Lydia mnie ubiegła. Pewnie ma Bardzo Zajętego i Ważnego Męża, który wychodzi z założenia, że wychowywanie dzieci to kobiecy problem. Simon nie pękł z radości, kiedy mu powiedziałam, że mogę wziąć wolne tylko na poniedziałek i wtorek, więc będę musiała wrócić w środę z samego rana i pojechać prosto do pracy (choć przyznaję, że jest w tym coś, co sprawia, że czuję się światowa i przebojowa – będę musiała koniecznie w środę wpleść to w rozmowę, na przykład „Kiedy jechałam tutaj z lotniska...”), a on zostanie sam z dziećmi.

Zrobiło mi się żal biednej Lydii, która zdziwiła się, że biorę wolne w tym samym tygodniu, kiedy w szkołach są ferie, bo przecież wtedy jest o wiele drożej, ale – dodała smutno – kiedy nie mamy dzieci, naszym życiem nie rządzą terminy, i pewnie nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że są

ferie... Poczułam się jeszcze gorsza niż Alan, który przeklinał Lydię pod nosem za to, że ze względu na dzieci może jako pierwsza wybrać termin wolnego, a to nie fair, podczas gdy mnie życzył miłego wypoczynku, kiedy wychodziłam z biura i kierowałam się na zaległą wizytę do stukniętych rodziców Simona w ich „skromnym zameczku” (jak mawia Sylvia) we Francji.

No dobrze, przyznaję, że moi teściowie nie są tacy źli. Michael i Sylvia może potrafią być męczący, ale mają dobre intencje i chociaż swego czasu Sylvia bywała nieznośna, w ostatnich latach trochę się uspokoiła. Widocznie po tych wszystkich latach musiało do niej dotrzeć, że jej ukochana córeczka jest psychiczna i trzeba ją ratować po serii złych decyzji życiowych (w dodatku za moje pieniądze, które zarobiłam na mojej szaleńczo lukratywnej aplikacji). Musiałam ją jeszcze nauczyć, jak kupować online, żeby uznała, że moja okropnie nudna i niekreatywna praca przy komputerze nie jest aż tak beznadziejna (choć podejrzewam, że i tak wolałaby, żebym była projektantką wnętrz jak córka Sukey Poste. Co prawda nie wiem, kim jest Sukey Poste, ale Sylvia uraczyła mnie najdrobniejszymi detalami dotyczącymi zawrotnej kariery jej córki w tapetiarstwie i miękkich elementach wystroju wnętrz. Moja własna matka pewnie też wolałaby, żebym była córką Sukey Poste. Mogłabym jej wtedy załatwić zniżkę u Laury Ashley).

Moim głównym zmartwieniem dotyczącym wizyty u Michaela i Sylvii to oczywiście nieuniknione spotkanie

z moją ukochaną szwagierką, aromatyczną Louisą, która mimo że rzuciła swojego męża Barda, miłośnika New Age, i uciekła z „holistycznego ustronia”, które razem prowadzili i w które wpakowała każdy grosz łącznie z lwią częścią oszczędności swoich rodziców, to i tak nie zaczęła poświęcać więcej czasu na higienę osobistą. W erze post-Barda i postustronia Louisa wylądowała z szóstką dzieci i bez żadnych dochodów, aż wreszcie zmuszono mnie do wkroczenia w akcję i zainwestowania ostatnich pieniędzy, jakie mi zostały z aplikacji *Dlaczego mamusia przeklina?*, w dom sąsiadujący z domem Michaela i Sylvii. Dzięki temu jej dzieci nie trafiły na bruk, a rodzice mogli pilnować, żeby znowu nie odwędrowała w dziwne rejony (szczęśliwie ceny francuskich nieruchomości są o wiele niższe niż brytyjskich).

Pomijając powyższe, Louisa nie stała się ani trochę mniej irytująca, zarozumiała i upierdliwa. Za każdym razem, kiedy ją widzę, przepełniają mnie złość i żal, bo myślę o tych wszystkich rzeczach, które mogłam sobie kupić za ten przemiły przyływ gotówki, zamiast ustawić jej splukany tyłek. W takich sytuacjach Simon prosi mnie na chwilę na zewnątrz, mówi, żebym wzięła kilka głębokich wdechów i przypomina, że nie zrobiliśmy tego dla Louisy, ale dla jej dzieci. Całej szóstki.

Tak czy inaczej, do Francji dotarliśmy bez większych przeszkód, pomijając może Simona, który klął jak szewc, kiedy pakował do samochodu sto milionów toreb potrzebnych na tygodniowy wyjazd. Jak zwykle pytał mnie też, po co nam tyle rzeczy i czy na pewno Peter i Jane

potrzebują aż tylu przekąsek na podróż. Pozwoliłam sobie zauważyć, że jeśli będą przez cały ten czas jeść i gapić się w iPady, szanse na to, że pozabijają się nawzajem w ciągu ośmiu godzin w samochodzie, zdecydowanie zmaleją. Na prom przyjechaliśmy oczywiście absurdalnie wcześnie, bo Simon zawsze się martwi, że będą korki, albo jeśli on nie przyjedzie z zapasem, ludzie od promu na pewno się o tym dowiedzą i złośliwie wypłyną bez niego wcześniej. Kilka razy musieliśmy się też zatrzymywać, bo Jane marudziła, że jest jej niedobrze, chociaż Simon mamrotał pod nosem, że jedyny powód, dla którego może jej być niedobrze, jest taki, że wciągnęła trzy paczki chrupek i tonę żelek.

Kiedy byliśmy już we Francji, niestety w Simonie odezwał się jego wewnętrzny drogowy rasista, który klął i krzyczał na niewinnych Francuzów, że jeżdżą po złej stronie jezdni (czasami zastanawiam się, czy Simon w poprzednim wcieleniu nie był przypadkiem jakimś ważnym oficjelem albo radzą, tak mocno jest przekonany o tym, że obcokrajowcy robią wszystko źle), ale jak już mówiłam, wszystko jest względne i naszą podróż można uznać za spokojną.

Prawdziwa heca zaczęła się, kiedy dotarliśmy do „skromnego zameczku” Michaela i Sylvii. Po pierwsze Sylvia nie poinformowała nas, że sprawiła sobie zastępstwo dla zmarłego i opłakiwanego Napoleona Mopsapartego, którym okazała się mała mopsia suczka Josephine (takiego imienia mogłam się spodziewać). Uznała, że będzie to miła niespodzianka dla nas i mojego ukochanego Judgy’ego, który pojechał z nami i przez całą podróż puszczał niemiłosierne

bąki, bo Jane „po kryjomu” częstowała go chrupkami. Być może niespodzianka byłaby nawet miła, gdyby nie to, że Josephine miała akurat swoją pierwszą cieczkę.

Mimo moich ostrzeżeń na temat molestowania seksualnego, Sylvia uparła się, że pieski na pewno się dogadają (chyba już zapomniała o krwawej jatce, jaką mój poprzedni pies zaserwował Napoleonowi Mopsapartemu) i odstawiła na ziemię swoją suczkę, „żeby się przywitały”.

Judgy jest dumnym i wyniosłym terierem, który uznał, że brak jąder nie stanie mu na przeszkodzie w zdobyciu suczki z cieczką. Josephine z kolei, niczym rasowa ulicznica, zaczęła kołysać mopsimi bioderkami przed nosem mojego psa, który choć długo się opierał, ostatecznie skapitulował i wsiadł na pokład ku wielkiemu przerażeniu właścicielki. Szczęśliwie Josephine (może powinna nazywać się Lolita?), a w szczególności jej cnota (czego nie można powiedzieć o godności) pozostały nietknięte, ponieważ Sylvia ubrała suczkę w budzący lekką trwogę wynalazek, jakim jest „psia pielucha”, czyli podpaska dla piesków. Dzięki temu przynajmniej łatwo było je rozdzielić (wśród krzyków Sylvii: „Nie dzisiaj, Josephine!”). Mimo to westchnęłam na myśl o długim tygodniu spędzonym na trzymaniu psów z daleka od siebie. A właśnie to mnie czekało, bo przecież nie mogę sobie pozwolić na nadwreżenie relacji rodzinnych, kiedy Sylvia oskarży mojego psa o tendencje gwałcicielskie, a ja odpowiem, że Josephine sama się o to prosiła.

Plusem sytuacji jest to, że u Michaela i Sylvii zawsze jest dużo wina, które bez wyrzutów sumienia można pić

w gargantuicznych ilościach, bo we Francji takie wino kosztuje pięćdziesiąt centów za litr. A kolejnym minusem jest fakt, że zostałam skazana na Louise.

Skoro już mowa o wonnej damie, Michael i Sylvia z radością poinformowali nas o jej najnowszym pomysle (Louisa nie raczyła zająć do nas i się przywitać, mimo że mieszka tuż obok). Z powodów znanych tylko sobie postanowiła przemienić swój dom w Kooperatywę Kobiet. Kiedy spytałam Michaela, co to oznacza, powiedział, że z tego, co zrozumiał, wypełniła dom kobietami, z których żadna nie posiada szczotki do włosów.

- Gdzie ona je upchnęła? - zdziwiłam się. - Przecież z szóstką dzieci nie zostaje tam wiele wolnego miejsca.

- Niestety. Kilka z nich kupiło sobie kampery, a reszta ustawiła w ogrodzie jurty - odparła smutno Sylvia.

- Wygląda to jak cygańskie obozowisko! - bulwersował się Michael. - Jedynym plusem jest to, że mężczyźni mają tam wzbroniony wstęp, więc przynajmniej nie musimy się martwić, że któraś z tych kretynek zajdzie w ciążę, jak jeszcze kilka miesięcy temu, kiedy Louisa prowadziła zajęcia z „Rysunku życia”, na których była również jedyną modelką i świeciła cyckami przed każdym Tomem, Dickiem i Harrym, którzy się tam pojawili. Oczywiście jesteśmy bezpieczni tylko do czasu, aż wpadnie na kolejny poroniony pomysł.

SOBOTA, 11 LUTEGO

Louisa wreszcie przyszła się przywitać. Przy okazji oznajmiła, że ma mnóstwo spraw do załatwienia, więc

wszystkie swoje powinności zostawia pod opieką Sylvii i Michaela, bo przecież na pewno chętnie pobawią się z kuzynami. Oboje zbledli na ten pomysł, a dzieci (zarówno Louisy, jak i moje) rzuciły sobie wrogie spojrzenia. Przebieg linii frontu został ustalony kilka lat temu, kiedy najstarsze dziecko Louisy, Cedric, chciał ukraść iPoda Jane, na co ona podjęła próbę dźgnięcia go nożem w oko. Ich relacje pogorszyły się jeszcze bardziej, kiedy Oillell, najmłodsza z dziewczynek, która teraz ma około pięciu lat, zrobiła kupę w łóżku Petera. Louisa strywializowała ten występki, twierdząc, że to „zupełnie naturalny element komunikacji poprzez wypróżnianie”.

Natomiast najstarsza córka, Coventina, nadal twardo realizowała misję sabotującą misję matki, żeby wychować nieszczęsne dzieci na równie niezaradne i nieodpowiedzialne co Louisa. Coventina wypełniała swoją misję w ten sposób, że brała regularne kąpiele, czesała włosy i tak dalej, to znaczy była normalną młodą osobą. Po bliższej inspekcji stwierdziłam, że na front rebelianckiego ruchu przekabaciła też trzecią córkę, Idelisę, bo obie były schludne, włosy wiązały w końskie ogony i nosiły koszulki Gapy (to prawdopodobnie zasługa talentów Sylvii do łapania okazji na eBayu). Pozostałe dzieci (wydaje mi się, że kolejność narodzin była następująca: Cedric, Coventina, Nissien, Idelisa, Oillell i Boreas, przy czym najstarsze ma jedenaście, a najmłodsze trzy lata) wyglądały jak wychowane przez stado wilków. Coventina i Idelisa potwierdziły moje przypuszczenia o rewolucji, pytając babcię, czy mogą pójść poćwiczyć grę na

pianinie. Louisa spojrzała na nie z niesmakiem i skomentowała z westchnieniem:

- Nie wiem, co je ugryzło.

Natomiast pozostałe dzieci nadal zgrywały małe wilczki.

Ich matka wilczyca zwróciła się do mnie:

- Przepraszam, że od kiedy przyjechaliście, nie mam dla was czasu, Ellen, ale mam bardzo ważne plany. Wieczorem urządzamy wieczorek z poezją, na którym będziemy świętować publikację mojej książki. Chciałabym, żebyś przyszła. Ty też, mamó! Ale ty, Si, nie przychodź. Jestem pewna, że mama i tata opowiedzieli ci już, że mężczyźni nie mają wstępu do komuny. Tworzymy kobiecą grupę. Nasza działalność skupia się na obalaniu patriarchy i wyzwoleniu kobiet z łańcuchów męskiej opresji, więc łatwo zrozumieć, że obecność mężczyzn stałaby w fundamentalnej sprzeczności z naszą pracą i ideami - oznajmiła.

- Nie wiedziałam, że wydałaś książkę - odparłam po części zaskoczona tym, że ktoś chciał wydać jej paplaninę, a po części w nadziei, że może wreszcie zacznie zarabiać jakieś pieniądze zamiast żyć za darmo w moim (to znaczy naszym) domu i żerować na rodzicach, kiedy przepuści alimenty od byłego męża.

- Tak! To znaczy oczywiście musiałam ją wydać sama, bo patriarchat trzyma w ryzach wszystkie media, które nie są gotowe na prawdę zawartą w mojej poezji, ale nic nie szkodzi, bo i tak nie zamierzałam poddawać się ich cenzurze. Moje prace są zbyt cenne, żeby pozwolić mężczyznom je spartaczyć w imię komercji. Ale kiedy moje słowa choćby

jeden raz ujrzą światło dziennie, nic już nie będzie takie samo.

- To miło... - ledwie wyszeptałam.

- Zapraszam dzisiaj na siódmą wieczór. Nie spóźnijcie się, bo odczyt zacznie się punktualnie. Aha, mamó, mogłabyś przynieść trochę wina i przekąsek dla wszystkich?

- Słucham? - odezwała się Sylvia, która zaczęła odpływać. Pewnie słyszała przemowę Louisy o cenzurze i patriarchacie już milion razy. - Ach, przykro mi, ale nie mogę przyjść do ciebie wieczorem. Josephine ma pierwszą cieczkę, więc nie mogę jej zostawić samej w tak delikatnym stanie.

- Jak to?! - oburzyła się Louisa. - Moja własna matka nie przyjdzie wesprzeć mnie w tak wyjątkowy wieczór, bo pies potrzebuje jej bardziej niż ja?!

- Myślałam, że okażesz więcej zrozumienia, Louisa. W końcu to ważny czas dla Josephine jako świeżo upieczonej kobiety - odparowała Sylvia.

- Niech ci będzie! - prychnęła Louisa.

- Może powinnam zostać z Sylwią... Na wypadek, gdyby mój pies znowu próbował niecznych czynów w stosunku do Josephine. Ktoś musi bronić jej honoru! - zasugerowałam.

- Ellen! Jakiś żeński przedstawiciel mojej rodziny musi być obecny na tym wyjątkowym wieczorze! Na moim wieczorze! I powinien przynieść jedzenie i wino, które obiecała mi mama.

- Niczego ci nie obiecywałam! - zaprzeczyła Sylvia.

- Tyle chyba możesz dla mnie zrobić, skoro wolisz ode mnie swojego psa!

- Ciekawe dlaczego...? - wtrącił pod nosem Simon.

- I skoro nie zamierzasz przychodzić, możesz przenocować dzieci, żebym mogła skupić się na odczycie! - Louisa odmaszerowała, zostawiając za sobą Sylwię i Michaela, którzy nieśmiało wyrażali sprzeciw przeciwko goszczeniu pod swym dachem szóstki małych potworków z piekła rodem (może czwórki, gdyż Coventina i Idelisa całkiem ładnie grały w salonie *Dla Elizy*) i naszej czwórki.

Nie mogę przestać się dziwić, jak często Louisie udaje się postawić na swoim, stosując najprostszą taktykę, polegającą na kompletnym ignorowaniu argumentów innych osób. Pod wieloma względami (z wyjątkiem, rzecz jasna, higieny) przypomina moją siostrę. Mimo to pękałam z ciekawości, czym jest „poezja” Louisy, i nie chciałam przepuścić okazji, żeby pośmiać się z „komuny”, więc wybrałam tę opcję. Była też o wiele lepsza niż chowanie się przez cały wieczór w kąciku, kiedy wszędzie wokół szaleją zwaśnione dzieci.

Michael mnie podrzucił, bo w końcu ulegli presji i postanowili zapewnić córce cztery litry wina i kilka paczek chipsów - jedynej „przekąski” dostępnej w tym rejonie Francji, które spełniały wymogi Louisy dotyczące wegańskości i bezglutenowości. Louisa wybiegła na dwór, wrzeszcząc na Michaela, że nie ma prawa wjeżdżać na posesję, i żeby nie wychodził z auta. Później zaczęła narzekać, że mogłam przecież sama wszystko przynieść, bo miałam niewielki dystans do pokonania, i wróciła do domu obrażona, zostawiając mnie samą z winem i chipsami.

W środku było mniej więcej tak, jak sobie wyobrażałam.

Panował półmrok. Lampki choinkowe i świeczki paliły się w niebezpiecznych miejscach, a wszędzie pachniało tanimi kadzidłami (choć prawdę mówiąc, nie wiem, jak miałyby pachnieć drogie kadzidła). Odnotowałam w pamięci, żeby zapytać Simona, czy dom Louisy jest ubezpieczony, bo zakładałam, że ona sama nie zniżyłaby się do tak niskiego poziomu, żeby zająć się czymś równie przyziemnym i wiejącym kontaktami z przedstawicielami patriarchy.

Tylnymi drzwiami wyszła jakaś kobieta i zmierzyła mnie surowym wzrokiem. A byłam pewna, że dobrałam doskonały zestaw na wieczorek poetycki! Biorąc pod uwagę fakt, że miałam mało czasu, żeby się przygotować, byłam zadowolona ze swojego wyglądu. Miałam na sobie czarny golf, dzinsową spódnicę mini (nic mnie nie obchodzi, że mam czterdzieści dwa lata! To bzdura, że po trzydziestym piątym roku życia należy zrezygnować z miniówek! Zresztą nie założyłam takiej spódnicy, jaką nosiłam, gdy miałam piętnaście lat. Sięga niewiele nad kolana, kiedyś włożyłabym taką, która ledwie zakrywa mi pupę) i czarne kozaki. Myślałam, że stworzyłam artystyczny i poetycki wizerunek mojej osoby, chociaż Simon kazał mi zdjąć czarny beret, twierdząc że po pierwsze „jest idiotyczny”, a po drugie wszyscy by sobie pomyśleli, że się z nich nabijam. Zrekompensowałam to sobie, nakładając eyeliner.

- Czy mogę ci jakoś pomóc? - spytała oschle.
- Cześć! Jestem Ellen, bratowa Louisy. Przyniosłam wino! - powiedziałam radośnie.
- Ach tak... Louisa o tobie wspominała. Mogłam się

domyślić. W takim razie wejdź - rzuciła niezbyt entuzjastycznie.

Pomieszczenie było umeblowanie głównie workami z ziemniakami i poduszkami do siedzenia. Do tej pory bez hamulców oceniałam Louise i jej hipisowski wystrój, ale ponieważ był niepokojąco podobny do Przestrzeni Twórczej w pracy, zaczęłam się obawiać, że moja bratowa mogła w rzeczywistości być całkiem nowatorska. Oschła kobieta (która powściągliwie przedstawiła się jako Stella) zaproponowała, że weźmie ode mnie wino, ale szósty zmysł podpowiedział mi, że lepiej pójść z nią i samej sobie nalać. Stella nie była wniebowzięta, ale nie było mowy, żebym tam siedziała na trzeźwo! Kolejna, trochę bardziej schludna kobieta weszła, kiedy sobie nalewałam, i Stella mruknęła coś do niej szeptem, z czego zrozumiałam tylko „bratowa” i „nie pasuje”.

Szczęśliwym trafem Louisa postanowiła wreszcie się pojawić, ubrana (jedno jest pewne - w całym swoim hipisostwie jest niesamowicie przewidywalna) w powiewny kaftan i jakiś turban ze ścierek. Za nią weszły trzy inne kobiety.

- Witam! Witajcie, siostry! Stello, proszę, poproś resztę, żeby weszła. Jestem gotowa - tryskała entuzjazmem.

- Nie ma nikogo więcej - powiedziała Stella.

- Och... Cyganeczko, jesteś pewna, że rozwiesiłaś ulotki w mieście, żeby wszystkie kobiety wiedziały, co się dzisiaj dzieje i że są zaproszone? - posmutniała Louisa.

Trochę bardziej schludna kobieta, która okazała się ową

Cyganeczką, powiedziała, że owszem.

- No cóż, może tak nawet lepiej. Atmosfera będzie bardziej intymna, a w końcu moja poezja jest bardzo osobista. Chciałabym zacząć od mojego ulubionego wiersza *Moja Joni*^[9]...

Louisa stanęła na środku pokoju, uniosła ręce i spojrzała na nas wszystkie po kolei. Pewnie to zaplanowała, chociaż wyglądała trochę jak Peter, kiedy próbuje powstrzymać bąka (i zaznaje porażki). W końcu opuściła ręce i zaczęła deklamować:

MOJA JONI!
PATRZY!
KRWAWI!
JEST PIĘKNA!
MOJA JONI!
TO ŻYCIE!
ŚMIERĆ!
PRZYJEMNOŚĆ!
BÓL!
GŁÓWKA DZIECKA!
KRWAWI,
PULSUJE,
ŻYJE.
PRZECIĄGA SIĘ.
OTWIERA.
DAJE.
MOJA JONI.

Kobiety zaczęły klaskać entuzjastycznie.

- To takie mocne! Przemówiło do mnie! Przemówiło mi do serca! I tutaj - wykrzyknęła Stella, wskazując na głowę, a później dodała: „I tutaj!”, ku mojemu przerażeniu łapiąc się za krocze. Później spytała, czy wszystkie joni poczuły to samo, a kobiety zgodnie przytaknęły. Ponieważ ja nie wiedziałam, co powiedzieć, wymamrotałam pod nosem coś niezobowiązującego, czyli zachowałam się jak typowy Brytyjczyk w krępującej sytuacji. Niestety Louisie to nie wystarczyło.

- Dawaj, Ellen! Powiedz, co myślisz! - nalegała Louisa.

- Był bardzo fajny - rzuciłam nieśmiało.

- Och, Ellen! Przecież stać cię na więcej! Nauczycielki w szkole nie uczyły cię, że nie mówi się „fajny”? Powiedz, co naprawdę myślałaś, jak się poczułaś. Pokaż mi, gdzie mój wiersz dokładnie cię poruszył?

Odpowiedź „Jeśli mam być szczerą, poczułam przerażenie i mdłości” raczej mnie nie satysfakcjonowała, więc postawiłam na:

- Z pewnością było to coś, czego jeszcze nie słyszałam - i Louisa szczęśliwie dała mi spokój.

Jej kolejny wiersz był zatytułowany *Krew*.

Kiedy Louisa wykrzykiwała:

KREW!

KREW!

KREW!

POWÓDŹ!

POWÓDŹ!

POWÓDŹ!

niepostrzeżenie wymknęłam się do pokoju obok w poszukiwaniu wina, bo kiedy piłam pierwszy kieliszek, Stella wyrwała mi butelkę i zniknęła.

Kobieta zwana Cyganeczką ruszyła za mną.

- Pierwszy raz słuchasz wierszy Louisy? - zagaiła sympatycznie.

- Mhm.

- Tak mi się zdawało. Trzeba trochę czasu, żeby się przyzwyczaić. Ćwicz już od tygodnia.

- Chryste! Wyrazy współczucia! - odparłam.

Cyganeczka się zaśmiała, po czym stwierdziła:

- Ja tu nie mieszkam. Na tę chwilę mieszka tu chyba tylko Stella. Między nami mówiąc, trochę się jej boję. Na początku mieszkało tu około sześciu kobiet, ale chyba myślały, że stworzą tu artystyczną kooperatywę, a okazało się, że muszą stawić czoła Louisie i Stelli, które non stop wygłaszają tyrady o patriarchacie.

- To dosyć ironiczne, biorąc pod uwagę fakt, że Louise utrzymują ojciec i były mąż. A gdzie w takim razie mieszkasz?

- Na obrzeżach wioski. Prowadzę zajęcia ze sztuki i mam małe gospodarstwo. Staram się hodować wszystko, czego potrzebuję. Niestety z uczenia niewiele wyciągam. Czasami zastanawiam się, czy nie powinnam rozkręcić biznesu i prowadzić stacjonarnych kursów sztuki albo czegoś w tym stylu, ale przeprowadziłam się tutaj, żeby wieść prostsze życie po załamaniu nerwowym, bo nabawiłam się obsesji na

punkcie zarabiania jak największej ilości pieniędzy w jak najkrótszym czasie i wydawaniu ich na pierdoły, których wcale nie potrzebowałam.

- Ja nawet lubię te wszystkie pierdoły - wyznałam.

- Och, ja też. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie podobają mi się twoje buty. Ale staram się pamiętać, że nie wszystko kręci się wokół rzeczy. Wypicie kawy rano na werandzie jest warte o wiele więcej niż pośpieszne popijanie kupionej kawy na wynos w metrze w drodze do pracy. Chociaż przyznaję, że twoje kozaki mogłyby być tego warte!

- Pewnie myślisz, że jestem okropnym człowiekiem, który wyznaje kapitalistyczny styl życia i preferuje związane z nim uciechy - zauważyłam.

- Ani trochę! Każdy ma prawo do swoich wyborów. Liczy się tylko to, że jesteś szczęśliwa i żyjesz po swojemu. Moje zdanie ani czyjekolwiek nie ma tu nic do rzeczy.

Z salonu dobiegł nas krzyk:

- Ellen! Cyganeczko! Gdzie jesteście? Chyba nie chcecie przegapić mojego wiersza *Piersi nie zostały stworzone dla mężczyzn?*

Niechętnie powędrowałyśmy do salonu, żeby wysłuchać utworu poetyckiego Louisy o cyckach. Niestety nie wiem, co miała na ten temat do powiedzenia, bo płonęłam ze wstydu w kąciuku, kiedy Louisa zrzuciła kaftan i recytowała swój wiersz nago, wymachując biustem. Twardo wierzę w to, że strzyżenie okolic intymnych jest osobistą sprawą wybranej jednostki i nikomu nic do tego, czy kobieta goli nogi, depiluje je woskiem, czy też chodzi owłosiona, mimo to uważam, że

kiedy kobiecy ogród rozrasta się do tak okazałych rozmiarów jak u Louisy, paradowanie nago po pokoju pełnym świeczek jest wielce niewskazane, bo zagraża pożarem.

Louisa zrobiła pauzę w połowie wiersza i głośno zaintonowała:

DOŁĄCZCIE DO MNIE, SIOSTRY!

na co Stella zerwała się z siedzenia i zrzuciła swoje szmatki. Chryste, to było jeszcze gorsze, niż kiedy trafiłam do niemieckiej sauny i odkryłam, że wchodzi się tam nago! Żadna z koleżanek z odczytu nie wyznawała bielizny, co było alarmujące, biorąc pod uwagę kiepski stan worków z ziemniakami. Martwiła mnie też ilość łatwopalnych włosów łonowych w sąsiedztwie tyłu świec. Zaczęłam się zastanawiać, czy byłabym na tyle altruistyczna, żeby poświęcić swój kieliszek wina w celu ugaszenia płonącego łona, ale uznałam, że nie.

- Ellen, dołącz do nas! Świątujmy razem naszą wolność!

- Nie, dziękuję - wymamrotałam.

Nie bawię się w nagość. Nie należę do tych beztroskich duszyczek, które potrafią fikać na golasa i wywoływać pożary. Jestem Brytyjką, tłumię wszelkie emocje i jest mi z tym dobrze. Poza tym bałam się, że gdybym się jednak rozebrała, wyszłoby na jaw, że noszę (prawie dopasowaną! Wszystko czarne!) bieliznę.

Kiedy ten koszmarek wreszcie się skończył i ostatni fikający cyk został schowany, Louisa podeszła do mnie i objęła mnie (lekko spoconymi) ramionami.

- Dziękuję, że przyszłaś, Ellen. Mam dla ciebie prezent -

powiedziała natchnionym głosem, a ja się spięłam, bo z prezentami od Louisy jest jak z przysłowiowym kotem w worku. Nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać. Tym razem z dumą podała mi cienką książeczkę.

- Egzemplarz mojej książki. Znajdziesz tam wszystkie wiersze, które dzisiaj czytałam, i jeszcze kilka innych. Ze specjalną dedykacją dla ciebie i autografem. I datą.

- Och, dziękuję Louiso! To bardzo miłe.

Było o wiele lepiej, niż się spodziewałam. W zeszłym roku na urodziny podarowała mi listę pomysłów na to, jak zrobić „detoks od technologii” i uczynić moje życie bardziej podobnym do jej.

Louisa rzuciła mi pełne wyczekiwania spojrzenie. Widocznie niewystarczająco podziękowałam, więc spróbowałam jeszcze raz:

- Będę... traktować ją wyjątkowo. Postawię w widocznym miejscu na półce! - dodałam, ale bratowa kaszlnęła wymownie i wciąż świdrowała mnie wzrokiem, więc powiedziałam jeszcze: - Nigdy nie dostałam książki podpisanej przez autora z dedykacją specjalnie dla mnie. Nie mogę się doczekać, aż ją przeczytam!

- Kosztuje dwadzieścia euro, Ellen.

- Słucham?

- Książka kosztuje dwadzieścia euro.

- Powiedziałaś, że to prezent.

Louisa westchnęła i rzuciła mi pełne politowania spojrzenie.

- Owszem, to jest prezent, Ellen. Moje słowa są prezentem

dla wszystkich kobiet. Słowa są prezentem, ale książka kosztuje dwadzieścia euro. Chyba nie oczekiwałaś, że dam ci ją za darmo? Muszę z czegoś żyć, Ellen. Muszę się jakoś utrzymywać, żeby nieść światu moje przesłanie. Artyści nie mogą tak po prostu rozdawać swoich prac, to uwłacza ich godności.

W głowie kłębiło mi się od myśli. Po pierwsze, żądanie dwudziestu euro za książeczkę, która na oko miała piętnaście stron i była wydrukowana i złożona w domu, to czysty wyzysk. Po drugie, jak Louisa śmiała oczekiwać ode mnie zapłaty za książkę z beznadziejnymi wierszami, której wcale nie chciałam? Nie wystarczy jej, że mieszka za darmo w domu, który dla niej kupiłam?

Pozostałe kobiety złowrogo krążyły wokół nas i zaczęłam się obawiać, że jeśli nie sypnę groszem, każą mi usiąść w kręgu, rozmawiać o uczuciach i opowiadać o źródle swojego gniewu. (Louisa. Źródłem mojego gniewu jest Louisa). Nagle dwadzieścia euro wydało mi się stosunkowo niską ceną za możliwość wykupienia wolności od szalonej bratowej i jej kapłanek.

Kiedy wróciłam do skromnego zameczku, Simonowi wystarczyło jedno spojrzenie.

- Aż tak źle? - Podał mi kieliszek wina.

Przytaknęłam, a potem szepnęłam resztką sił:

- Masz fajki?

Oboje rzuciliśmy palenie dawno temu, ale mamy tendencję do popalania w ekstremalnych sytuacjach. Co ciekawe, najczęściej dochodzi do nich, kiedy w okolicy pojawia się

siostra Simona.

- Przyznaję, że kupiłem paczkę papierosów Gauloises, kiedy pojechałem do miasta po południu, ale to dlatego, że zostawiłaś mnie samego z tymi wszystkimi dziećmi, a do końca tygodnia będę się jeszcze musiał męczyć z naszymi, podczas gdy ty dasz nogę do pracy. Jestem tak zestresowany, że nic dziwnego, że znowu popalam!

- Nie oceniam, po prostu daj mi jednego! Potrzebuję czegoś więcej niż wino, żeby oczyścić duszę po tym, co mnie spotkało. I wolę śmierdzieć papierosami niż... - powąchałam swój sweter - olejkiem z paczuli czy czymś takim. A „te wszystkie dzieci” to twoi siostrzeńcy i siostrzenice. Poza tym jestem pewna, że własne dzieci nie będą sprawiać ci problemów, bo jak wyjadę, matka na pewno ci pomoże. Od naszego przyjazdu z sześć razy wspominała, że wyglądasz na zmęczonego i martwi się, że praca na pełen etat jest dla ciebie zbyt obciążająca.

Simon mruknął pod nosem coś niezrozumiałego, ale podał mi paczkę papierosów i wyszliśmy na taras, gdzie opowiedziałam mu, co się działo na wieczorku. Z każdym moim słowem robił się coraz bledszy.

- Jasna cholera! Myślisz, że to już szczyt jej możliwości?

Zapewniłam go, że Louisa może być jeszcze gorsza, bo kiedy uciekałam, krzyknęła za mną, że jutro po południu będzie prowadzić warsztaty z masturbacji, które dobrze mi zrobią, bo mam zablokowane czakry joni. Odparłam, że nie jestem zainteresowana. Cyganeczka i jeszcze jedna kobieta też się wykręciły.

- Dzięki Bogu! Na myśl o tym, że moja żona i siostra siedzą razem w kółeczku i się masturbują, robi mi się słabo.

I tak właśnie zabija się romantyzm chwili...

SOBOTA, 18 LUTEGO

Hip, hip, hurra! Dzisiaj przyjechała nasza niania au pair! Pochodzi z Francji, na imię ma Juliette. Byłam lekko zawiedziona, bo liczyłam na to, że przyślą nam Marie-Claire, która *habite en La Rochelle*, jak postać ze szkolnego podręcznika do francuskiego. Niestety ona nie mieszka w La Rochelle, *elle habite en Limoges*. Niewiele wiem na temat Limoges, wiem tylko, że słynie z porcelany. O La Rochelle wiedziałam o wiele więcej.

Juliette jest cicha i większość czasu spędza w swoim pokoju, chociaż jest u nas dopiero od kilku godzin. Zaczynam się zastanawiać, o co mogę ją prosić. Agencja pisała, że może wykonywać „lekkie prace domowe”. Czyli co? Ścieranie kurzu? A odkurzanie? Mój odkurzacz jest potwornie ciężki! Może powinnam kupić lżejszy i wtedy zakwalifikuje się to jako „lekka praca”? I co z winem? Czy jeśli sama piję, powinnam ją poczęstować? W końcu jest Francuzką, więc pewnie wino je na śniadanie z płatkami kukurydzianymi (choć pewnie raczej nie jada płatków, tylko croissanty i *pains au chocolat*), ale nie chciałabym też stanowić dla niej złego przykładu. Czy przy niani au pair można w ogóle pić? Skąd mam wiedzieć?! I czy mogę jej zostawić listę „lekkich prac domowych” do wykonania, czy też będzie to niegrzeczne? Może powinna sama decydować, co będzie tu

robić?

Niestety nie jest też pomocna, jeśli chodzi o naukę francuskiego, bo kiedy spytałam ją grzecznie, czy „voudrais allezing à la discothèque?”, skrzywiła się i spytała, czy mogłybyśmy rozmawiać po angielsku, bo liczyła na to, że się tu poduczy. Jej angielski już jest świetny, więc za tę porażkę obwiniam swój francuski akcent, który faktycznie może być *en peu diabolique*. A może bała się, że będę chciała iść z nią na tę dyskotekę?

Tak czy inaczej, zgrywaliśmy dzisiaj szczęśliwą, normalną i sprawnie funkcjonującą rodzinę. Przecież każdy weekend spędzamy na graniu w gry planszowe i śpiewaniu piosenek (gry planszowe jeszcze jakoś przeszły, ale propozycja wspólnego śpiewania wywołała bunt). Juliette chyba nie dała się nabrać.

Mimo wszystko myślę, że będzie lepiej. Jeśli Juliette zacznie odbierać dzieci ze szkoły, nie będę musiała wyklócać się z Simonem, czyja przypada kolej na to, żeby pędzić do świetlicy, czyja praca jest ważniejsza i kto może zostać po godzinach. Staniemy się spokojniejsi, będziemy czuć się równie ważni. A jeśli Juliette będzie opiekować się dziećmi po szkole, to zaczniemy spędzać razem trochę czasu jako para i może zakochamy się w sobie od nowa i będzie romantycznie i wspaniale!

Jedyne, co Simon miał do tej pory do powiedzenia na temat Juliette, to że jest „bardzo francuska”.

ŚRODA, 22 LUTEGO

Juliette jest cudowna! Kocham ją! Chcę, żeby została z nami na zawsze! Gotuje dzieciom dziwne francuskie potrawy, które dzieci zjadają, mimo że zawierają warzywa! Okazało się też, że Peter doskonale umie posługiwać się nożem i widelcem. Wystarczył tylko jeden komentarz z jej strony, że zachowuje się jak dzikus i dość już tego nonsensu. Peter jest zakochany na zabój w Juliette, więc natychmiast porzucił zwyczaj jedzenia ziemniaków palcami i zaczął używać sztućców. Od lat błagam go, żeby nauczył się dobrych manier przy stole, przekonując, że jedzenie nie powinno polegać na wsadzaniu nosa w talerz i nagarnianiu potraw do buzi widelcem. Nawet przestał puszczać bąki i kazać innym zgadywać po zapachu, co jadł.

A Jane? Moja córka uznała Juliette za uosobienie wszystkiego, co jest „cool”. Juliette chce zostać prawniczką, więc Jane tak samo. Kiedy Juliette powiedziała, że Instagram to fajna aplikacja do oglądania zdjęć, ale lepiej nie obierać takiej ścieżki kariery, Jane (która jeszcze kilka miesięcy temu darła się na mnie, że zniszczyłam jej życie, kiedy mówiłam dokładnie to samo) przytaknęła entuzjastycznie i odparła, że zgadza się w stu procentach.

W ciągu ostatnich trzech dni nie pokłóciliśmy się z Simonem ani razu, co mogę uznać za nasz rekord. Nawet obejrzeliliśmy razem program w telewizji (a Juliette z nami, więc nie mogliśmy poromansować, ale i tak było bardzo miło).

„Lekkie prace domowe” okazały się trochę problematyczne, bo Juliette nie wykonuje żadnych. Nawet

opróżnienie zmywarki wydaje się ponad jej możliwości, więc muszę sama sprzątać po powrocie z pracy, ale jeśli mam być szczerą - to niewielka cena, biorąc pod uwagę wszystkie jej zalety. Szkoda tylko, że w wakacje jedzie do domu na dwa tygodnie, ale może jakoś to przeżyjemy, bo jeszcze zanim pojawiła się w naszym życiu i przekonała nasze kochane szkraby, żeby jadły soczewicę (SOCZEWICĘ! Nie dość, że zjadły, to jeszcze twierdziły, że jest smaczna!), wzięłam tydzień wolnego i poprosiłam Simona, żeby wziął ten drugi, więc jesteśmy kryci. Nawet jeśli dzieci postanowią na powrót dostać skorbutu pod jej nieobecność.

MARZEC

ŚRODA, 1 MARCA

Dzisiaj urodziny Jane. Nie mogę uwierzyć, że moja córeczka ma już dwanaście lat! Nie wiedzieć czemu wydaje mi się, że dwunastolatki są dużo doroślejsze niż jedenastolatki. Wiem, brzmi to jak banał, ale mam wrażenie, że dopiero co świętowaliśmy jej pierwsze urodziny. Wczoraj oglądałam pierwsze urodzinowe zdjęcia. Byliśmy z Simonem tacy młodzi i szczupli (to znaczy ja byłam, Simon jest cały czas). Mam wrażenie, że to było wieki temu. Dla Jane pewnie tak.

To prawda, że Matka Natura wymazuje z pamięci najgorsze wspomnienia dotyczące okresu niemowlęctwa i wczesnych lat życia. Po tylu sprzeczkach na temat ubrań, lakierów do paznokci, szminek i potwornie drogiej elektroniki, którą Jane chciałaby dostać na urodziny, trochę tęsknię do spokojnych czasów, kiedy wystarczyło wrzucić do wózka sklepowego klocki dla danego przedziału wiekowego ze świadomością, że to i tak nie ma większego znaczenia, bo skupi się na zjadaniu papieru prezentowego i zabawach opakowaniem. Zapomina się o wszystkich potwornościach, takich jak: „ta kanapka jest za bardzo kanapkowa” albo „te chrupki są za bardzo chrupiące” i „chcę niebieski talerzyk!”, bo przecież z żadnego innego nie weźmie nic do ust. Teraz

niebieski talerzyk jest już „za niebieski”. Długie dni, kiedy świnka Peppa była jedyną nadzieją na to, że uda ci się na chwilę wyskoczyć do toalety, a kubek herbaty niósł ze sobą śmiertelne zagrożenie (bo dziecko mogłoby ją na siebie wylać), więc na wszelki wypadek rezygnowało się z herbaty na całe lata, dawno minęły.

Sarah wciąż do mnie wydzwania z pytaniami dotyczącej małej Orli, w nadziei że podzielę się z nią swoją mądrością. Tylko co ja mam jej mówić?

- Wiem, Sarah, to wcale nie jest przyjemne, kiedy dziecko płacze i płacze, a ty nie wiesz czemu. Matkom się wmawia, że dzieci mają różne rodzaje płaczu w zależności od potrzeb, ale przeważnie okazuje się, że istnieje tylko jeden rodzaj płaczu, który brzmi jak wycie strzygi. I wtedy musisz przejść przez całą listę potencjalnych problemów: jest mu za gorąco albo za zimno, chce się przytulić albo wrócić do kojca, jest głodne albo ma wzdęcia, trzeba mu zmienić pieluchę. W dodatku wydaje ci się, że kiedy podrośnie, będzie lepiej, bo zacznie chodzić i mówić. Ale wtedy zaczyna się prawdziwa jazda bez trzymanki, bo twoje dziecko biega po domu, bawiąc się w Conana Niszczyciela. I jest naprawdę miło, kiedy jego pierwszym słowem jest „mama” albo „tata” (swoją drogą, mam nadzieję, że Orla okaże się bardziej komunikatywna niż Jane, której pierwszym słowem było „nie”, a drugim „kurde”, co było dosyć przerażające, a ja po dziś dzień nie mam pojęcia, skąd się tego nauczyła), ale problem polega na tym, że jak już raz zacznie mówić, to nigdy się nie zamyka. Przenigdy! Głędzi bez końca.

Oczywiście chcesz okazywać zainteresowanie i słuchać każdego słowa, ale prawda jest taka, że dzieci wygadują straszne bzdury, w dodatku nudne. Ale i tak udajesz, że słuchasz, bo przecież rozwój twojego dziecka jest dla ciebie ważny. Liczysz na to, że kiedy pójdzie do szkoły, zrobi się trochę lepiej, ale kończysz, wrzeszcząc każdego ranka: „Założ buty, umyj zęby, kurtka, prędko do samochodu!”, jednocześnie kłócąc się o tabliczkę mnożenia i wpisy w dzienniczku. Później dzieci zostają nastolatkami, co jest równie ekscytujące. Szczęśliwie czasami twoje dzieci kładą się spać i możesz na nie popatrzeć. W takich chwilach myślisz sobie, że są idealne i niczego byś w nich nie zmieniła. Tylko że potem się budzą, a ty masz ochotę zamknąć się w szafie z butelką dżinu.

Jasna cholera! W przyszłym roku będę matką nastolatki! Kiedy to się stało? Co mi po narzekaniach Sarah, moja córka będzie nastolatką!

Chyba nie poprawiłam Sarah nastroju.

Postaram się o tym nie myśleć przez najbliższy rok. Na pewno jakoś się wszystko ułoży. W końcu sama byłam kiedyś nastolatką. Chryste, przecież byłam wtedy nie do zniesienia! Boże, spraw, żeby Jane rozwinęła się w innym kierunku!

Ponieważ uprzedzałam, że nie kupię jej nic z rzeczy, które sobie wymarzyła, Jane dopilnowała, żebym dotrzymała obietnicy z przekuwaniem uszu w urodziny. Po szkole (w pracy powiedziałam, że idę do dentysty, bo ostatnio Ed zasugerował, że może powinnam wybrać się do specjalisty w związku z moimi „problemami natury kobiecej”. Alan

zapropował, że da mi numer do swojego dentysty, który naprawi moją koronkę raz dwa. Chyba będę musiała na jakiś czas ozdrowieć) pojechałyśmy do potwornie drogiej kosmetyczki, która przekuła uszy mojej pierworodnej córce.

Juliette chciała pojechać z nami na Wielkie Przekuwanie. Pewnie sama chciała sobie dorobić kilka dziurek, bo wyglądała na niezadowoloną, kiedy powiedziałam, że będzie musiała odebrać Petera ze szkoły. Poza tym cieszyłam się, że ja i Jane spędzimy razem trochę czasu. Postanowiłam, że po przekłuciu pójdziemy na gorącą czekoladę i ciasto.

Po drodze przypomniałam Jane, że umówiłyśmy się, że robimy nie więcej niż jedną dziurkę w każdym uchu. Jane prychnęła i powiedziała, że jak będzie starsza, na pewno zrobi sobie więcej. Poza tym chciałyby mieć kolczyk w wardze jak Charlotte Baxter, która czasami opiekuje się moimi dziećmi. I tatuaż. Próbowałam jej wytłumaczyć, że tatuaże to poważna sprawa, bo zostają na całe życie i ludzie często żałują głupot, które sobie wytatuowali za młodu. Jane prychnęła jeszcze głośniej i powiedziała, że ona nie będzie mieć takiego problemu, bo ma już dwanaście lat i wie, czego chce.

Miła pani w zakładzie kazała mi wypełnić milion formularzy zwalniających pracowników zakładu z odpowiedzialności, jeśli Jane dostanie zakażenia albo jej uszy odpadną w wyniku kolczykowania, ale w końcu moja córka zasiadła w fotelu, czekając na wielki moment. Kiedy dwie panie podeszły do niej z pistoletami, Jane zbladła jak ściana.

- Mamusiu, nie jestem pewna, czy...

CIACH! I po wszystkim. Jane zzieleniała.

- Możemy wrócić do domu? Chyba doznałam szoku!

- Nie bądź głuptaskiem, kochanie. Nie możesz być w szoku. Przekułaś tylko uszka. Nie chcesz iść na gorącą czekoladę? - powiedziałam ciepło.

- Muszę się położyć. To było okropne! Przebili mi ciało metalem! Źle się czuję! - biadoliła, pociągając nosem.

- A myślałaś, że jak się przekuwa uszy? - spytałam zdezorientowana.

- Nie wiem, ale myślałam, że będzie przyjemniej. Chyba zaraz zwymiotuję!

- A dalej chcesz kolczyk w wardze i tatuaż? - spytałam

Na co Jane naprawdę dostała odruchu wymiotnego.

- Mamusiu, czy mogłabyś po prostu zabrać mnie do domu i przytulić? - jęknęła.

Zanim wyszłyśmy, oprócz stu milionów funtów, które musiałam wydać na kolczyki, miła pani nalegała, żebym kupiła też specjalny płyn do dezynfekcji, bo jak się okazuje, spirytus już nie wystarcza, chociaż kiedy ja przekuwałam uszy i przemywałam je nim, wszystko było w porządku. Zresztą przemywałam spirytusem wszystkie rany. Jednak muszę przyznać, że było warto wydać tyle pieniędzy i zobaczyć chociaż przez chwilę Jane, kiedy nie udaje dwudziestosiedmioletki z amerykańskiej telenoweli, tylko staje się małą dziewczynką, którą jest w rzeczywistości. Korzystałam z tego, że chciała się przytulać, ile mogłam. Kto wie, kiedy znowu nadarzy się taka okazja?

Resztę dnia Jane udawała rannego łabędzia, chociaż nie przeszkodziło jej to w spałaszowaniu całej urodzinowej pizzy. Hipochondrię na pewno odziedziczyła po Simonie.

Po tym, jak dzieci poszły spać, w końcu udało mi się zebrać siły na przeczytanie tony mejli dotyczących komitetu rodzicielskiego. Na szczęście nie muszę się martwić o organizację kiermaszu prezentów na Dzień Matki, który w zeszłym roku okazał się hitem, bo jedna z matek zrobiła wielką awanturę, że chciałyby prezent przygotowany przez jej dziecko, a nie jakiś chłam jak z Poundlandu, tylko droższy, w związku z czym mogłam z czystym sumieniem odwołać całą imprezę. Dostałam jednak mnóstwo mejli od rodziców, którzy wciąż nie są w stanie pojąć różnicy pomiędzy działalnością komitetu rodzicielskiego (zbieranie funduszy) a radą rodziców (polityka szkoły) i wylewali swoje żale o tym, że klasa Emilii oglądała w piątek DVD, albo pytali, dlaczego na terenie szkoły nie ma policjanta na służbie, który dbałby o porządek, wlepił mandaty za złe parkowanie i niesprzątanie psich odchodów. Czemuż, ach czemuż nie mogę im po prostu odpisać, że mam to w głębokim poważaniu, więc niech się ode mnie odpieprzą raz na zawsze!

PIĄTEK, 3 MARCA

Zaczynam podejrzewać, że Juliette jednak nie jest tym aniołem zesłanym z nieba, za którego ją na początku uważałam. Z dziećmi radzi sobie świetnie, ale wciąż nie mogę jej zmobilizować do pomagania w domu. Nie dość, że

całymi dniami się obija, to jeszcze sama aktywnie produkuje bałagan. Dzisiaj znalazłam w salonie paczkę po chipsach i kilka kubeczków po jogurtach. Rano prosiłam ją grzecznie, żeby rozwiesiła pranie albo wrzuciła je do suszarki w zależności od tego, jak bardzo z niego kapie, a ona wrzuciła mokre pranie do kosza i uprała swoje rzeczy.

Chciałam to z nią wyjaśnić, na co wzruszyła ramionami jak Gall w *Asteriksie* i udawała, że mnie nie rozumie, chociaż w każdej innej sytuacji jej angielski jest bezbłędny.

Za to rewelacyjnie przypomniała sobie angielski, kiedy pojawiła się w salonie ledwie ubrana i oświadczyła, że wychodzi dzisiaj „z przyjaciółmi”, wróci późno i żebyśmy na nią nie czekali. Pewnie chce „allezing à la discothèque”, ale kiedy o to zapytałam, spiorunowała mnie wzrokiem, a na pytanie, jak rozumie pojęcie „późno”, wymamrotała pod nosem coś niezrozumiałego.

Czy mogę ją puścić samą w noc, nie mówiąc ani słowa? W końcu jesteśmy za nią odpowiedzialni, chociaż z drugiej strony nie jest już dzieckiem. Teoretycznie jest dorosła! I kiedy nadejdzie moment, w którym będę mogła uznać, że „późno” już minęło, ona zaginęła, a ja muszę zadzwonić na policję i powiedzieć, że puściłam osiemnastolatkę z ograniczoną znajomością angielskiego do niesprecyzowanego klubu i z grupą „przyjaciół”, o których nic nie wiem, bez uprzedniego ustalenia godziny powrotu? Czy wyjdę na bezduszną i nieczułą osobę? A jeśli ktoś ją zamorduje, czy agencja przyzna mi kolejną au pair? Nie, nie, wcale o tym nie myślę, po prostu się o nią martwię! Brak

niańki to moje najmniejsze zmartwienie w tej sytuacji. Chociaż nie jedyne, bo właśnie znalazłam skórkę od banana pod poduszką na kanapie i wcale się już tak o Juliette nie martwię.

SOBOTA, 11 MARCA

O Boże! O Chryste! O święta Gryzeldo! Nie ma na świecie wystarczającej ilości alkoholu, żeby uśmierzyć dzwonienie w uszach, ból głowy i wypełnić pustkę w miejscu, w którym kiedyś miałam duszę. Dzisiaj Jane obchodziła urodziny. Przyjęcia urodzinowe powinny być łatwe jak bułka z masłem. Balony, tort, granie w głuchy telefon i kilka rundek gry w gorące krzesła, i brawo, wygrałeś, w nagrodę dostaniesz kilka miniaturowych batoników Mars i jakąś duperele, a teraz won do domu, dziecko!

Ale nie. Po pierwsze Jane oświadczyła, że chce mieć dyskotekę. Przyjęcia urodzinowe z dyskoteką to najnowszy krzyk mody w tym semestrze. Jeśli nie zaprosisz na przyjęcie didżeja Disco Dave'a, to jesteś nikim. Próbowałam przekonać Jane, że może przecież mieć wspaniałe przyjęcie w domu, ale nie przeszło. Musiał być Disco Dave w sali parafialnej.

Byłam dobrą matką. Spisałam się na medal! Zarezerwowałam salę, zaprosiłam Disco Dave'a, a kiedy usłyszałam jego cennik, kulturalnie powstrzymałam się od zapytania, czy w pakiecie dorzuca samochód, po czym upiekłam tort, a także zamówiłam drugi, ładniejszy, z inskrypcją „Jane ma już dwanaście lat” i motylkami z lukru. Dostałam skurczu dłoni od pisania pieprzonych zaproszeń do

wszystkich dzieci z klasy, wychodząc z założenia, że skoro już zapraszam Disco Dave'a, to niech mi się chociaż zwróci w ilości ludzi, po czym zaczęłam czytać odpowiedzi:

Cześć, w sobotnie popołudnia zawsze chodzimy na basen. Nie mogłabyś przelożyć przyjęcia na niedzielę? X

Cześć, Ellen. Tilly bardzo by chciała przyjść, ale czy mogłabyś po nią podjechać i ją odwieźć do domu? Jestem strasznie zajęta. Xxx

Oscar nie może przyjść o 14:30. Będzie o 15:30.

Czy Milly może przyjść z braćmi? Uwielbiają przyjęcia! Xxx

Olivia nie lubi dyskotek. Może zamiast tego zaprosisz magika? X

I tak dalej, i tak dalej. O co im chodzi, do kurwy nędzy? Co jest nie tak z tymi ludźmi? Kiedy stało się normą, że trzeba dostosowywać przyjęcia urodzinowe, żeby pasowały gościom? Od kiedy można przychodzić z rodzeństwem albo stawiać warunki? Nie wystarczy, że będę musiała się gimnastykować i robić po pracy wyścig z wózkiem po Sainsbury's, zazdroszcząc wszystkim draniom, którzy kupują wino i drogie pieczywo, i pakując w pośpiechu mrożone pizze i nuggetsy z kurczaka, żeby zdążyć wypuścić Juliette, zanim strzeli na mnie francuskiego focha? Znienawidziłam całą kulę ziemską, jeszcze zanim udało mi się dojechać na przyjęcie.

Disco Dave powinien się nazywać Dewiant Dave. Bardzo podejrzanie wyglądający dżentelmen. Wolałabym nie zostawiać z nim dziecka sam na sam.

Później zaczęły schodzić się dzieci. Pokłóciłam się z Jane o to, jak mocno może się umalować i w co ma się ubrać. Twierdziła, że jeśli założy wybraną przeze mnie sukienkę, zrujnuję jej życie. Ja z kolei uważam, że gdybym zostawiła jej wolną rękę, wyglądałaby jak marsylska prostytutka (choć prawdę mówiąc, nigdy nie widziałam marsylskiej prostytutki i może niesłusznie je obrażałam, ale był to ulubiony argument mojej matki kierowany pod adresem moich śmielszych wyborów ubraniowych w czasach, kiedy chodziłam do klubów). W końcu doszliśmy do kompromisu („Albo się przebierzesz, albo odwołam całe urodziny”). Jane mamrotała pod nosem, że jestem niesprawiedliwa i wszystkie jej koleżanki mogą nosić to, co się im podoba, co skwitowałam słowami: „Nie bądź śmieszna”.

Jak się jednak okazało, Jane miała rację. Chłopcy wyglądali raczej zwyczajnie w eleganckich spodniach i podkoszulkach, ale dziewczynki?! Słodki Jezu w morelach! Samoopalacz, buty na obcasach, sztuczne rzęsy, makijaż nakładany szpachlami, skandalicznie krótkie szorty i obcisłe kuse topy bez ramiączek. Jedna dziewczynka (jedenastolatka!) tak sobie wypchała top chusteczkami, że wyglądała jak miniatuurka Dolly Parton. Z jednej strony byłam zbulwersowana, ale było mi też szkoda tych dziewczynek, skoro czują potrzebę nakładania samoopalacza i podkładu na zdrową brzoskwiniową skórę i paradują w butach na obcasach, chociaż wciąż nie wyrosły z działu dziecięcego. Jeszcze smutniejsze było to, że kiedy zaczęło się przyjęcie, ubrane w szpilki bawiły się w dziecięce zabawy. Milly

Fortescue zjadła za dużo nuggetsów i się pochorowała, Olivia Johnson płakała, bo przegrała w grę, a Jack Williams zatrzasnął się w toalecie i trzeba go było ratować. Było potwornie głośno, a wybory muzyczne Disco Dave'a okazały się co najmniej dziwne. Ale urodziny odfajkowane! Za rok spróbuję namówić Jane na skromniejsze przyjęcie.

CZWARTEK, 16 MARCA

Kiedy wróciłam z pracy, okazało się, że Juliette posprzątała! Użyła nawet odkurzacza! Jakby tego było mało, nakarmiła dzieci i zrobiła zapiekankę dla mnie i Simona. Miałam ciężki dzień, więc kiedy wróciłam i zamiast zwyczajowego zalewu paczek po chipsach zobaczyłam olśniewający porządek i poczułam dochodzące z kuchni zapachy, miałam ochotę rzucić się jej na szyję i pocałować.

- Wyglądasz na zmęczoną, Ellen! Usiądź, naleję ci kieliszek wina. Simon wrócił dwadzieścia minut temu. Też wyglądał na zmęczonego. Oboje tak ciężko pracujecie!

Co za anioł! Czym jest kilka paczek po chipsach i wychodzenie po nocy w porównaniu z tym! (Ponieważ do tej pory jeszcze nikt jej nie zamordował, postanowiłam się tak bardzo nie martwić, że w każdy piątkowy wieczór ulatnia się z domu w spódniczce ledwie zasłaniającej biodra. Powtarzam sobie w myślach, że przecież sama byłam kiedyś młoda).

Pałaszowaliśmy przepyszye *boeuf bourgignon*, a Juliette uwijała się wokół nas, pytając, czy nie chcemy więcej wina, chleba albo sałatki, kiedy nagle oświadczyła, że chciałaby, żeby jej „chłopak” został u niej jutro na noc.

Simon się zakrztusił, a ja nerwowo pociągnęłam z kieliszka.

- Nie wiedziałam, że masz chłopaka, Juliette. To jakiś kolega z Limoges? - zapytałam.

- *Non!* Poznałam go w pubie. Na imię ma Harry.

Harry. Mogło być gorzej. Harry sugeruje typowego dzieciaka z klasy średniej.

- Czym się zajmuje?

- Jest w college'u.

- A co studiuje?

Juliette wzruszyła ramionami, jak to miała w zwyczaju, i spytała:

- To może przyjść do mnie na noc?

- Nie jestem pewna, Juliette. Muszę to przedyskutować z Simonem. Co by twoi rodzice powiedzieli, gdybyś chciała, żeby twój chłopak u ciebie nocował?

Juliette zaklęła pod nosem. Brzmiało to jak francuska wersja „O MÓJ BOŻE, RUJNUJESZ MI ŻYCIE!”. A potem wyszła z kuchni.

- Jasna cholera! Simon, co my teraz zrobimy? Powinniśmy postawić się na miejscu jej rodziców. Czy możemy pozwolić, żeby obce nastolatki uprawiały seks w naszym domu?

- Ona jest pełnoletnia. Nie jest już dzieckiem.

- Wiem, ale mimo wszystko... Nie wiem, czy chcę, żeby w moim pokoju gościnnym spocone nastolatki uprawiały seks. Mam tam moją najlepszą pościel! - I pomyślałam: „Ratunku! Brzmię jak moja matka!”, ale kontynuowałam: - Nie wiemy, kim on jest. A jeśli nas okradnie? Poza tym jeżeli

pozwolimy mu zostać, czy będziemy musieli u nas gościć przyszłych chłopaków Jane? Albo dziewczyn Petera? I tak dalej, rozumiesz!

- Nie mogę o tym rozmawiać, Ellen. Nie mogę dyskutować o życiu seksualnym osiemnastolatki, to moralnie naganne. Sama będziesz musiała zdecydować.

- Ja? Dlaczego ja? Dlaczego zawsze ja muszę o wszystkim decydować?

- Właśnie ci wyjaśniłem. Uważam, że to niestosowne.

- Co za bzdurna wymówka! A gdyby chodziło o Jane? Też kiedyś będę musiała sama podejmować decyzje? Nawet nie odpowiadaj, dobrze wiem, co powiesz!

W końcu zebrałam się na odwagę, żeby wspiać się po schodach do pokoju Juliette i wyjaśnić, że nie jestem przekonana, czy to dobry moment, żeby zapraszała gościa („gościa”. Ha, ha! Jakbym nie wiedziała, że jest jej kumplem od seksu), ale nie widzę przeszkód, żeby zaprosiła Harry’ego na kolację, żeby poznał rodzinę.

Na moją sugestię Juliette zrobiła przerażoną minę i mruknęła pod nosem „merde”. Rozumiem, że nie jest zachwycona wizją spędzenia urokliwej kolacji *en famille*, zamiast namiętnego bzykanka, na które liczyła.

Szkoda, że się obraziła. Mogę zapomnieć o kolejnym *boeuf bourgignon*.

PONIEDZIAŁEK, 27 MARCA

Bóg mi świadkiem, że jeśli nikt mnie nie powstrzyma, uduszę Simona gołymi rękoma. Jednym ruchem oderwę mu

głowę, jak Hulk w przyływie furii. To wszystko przez mejla, którego wysłał mi w okolicach lunchu:

*Cześć, kochanie,
właśnie się dowiedziałem, że w czwartek muszę jechać
w delegację do Singapuru na trzy tygodnie. Nie mieliśmy nic
w planach na ten czas, prawda?*

Do zobaczenia w domu.

Całuski

„Nie mieliśmy nic w planach?” NIE MIELIŚMY NIC W PLANACH?! Nie, drogi Simonie, oczywiście, że nie mieliśmy nic w planach! Z wyjątkiem tego, że dzieci będą mieć dwa tygodnie wolnego, Juliette wraca do Francji, a ty obiecałeś, a wręcz złożyłeś mi przysięgę, że weźmiesz tydzień wolnego, żeby pomagać z dziećmi! Poza tym jednym malutkim szczegółikiem to proszę bardzo, jedź sobie choćby do pieprzonego piekła!

Kipiałam ze złości tak bardzo, że pulsowały mi skronie. Prawie rozwaliłam klawiaturę, kiedy pisałam odpowiedź, która, biorąc pod uwagę okoliczności i fakt, że nasz serwer automatycznie cenzuruje przekleństwa, była bardzo kulturalna:

Nie możesz jechać do Singapuru, bo w piątek zaczynają się ferie, a Juliette wraca do rodziny. Ferie trwają dwa tygodnie. Ja wzięłam wolne na tydzień. Ty miałeś wziąć na drugi. Poza tym nikt nie może cię wysłać w podróż służbową, kiedy masz wolne.

Simon odpisał:

Cześć, Kochanie,

sę w tym, że nie wziętem wolnego, bo byłem przekonany, że Juliette będzie na miejscu. Niestety muszę jechać. Steve Parker miał jechać, ale zachorował na półpasiec. Poza mną nie mamy w biurze nikogo, kto mógłby nadzorować ten projekt za granicą. Strasznie mi przykro, ale jestem pewien, że sobie poradzisz. Może Sam ci pomoże?

Xxx

PIEPRZ SIĘ, SIMON! Jesteś pewien, że sobie poradzę? Ależ mi miło! Tylko że twoja pewność nie zastąpi pieprzonej opiekunki do dzieci! A może się mylę? Przecież tak łatwo w ostatniej chwili wynająć opiekunkę na tydzień w trakcie ferii! A może Sam mi pomoże? Owszem, Sam i ja często sobie pomagamy, ale Sam nie ma obowiązku rzucać wszystkiego i ratować mi tyłka tylko dlatego, że mój przeklęty mąż jest zbyt Ważny i Zajęty, żeby opiekować się własnymi dziećmi! Poza tym Sam zabiera Sophie i Toby'ego na Fuerteventurę.

Nie byłam w stanie wyrazić swoich uczuć w mejlu, postanowiłam więc poczekać, aż Simon wróci do domu i wtedy mu wszystko wyjaśnić. Głupia ja! Simon w ogóle nie dostrzegał wagi problemu!

- Nie możesz po prostu wziąć kilku dodatkowych dni wolnego albo wysłać dzieciaki na obóz sportowy? - zasugerował.

- NIE MOGĘ! Nie mogę „po prostu wysłać dzieciaków na obóz sportowy”, bo wszystkie miejsca już od dawna są zajęte.

A wolnego nie wzięłam, bo przeprowadziliśmy długą rozmowę o tym, że ja wezmę jeden tydzień, a ty drugi. Teraz jest już za późno i nie dostanę ani niańki, ani nie zapiszę dzieci na obóz. Zostanę całkiem sama, mimo że to TY miałeś opiekować się dziećmi!

- Dlaczego musisz robić ze wszystkiego takie wielkie halo? Nie możesz po prostu wziąć kilku dni wolnego więcej? Naprawdę nie rozumiem, o co ci chodzi. Inne żony jakoś lepiej sobie radzą z wakacjami.

- Nie rozumiesz, o co mi chodzi? Skoro to takie proste, to może sam weźmiesz kilka dni wolnego? Przez lata rezygnowałam z ofert pracy i szansy na zrobienie kariery, żeby zajmować się dziećmi, bo ustaliliśmy, że lepiej sobie poradzimy finansowo, jeśli jedno z nas będzie pracowało na niepełny etat. Żyliśmy tak przez wiele lat, ale teraz nasze dzieci są starsze i wreszcie mam możliwość pracowania na pełen etat i zajmowania się czymś, co sprawia mi przyjemność i daje choć odrobinę poczucia spełnienia, a ty wciąż oczekujesz ode mnie, że rzucę to wszystko, bo twoja praca jest ważniejsza od mojej?

- Kochanie, przesadzasz. Poprosiłem cię tylko o to, żebyś wzięła kilka dni wolnego więcej, a ty nagle robisz mi wykłady o tym, że zniszczyłem ci życie.

- Bo mówisz, jakby chodziło tylko o tych kilka dni, choć sam nigdy ich nie bierzesz. To ja muszę brać wolne, szukać opiekunki, pamiętać o urodzinach, chodzić na szkolne koncerty, wywiadówki i siedzieć z dziećmi, kiedy się rozchorują, podczas gdy ty zachowujesz się, jakby ciebie

w ogóle to nie dotyczyło. To są też twoje dzieci!

- Na litość boską, po co ta tyrada? Porozmawiajmy racjonalnie.

- Racjonalnie? Kiedy zdecydowaliśmy, że będę pracować na pełen etat, obowiązek opieki nad dziećmi mieliśmy podzielić po równo. Nie chodziło o to, żebyś wymigiwał się od wszystkich obowiązków i uciekał do pieprzonego Singapuru, kiedy tylko ci się zachce. Mieliśmy być drużyną, ale wydaje się, że ciebie to nie dotyczy. Zdajesz sobie sprawę, że przez te wszystkie lata ani razu nie wzięłaś wolnego, żeby zająć się dziećmi? Ani razu!

- To nieprawda. Naginasz fakty pod siebie. Przecież całkiem niedawno wzięłam wolne tylko po to, żebyś ty mogła pracować. A ja musiałem się opiekować dziećmi we Francji przez cały tydzień i wracać z nimi całkiem sam. Czysta przyjemność!

- Daruj sobie. To się nie liczy. Po pierwsze, wcale nie wzięłaś wolnego, żeby mi pomóc, po prostu chciałaś odwiedzić rodziców, którzy zajmowali się twoimi dziećmi przez cały tydzień. Zresztą gdybym tam była, sama musiałabym się nimi zajmować. Po drugie, to nie są już niemowlaki, przy których podróż samochodem i promem jest nie do pokonania. Ale wiem, że było ci potwornie trudno, bo jęczałaś z tego powodu przez kilka kolejnych tygodni. A teraz choć dobrze wiesz, że nie mogłam wziąć więcej wolnego, naprawdę myślisz, że twoja dobrowolna wycieczka do rodziców jest porównywalna do bagna, w jakie chcesz mnie wpakować?

- I znowu wszystko kręci się wokół ciebie! O to, jak bardzo ci ciężko, jak dużo pracujesz, jak bardzo musisz się naginać. O to, czego TY chcesz i czego TY potrzebujesz. A co ze mną, Ellen? Co z moimi potrzebami?

- Wcale nie chodzi tu mnie! O tym właśnie mówię! Nigdy nie chodzi o mnie, zawsze chodzi o kogoś innego. Kiedy niby ty musisz się naginać? Kiedy chcę zostać dłużej w pracy, muszę cię prosić, żebyś odebrał dzieci, jakbyś wyświadczał mi pieprzoną przysługę. Ale kiedy ty chcesz zostać dłużej, po prostu zostajesz, licząc na to, że ktoś cię wyręczy. Mamy myśleć tylko o tym, czego ty chcesz? Proszę bardzo, więc mów, czego chcesz!

- Chcę mieć żonę, która mnie wspiera! Żonę, która jest przy mnie, a na pierwszym miejscu stawia swoją rodzinę, a nie pracę!

- Jak śmiesz mówić, że nie stawiam rodziny na pierwszym miejscu? A kiedy ty stawiasz ją na pierwszym miejscu? A może nie musisz, bo jesteś mężczyzną? Dlaczego tylko kobiety muszą być dobrymi żonami, siedzieć w domu w fartuszkach i pilnować, żeby obiad dla pana i władcy był gorący, gdy już łaskawie wróci do domu? I uśmiechać się miło wymalowana jak lala? I nie myśleć o tym, czego pragnie, bo jest tylko kobietą! Dlatego nie wolno mi mieć ambicji? To, że jestem żoną i matką, musi mi wystarczać? Czy wspieranie cię w twojej karierze oznacza, że nie mogę sama robić kariery? Poza tym zawsze cię wspierałam i dalej wspieram. Wspieram cię w obranej karierze od lat. Tylko jakoś nigdy nie usłyszałam ani jednego pieprzonego

„dziękuję”.

Zapadło milczenie, ale krótkie, bo dalej nawijałam:

- Może gdybyś był chociaż odrobinę bardziej elastyczny, miałabym większą szansę na zrobienie kariery, ale ostatnie lata upłynęły mi na przeproszaniu za to, że znowu wychodzę w porze lunchu, bo jest Dzień Sportu albo nie mogę iść na spotkanie, bo jedno z dzieci jest chore. Jakoś nie pamiętam, żebyś ty kiedykolwiek zwiększał obroty. Zresztą może i tak nigdy nie zrobię kariery, bo mam dzieci. Nigdy nie dostałam ani nie dostanę równej facetom płacy czy podwyżki, bo kiedyś musiałam wziąć urlop macierzyński, a teraz potrzebuję wolnych dni na podrośnięte już dzieci, a także dlatego, że moi szefowie boją się, że znowu zajdę w ciążę. Choć to raczej niemożliwe... Ale przecież nie wystarczy, że całe społeczeństwo próbuje wykiwać kobiety, muszą się jeszcze do tego dokładać ich mężowie! Czy to aż tak dziwne, że wmówiłam kolegom, że nie mam dzieci, po latach obserwowania, jak się traktuje matki w pracy?

- Nie wiem, Ellen, jak to się stało, że od mojej podróży służbowej przeszliśmy do opresji kobiet na urlopiach macierzyńskich, ale... Jak mogłaś skłamać pracodawcy, że nie masz dzieci? Po co to zrobiłaś, do cholery? I dlaczego? Jak mogłaś wyprzeć się własnych dzieci? Mogą cię za to wylać!

- Dlaczego wyparłam się dzieci? Z tego samego powodu co ty. Możesz oddzielać życie rodzinne od zawodowego, a ja nie? Jesteś takim samym rodzicem jak ja, ale ciebie jakoś nikt nie ocenia, prawda? Więc dlaczego mają oceniać mnie?

I nie zostanę wylana, bo mój szef wie, że mam dzieci. Tyle że on przez cały czas chowa się w swoim biurze i komunikuje z nami głównie przez mejle, dopóki nie jest zmuszony do tego, żeby wyjść na spotkanie, po którym chowa się z powrotem. To najlepszy szef, jakiego można sobie wymarzyć. Dział HR też wie, że mam dzieci, ale oni nigdy nie schodzą na nasze piętro. I może nie wspomniałam swoim kolegom i koleżankom z działu, że mam dzieci, ale wcale tego nie żałuję, bo kiedy jesteś matką, ludzie traktują cię zupełnie inaczej. Nie powinni, ale tak właśnie jest! – rzuciłam rozsadzana wściekłością.

- A ja? Mnie też wymazałaś z obrazka? Zgrywasz w pracy seksowną singielkę?

- Tu nie chodzi o CIEBIE! Nie chodzi nawet o to, czy ludzie w pracy wiedzą o dzieciach, czy nie. Chodzi o twoje pieprzone podejście do NASZEGO życia i o to, że wychodzisz z założenia, że ze wszystkim sobie poradzę, podczas gdy ty będziesz się skupiał na sobie. Chodzi o to, że i tak muszę sprzątać, robić pranie i wykonywać inne prace domowe, chociaż mieliśmy się dzielić obowiązkami, kiedy pójde do pracy. Ale ciebie to w ogóle nie obchodzi!

- Przecież możesz poprosić Juliette.

- Widzisz? Właśnie o tym mówię! Dlaczego JA mam prosić o to Juliette? Dlaczego ty nie mógłbyś jej o to poprosić?

- Skoro nie chcesz poprosić Juliette, to zatrudnij sprzątaczkę – odparł Simon.

- Nie chcę żadnej pieprzonej sprzątaczkki! – krzyknęłam, po czym dodałam: - To znaczy owszem, chciałabym mieć

sprzątaczkę, ale miałabym wyrzuty sumienia, że kogoś wyzyskuję. Poza tym i tak musiałabym ogarniać dom, zanim przyjdzie, żeby nie brała mnie za bałaganiarę, ale nie o to w tym wszystkim chodzi! Chodzi o to, że gdybyśmy postanowili zatrudnić sprzątaczkę, powinna to być nasza wspólna decyzja, dlatego że OBOJGU nam nie wystarcza czasu na sprzątanie, kiedy pracujemy na pełen etat i opiekujemy się dziećmi. Nie powinniśmy zatrudniać sprzątaczkę dlatego, że TY nie wywiązujesz się ze swoich obowiązków, bo wciąż wychodzisz z założenia, że to praca dla mnie, ty ignorancki dupku!

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Kiedy narzekałaś na to, że nie masz czasu dla dzieci, wzięliśmy nianię au pair. Kiedy narzekasz, że nie masz czasu sprzątać, proponuję, żebyśmy wzięli sprzątaczkę, ale to ci nie wystarcza. Czego ty właściwie chcesz, do cholery?

- Chcę, żebyś dzielił się ze mną odpowiedzialnością za tę rodzinę! Chcę, żebyś wziął odpowiedzialność za swoje dzieci, żebyś podnosił swoje śmierdzące gacie, zamiast czekać, aż zrobię to za ciebie. Chcę, żebyś przestał się zachowywać, jakby trudy i problemy życia doczesnego cię nie dotyczyły tylko dlatego, że jesteś mężczyzną. I chcę, żebyś przestał wychodzić z założenia, że „jakoś sobie poradzę”. Jedyne, o co cię prosiłam, to żebyś wziął pieprzony tydzień wolnego. Ale nie zrobiłeś nawet tego!

- Nie, nie zrobiłem tego, ale już za późno, żeby się tym przejmować. I skoro to było takie ważne, może powinnaś wyraźnie dać mi to zrozumienia. Naprawdę nie wiem, czego

jeszcze ode mnie oczekujesz. I mówisz mi, że jestem beznadziejnym ojcem, a sama okłamujesz ludzi, że nie masz dzieci!

- Chrzań się! W tej chwili naprawdę chciałabym nie mieć dzieci. Ani męża! - odwarknęłam.

- Ostrożniej z tymi życzeniami, bo jeszcze się spełnią - rzucił chłodno.

Arogancki dupek!

Małżeństwo. Dziwna sprawa, prawda? Spotykacie kogoś, zakochujecie się w sobie, stwierdzacie, że nie możecie bez siebie żyć. Przed rodziną i przyjaciółmi składacie sobie śluby, że będziecie żyć ze sobą przez resztę życia i z jednej strony wiecie, że pękłoby wam serce, gdyby ta osoba nagle zniknęła, ale z drugiej, jeśli będzie dalej wyciskać pastę do zębów ze środka tubki zamiast zwijać ją od końca jak normalny człowiek, zaczniecie szukać w Internecie, jak go nią zamordować.

Kiedyś myślałam, że im dłużej będziemy razem żyć, tym mniej będą mi działać na nerwy dziwactwa Simona, ale jeśli cokolwiek się w tej kwestii zmieniło, to niestety na minus. Nie mówiąc już o tym, że kiedy jest się z kimś tak długo, zna się go na wylot i dokładnie wie, za który sznurek pociągnąć, żeby doprowadzić go do szewskiej pasji. Simon na przykład wywraca oczami i robi minki, jakby był święty, kiedy po raz milionowy proszę go, żeby wyniósł śmieci. W takich chwilach zastanawiam się, w którym miejscu parku najlepiej wykopać mu grób.

Może chodzi o to, że wszystkie te małe rzeczy się sumują?

Nieuzupełnione rolki papieru toaletowego, wysypujące się z kosza śmieci, majtki w dzinsach, które trzeba wysupływać przed wrzuceniem do pralki, bo przecież i tak nie mam nic lepszego do roboty. Przez całe życie zbiera się ich tak wiele, że nagle okazuje się, że miłość twojego życia jest najbardziej irytującym dupkiem, jakiego kiedykolwiek spotkałaś. Nikt mi nie powiedział, jakie to będzie trudne, kiedy szłam do ołtarza, gotowa na błogosławieństwo małżeństwa i kompletnie nieświadoma tego, że małżeństwo polega głównie na nieustannym przypominaniu sobie, że w więzieniu nie jest fajnie i za bardzo lubisz przywileje klasy średniej, żeby zostać szefową gangu i zgnieść kogoś między dwoma samochodami.

KWIECIEŃ

ŚRODA, 5 KWIETNIA

Po tym, jak wygłosiłam wściekłą tyradę o to, że znowu wszystko jest na mojej głowie, że to zawsze ja muszę brać urlop i załatwiać opiekę dla dzieci, a także po długich godzinach zawziętego szukania w Internecie i wydzwaniania, udało mi się zapisać dzieci na całodniowe zajęcia sportowe na pierwszy tydzień ferii (ten, w którym ten drań Simon miał się nimi zająć, ale postanowił dać nogę do słonecznego Singapuru). Postanowiłam też, że zamiast wymyślać serię rozrywek dla dzieci na drugi tydzień, odłożę wściekłość i stres na bok i zarezerwowałam dla siebie i dzieci wycieczkę na wyspę Lanzarote. Spójrzmy prawdzie w oczy - tydzień chodzenia do kina, na lasery i do McDonalda kosztowałby tyle samo.

Będziemy nawet mieszkać w hotelu, na co Simon nigdy by się nie zgodził, bo przecież „tam są ludzie”, a poza tym ma dosyć hoteli, bo ciągle w nich mieszka podczas podróży służbowych. Jak ja bym chciała mieć dosyć hoteli! Marzenie świętej głowy.

Hotel wybrałam wyłącznie dlatego, że wyglądał ładnie na zdjęciach. Nawet nie spojrzałam na recenzje na TripAdvisor. Simon obsesyjnie wręcz wyznaje Wielką Wyrocznię, jaką jest TripAdvisor, i nigdy nie pojedzie w miejsce, które ma mniej

niż pięć gwiazdek. A nawet jeśli ma pięć i sto milionów dobrych recenzji, biada mu, gdy się okaże, że na przykład w 2013 roku jedna osoba przyznała tylko dwie gwiazdki. Lokal zostaje natychmiast zakwalifikowany na liście Simona jako speluna. Strasznie mnie to denerwuje!

Pod nieobecność Simona prowadziliśmy szczęśliwy żywot, karmiąc się spaghetti (Simon nie uważa dań z makaronu za prawdziwy obiad. Chyba że jest to pieprzona lazania), a moje (nigdy niezbyt wysokie) standardy jeszcze się obniżyły. Dzieci bardzo się cieszą, bo pozwoliłam im jeść makaron z pesto (które muszą starannie rozdrabniać, żeby w daniu nie było żadnych „grudek”. „Grudki” są dla nich obraźliwe. Potrafią je przełknąć tylko wtedy, kiedy gotuje im Juliette. Podobno moje smakują „dziwnie”) i pieczywo czosnkowe ze sklepu (Simon uznaje tylko pieczywo czosnkowe domowej roboty), w dodatku jednocześnie bawiąc się tabletami, do czego nigdy by nie doszło, gdyby Simon był w domu. Głównym powodem, dla którego do tego dopuściłam, było to, że sama chciałam spędzić trochę czasu z kieliszkiem pinot noir, przeglądając Facebooka, zamiast opowiadać dzieciom o II wojnie światowej, tłumaczyć Peterowi, żeby nie jadł tak szybko, bo odgryzie sobie palce, i słuchać Jane, która plecie jak najęta o tym, że Tilly pożyczyła Milly swoją linijkę Smiggle i Milly prawie ją zgubiła i potem powiedziała, że Tilly wcale jej nic nie pożyczała, więc Tilly i Milly, bla, bla, bla, bla! Poza tym pod nieobecność Simona pies zawsze śpi ze mną w łóżku.

Czasami aż mi głupio, bo wydaje mi się, że bez Simona

życie byłoby o wiele łatwiejsze, ale przecież to tylko tymczasowe rozwiązanie, bo gdybym była sama z dziećmi na dłuższą metę, to zupełnie co innego niż tydzień czy dwa. Chociaż pewnie byłoby łatwiej, gdyby wyjechał z misją do Afganistanu albo robił coś bardzo niebezpiecznego, niż kiedy wraca i zaczyna biadolić, jak mu było źle w hotelu. W końcu się za nim oczywiście stęsknię, ale jesteśmy małżeństwem od tak dawna, że gdyby nie te przekłete problemy z dziećmi, mógłby wyjeżdżać częściej, bo zawsze robi się trochę bardziej ekscytująco, niż kiedy przesiaduje na kanapie, oglądając *Fanów* pieprzonych *czterech kółek* (przysięgam, że byłam pewna, że się popłacze, kiedy odszedł Edd China. Z tego powodu nie ogląda żadnych nowych odcinków, co oznacza, że stare musiał widzieć już po pięć razy, mimo że jest ich całe pieprzone STO MILIONÓW!).

Zastanawiam się, czy powiedzieć Simonowi, że jedziemy na wakacje pod jego nieobecność?

CZWARTEK, 6 KWIETNIA

Hm. Chyba nie do końca przemyślałam pomysł z jechaniem na wakacje. Po pierwsze dzieci będą potrzebowały krótkich spodenek, sandałów i tym podobne, bo z zeszłorocznych zdążyły bezczelnie wyrosnąć. Ponieważ uświadomiłam to sobie dopiero dzisiaj, nie miałam już czasu jeździć po sklepach i musiałam wydać fortunę na zakupy przez Internet z dostawą na kolejny dzień, bo wyjeżdżamy w sobotę, przez co mój plan z tanimi wakacjami okazał się nie tak tani, jak pierwotnie zakładałam. Ku własnemu zdziwieniu odkryłam,

że na tę okazję sama potrzebuję mniejszego kostiumu kąpielowego, bo okazało się, że zajęcia z fitnessu i obrzydliwe sałatki podziałały, i chociaż wciąż nie mogę powiedzieć o sobie, że jestem chuda, to zdecydowanie nie jestem już tak pulchna jak kiedyś. I chociaż wciąż skrycie liczę na to, że któregoś dnia opracuję dietę pasztecikową, to jednak miło będzie poleżeć na plaży w kostiumie kąpielowym bez nerwowego rozglądania się wokół, czy nie nadchodzi Greenpeace, żeby zepchnąć mnie z powrotem do morza.

Jane oczywiście strzelała fochy, że nie pozwoliłam jej wybrać ubrań, ale nie było na to czasu, jeśli chciałam zamówić dostawę na jutro. Poza tym kupowanie ubrań z Jane przez Internet jest równie frustrujące, co w realnym świecie (no dobrze, może odrobinę mniej, bo przynajmniej mogę w trakcie popijać wino), ponieważ godzinami zastanawia się nad tym, która z sześciu prawie identycznych koszulek najbardziej się jej podoba. Szczerze mówiąc, myślę, że tę obrzydliwą cechę odziedziczyła po Simonie, z którym również nie da się pójść na zakupy. Zawsze się dziwiłam kobietom, które twierdziły, że kupują swoim mężom ubrania. Ja swojemu czasami kupuję skarpetki, ale tylko wtedy, kiedy nie działa mi na nerwy.

Nie powiedziałam jeszcze Simonowi, że wyjeżdżamy, ale to przecież żaden problem, bo on wraca później niż my. Zawsze mogę mu też zostawić liścik w stylu Shirley Valentine:

Wyjechałam na Kanary - do zobaczenia za tydzień!

NIEDZIELA, 9 KWIETNIA

Tu jest naprawdę miło! Siedzę zadowolona z książką nad basenem i popijam koktajle, podczas gdy moje dzieci wreszcie robią użytek ze skandalicznych sum pieniędzy, które wpakowaliśmy w lekcje pływania, pluskając się wesoło w wodzie. Czyżbym była zrelaksowana?! Wyczyściłam mejle, a później włączyłam autoresponder na wyraźne polecenie Eda, który powiedział, że wyglądam na zestresowaną (nie wyjaśniłam mu, że bardziej od pracy stresuje mnie mój dupkowaty mąż) i że w pracy chwilowo nie dzieje się nic pilnego ani nic, co nie mogłoby poczekać na mój powrót.

Przyjechaliśmy wczoraj późnym popołudniem. Podróż minęła bez przeszkód głównie dlatego, że nie było z nami Simona, który zamienia każdą odprawę i szukanie bramki w pełen dramatyzmu performans. Dzieci, które jeszcze nigdy nie podróżowały bez ojca, odkryły, że na lotnisku jest mnóstwo ciekawych rzeczy, które można robić, oglądać, jeść albo kupować, kiedy nie stoi nad nimi popędzający je ojciec.

Wyzwolona spod tyranii bramkowej Simona, zajrzałam do sklepów w strefie bezcłowej. To znaczy ja i Jane zajrzałyśmy, pilnując przy okazji Petera. Obiecałam mu wielkie opakowanie czekolady Toblerone, jeśli przysięgnie, że nie będzie niczego dotykał. Przekupstwo podziało na tyle długo, żebym zdążyła kupić sobie zestaw do makijażu, który zawiera wszystkie niezbędne produkty, a jednocześnie jest tak mały, że mieści się w torebce podręcznej, co sprawia, że można poczuć się jak światowa, podróżująca odrzutowcami dama. Może kiedyś zainwestuję w wakacyjną „kapsułową garderobę”, o których tyle piszą w magazynach. Podobno na

wakacjach wystarczą ci dwa komplety bikini, dwa małe szale i para błyszczących japoniek, bo łącząc je w różne zestawy, otrzymujesz szereg kreacji na dzień i noc. Ciężko mi w to uwierzyć. Obawiam się, że autorzy tych „niezbędników” zwyczajnie bredzą, bo kiedyś przeczytałam, że na wakacje wystarczy zabrać kosmetyczkę, którą „łatwo zamienić w gustowną wieczorową torebkę”. Przykro mi, ale jeszcze nigdy nie widziałam kosmetyczki, która zdałaby egzamin w roli torebki wieczorowej. Dziewczyna, która to napisała, nie dołączyła zdjęcia, a to moim zdaniem mówi samo za siebie.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi kupiłam też Jane tusz do rzęs. Uparła się, żeby natychmiast go użyć, co skończyło się tym, że musiałam tłumaczyć przestraszonej stewardesie, że nie ma podbitych oczu, tylko dała się ponieść fantazji.

Na fali buntu przeciwko zwyczajom wyjazdowym Simona wykupiłam dla nas wakacje all-inclusive. Zawsze podobała mi się ta idea. Już sama nazwa brzmi jak czyste dobro. Można jeść i pić ile wlezie. Czego tu nie kochać? Simon twierdzi, że to oznacza, że jest się ograniczonym do jedzenia w hotelu, a przecież na wakacjach powinno się poznawać lokalną kulturę i małe knajpki, a all-inclusive jest dla ludzi, którzy jadą do Hiszpanii, żeby jeść jajka sadzone i frytki. Owszem, ma rację, że powinno się wspierać lokalne przedsiębiorstwa w równym stopniu co hotele, ale mimo wszystko all-inclusive to czyste błogosławieństwo. Obawiam się tylko, że Peter wybuchnie jeszcze przed końcem wakacji, bo wziął sobie do serca postanowienie, żeby ta ekstrawagancja nam się

opłaciła. Dawno nie widziałam go tak szczęśliwego jak wczoraj wieczorem, gdy ujrzał szwedzki stół. Odwrócił się do mnie i wyszeptał oniemiały:

- Naprawdę mogę jeść tak dużo, jak zechcę? Codziennie? Wszystkiego? I mogę tutaj wracać? Nawet po deser? I nie zamykają o trzeciej?

Był tak samo wniebowzięty chyba tylko wtedy, gdy zabrałam go do bufetu w Pizza Hut, gdzie demolował wszystko jak leci, dopóki przerażone kelnerki nie oznajmiły, że zamykają bufet, a i tak zdążył jeszcze sięgnąć po ostatni kawałek pizzy pepperoni.

Ja odbierałam sobie koszt wycieczki w płynnej formie. Wczoraj grzecznie poczekałam do osiemnastej, bo mama zawsze mi mówiła, że wcześniejsze picie jest Niedobre i Złe (w domu często łamię tę zasadę, ale z jakichś powodów chciałam zachować standardy za granicą, żeby wśród innych obcokrajowców przełamać stereotyp pijanej hołoty z Wielkiej Brytanii), ale kiedy dzisiaj przyszłam na basen, okazało się, że wszyscy tankują dzin od jedenastej rano i popijają przez cały dzień.

Trochę się obawiałam, że jeśli wyjadę sama z dziećmi, kilku urlopowiczów może zlitować się nade mną, jak w *Shirley Valentine* (choć z takimi kulami u nogi jak Peter i Jane raczej mało prawdopodobne, bym dostała ofertę bzykanka na łódce), ale okazało się, że są tutaj głównie samotne kobiety z dziećmi. Zaprzyjaźniłam się nawet z jedną miłą panią z Bolton. Nazywa się Joanna. Zapytała mnie, czy mam ochotę zerknąć do magazynu *Heat*, bo ona już

przeczytała. Szybko zgodziłyśmy się, że to, że nie rozpoznajemy już nikogo w tego typu magazynach, wcale nie wynika z faktu, że jesteśmy stare. Wspominałyśmy też magazyn *More* i osławioną pozycję na jeźdźca, i uświadomiłyśmy sobie, że nie pamiętamy żadnego innego artykułu z tej gazety. A potem ustaliłyśmy, że wpół do dwunastej przed południem to doskonała pora na drugi koktajl!

ŚRODA, 12 KWIETNIA

Przyznaję, że ignorowanie telefonów i SMS-ów od Simona było dziecinne. Zrobiłam to głównie dlatego, że pierwsza wiadomość, którą mi wysłał po przyjeździe do Singapuru brzmiała:

Dojechałem bezpiecznie. Byłem dzisiaj w świetnej restauracji, spodobałaby ci się!

Przeczytałam ją w momencie, w którym wyklócałam się z Peterem i Jane o to, czy dodałam do zapiekanki seler (owszem, dodałam. Pokroiłam go tak drobno, że był nie do wychwycenia gołym okiem. Poza tym wiedziałam, że go nie wyczują, bo ZAWSZE go dodaję. Domyślili się tylko dlatego, że przyłapali mnie na chowaniu resztki selera do lodówki). Spór zakończyłam, krzycząc, że dla mnie mogą nawet umrzeć z głodu, jeśli nie chcą jeść tego, co im ugotowałam, po czym zagroziłam, że zadzwonię do opieki społecznej. Wtedy Jane oddała swoją porcję psu, który połknął ją w jednym kawałku i od razu zwymiotował, na co Jane zaczęła

wrzeszczeć, że otrułam psa toksyczną selerową bombą. Musiałam jej tłumaczyć, że pies zwymiotował tylko dlatego, że zjadł za szybko i się zakrztusił. W związku z powyższym chyba zrozumiałe, że nie pękłam z radości na widok wiadomości od Simona i uznałam, że lepiej będzie ją zignorować niż napisać mu:

Chrzkań się, ty chełpliwy dupku!

Potem okazało się, że ignorowanie ukochanego męża sprawia mi dużo radości, więc aż do dzisiaj nie napisałam mu też, że wyjeżdżamy, ale właśnie dziś napisał mi, że ponieważ nie mógł się dodzwonić ani na moją komórkę, ani na domowy, zadzwonił do Tima, który powiedział, że Katie wspominała mu, że jadę z dziećmi na wakacje, więc Simon chciałby wiedzieć, gdzie, do cholery, jestem, bo jeśli dalej nie będę się odzywać, zadzwoni na policję i zgłosi nasze zaginięcie.

Odpisałam:

Lanzarote.

Dziesięć sekund później zadzwonił telefon.

- Co ty, do cholery, robisz na Lanzarote? Jest północ, wychodzę z siebie, próbując zlokalizować żonę i dzieci, bo nie wiem, czy zostali porwani, czy może zamordowani i porzuceni w rowie przy jezdni, a ty siedzisz sobie w najlepsze na plaży na LANZAROTE! - wrzeszczał Simon.

- Nad basenem, mówiąc ściślej - wyjaśniłam spokojnie. - Nie podobają mi się tutejsze plaże. Piasek jest czarny, nie

wygląda ładnie. To przez te wulkany, sam rozumiesz.

- Co takiego?! Dlaczego nie powiedziałaś, że zabrałaś dzieci na wakacje? Jak śmiałaś mi o tym nie powiedzieć?

- To już nie mogę zabrać swoich dzieci na wakacje? Jasno dałeś mi do zrozumienia, że opieka nad dziećmi jest moim obowiązkiem, z którym nie chcesz mieć nic wspólnego, bo masz o wiele ważniejsze sprawy niż to, czym twoje dzieci się zajmują w czasie wolnym. Skoro jesteś ponad to, ja rozwiązałam problem opieki nad dziećmi, zresztą tak samo jak zawsze, tylko tym razem robię to na Lanzarote, bo właściwie czemu nie? Dlaczego miałabym siedzieć w domu i zachodzić w głowę, co tym razem ugotować, podczas gdy ty wysyłasz mi zdjęcia kolacyjek w pięciogwiazdkowych restauracjach?

- Jestem w podróży służbowej, Ellen. Przyjechałem tu do pracy! Pracy, która zapewnia ci dach nad głową i jedzenie na talerzu...

- Wypchaj się, Simon - wtrąciłam. - Po pierwsze twoja praca wcale nie zapewnia mi dachu nad głową. To dzięki mojej aplikacji spłaciliśmy kredyt, więc daruj sobie te argumenty. Pojechałeś do Singapuru na kilka spotkań i pokazać to i owo lokalnym pracownikom, a każdego wieczoru chodzisz do barów i restauracyjek. I jeszcze masz czelność się wściekać, że ja też się dobrze bawię. Chrzań się, nie zamierzam z tobą o tym dyskutować. Porozmawiamy w domu.

- To jest właśnie jeden z powodów, dla których dzwonię. Chciałem ci powiedzieć, że udało mi się szybciej skończyć

pracę i wracam w piątek. Nie rozumiem tylko, po co robiłaś tyle zamieszania o dzieci, skoro nawet jeśli wrócę, i tak nie będę miał się kim opiekować, bo jesteś na pieprzonej Lanzarote!

- Wracamy w sobotę, bo w poniedziałek dzieci wracają do szkoły! Więc dziękuję ci bardzo za ten szlachetny gest, ale starałeś się na próżno, bo twojej pomocy potrzebowałam w tym tygodniu, a nie w przyszłym. Ale jak ja w ogóle śmiem oczekiwać od ciebie, że będziesz pamiętał, kiedy twoje dzieci mają ferie? A teraz wybacz, ale mam do wypicia drinka. Do zobaczenia w sobotę!

Niestety, kliknięcie na ekranie telefonu komórkowego „Zakończ” nie przynosi aż tak wiele satysfakcji, co trzaśnięcie prawdziwą słuchawką, ale i tak pacnęłam w ekran najmocniej, jak się dało. Zastanawiałam się przez chwilę, czy nie cisnąć telefonu do basenu, żeby dowieść swoich racji, ale gdybym to zrobiła, nie miałabym jak wrzucać na Facebooka zdjęć swoich drinków, więc się powstrzymałam. Trzeba pamiętać o priorytetach.

- Problemy z mężem? - spytała współczująco Joanna z leżaka obok. - Mogło być gorzej. Ja musiałam puścić swojego z torbami, bo zaczął bzykać niańkę au pair. Bardziej niż zdrada zabolalo mnie to, że jest takim typowym facetem! Myślałam, że ma wystarczająco dużo oleju w głowie, żeby z godnością przejść przez kryzys małżeński i nie migdalić się z nianią.

Niech tylko spróbuje dobrać się do Juliette. Zrobię mu takie piekło, że będzie mnie błagał na kolanach, żebym go

rzuciła!

CZWARTEK, 13 KWIETNIA

To niesamowite, ile można zrobić na wakacjach, kiedy nie ma obok Simona, który wciąż narzeka, że „tu jest tylu ludzi”. Byliśmy na hotelowej dyskotecie (Jane błagała mnie, żebym nigdy więcej nie odważyła się tańczyć publicznie po tym, jak zobaczyła moją „uduchowioną” interpretację *Uptown Girl* po kilku dżinach z tonikiem), pojechaliśmy autobusem na lokalny bazar (słodki Jezu, ile tam jest rzeczy! W dodatku większość z nich jest tak obciachowa, że nie da się ich kupić nawet w ironiczny sposób. Był jeden niefortunny moment, w którym musiałam odciągnąć Petera od breloczków na klucze z treściami pornograficznymi. Przez chwilę żałowałam, że nie ma z nami Simona, bo dałabym wiele, żeby zobaczyć przerażenie na jego twarzy na widok „tych wszystkich ludzi” i wyrobów), a dzisiaj byliśmy na karaoke.

Kocham karaoke. Przeważnie nie dopuszczają mnie do mikrofonu, bo podobno jestem głucha i nie umiem śpiewać, ale myślę, że w duecie z Joanną wykonałyśmy *Eternal Flame* w bardzo poruszający sposób i na pewno na długo zostanie w pamięci szczęściarzy, którzy załapali się chociaż na chwilę. Jane powiedziała, że na pewno go nie zapomnę tak długo, jak długo będą krwawić z uszu, i już na zawsze zabroniła mi śpiewać czy to publicznie, czy w samotności. Moim zdaniem Jane jest uprzedzona. Nigdy nie podobało się jej, jak śpiewam. Kiedy miała dziesięć miesięcy, zabrałam ją na zajęcia z muzyki dla noworodków. Miła pani, która

prowadziła zajęcia, powiedziała nam, że śpiewanie jest bardzo ważne dla „małego człowieka” niezależnie od naszych umiejętności, bo dla dziecka głos matki jest najpiękniejszym głosem na świecie. Wstydziłam się przyznać, że Jane krzyczy NIE, NIE, NIE! za każdym razem, kiedy próbuję jej coś zanucić.

Chyba spędzam za dużo czasu, myśląc o dzieciach jak o pionkach na planszy, które trzeba przesunąć z punktu A do punktu B lub jak o zadaniach do odhaczenia na liście. Nakarmić, przypilnować, żeby zjadły też warzywa, zawieźć do zuchów, skautów, na dziu-dzitsu, lekcje pianina. Chronić przed drapieżnikami w Internecie, dopilnować, żeby odrobiły pracę domową, namówić na czytanie książki, nauczyć planu zajęć, dopilnować, żeby zmieniały bieliznę (to dotyczy bardziej Petera niż Jane), wychować je na świątłych i porządnych ludzi, a nie takich, którzy wierzą we wszystko, co napisze *Daily Mail*, dopilnować, żeby nie dostały szkorbutu. Zostaje tak mało czasu na to, żeby spędzać z nimi czas, słuchać tego, o czym mówią, i udzielać im odpowiedzi, kiedy trzeba w kółko powtarzać: „Zjedz brokuły. Wsiadaj do samochodu. Ile to dziewięć razy osiem? Co jest stolicą Norwegii? Kto to zrobił? Nie, sam sobie znajdź. Dlaczego nigdy nie spuszczaście wody w toalecie? Załóż buty. Umyj zęby”.

A przecież robiąc powyższe, muszę jeszcze sprawdzać mejle, wymyślać obiady, zaglądać na Facebooka, znosić humory Simona. Jak rzadko mogę naprawdę żyć chwilą!

W tym tygodniu spędziliśmy mnóstwo czasu, opowiadając

dowcipy i zabawiając się w gierki słowne, od których wędną uszy, i rozmawialiśmy o głupotach. Postanowiłam sobie, że kiedy wrócę do domu, dalej będę taka - zwolnię, przestanę przepędzać dzieci z kąta w kąt, pokrzykując instrukcje. Zamiast tego będę bardziej dla nich. Wiem prawie na pewno, że nie uda mi się tego zrealizować, ale chrzanić to, zawsze można pomarzyć, szczególnie kiedy siedzi się na balkonie w Hiszpanii ze szklaneczką wina i obserwuje gwiazdy.

CZWARTEK, 20 KWIETNIA

Juliette nie wróciła. Zeszła się ze swoim francuskim chłopakiem, Pascalem, kiedy była z wizytą w domu, i postanowiła, że nie będzie się z nim rozstawać nawet na sekundę (Harry najwidoczniej odszedł w zapomnienie). Korciło mnie, żeby napisać jej, żeby nie była głupia i nie rujnowała sobie życia dla faceta. Moje relacje z Simonem są, mówiąc oględnie, chłodne. Pod nieobecność Juliette i czekając na to, aż agencja przydzieli nam kolejną au pair, Simon śpi w pokoju gościnnym, co nawet mi odpowiada, bo Judgy może spać ze mną w łóżku. Simon twierdzi, że nigdy więcej mi już nie zaufa po tym, jak wywozłam z kraju nasze dzieci, nic mu o tym nie mówiąc. Moim zdaniem zabranie ich na tydzień na Lanzarote ma się nijak do wywiezienia ich na zawsze na Bliski Wschód. Wyjazd z dziećmi na wakacje jest też według niego dowodem na mój brak odpowiedzialności. Może i ma rację, ale on postąpił równie nieodpowiedzialnie, nie biorąc urlopu, kiedy go o to prosiłam, i zostawiając mnie na lodzie. Nie wiem, co będzie, kiedy dostaniemy nową au

pair. Zamieszka w szopie? Mnie by to nie przeszkadzało. A jak na razie stajemy na głowach, żeby odebrać na czas dzieci z zajęć pozalekcyjnych i komunikujemy się poprzez pasywno-agresywne SMS-y.

Peter i Jane po powrocie powiedzieli Simonowi, że to były najlepsze wakacje w ich życiu, dużo fajniejsze od tych, na które zawsze jeździli. Cały czas o nich opowiadają, co pewnie dla Simona jest jak sypanie soli na rany.

Staram się go ignorować, a kiedy pyta mnie, czy przyznałam się już kolegom i koleżankom z pracy, że mam dzieci, odpowiadam, że to nie jego interes. Jedynym, na co zwrócili uwagę moi współpracownicy, była godna podziwu opalenizna, co bardzo mnie cieszy. Wiem, że nie powinnam się już opalać i jestem bardzo nieodpowiedzialna, że sobie na to pozwoliłam, ale nie mogłam się powstrzymać! Czuję się o wiele lepiej, kiedy jestem brązowiutka. Po co mam być surowym ciastem, skoro mogę być śliczną złocistą bułeczką prosto z pieca? Ciężko wytłumaczyć dzieciom, dlaczego mamusia wciera w nie litrami krem z filtrem 50, a w siebie wklepuje tylko olejek do opalania, jakby była kurczakiem szykującym się do wskoczenia na rożen, ale na szczęście standardowy argument „Słuchajcie się mamy i nie popełniajcie jej błędów” działa.

Kiedy spotkałam Lydię przy ekspresie do kawy, rzuciła ze smutkiem, że zazdrości mi moich wakacji, bo jestem taka opalona i wyglądam na zrelaksowaną, a ona wydała prawie dwa tysiące funtów na parki rozrywki i czuje się jeszcze gorzej niż przed urlopem. Chciałabym jej powiedzieć, że

moje wakacje były tak relaksujące nie dlatego, że jestem samotną i beztroską karierowiczką, ale dlatego, że nie zabrałam na nie swojego przekłętego męża, więc miałam o jedno dziecko do opieki mniej i nie musiałam znosić ciągłego narzekania ani słuchać informacji wyczytanych na TripAdvisorze i ostrzeżeń, żeby nie pić wody z kranu. Byłam trochę rozczarowana, że chociaż niejednemu zdarzyło mi się zapomnieć o wodzie mineralnej i umyłam zęby kranówką, to nie dostałam odchudzającej biegunki, chociaż oczywiście biegunka na wyjeździe, kiedy ma się pod opieką dwójkę dzieci, nie byłaby wskazana. Mimo to przeżyłam nieprzyjemną sytuację, kiedy przekonana, że wyglądam sztywno w monochromatycznym zestawie czarnych dżinsów i białej koszuli, skoczyłam na chwilę do pokoju po telefon i zostawiłam dzieci w restauracji. Jakaś rozwścieczona Niemka wzięła mnie za kelnerkę i zaczęła wrzeszczeć coś do mnie po niemiecku. Na początku nie miałam pojęcia, o co jej chodzi, ale z dramatycznej gestykulacji wnioskowałam, że ma to związek z jedzeniem. Ponieważ uczyłam się w szkole łaciny, a nie hiszpańskiego, musiałam sięgnąć po jedyne zdanie po niemiecku, jakie znam, czyli „Ich habe Durchfall!”. Kiedy dowiedziała się, że mam biegunkę, przynajmniej straciła zainteresowanie dalszą rozmową, rzuciła mi pełne obrzydzenia spojrzenie, machnęła na mnie ręką i odeszła.

Niestety nie mogłam o tym opowiedzieć Lyndzie. Może któregoś dnia obwieszczę, że adoptowałam dwójkę dzieci? Ludzie adoptują dzieci w różnym wieku, prawda? Angelina

Jolie na pewno. Może to jest właśnie rozwiązanie dla wszystkich moich problemów? Mogłabym też powiedzieć, że w mojej rodzinie doszło do tragicznego wypadku i musiałam przygarnąć dwie sierotki, jak w *Oliverze Twiście*. Obawiam się jednak, że oba scenariusze mogą wywołać lawinę niewygodnych pytań. W czasach wiktoriańskich było o wiele łatwiej odkręcać takie kłamstwa, bo ludzie ciągle przygarniali i przepędzali sierotki i nikt o nic nie pytał. Na przykład taka Ania z Zielonego Wzgórza! Maryla i Mateusz wzięli ją do siebie i nikt tego nie komentował z wyjątkiem pani Racheli Lynde, która była pesymistką i bała się, że sierota ją zamorduje. Do licha, na pewno coś wymyślę! Odkąd nie rozmawiam z Simonem, mam mnóstwo wolnego czasu.

MAJ

PONIEDZIAŁEK, 1 MAJA

Super, duper, ekstra, świetnie. (Próbuję trochę mniej przeklinać po tym, jak nauczycielka Petera napisała mi w dzienniczku, że kiedy przypadkiem dźgnął się w palec, zakrzyknął: „Aua! Kurdebalans, dupa blada, to boli jak cholera!“. W miejscu przekleństw stosuję sarkazm. Niestety nie wiem, czy długo tak wytrzymam, bo kiedy nie przeklinam, nie czuję się sobą!). Mamy w szkole nową dyrektorę, która ma mnóstwo pomysłów na „ulepszenia” i po konsultacji z radą uczniów oznajmiła, że wszyscy się zgadzają, że byłoby uroczo, gdyby podczas Dnia Sportu wystawić stoisko z truskawkami ze śmietaną.

Częściowo zgadzam się, że byłoby „uroczo”, bo wpisywałoby się w moją wizję Dnia Sportu jako dnia kapeluszy przeciwsłonecznych i zwiewnych sukienek, ale z drugiej strony mam ochotę jej powiedzieć: „Pieprz się!” (widzicie? Próbowałam. Nie potrafię! Przeklinanie stanowi nieodzowny element mojej osobowości!), bo wydaje się jej, że mogę ot tak zebrać na to fundusze z komitetem. Jakbym nie miała nic lepszego do roboty! Jakbym nie miała pracy ani kryzysu w małżeństwie i nie tkwiła po uszy w sieci kłamstw, którą muszę karmić swoich kolegów i koleżanki z pracy. Ależ skąd! Przecież to wspaniały pomysł, droga pani Compton!

Wystarczy jedno skinienie i będzie pani miała stoisko z truskawkami ze śmietaną jak ze snu! Poza tym nikt mi nie wmówi, że rada uczniów sama wpadła na taki pomysł (moim zdaniem rada uczniów nie powinna mieć aż takich wpływów w szkole. Po co w ogóle konsultujemy się z dziećmi? Chryste, znowu gadam jak stara baba! „Za moich czasów...”. Tylko czekać, aż powiem, że powinno się przywrócić obowiązkową służbę wojskową). Nie znam dziecka, które na pytanie, jak ulepszyć Dzień Sportu, zdecydowałoby się na rozwiązanie, które jest choćby w najmniejszy sposób powiązane z OWOCAMI. Gdyby pani Compton powiedziała, że chodzi o stoisko z żelkami Haribo, może bym uwierzyła, że rada uczniów maczała w tym palce, ale stoisko z truskawkami to na pewno pomysł dyrektorki, która jakimś cudem przekonała radę, żeby ją poparła.

Nie mam czasu na takie pierdoły. Pomijając całą resztę i kombinowanie, co zrobię z dziećmi w wakacje, muszę jeszcze wymyślić serię wiarygodnych wymówek, żeby wyjść wcześniej w kilka piątkowych popołudni. Alan nie przestaje wiercić mi dziury w brzuchu o to, czy byłam u jego dentysty i zrobiłam sobie koronkę, więc tę wymówkę mam spaloną. Tak samo jak „kobiece dolegliwości”. Co innego mogą robić ludzie w piątkowe popołudnia? Mój ojciec, zdaje się, grywał w golfa. Alan i James grywają w golfa w sobotnie poranki, czyli czas, kiedy można było powiedzieć, że piątkowe spotkanie w klubie jest szansą na nawiązanie znajomości czy coś w tym stylu, bezpowrotnie minął. Poza tym musiałabym rozmawiać o golfie, a może nawet wybrać się z nimi w którąś

sobotę, a przecież nie mam pojęcia o tym sporcie i wcale nie chcę w niego grać. Nie mówiąc już o tym, że Simon zbierałby szczękę z podłogi, gdybym oświadczyła w sobotni poranek, że idę na golfa. Trochę mnie kusi, żeby to zrobić. Bez szczęki dopiero byłoby mu łyso!

Biorąc pod uwagę wszystko powyższe, nikogo nie powinno dziwić, że nie umieram z radości na pomysł ze stoiskiem. Może mogłabym komuś zlecić zrobienie tego za mnie? Katie powinna się sprawdzić w tej roli. Albo Kiki przez dwa K. Truskawki są bardzo fotogeniczne, chociaż cała ta akcja wymagałaby też podjęcia wielu działań, więc mogłoby jej nie wystarczyć czasu na robienie selfie i postowanie relacji na Instagramie. Zaproponuję im obu. Napiszę, że są stworzone do tego zadania i może uda mi się od tego jakoś wykręcić.

SOBOTA, 13 MAJA

Z nieznanych mi powodów Jessica stwierdziła, że najlepszym sposobem na spędzenie swoich czterdziestych szóstych urodzin będzie rodzinny obiad. Czasami wydaje mi się, że jednak jest coś, co nas łączy, a mianowicie błędne przeświadczenie, że nasze dzieci potrafią zachować się przy ludziach. Jeśli o mnie chodzi, to postawiona przed takim wyborem, wolałabym wbijać sobie szpilki w gałki oczne.

Jestem wyczerpana. Agencja au pair wciąż nikogo nam nie przysłała. Zdążyłam już wybaczyć Juliette kubeczki po jogurtach. Przez te sześć tygodni, które z nami spędziła, zapomniałam, o ile jest ciężiej, kiedy ciągle trzeba się śpieszyć. Wczoraj byłam bliska tego, by do niej zadzwonić

i ubłagać, żeby wróciła. Mogłaby nawet zabrać ze sobą Pascala – chrzanić pościel, mogliby się migdalić ile wlezie, byleby tylko w przerwach odbierali dzieci ze szkoły.

Jeśli chodzi o obowiązki domowe, Simon uskutecznił strajk włoski. Prawie ze sobą nie rozmawiamy. Dzisiaj poszedł z nami tylko dlatego, że zadzwoniła do niego Jessica i trwała mu tak długo, aż pękł i jej uległ.

Jessica chyba porzuciła teorię o tym, że głównym celem w życiu Natalii to dać się zapłodnić naszemu ojcu i urodzić mu dziecko. Mam wrażenie, że trochę się z nią nawet zaprzyjaźniła, więc rodzinny lunch był dla nas wszystkich do zniesienia (z wyjątkiem mamy, która pewnie wciąż oplakuje sosjerkę).

Ale i tak lekko nie było. Peter wściekał się, że został siłą wyciągnięty z domu w dniu, kiedy ukazuje się nowy odcinek *Ninjago*. Jane z kolei oznajmiła, że złamaliśmy prawa człowieka, udaremniając jej plany na dzień, które polegały na wideorozmowie na Facebooku z Sophie. Simon był gderliwy, bo został zmuszony do opuszczenia ukochanej szopy i zaciągnięty do świata ludzi, ale on zawsze gdera z tego powodu. Obraził się, że kazałam mu zdjąć jego ukochany obrzydliwy polar, i choć dzień był piękny i słoneczny, teatralnie drżał z zimna. Wydaje mi się, że przez ten polar, ale siedzieliśmy naprzeciwko siebie i może drżał dlatego, że atmosfera między nami była lodowata?

Kiedy przyjechaliśmy, wszyscy już byli na miejscu. Może chcieli strategicznie zaklepać sobie miejsca z daleka od moich dzieci, ale nie wzięli pod uwagę, że moich dzieci nie

da się tak łatwo spławić.

Co gorsza, dzieci otrzymały kolejną dawkę wiedzy na temat rozmnażania, którą musiały podzielić się z całą rodziną.

- Dziadku, słyszałeś kiedyś o prezerwatywach? - zapytał Peter z troską, kiedy tylko usiadł.

- Prezerwatyw trzeba używać zawsze! Żeby nie złapać chorób! - dodała Jane.

- I dziecka! Ale jeśli robi się to przez pupę, to wtedy nie da się mieć dziecka. Czy dlatego nie macie dzieci, Natalio? - zapytał Peter.

Na co Natalia mruknęła coś po rosyjsku, i na pewno było to przekleństwo, którego w towarzystwie nie da się powtórzyć.

- Przepraszam, Natalio, nie zrozumiałam. Czy dlatego, że używacie kondomów, czy dlatego, że robicie to przez pupę? - dręczył ją Peter.

Persephone i Gulliver przysłuchiwali się tej wymianie zdań z wybałuszonymi oczami.

- Niektóre choroby mogą sprawić, że wacek odpada! Mam nadzieję, że dziadkowi jeszcze nie odpadł. I że używa prezerwatyw, bo miał mnóstwo żon i pewnie ze wszystkimi uprawiał seks. Czy ty uprawiałaś seks z wieloma mężczyznami, Natalio? - spytała Jane.

Natalia odkaszlnęła nerwowo, a ja wreszcie odzyskałam mowę i syknęłam:

- Zamknijcie się natychmiast! Czego was uczą w tej szkole?

- Gonorea! - zawołała moja córka. - Tym się można zarazić! I syfilisem! Przeczytałam o tym w Internecie.

- Co to jest gonorea, mamó? - spytała Persephone. - Takie ładne słowo. Brzmi jak miasto z *Władcy Pierścieni*.

- O Boże, o Boże, o Boże... - jęknęłam.

- Kochanie, czyżbyś nie potrafiła okiełznać swoich dzieci? - syknął Simon.

- Na to wygląda, KOCHANIE! A może ty byś spróbował okiełznać SWOJE DZIECI, zamiast je ignorować albo zostawiać mnie?

Ach! Nie ma to jak stare, dobre, pasywno-agresywne „kochanie”, po którym od razu można się zorientować, że klasa średnia ma problemy małżeńskie.

- Cóż, bardzo się cieszę, że was widzę! Widzę, że dzieci jak zawsze tętnią życiem!

- Zamówimy wino? - wątlým głosikiem wtrąciła Natalia.

- Świetny pomysł! - rzuciłam entuzjastycznie, bo Jane właśnie zaczęła opisywać, jak wygląda dotknięty syfilisem penis, czego dowiedziała się zapewne dzięki uprzejmości doktora Google'a.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Jessico! - rzucił radośnie ojciec, próbując zagłuszyć opowieści o chorobach wenerycznych i zniszczonych marzeniach.

Ciekawe, czy ktoś by zauważył, gdybym przez chwilę zdrzemnęła się pod stołem?

WTOREK, 23 MAJA

Od kiedy zorganizowanie kilku łubianek z truskawkami i bitą śmietaną stało się takie skomplikowane? Mój pomysł z oddelegowaniem tego zadania Katie i Kiki nie był do końca

udany. Kiki zasypała mnie mejlami z sugestiami, że powinnam poprosić sklep Cath Kidston o to, żeby został naszym sponsorem, a pozostałym sponsorom powinnam koniecznie powiedzieć, że chociaż szkoła nie ma konta na Instagramie, na pewno wspomnimy o nich na koncie @kikikochażycie i poinformować, że jest otwarta na współpracę. Powiedziałam jej, żeby spadała na drzewo. Oczywiście inaczej to ujęłam. Odpisałam, że jeśli chciałyby zrealizować ten pomysł, to droga wolna, tylko musiałyby sama się tym zająć, bo ja jestem Bardzo Ważna i Zajęta, na co ona strzeliła focha, że nie chcę wziąć pod uwagę jej innowacyjnych pomysłów. Kiedy odpisywałam na jeden z mejli, Lydia zajrzała mi przez ramię (Kiki jest przekonana, że skoro sama nie pracuje na etacie, może oczekiwać ode mnie, że odpowiem jej w godzinach pracy i wypisuje do mnie, dopóki tego nie zrobię. Kiedy milknę na jednym z kanałów do wymiany informacji, natychmiast znajduje drugi. Pewnie dlatego firmy płacą jej za wrzucanie zdjęć swoich produktów. Robią to, żeby mieć święty spokój)). Nie zapytała mnie, dlaczego odpowiadam na mejle dotyczące Dnia Sportu i komitetu rodzicielskiego, ale mam przeczucie, że zaczęła coś podejrzewać.

Działania, które podjęła Katie, żeby zorganizować stoisko z truskawkami z bitą śmietaną, były troszkę bardziej praktyczne, ale odpowiedziała jej ściana milczenia, kiedy próbowała znaleźć ochotników do pomocy. W akcie desperacji poprosiła mnie, żebym wysłała mejla do rodziców, bo grzecznymi prośbami nic nie wskórała. Katie nie spędziła

jeszcze wystarczającej ilości czasu na placu zabaw, żeby zmyć z siebie resztki naiwnej dobroci, i obawiała się, że wysyłanie wzburzonych mejli będzie nieuprzejme. Ja nie mam już takich rozterek i zaczęłam rozsyłać opryskliwe wiadomości, że jeśli nie znajdą się ochotnicy, nie będzie truskawek, bitej śmietany ani pieniędzy na dalszą działalność szkoły, więc jeśli ktoś nie chce pomóc, niech się wypcha, a najlepiej od razu zdycha. To ostatnie oczywiście też wykasowałam, zanim rozesłałam mejle.

Moje prośby spotkały się z reakcją. Na przykład ekomamuśki (pokroju Louisy, którym nie zaszkodziłaby odrobina dezodorantu) podważały etyczność takiego stoiska, pytając, czy wzięłam pod uwagę drogę, którą musiały przebyć truskawki, zanim trafiły do sklepów, opisując okrucieństwo przemysłu mleczarskiego, niskie płace zbieraczy owoców, wegańską alternatywę i dzieci z uczuleniem na truskawki. I jeszcze sugerując, żebym zamiast wystawiać stoisko, zorganizowała warsztaty ze strategii zrównoważonego rozwoju.

Och, już pędzę! To przecież doskonały pomysł, który wcale nie podważa sensu działań komitetu. Po co mam zbierać pieniądze, skoro mogłabym je wydawać i zadowolić kilka bojowniczek o sprawiedliwość społeczną?

Obślizgły Julian ze smutkiem poinformował mnie, że nie będzie mógł pomóc, ale proponuje pakiet fotografii rodzinnej dla rodziców, żeby niczym Usain Bolt swój moment chwały mieli utrwalony na fotografii przez profesjonalistę, dzięki czemu udział w wyścigu z jajkiem na łyżce zostanie

uwieczniony na zawsze. I czy nie mogłabym przy okazji przesłać tej wiadomości do wszystkich rodziców z listy i ich do tego zachęcić?

Świetny pomysł, Julian, wprost fantastyczny. Przecież i tak nie mam nic do roboty, więc z przyjemnością pomogę ci rozreklamować twoje wątpliwe zdolności fotograficzne. Daj mi tylko sekundę... żeby powiedzieć ci, żebyś DAŁ MI ŚWIĘTY SPOKÓJ, DO CHOLERY! A może powinnam go skontaktować z Kiki przez pieprzone dwa K? Może będą zainteresowani małą #kolaboracją, skoro oboje są takimi #cholernyminarczyzami?!

Amelia Whittaker napisała, że nie będzie mogła pomóc, bo to ostatni rok Rachel w podstawówce, więc nie chce niczego przegapić, ale liczy na to, że znajdę ochotników, bo bardzo lubi truskawki ze śmietaną.

Nie ma sprawy, Amelio! Nie przejmuj się tym, że to też ostatni rok Jane w podstawówce i ja też nie chciałabym niczego przegapić w trakcie jej ostatniego Dnia Sportu. Przecież najważniejsze jest, żebyś miała udany dzień!

I czas na moją ulubienicę, Claudię Soames, która napisała pełną oburzenia wiadomość, że ktokolwiek śmie ją prosić o pomoc w organizacji wydarzenia komitetu, bo przecież ONA MA DZIECI i nie ma czasu nikomu pomagać.

Prawdziwy z ciebie Sherlock! Co to za pomysł, żeby prosić ludzi, którzy mają dzieci, żeby pomogli w zbieraniu funduszy na szkołę?! Niewiarygodne! Żeby tylko nie pomyślała, że zrobiłam to celowo!

Przyszło jeszcze więcej mejli z fantazyjnymi wymówkami,

dla których dana osoba nie może pomóc (choć wiele z nich odniosło się bardzo entuzjastycznie do pomysłu stoiska z truskawkami ze śmietaną, z którego mogliby sobie podjadać, udając że grają w filmie kostiumowym, chociaż w rzeczywistości błąkają się po miejskim boisku), ale nikt się nie zgłosił na ochotnika.

Byłam tak wściekła i rozczarowana ludzkością, że wysłałam SMS-y do Sama, Hannah i Katie, zarządzając kryzysowe spotkanie generalne w piątek wieczorem w pubie. Nie widzieliśmy się od wieków, bo Hannah jest pochłonięta przygotowaniami do ślubu, Sam klika na Tinderze w lewo czy tam prawo (nie pamiętam, które co oznacza), a dzieci Katie są jeszcze tak małe, że matczyne poczucie winy nie pozwala jej zbyt często wymykać się w porze usypiania, mimo moich zapewnień, że kiedyś jej się to znudzi i zacznie się kurczowo czepiać każdej możliwej okazji, żeby nie musieć tysięczny raz czytać dziecinie tej samej ulubionej książeczki. Ostatnio Simon kilka razy wymknął się po pracy na drinka i musiałam sama się wyklócać o to, że zmoczenie szczoteczki i włożenie jej na trzy sekundy do buzi nie jest równoznaczne z umyciem zębów, a potem wysłuchiwać o zmyślonych bólach, dopóki nie podałam dzieciom dawki placebo w postaci ich ukochanego syropku, więc dzisiaj jego kolej na niańczenie dzieci. A mówiąc ściślej na to, żeby być ojcem swojego potomstwa.

SOBOTA, 27 MAJA

GHRGHRGHR.

- Będziemy rozważni, będziemy się pilnować i wypijemy tylko kilka drinków - mówiliśmy.

- Będziemy wypijać szklanekę wody albo napoju bezalkoholowego pomiędzy drinkami - obiecywaliśmy.

- Wyszliśmy, żeby rozmawiać i spędzić ze sobą trochę czasu, a nie po to, żeby się zmasakrować - deklarowaliśmy.

Wytrwaliśmy w tym postanowieniu, dopóki nie weszliśmy do pubu. Kiedy byliśmy przy barze i Hannah zasugerowała, że butelka bardziej się opłaca niż kupowanie wina na kieliszki, zaczęliśmy staczać się po równi pochyłej.

Hannah się wściekała, bo do ślubu został już tylko miesiąc, Charlie pomaga za mało, a jej mama za bardzo się wtrąca (w związku z tym, że pani P. odkryła Pinteresta, zostałam raz na zawsze skreślona z listy potencjalnych pomocników, bo Hannah nie wytrzymałaby kolejnej osoby, która będzie bombardować ją mejlami pełnymi uroczych zdjęć ślubnych i tablic pełnych ekstrawaganckich aranżacji).

- Zapytałam go tylko, który odcień różu piwonii bardziej mu się podoba, ale jego to nie obchodziło! A w tym czasie mama trajkotała przez telefon, że zamówiła na Amazonie narzędzie do cięcia szkła i będzie robić wazony ze starych butelek po winie i świeczniki z butelek po dżinie, poza tym natknęła się też na przyrząd do robienia lampionów z puszek po kawie i poprosi Marjorie z domu starców, żeby odłożyła dla niej kilka puszek. Jeśli jej na to pozwolę, mój ślub będzie wyglądać jak konwent dla alkoholików na pchlim targu! I skąd ona wie o istnieniu Pinteresta? Ktoś musiał dać jej cynk. Do tej pory najdalszym miejscem w Internecie, w które

się zapuszczała, był John Lewis albo Lakeland!

Rzuciłam pod nosem jakiś neutralny komentarz, bo zaczęłam się zastanawiać, czy to nie ja wspomniałam pani P., że na Pinterescie można znaleźć dużo ciekawych pomysłów na weselne przyjęcia.

Katie była wściekła na Tima, bo:

- Jest takim nieczułym dupkiem! Wydaje mu się, że skoro wychodzi do pracy, a ja zostaję w domu z dziewczynkami, to całe dni nic nie robię, tylko na niego czekam! Nie ma pojęcia, ile pracy jest przy małych dzieciach i ile pochłaniają czasu nawet po tym, jak Lily poszła do szkoły. Przecież nie proszę przecież znowu o tak wiele! Chcę tylko odrobiny szacunku!

- Drań! Nieczuły dupek! - krzyknęliśmy chórem.

- Następna btelka! - zarządziła Katie.

Niestety w pewnym momencie przerzuciłam się na dżin, więc kiedy Hannah spytała, co u mnie, zamiast obojętnego „Och, nic nowego”, czyli typowego komentarza, którym Brytyjczycy zamiatają problemy pod dywan, wybuchnęłam płaczem.

- Rety, Ellen! Co się stało? - jęknął Sam, beznamiętnie poklepując mnie po plecach.

Wyrzuciłam z siebie wszystko: że Simon śpi w pokoju gościnnym, że jest na mnie wściekły, a ja jestem wściekła na niego. Że wreszcie znalazłam pracę, w której czuję się jak człowiek, a nie rodzic, bo ludzie słuchają, co mam do powiedzenia, i nikt nie robi sobie żarcików, że mam „umysł niemowlaka” ani nie szydzi ze mnie tylko dlatego, że jestem

matką. Powiedziałam też o kłamstwach i o tym, że z niczym nie nadążam, a także o tym, że wszystko się schrzaniło, a ja nie mam pojęcia, jak to naprawić.

- Tylko mi nie mówcie, żebym z nim porozmawiała. On nie słucha! - łkałam. - Poza tym to wcale nie jest takie proste. I nie mówcie, żebym przyznała się w pracy, że mam dzieci. Wcale nie chcę im o tym mówić, bo będą mi dogadywać tak jak Lydii. A ja chcę być traktowana jak człowiek!

- W pewnym momencie jednak będziesz musiała powiedzieć. Nie możesz w nieskończoność udawać - zasugerowała Katie.

- Oczywiście, że mogę! Jestem Brytyjką! - skitowałam, pociągając nosem.

- Nawet jeśli możesz, musisz jednak przyznać, że to nie jest normalne, kochana. Powinnaś to wyjaśnić. A Simon cię kocha, wiem o tym. To tylko chwilowy kryzys.

- Mam już dosyć tych kryzysów! Istotą małżeństwa stało się ciągle przypominanie sobie o tym, dlaczego w ogóle za niego wyszłam. To nie powinno być takie trudne!

- A jednak jest - rozsądnie zauważyła Hannah. - A pamiętasz, dlaczego za niego wyszłaś? I czy wciąż go kochasz?

- Myślę, że tak. Ale on mnie już chyba nie kocha.

CZERWIEC

CZWARTEK, 1 CZERWCA

Afera truskawkowo-śmietanowa trwa. A raczej właśnie się skończyła, bo straciłam cierpliwość do tych leniwych drani i ich żalonych wymówek i rano rozesłałam krótkie i zwięzłe mejle z oświadczeniem, że w związku z brakiem ochotników do pomocy komitet rezygnuje z pomysłu ze stoiskiem. Sama sobie ze wszystkim nie poradzę. Muszę z czegoś zrezygnować, a działania komitetu to moje najmniejsze zmartwienie. Nie rozumiem też, dlaczego Sama i mnie miałyby ominąć atrakcje ostatniego Dnia Sportu Jane i Sophie, a Katie miałyby przegapić pierwszy Dzień Sportu małej Lily przez to, że serwujemy truskawki tym leniwym dupkom, żeby zbierać pieniądze na szkołę ich dzieci. Dlatego powiedziałam: „Dość! Basta! Wsadźcie sobie te truskawki razem z bitą śmietaną tam, gdzie słońce nie dociera!”. Przyznaję też, że mając w pamięci opowieści o seksparty, miałam wątpliwości, czy obecność bitej śmietany na tego typu eventach nie będzie niosła dwuznacznego przekazu.

Ledwie wysłałam mejle, a moja skrzynka pocztowa zaczęła robić: „pingpingpingping!” i posypały się mejle skruszonych rodziców, którzy z jakiegoś powodu przeczytali wiadomość o odwołaniu atrakcji, chociaż nie przeczytali stu milionów wcześniejszych próśb o pomoc, bo przecież, „gdyby tylko

wiedzieli...”. Przyszły też wiadomości pełne pretensji, że sama nie poprowadzę stoiska, bo rodzice tak się cieszyli na wieść o stoisku, a ja właśnie popsułam im Dzień Sportu. Zignorowałam je, co było BARDZO przyjemne. Zaczęłam podejrzewać, że Fiona Montague i mama Lucy Atkinson nie dlatego nigdy nie rozstawały się ze swoimi teczkami, że były niezwykle wydajne, ale dlatego, że w razie potrzeby miały czym bić po łbie.

PIĄTEK, 2 CZERWCA - DZIEŃ SPORTU

Po tym, jak „rozwiązałam” kwestię stoiska, nazmyślałam w pracy (tym razem postawiłam na pogrzeb – muszę tylko pamiętać, których krewnych zabijam w wyobraźni, żeby się nie powtarzać) i nawciskałam kitów coraz bardziej podejrzliwej Lydii (PIEPRZONA Kiki i jej niekończące się bombardowanie mejlowe), żeby wspierać Jane i poświęcić jej całą uwagę, tworząc #najlepszewspomnienia, przyszłam na boisko i wesoło oświadczyłam:

- Kochanie! Przyszłam na twój ostatni Dzień Sportu!

Jane nie była pod wrażeniem.

- Po co? - burknęła. - Nienawidzę Dnia Sportu. Jest głupi i nudny! Nie narób mi obciachu! Najlepiej będzie, jeśli pójdziesz popatrzeć na wyczyny Petera i będziesz udawać, że mnie nie znasz. Szkoda, że nie ma Juliette, ona była taka fajna!

Że kurwa mać! Po tym wszystkim, co dla niej zrobiłam! Niewdzięcznica!

SOBOTA, 10 CZERWCA

Zostałam dzisiaj wezwana na lunch z Jessicą i Natalią (Jessica nie zaprasza. Jessica mówi, gdzie i kiedy masz się pojawić. Nigdy nie przechodzi jej przez myśl, że możesz mieć inne plany. Jeśli uzna, że chce się z tobą spotkać, nic nie stanie jej na przeszkodzie).

Podczas lunchu uświadomiłam sobie, że nie miałam jeszcze okazji przeprowadzić z Natalią ani jednej dłuższej konwersacji, bo moje kochane maleństwa zawsze wtrącały się, żeby opowiedzieć tej biedaczce jakieś bezeceństwa albo ubabrać jej drogie ubrania czymś lepkiem. Kiedy zwróciłam na to uwagę, uśmiechnęła się cierpko.

- Właśnie dlatego pomyślałam, że byłoby miło spotkać się nie przy dzieciach...

- Moje dzieci są bardzo grzeczne! - oburzyła się Jessica. - Nie wiem, czy wiecie, ale Persephone zdała egzamin z pianina z wyróżnieniem, a Gulliver będzie brał udział w Ogólnokrajowym Konkursie Poetyckim. Nie takim dla dzieci, tylko prawdziwym konkursie poetyckim! I wiele osób mówi, że ma dużą szansę na wygraną!

Wiedziałam, bo mama uwielbia zadzwonić do mnie raz w tygodniu i poopowiadać o tym, że innym ludziom wiedzie się o wiele lepiej niż mnie. („Córka Kathy Evans właśnie zrobiła drugi doktorat, a Tom, wiesz, kochanie, Tom Henderson, młodszy syn Eleanor Henderson... Nie, nie ten, myślisz o kimś innym, na Toma na pewno nikt nie mówił Tom Lepkie Ręce. No, w każdym razie właśnie dostał awans i kupił astona martina! A wnuczka Felicity Moore dostała się

na Oksford! A jak tam Peter i Jane? Zrozumieli już, że nie wolno gryźć innych? Oczywiście, że u Persephone wszystko dobrze, a jak inaczej miałyby być?!”).

Rozmawialiśmy kulturalnie o tym i owym. Jessica chwaliła się swoimi idealnymi dziećmi, a ja zadawałam się myślą, że chociaż moje najdroższe kruszynki nie są geniuszami, to przynajmniej są na tyle silne emocjonalnie, żeby nie dostać załamania nerwowego na wiadomość o tym, że Święty Mikołaj nie istnieje. I mają poczucie humoru (nawet jeśli jest to czarny i drastyczny humor). Wydaje mi się to wiele cenniejsze niż wszystkie talenty Persephone i Gullivera razem wzięte. Natalia przytakiwała raz na jakiś czas, ale myślę, że była znudzona przechwałkami Jessiki, szczególnie że kiedy moja siostra opowiadała o przełomowym użyciu przez Gullivera pentametru jambicznego, zaproponowała drugą butelkę wina. Od razu wydała mi się miłsza.

Kiedy Natalia zamówiła trzecią butelkę (skąd się wzięły moje wcześniejsze uprzedzenia do tej przemiłej kobiety? Czemuż, ach czemuż nie dostrzegałam, że jest moją bratnią duszą?) i nawet Jessica wydawała się lekko wstawiona, bo przekroczyła zwyczajowy limit dwóch kieliszków, rozwiązał mi się język. Na pytanie Natalii o to, jak sobie radziłam z pracą, przyznałam się, że chyba zrobiłam coś głupiego.

Po długich i skomplikowanych opowieściach („Kim jest Lydia? Dlaczego Alan nienawidzi dzieci? Który to James?”) w końcu udało mi się wyjaśnić, jak głębokie było szambo, w które wpadłam.

Jessica okazała dokładnie tyle współczucia, ile się po niej

spodziewałam.

- Chryste, Ellen! Czy ty specjalnie robisz te wszystkie głupoty, żeby zniszczyć sobie życie? Skąd ci przyszło do głowy, żeby zrobić coś takiego?

- Nie chciałam! Na pewno nie sądziłam, że aż tak mi się to wymknie spod kontroli. Chciałam tylko, żeby dostrzegli we mnie człowieka, a nie matkę, która nie potrafi normalnie funkcjonować w świecie dorosłych...

- Nie wiem, czy wikłanie się w sieć idiotycznych kłamstw jest tożsame z funkcjonowaniem w świecie dorosłych - rzuciła szorstko.

- Zamknij się, Jessico! Chciałam tylko, żeby zobaczyli, że mogę wykonywać swoją pracę równie dobrze, zanim zaczną narzekać, że biorę wolne, bo muszę posiedzieć z dziećmi. Nie zostawiają suchej nitki na biednej Lydii, która pracuje dużo ciężiej od nich wszystkich, ale przez to, że widzą w niej tylko matkę, wychodzą z założenia, że się nie stara i na pierwszym miejscu stawia rodzinę. Mam już tego dosyć, chcę być kimś więcej niż tylko matką! Czy to naprawdę takie złe?

- Ale przecież jesteś matką - powiedziała Jessica.

- Wiem, że jestem matką! Wiem! Tylko dlaczego to, że nią jestem, musi wpływać na każdy aspekt mojego życia? Tak długo, jak wykonuję swoją pracę, nie powinno to mieć żadnego znaczenia! I nikt nie robi takiej hecy, kiedy chodzi o mężczyzn. Nikt nie traktuje inaczej Jamesa, Joego, Eda, Simona i Neila, prawda? To dotyczy tylko kobiet! Miałam już tego dość i chciałam od tego uciec chociaż na chwilę. A teraz wszystko wymknęło mi się spod kontroli!

- Ona ma rację - przyznała Natalia. - Matki traktuje się inaczej niż ojców. Widzę to cały czas. To jeden z powodów, dla których postanowiłam, że nie chcę mieć dzieci. Kobiety pomija się przy awansach i nie obsadza na wysokich stanowiskach, choć nie powinno tak być. Nie zgadzam się z tym, chociaż nie ma sensu przed tym uciekać.

- Mnie się to nie przytrafia! - oburzyła się Jessica.

- W takim razie albo ci się poszczęściło, albo udajesz, że tego nie widzisz. Bo Ellen ma rację, jest właśnie tak, jak mówi. Nie twierdzę, że udawanie, że nie ma się dzieci, jest dobrym rozwiązaniem, ale doskonale rozumiem Ellen. Ja nigdy nie chciałam mieć dzieci. Brakuje mi matczynych instynktów. Dzieci są lepkie i często brzydko pachną, a ja nie lubię niczego, co jest lepkie i smrodkowate. Ale nie chciałam też, żeby społeczeństwo postrzegało mnie inaczej. Nie chciałam być traktowana jak obywatelka drugiej klasy. Tylko że taka argumentacja nie powinna być potrzebna w nowoczesnym społeczeństwie. A niestety jest. Kobiety są traktowane zupełnie inaczej, kiedy zostają matkami, natomiast mężczyźni, gdy zostają ojcami, nie. To beznadziejne. Niestety, nie tylko mężczyźni utrwalają ten schemat. Kobiety na wysokich stanowiskach często zachowują się tak samo, a media też nie pomagają. Tabloidy uwielbiają publikować artykuły pisane przez kobiety o tym, że pracujące matki zawsze wychodzą wcześniej, a w pracy robią tylko zakupy przez Internet.

- To co ja mam zrobić? - rzuciłam płaczącym tonem.

- Myślę, że powinnaś się przyznać. Nie zrobiłaś nic

karygodnego, biorąc pod uwagę, że twój szef wie, że masz dzieci. A prawda jest taka, że na ten moment niczym się nie różnisz od ludzi, którzy udają, że spędzili weekend, bzykając supermodelkę, chociaż w rzeczywistości masturbowali się w domu przed telewizorem – powiedziała Natalia.

- Fujka! – skomentowałam na myśl o tym, że moi koledzy z pracy mogliby tak robić.

- Poza tym... – dodała Natalia, która okazała się irytująco wręcz mądra jak na kogoś, kto wypił butelkę wina. – Jesteś nie w porządku w stosunku do Lydii, która za to, że jest matką, zbiera cięgi od całego biura, podczas gdy ty robisz dokładnie to samo, tylko ukrywasz się w sieci zawiłych kłamstw.

- Wiem, wiem, ale co ja mam im powiedzieć? Że adoptowałam sierotki?

- Kolejne kłamstwa nie są najlepszym rozwiązaniem. Powiedz im prawdę – zasugerowała delikatnie Natalia.

Prawdę. Jak mam im wyznać prawdę po tych wszystkich kłamstwach? Może poszukam innej pracy? Ale ja kocham swoją pracę! Nie chcę innej! Do jasnej cholery, ale się wkopałam!

Nie wspomniałam o tym, że Simon chyba chce mnie zostawić, bo jeszcze Jessica w przypiływie spontanicznej radości znowu by mi powiedziała, że spieprzyłam sobie życie, i dała do zrozumienia, że sama poradziłaby sobie z tym wszystkim o wiele lepiej.

PIĄTEK, 16 CZERWCA

Są takie dni, kiedy wydaje nam się, że gorzej już być nie może, ale za chwilę okazuje się, że owszem. Dzisiejszy dzień był jednym z nich.

Na początku szło jak z płatka. Skończyliśmy kolejny duży projekt i złożyliśmy go na czas ku wielkiemu zadowoleniu klienta. Wszyscy poczuliśmy się jak podczas ostatniego dnia roku szkolnego – jakby zdjęto nam z ramion olbrzymi ciężar. Ed chciał nawet przybić piątkę z Jamesem, ale szybko zmienił zdanie i uciekł do swojego biura. Wszyscy planowali wielkie świętowanie po pracy. Sama nie mogłam się tego doczekać, bo chciałam na chwilę zapomnieć o sytuacji domowej. Przez kilka godzin był spokój, ale o wpół do piątej Lydia oznajmiła, że nie będzie mogła iść z nami na drinka, bo zadzwoniła do niej niania, powiedziała, że źle się czuje i musi wcześniej wyjść. Do tego w poniedziałek Lydia musi iść na Dzień Sportu i przyjdzie dopiero w porze lunchu. James i Alan wzdychali i prychali, po czym Alan tonem cierpiętника poprosił Lydię o jakieś nikomu niepotrzebne dane, bez których on oczywiście nie wytrzyma ani chwili dłużej.

Kiedy Lydia powiedziała, że wysłała już Alanowi wszystkie potrzebne informacje, syknął:

- Dziękuję ci bardzo, Lydio. Rozumiem, że mam być ci wdzięczny za to, że okazjonalnie poświęcasz odrobinę czasu na pracę, kiedy nie jesteś akurat zajęta. To przemile. Mam nadzieję, że nie odrywam cię od ważnych zadań, takich jak pieczenie babeczek na kiermasze słodkości.

- Co masz na myśli? – spytała spokojnie Lydia.

- Mam na myśli to, że wszyscy chcielibyśmy zagrać kartą

macierzyństwa i dać nogę wcześniej, bo dzieci są przecież o wiele ważniejsze niż jakaś tam praca.

- Nie bądź dupkiem, Alan! - zareagowałam. - Jest gorąco i wszyscy chcielibyśmy dać nogę do pubu, ale musimy jeszcze chwilę poczekać. Nie wyzywaj się za to na Lydii.

- Nie jestem dupkiem. Ja tylko mówię, jak jest. To my nadrabiamy zaległości Lydii, kiedy ona bawi się w szczęśliwą rodzinę. Ciebie to nie wkurza, Ellen? - najeżył się Alan.

- Jakie zaległości? Powiedz mi, jakie dokładnie zaległości musisz za mnie nadrabiać! Robię wszystko, co mam do zrobienia, a nawet więcej! Nigdy nie spóźniłam się z terminami, czego nie możesz powiedzieć o sobie. Owszem, czasami zabieram pracę do domu i kiedy położę dzieci spać, pracuję po nocy, ale głównie dlatego, że mamy XXI wiek i nowe technologie na to pozwalają. Nie musimy być przykuci łańcuchami do biura od dziewiątej do piątej, żeby coś osiągnąć. I mam już dosyć twojego gadania za moimi plecami, że nie wywiązuję się z obowiązków. Nie wzięłam ani jednej godziny urlopu więcej niż mi przysługuje. Rozplanowuję swój urlop bardzo dokładnie, żeby móc też spędzać czas z dziećmi, kiedy mnie potrzebują. Ellen ma absolutną rację, zachowujesz się jak dupek! - wściekła się Lydia.

- Ja zachowuję się jak dupek? A niby jak? Ja tylko zwracam uwagę na to, że to takie fajne wcześniej wychodzić z biura, kiedy się na to ma ochotę. Nie widzę, co to ma wspólnego z byciem dupkiem. Ja mówię tylko, że chciałbym móc czasem żyć jak ty.

- Życ jak ja? Czyli być w pracy przez dwadzieścia cztery godziny dziennie?

- Cóż, nikt ci nie kazał mieć dzieci. Skoro sobie nie radzisz, może nie powinnaś się na nie decydować?

- Zlituj się nad nią, Alan! - wtrąciłam.

- Zlitować się? A kto się nade mną zlituje? Dlaczego nikt się nie chce zlitować nad osobami takimi jak ja i Ellen?

- Myślę, że Lydia ma bardziej pod górkę niż my. Pracuje bardzo ciężko - broniłam jej.

- Nad Ellen na pewno nie musisz się litować. Tyle razy wychodziła do dentysty albo innego medyka, ale nigdy się jej nie czepiałaś. I nikt słowem nie pisnął, kiedy w godzinach pracy odpisywała na mejle o Dniu Sportu i Komitecie rodzicielskim - rzuciła złośliwie Lydia.

- Co takiego? Dlaczego to robiłaś? - spytał mnie Alan.

- Bo ona MA DZIECI! - rzuciła triumfalnie Lydia. - Gabrielle z HR-u spytała mnie, czy się polubiłyśmy, bo przecież mamy wspólny temat: łączenie życia zawodowego z matkowaniem. Ellen ma męża i dwójkę dzieci!

- Ale mówiłaś... - zaczął James.

- Nic nie mówiłam. Z jakiegoś powodu sam tak założyłaś.

- Ale po co miałybyś...? - zdziwił się Alan.

- Nie wiem! Chciałam to naprostować, ale potem było już za późno i nie wiedziałam, jak się z tego wyplątać. Poza tym polubiłam tę wersję siebie, którą za mnie stworzyliście! - rzuciłam rozpaczliwie.

- Cóż, to tylko potwierdza moją teorię. Skoro Ellen może wykonywać swoją pracę i jeszcze ukrywać przed nami, że ma

dzieci, i skoro James może mieć dzieci i nie zniknąć co dwadzieścia minut, dlaczego Lydia nie miałyby przestać się obijać? – upierał się wciąż zaskoczony Alan.

- Na litość boską! Przecież ona skłamała tylko po to, żebyście szanowali ją bardziej niż mnie. A James nie musi wychodzić, bo jego żona robi to za niego!

- Czy to prawda, Ellen? – spytał Alan.

- W sumie tak. Faktycznie mam dwójkę dzieci, ale nie powiedziałam wam o nich, bo nie chciałam, żebyście traktowali mnie tak źle jak Lydię. I zawsze kiedy mówiłam, że idę do dentysty, a wam to nie przeszkadzało, w rzeczywistości byłam na szkolnych wydarzeniach!

- Przez ciebie czułam się jak idiotka! Przez tyle miesięcy rzucałaś mnie lwom na pożarcie, a im wciskałaś kit, żeby się ciebie nie czepiali!

- Wiem, Lydio. Nie powinnam tak robić i bardzo mi przykro. Naprawdę. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć, z wyjątkiem tego, że gdybym tego nie zrobiła, czepialiby się nas obu, a tak to może pójdą po rozum do głowy i zaczną nas lepiej traktować.

- Serio? Myślisz, że dzięki temu będę lepiej o tobie myślał? – spytał Alan.

- O mnie może nie, ale o Lydii tak. Może wreszcie zrozumiesz, że Lydia się nie obija, tylko wykonuje swoją pracę. I może James pomyśli o tym, jak ciężko jest jego żonie, kiedy jej nie pomaga, a wszyscy wokół oczekują, że zrobi za nich wszystko, podczas gdy jakiś dupek w pracy traktuje ją tak samo, jak tu traktuje się Lydię. Tak czy inaczej, idę

odebrać dzieci. Życzę wam wszystkim miłego weekendu. Do zobaczenia w poniedziałek. Lydio, życzyłabym ci miłego Dnia Sportu, ale jeśli będzie wyglądał tak jak mój, to masz marne szanse. Pamiętaj jednak, że zrobiłaś wszystko, żeby wesprzeć swoje dzieci!

- Chwileczkę! - powiedział James. - Czy jeśli ukrywasz przed nami dwójkę dzieci, to znaczy, że ukrywasz też męża?

- Cóż, skoro już o tym mowa, to szczerze mówiąc, nie wiem! - Chwyciłam torebkę i wyszłam.

Zatrzymałam się tylko na chwilę, żeby przekląć współczesną technologię, czyli odpiknąć kartę. Dużo bardziej wolałabym klasyczne trzaśnięcie drzwiami.

Kiedy odebrałam dzieci ze szkoły i wróciłam do domu, a adrenalina opadła, czułam już tylko mdłości, chłód i lęk spowodowane tym, co zrobiłam. Mechanicznie tarłam na tarce ser do spaghetti dla dzieci, kiedy uświadomiłam sobie, że Judgy nie kręci mi się pod nogami, zebrząc o smaczny kąsek. Normalnie wystarczy, że sięgnę po ser do lodówki, a on pojawia się znikąd i patrzy błagalnie, aż wreszcie pękam i rzucam na pożarcie przynajmniej kawałeczek, chociaż muszę później znosić cuchnące bąki, bo ser naprawdę mu szkodzi.

Dotarło do mnie, że nie widziałam go ani razu od przyjazdu do domu, kiedy skakał wokół nas, wzbudzając litość, jakbyśmy porzucili go na wieki i jakby wcale nie był na długim spacerze z petsitterką. Zajrzałam do ogrodu, ale go nie znalazłam. Krzyknęłam na górę do dzieci, czy nie ma go u nich. Zajrzałam w każde jego ulubione miejsce, na łóżko,

kanapę, ale psa ani śladu.

Po jakimś czasie Jane anemicznie zwlokła się na dół, by się dowiedzieć, o co tyle hałasu, a kiedy jej powiedziałam, rzuciła mimochodem:

- Ach tak. Wypuściłam go.

- A wpuściłaś go z powrotem? - spytałam.

- No... nie.

- Jane! Przecież wiesz, że nie można go zostawiać na dworze bez nadzoru. Pomimo olbrzymich sum pieniędzy, które wydaliśmy na ogrodzenie, wciąż nie mamy terrieroszczelnego ogrodu. Chryste, gdzie on uciekł?

Pobiegłam do ogrodu, wołając z nadzieją:

- Judgy, mam ser! Chodź piesku, mam pyszny serek!

Niestety nic to nie dało, więc wybiegłam na ulicę, klnąc pod nosem na głupie bachory, które nie potrafią zapamiętać nawet tak prostej rzeczy, i na wredne psiska, które uciekają chyba tylko po to, żeby mnie zawstydzić, bo wszystkie poprzednie ucieczki kończyły w kuchniach sąsiadów.

Judgy wdzierał się do domów przez drzwiczki dla kota, po czym wyżerał kotu jedzenie z miski, narobił na konkursowe begonie pani Jenkins i sterroryzował świnkę morską Amelii Watson. Zastanawiałam się, do czego tym razem się posunie. Zamarzyła mi się spora lampka winka. Wolałabym zapijać smutki związane z tym, co mnie czeka w poniedziałek w pracy, niż biegać po okolicy i szukać pieprzonego, niewdzięcznego, uciekinierskiego border teriera.

Kiedy tak chodziłam, snując czarne myśli o przeklętych psach i dzieciach, krzycząc, gwizdząc i kusząc serowymi

obietnicami, mała czarna kulka wystrzeliła spomiędzy dwóch zaparkowanych samochodów. Prawie w tej samej chwili usłyszałam pisk hamulców i czarny kształt poleciał w górę i spadł kawałek dalej. Zaczęłam biec (co bardzo dziwne, bo ja nie biegam) i kątem oka zauważyłam, że ktoś wysiada z samochodu i do mnie mówi, ale nie słyszałam co, bo byłam skupiona na małym wąsatym pyszczku wpatrzonym we mnie nie krytycznie jak zawsze, ale z bólem i lękiem w oczkach. Kiedy go dotknęłam, jęknął, chociaż i tak spróbował zamerdać ogonkiem, jakby chciał powiedzieć:

- Jesteś! Nareszcie! Kocham cię!

- Leż, piesku, spokojnie, nie ruszaj się. Jestem tu, wszystko będzie dobrze - szepnęłam. Wszystko wokół było dziwnie nieostre i uświadomiłam sobie, że z oczu kapią mi łzy. Judge nie lubi, kiedy ludzie płaczą. Uważa, że to niczemu nie służy, a moczy futerko. Nie mogę płakać, nie mogę zmoczyć mu futerka, bo będzie na mnie zły.

Zorientowałam się, że stoi za mną starsza pani i powtarza:

- Przepraszam, nie zauważyłam go. Przepraszam, bardzo mi przykro!

Trzymała w rękach koc i mówiła coś o weterynarzu. Nagle pojawiła się Katie.

- Ellen, Ellen! Musisz go natychmiast zabrać do weterynarza!

Odyskałam ostrość widzenia i dziwne uczucie, jakby wszystko działało się pod wodą w zwolnionym tempie zniknęło.

Weterynarz. Oczywiście! Dlaczego siedziałam na ulicy beczynnienie? Trzeba go zabrać do weterynarza!

- Ta pani z tobą pojedzie, Ellen. Ja zajmę się dziećmi - rozsądnie zarządziła Katie.

Jane stała obok, chlipiąc rozpaczliwie.

- Przepraszam, mamusiu, to wszystko moja wina! Zapomniałam o nim! Przepraszam, mamusiu, powiedz, że nic mu nie będzie.

- Mamo, prawda, że pani weterynarz go wyleczy? - spytał przerażony i blady jak ściana Peter, który nawet nie lubił Judgy'ego.

- Nie wiem. Nie mam pojęcia. Katie, czy mogłabyś zadzwonić do Simona i wyjaśnić, co się stało? - poprosiłam powoli.

- Oczywiście. Uprzedzę też weterynarza, że jedziecie.

Pani, która potrafiła Judgy'ego, przeproszała mnie przez całą drogę, ale nie słuchałam jej. Myślałam tylko o tym, jak pierwszy raz zobaczyłam Judgy'ego w schronisku. Przynieśli nam ten mały kłębuszek futerka wierzgający tylnymi łapami z radości. Kiedy spojrzałam mu w jasne szalone małe oczka, a on spojrzał w moje, pokochałam go z miejsca. Miał wtedy około osiemnastu miesięcy, ale dwa razy zmieniał dom, bo właściciele myśleli, że zrobią z border teriera kanapowca. Kiedy wskoczył mi na kolana, obiecałam mu, że zostanie ze mną na zawsze. Zabraliśmy go do siebie, a on od razu porozstawiał nas wszystkich po kątach. Jest niegrzecznym i hałaśliwym śmierdziuszkim, ale uważa, że wszystkie łóżka należą do niego i tylko dzięki swej wielkoduszności pozwala nam w nich spać. To przez niego zamontowaliśmy na lodówce zamki, bo sam ją sobie otwierał i wykradał ser. Nie

mogłam znieść myśli, że jego oczy zgasną, że nigdy nie spojrzy na mnie, przechylając główkę, żeby wyrazić swoje niezadowolenie. Nazwaliśmy go Judgy, bo od samego początku miał jasne i zdecydowane poglądy i oczekiwania, które mieliśmy spełniać. A jeśli tego nie robiliśmy, nie pozostawiał nam żadnych wątpliwości, co sądzi na ten temat. Nie byłam gotowa się z nim żegnać.

Kiedy dojechałyśmy, wbiegłam do gabinetu. Weterynarz Susie, która dobrze знаła Judgy'ego, bo niejedną raz go tutaj przywoziłam, kiedy najadł się rzeczy, których absolutnie nie powinien, zbladła. Wyglądała na równie przerażoną co ja, ale zachowała spokój i profesjonalizm.

- Jest przytomny. To już coś. Założę mu kroplówkę, żeby zniwelować wstrząs i zbadam go dokładniej.

- Mogę zostać? - spytałam.

- Oczywiście.

Na wielkim stole Judgy wyglądał na maleńkiego pieska. Nawet gdy Susie wkłuwała mu strzykawkę, żeby założyć kroplówkę, rozpoznał starego przyjaciela i chciał zamerdać ogonkiem. Miałam ochotę wziąć go na ręce i poprzytulać tak, jak lubi najbardziej, to znaczy kiedy może objąć mnie łapkami za szyję.

Drapałam go w ulubionym miejscu za uszkami, kiedy Susie go badała. Próbował przysunąć się bliżej, żebym mogła podrapać go mocniej, ale przy każdej próbie pojękiwał i przestawał.

- Przednią łapkę na pewno ma złamaną... - zaczęła Susie po chwili.

- O Boże! Ale możesz to wyleczyć, prawda? To tylko złamana noga! Przecież to pies, nie koń. Niektóre psy mają tylko dwie nogi. Wydobrzeje, prawda?

- Bardzo bym tego chciała, Ellen, ale jest malutkim pieskiem, którego uderzył wielki samochód. Noga nie jest największym problemem. Masz rację, że możemy ją wyleczyć, ale mógł odnieść obrażenia wewnętrzne. Będziemy musieli zrobić prześwietlenie. Na razie nie mogę nic więcej powiedzieć. Ale dobrze, że jest przytomny i stabilny.

Do pomieszczenia wparował Simon.

- Jezu Chryste, kochanie! Przybiegłem najszybciej, jak mogłem. Co mu jest? Wyliże się z tego?

Kiedy Susie wyjaśniła, Simon zapytał:

- To co teraz? Założycie mu gips?

- Nie. Podamy mu znieczulenie, żeby zrobić prześwietlenie i sprawdzić, czy nie ma obrażeń wewnętrznych. Wtedy będzie można zdecydować, co dalej. Jeśli to tylko złamanie, mamy świetnego ortopeda, który go zoperuje i poskłada w całość. Jeśli okaże się, że to coś więcej, będziemy musieli zrobić to, co będzie najlepsze dla Judgy'ego.

- O nie! Mówisz o tym, żeby go uśpić? Nie, nie możesz! Popatrz na niego! Jeszcze przed chwilą merdał ogonkiem. Nie możesz tego zrobić, nie pozwalam!

- Ellen, ja tylko mówię, że na tym etapie nie mogę dać jednoznacznej odpowiedzi, ale cokolwiek się będzie działo, musimy brać pod uwagę jego dobro, a nie twoje. Wiem, że go kochasz i właśnie dlatego pozwolisz nam zrobić to, co najlepsze dla niego. Nie wydaje mi się, żeby odniósł poważne

uszkodzenia wewnętrzne, ale nie mogę powiedzieć tego z całą pewnością. Musisz też brać pod uwagę, że nie będziemy w stanie go wyleczyć. W takiej sytuacji mamy obowiązek podjąć taką decyzję, by jak najmniej cierpiał. Ale najpierw zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby mu pomóc. Dobra wiadomość jest taka, że macie szerokie ubezpieczenie, więc nie musicie za bardzo się martwić o koszty leczenia.

- Pieprzyć koszty! - rzucił Simon żarliwie. - Nie mają znaczenia, tylko mu pomóżcie. Zrobicie wszystko, co tylko możliwe, prawda? A jeśli będziecie mieć złe wieści... Pozwólcie nam się z nim najpierw pożegnać, dobrze?

Zapłakałam jeszcze mocniej. Simon objął mnie ramieniem, a ja wtuliłam się w niego mocno i łkałam jak dziecko.

- Oczywiście. Zabiorę go na znieczulenie i prześwietlenie. Najlepiej będzie, jeśli wrócicie do domu. To chwilę potrwa i niezależnie od wyników badań, Judgy zostanie tutaj na noc.

- Czy mogę z nim zostać? - spytałam.

- Niestety nie. Ale możesz mu przywieźć ulubiony kocyk albo zabawkę - zasugerowała Susie uprzejmie.

- Przywieziemy - powiedział Simon stanowczo, podczas gdy ja tonęłam we łzach.

- Zostańcie tak długo, jak potrzebujecie, a potem wracajcie do domu. Zadzwoń, kiedy będę mieć wieści - obiecała Susie i dodała, że prawdopodobnie wszystko będzie dobrze, musiała nas tylko przygotować na najgorsze, tak na wszelki wypadek.

Nie przestawałam płakać, a Simon przytulał mnie, głaskał

po włosach i powtarzał, że teriery nigdy się nie poddają, ale mówił to wszystko drżącym głosem, więc mu nie wierzyłam.

- Ty go nawet nie lubisz! - zawyłam.

- Oczywiście, że go lubię. Tylko on zawsze się cieszy, kiedy wracam do domu. Bardzo go kocham.

- Mówisz, że jest prosiakiem!

- Ty tak samo!

W końcu się pozbieraliśmy i wyszliśmy do poczekalni. Kobieta, która uderzyła Judgy'ego, czekała tam na nas. Ona też płakała, a kiedy wyszliśmy i nas zobaczyła, znowu zalała się łzami.

- O mój Boże! Nie ma go z wami! Czy on...?

- Zabrali go na prześwietlenie. Możliwe, że ma tylko złamaną łapkę, ale dopóki nie zrobią prześwietlenia, nie możemy nic powiedzieć.

- Tak mi przykro - powtórzyła po raz tysięczny.

- To nie pani wina. To moja. Powinnam była lepiej go pilnować - odparłam.

- To był wypadek. Nikt nie jest winny - powiedział stanowczo Simon.

- To mój numer telefonu. Proszę dać mi znać, kiedy będzie coś wiadomo.

- Oczywiście.

Wracaliśmy w ciszy. Co można powiedzieć w takiej sytuacji? Kiedy wróciliśmy, spakowałam ulubiony kocyk Judgy'ego (bardzo drogi kocyk z owczej wełny, który sobie przywłaszczył, gdy znalazł go na kanapie) i lewka, który kiedyś należał do Jane, dopóki Judgy go nie wykradł, potem

wypatroszył i uznał za swoją własność. Lubił go w nocy przytulać, ale jeśli ktoś się z niego nabijał, rzucał złowrogie spojrzenia.

- Zawiozę cię do weterynarza - zaproponował Simon. - Nie powinnaś prowadzić, jesteś jeszcze w szoku.

Kiedy dojechaliśmy, recepcjonistka powiedziała na nasz widok:

- Susie mówiła, że wróćcie. Zawołam ją, poczekajcie tutaj.

Mogłaby zrobić karierę pokerzystki, bo jej mina nie zdradzała niczego. Nie miałam pojęcia, czy Susie będzie miała dla nas dobre, czy złe wieści, ale kiedy do nas wyszła, uśmiechała się.

- To tylko złamanie! Chociaż dosyć skomplikowane. Liam, nasz chirurg ortopeda, właśnie operuje Judgy'ego. Wasz psiak się wylize! Mały szczęściarz z niego! Zderzenie musiało być mocne, że tak się połamał. Jestem zdziwiona, że nie stało mu się nic poważniejszego. Jest poobijany, posiniaczony i nieszczęśliwy, ale teriery są silne. Szybko wróci do zdrowia!
- powiedziała wesoło, a ja znowu się rozplakałam.

- Czasami zachowuje się bardziej jak kot niż jak pies. Potrafi być uparty i strzelać fochy. Może ma też dziewięć żyć? - ledwie cedziłam przez łyzy.

- Miejmy nadzieję, że nie będzie drugi raz sprawdzał. Zadzwoń do was, kiedy skończymy operację. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, jutro wróci do domu.

Po tym, jak przekazaliśmy wszystkim dobre wieści, wytłumaczyliśmy Jane, że to był wypadek i nikt jej nie obwinia, a kiedy wreszcie przestałyśmy płakać i dzieci poszły

spać, Simon usiadł przy mnie na kanapie po raz pierwszy od bardzo dawna.

- Byliśmy tacy głupi, prawda? Ja na pewno byłem. Masz rację, że powinniśmy coś zmienić. Musimy znowu stworzyć zgrany zespół. Dzisiaj myślałem jedynie o tym, że muszę i chcę przy tobie być. Zastanawiałem się, co byśmy zrobili, gdyby Judgy nie przeżył, co byśmy zrobili, gdyby coś takiego przytrafiło się jednemu z naszych dzieci. Niepotrzebnie kłóciliśmy się o wyrzucanie śmieci i opiekę nad dziećmi. Nasza rodzina jest najważniejsza i to o nią powinniśmy walczyć - powiedział.

- Cieszyłam się, że jesteś przy mnie. I myślałam o tym samym. Było mi bardzo smutno, że nie rozmawialiśmy ze sobą, tylko wciąż się kłóciliśmy. Bałam się nawet, że tego nie przetrwamy i się rozstaniemy.

- Ja też. A chciałabyś się rozstać? - spytał cicho.

- A ty?

- Ja spytałem pierwszy.

- Nie. Nie chciałabym, ale jeśli ty chcesz, to Judgy zostaje ze mną.

- Ja też nie chcę się rozstawać. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie, dzieci ani naszego śmierdziuszka. Po prostu nigdy nie myślałem, że małżeństwo będzie takie trudne. Sądziłem, że będziemy trzymać się za ręce i patrzeć na zachód słońca. Nie spodziewałem się, że będzie aż tak trudno!

- Wiem. Książki i filmy zawsze kończą się w bajkowym momencie. Potem jest już tylko „i żyli długo i szczęśliwie”, a opróżnianiem zmywarki i czyszczeniem kibla zajmują się

skrzaty - odparłam.

- Musimy się bardziej postarać, prawda? Nie sądziłem, że tak trudno przyjdzie mi oswojenie się z faktem, że pracujesz na cały etat. Nie myślałem, że będzie mi to aż tak przeszkadzało. Przecież to niesprawiedliwe wobec ciebie! Muszę popracować nad tym, żeby być mniej samolubnym i więcej ci pomagać. A ty nie powinnaś więcej wyjeżdżać na wakacje bez skonsultowania tego ze mną. I może używać więcej racjonalnych argumentów zamiast na mnie krzyczeć. Powinniśmy częściej ze sobą rozmawiać. I może wychodzić na randki i tym podobne.

- Dobrze, ale czy możemy nie nazywać tego randkami? W końcu nie jesteśmy parą amerykańskich licealistów z komedii romantycznej. To trochę dziwne, kiedy czterdziestolatki opowiadają, że chodzą na randki. Poza tym nie musisz się już martwić o to, że pracuję na pełen etat. Dzisiaj w firmie była niezła szopka.

- Chryste, co się stało?

- Wszystko zaczęło się od rozmowy o dzieciach.

- Na pewno się spodziewałaś, że kiedyś do tego dojdzie, prawda?

- Tak, wiem... Chociaż... Liczyłam, że jakoś tego uniknę.

- Ale masz jeszcze pracę?

- Nie wiem. W pewnym momencie cała uwaga skupiła się na mnie i nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, więc po prostu wyszłam.

- Po prostu wyszłaś? Kochanie, jak na kogoś, komu tak świetnie wychodzi wrzeszczenie, jesteś też nieziemsko dobra

w uciekaniu przed konfliktami i emocjami.

- Przyganiał kocioł garnkowi!

- Cóż, w najgorszym wypadku cię wyrzucą i dzień po dniu będziesz mogła na mnie czekać z ciepłym obiadem i parą kapci.

- Simon! Nie pomagasz!

- Przepraszam, chciałem rozluźnić atmosferę. Pamiętaj, że cokolwiek się stanie, przebrniemy przez to razem. OK?

- OK.

- I pamiętaj, że cię kocham!

- Ty też jesteś całkiem w porządku.

- Tylko na tyle cię stać, Ellen?

- No dobra, dobra! Też cię kocham. Zadowolony?

- Umieram ze szczęścia!

- Wspaniale!

- To może pooglądamy *Fanów czterech kółek*?

- Chrzań się!

PONIEDZIAŁEK, 19 CZERWCA

Judgy wrócił do domu w sobotę. Jest obrażony, bo włożyli mu nogę w gips i szynę, i zbulwersowany tym, że trzeba go wynosić na zewnątrz, żeby załatwił swoje sprawy, bo jak wszystkie samce tej rasy lubi w takich chwilach odrobinę prywatności i potrzebuje momentu na cichą kontemplację. Oburzenie związane z tak nieludzkim traktowaniem sugeruje, że szybko się wyliże.

Ciężkie przeżycia weekendu i ulga, że ja i Simon lepiej się dogadujemy i znowu gramy w jednej drużynie, sprawiły, że

poczułam się, jakby ktoś wyciągnął ze mnie zatruty kolec, ale zdążyłam też zapomnieć o przedstawieniu, które miało miejsce w pracy w piątek. Kiedy przyszedłam do biura, mój szef Ed wyjrzał z gabinetu i poprosił mnie do siebie „na słowo”. Od razu uszła ze mnie cała energia. Poczułam się, jakbym wróciła do liceum i wylądowała na dywaniku u dyrektorki. To nigdy nie kończyło się dobrze.

Ed, który nienawidzi rozmawiać z ludźmi, też nie wyglądał na zachwyconego perspektywą opuszczenia swojej strefy komfortu.

- Hm, wygląda na to, że doszło do jakiegoś nieporozumienia - zaczął nieporadnie.

- Można tak powiedzieć - przytaknęłam ponuro.

- Twoi koledzy z zespołu myśleli, że nie masz dzieci.

- Tak.

- Ale masz dzieci, prawda?

- Tak.

- Czyli jest tak, jak myślałem. To tylko nieporozumienie. Zdarza się. To dobrze. Cieszę się, że już to wyjaśniliśmy.

- Tak. Czy to wszystko, Ed?

- Chodzi o to, że oni poprosili mnie, żebym z tobą porozmawiał o tym nieporozumieniu... Ellen, czy jesteś tutaj szczęśliwa?

- Tak! Uwielbiam tę pracę! Na początku ciężko było mi się przyzwyczaić do pracy na pełen etat, ale szybko mi przeszło.

- Ach tak. Wiesz, tylko chciałem ustalić, skąd się wzięło to nieporozumienie. Bałaś się powiedzieć, że masz dzieci, bo czułaś, że będziesz traktowana inaczej? Polityka naszej firmy

mówi, żeby zachęcać kobiety do powrotu do pracy i nie dyskryminować ich z tego powodu. Gabrielle przyniosła mi kiedyś tonę papierów na ten temat, chociaż nie rozumiem, czemu nie wysłała mejla. Tyle mówi o recyklingu i byciu eko, a potem wycina pól lasu tropikalnego, żeby wydrukować każdego wysłanego mejla. Mówiłem jej, że biura bez papierów są przyszłością, ale najwidoczniej w jej dziale inaczej się na to patrzy. Tak czy inaczej sytuacja, w której wstydzisz się przyznać, że masz dzieci, nie powinna zaistnieć. To nie powinno mieć dla nikogo znaczenia.

Kochany Ed! To chyba była najdłuższa przemowa, jaką słyszałam w jego wykonaniu. Wiem, że ma dobre intencje, a ja bardzo liczę na to, że kiedy Jane dorośnie, te sprawy naprawdę nie będą miały znaczenia, ale tylko mężczyzna może twierdzić, że matek nie traktuje się gorzej w miejscu pracy. Osoby takie jak Ed tego nie robią, ale nie wszyscy są tacy jak on. Na przykład ta hipokrytka Gaby, która rzuca kąśliwe uwagi pod adresem Lydii, a jednocześnie wciąż głądzi o polityce firmy, do której sama się nie stosuje.

Ed musiał być wyczerpany swoją przemową, bo na chwilę zamilkł, wlepiając wzrok w stos papierów, które dostał od Gabrielle.

- Czy to już wszystko? - w końcu odważyłam się odezwać.

- Hm, jest jeszcze jedna sprawa. Mamy coraz więcej pracy, rozwijamy się. Max zadzwonił do mnie dzisiaj rano. Przysłał nam dwa nowe zespoły i poprosił mnie o wyznaczenie liderów dla każdego z nich. Zastanawiałem się, czy nie chciałabyś aplikować na to stanowisko. Niestety nie mogę

obiecać ci dużej podwyżki, ale taki awans na pewno będzie świetnie wyglądał w CV.

- Chcesz, żebym została team liderką naszego zespołu?

- Nie. Zauważyłem, że pracownicy się frustrują, kiedy ktoś, kto pracował z nimi w zespole, dostaje awans na ich przełożonego. Chciałbym, żebyś dowodziła jednym z nowych zespołów i chciałbym, żeby Lydia też zgłosiła się na jedno z tych stanowisk.

- A co z Jamesem, Alanem i Joem?

- Oczywiście będą mogli aplikować, ale to wy jesteście moimi faworytkami.

- Rozmawiałeś już o tym z Lydią?

- Zamierzam z nią porozmawiać, kiedy skończymy. Mogłabyś ją do mnie poprosić, jak wyjdiesz?

Ed opadł na fotel przytłoczony perspektywą kolejnej rozmowy w cztery oczy.

- Oczywiście. Dziękuję, Ed. Bardzo to doceniam, ale będę musiała to przedyskutować z mężem.

- Nie ma pośpiechu. Zastanów się nad tym.

Wyglądało na to, że problem dzieci został definitywnie rozwiązany z szefostwem, ale musiałam jeszcze stawić czoła reszcie zespołu.

James był trochę zmieszany.

- Uważam, że postąpiłaś dziwacznie, Ellen, ale moja żona powiedziała, że w jej pracy też są ludzie, którzy jej dokuczają, i doskonale rozumie, że niektóre kobiety wolą w takiej sytuacji nie przyznawać się, że mają dzieci. Nie powinienem być zgryźliwy wobec Lydii. Będę się bardziej

starał.

Alan nadal stroił fochy, ale najbardziej wściekła na mnie była Lydia. Kiedy robiłam kawę, podeszła do mnie.

- Nie mogę uwierzyć, że mi to zrobiłaś!

- Wiem. Przepraszam, jestem złym człowiekiem i moje zachowanie było karygodne. Ale sprawiedliwości stało się zadość, bo w piątek mojego psa potrącił samochód, przez co spojrzałam na życie z dystansu. Mogę cię tylko przeprosić, wiem, że postąpiłam źle i chciałabym już o tym zapomnieć.

- Chryste! Tak mi przykro! - przeraziła się Lydia.

- To nic takiego, złamał nogę i powinien się z tego wylizać. To doświadczenie sprawiło, że przemyślałam kilka spraw. Masz rację, zachowałam się beznadziejnie. Jest mi bardzo przykro i nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć. Miałam ciężki weekend i brak mi już siły na kolejny emocjonalny rollercoaster. Jeśli chcesz mnie nienawidzić, droga wolna.

- Na litość boską! Miałam przygotowaną długą przemowę, ale nie pozwolisz mi jej wygłosić, bo twojego psa potrącił samochód? Chciałam ci tylko powiedzieć, że w głębi duszy byłam zazdrosna, że sama nie wpadłam na pomysł, żeby udawać, że nie mam dzieci. Moje życie byłoby o wiele łatwiejsze!

- Tak czy inaczej, Ed chce z tobą porozmawiać.

- Po co? Ed nigdy nie chce z nikim rozmawiać! - zdziwiła się Lydia.

- Chyba ma dobre wieści, ale niech sam ci to powie. Jest mi naprawdę bardzo przykro, Lydio. Chciałabym, żebyśmy zapomniały o tym, co się stało, i kontynuowały pracę

w koleżeńskej atmosferze.

Przytaknęła.

Po jakimś czasie dostałam jeszcze jedną dobrą nowinę. Skontaktowała się ze mną agencja au pair. Powiedzieli, że znaleźli dla nas idealną kandydatkę. Nazywa się Sara i pochodzi z Pizy. Chciałabym się nauczyć włoskiego! Myślę, że tkwią we mnie zadatki, w końcu mam certyfikat z łaciny, chociaż po wypadku Judgy'ego, wolałabym nie używać więcej zwrotu *Canis est in via*^[10]! Ciekawe, czy będzie nam robić pizzę? Może chociaż nawróci Simona na spaghetti.

LIPIEC

SOBOTA, 1 LIPCA

Dzisiaj ślub Hannah i Charliego. Hurra! Nareszcie! Mimo że zostałam wykluczona z planowania (łącznie z tym, że Hannah zagroziła, że ukradnie mi telefon i skasuje konto na Pinterście, jeśli jeszcze raz zasugeruję, że stare kalosze można przerobić na gustowne wazon), byłam szalenie podekscytowana.

Skrupulatnie zaplanowałam, w co się ubiorę. Jeśli mam być szczerą, w mojej szafie już od kilku tygodni wisi jedwabna kreacja w kwiaty i bajeczny kapelusz. Białe rękawiczki byłyby uroczym dodatkiem, ale Simon powiedział, że nie jestem królową i że bym się nie wygłupiała.

Dla Petera kupiłam garnitur. Udało mi się też znaleźć sukienkę dla Jane, która stanowiła kompromis pomiędzy jej i moim gustem - była dość odważna, ale nie robiła z niej Lolity. Długo kłóciłyśmy się o to, ile makijażu będzie mogła nałożyć na ślub, ale w końcu się poddałam. Uzgodniłyśmy, że Sophie przyjdzie do niej na noc przed uroczystością i rano obie się umalują. Dzięki temu przynajmniej Jane nie będzie jedynym Jokerem na weselu.

Wszystko miałam dopięte na ostatni guzik, więc kiedy Simon o dziewiątej rano wyciągnął z szafy swój „garnitur na specjalne okazje” i spojrzał na niego smutno, nie byłam

zachwycona.

- Nie mogę w tym iść. Nie wiedziałem, że ten garnitur tak mocno się zestarzał. Nie byliśmy na żadnym weselu od wieków. Muszę sobie kupić nowy.

- Co takiego? Przecież o wpół do pierwszej wychodzimy! Włóż któryś z garniturów do pracy.

- Nie mogę! Nie chcę wyglądać, jakbym przyszedł na ślub prosto z biura. Skoczę do miasta i coś wybiorę. Ani się obejrzysz, a będę z powrotem.

- Nie ma mowy, Simon, nie zgadzam się! Załóż coś innego! Dlaczego czekałeś z tym do ostatniej chwili? Chciałam wziąć kąpiel i spokojnie się wyszykować. Zamierzałam w spokoju wypróbować kilka cieni do powiek, a ty miałeś zajmować się dziećmi, a nie dawać nogę, żeby kupić garnitur. Sara ma dzisiaj wolne, bo idziemy na ślub. Poszła na piknik ze znajomymi ze szkoły językowej.

Swoją drogą, Sara jest aniołem. Co prawda nie robi domowej pizzy, ale o wiele mniej ciągnie ją w stronę *discothèques* - a raczej *discotecas* - niż marnotrawną Juliette.

- Wrzuć na luz! Zabiorę ze sobą dzieci - powiedział Simon.

Nic nie denerwuje mnie bardziej, niż kiedy ktoś mi radzi, żebym wrzuciła na luz.

- Co? Do sklepu? Zdajesz sobie sprawę, że jest ich trójka?

- Tak, kochanie. Wszystko będzie dobrze, poradzę sobie. Co takiego mogłoby się stać?

- Kiedyś już to słyszałam... - mruknęłam pod nosem.

Jane i Sophie nie chciały jechać z Simonem, twierdząc, że

one też potrzebują czasu, żeby się wyszykować. Jane i Sophie na szczęście potrafią się sobą zająć, szczególnie kiedy w okolicy nie ma Petera (niestety w związku z wyjazdem cywilizująco-deprawującej Juliette, Peter znowu zaczął prowadzić quizy dotyczące swoich bąków), więc ostatecznie dziewczynki zostały ze mną, a Peter pojechał z ojcem. Wyglądało to nawet rozsądnie.

Przekazałam Simonowi instrukcję obsługi Petera, łącznie z tym, żeby nie dał się na mówić na zakup napojów energetycznych, żelek Haribo ani parówek w cieście (Peter lubi pobijać rekordy w zjadanej ilości), a Simon odparł, że nie widzi powodu, dla którego miałby nie poradzić sobie przez jeden poranek z własnym dzieckiem i przy okazji kupić garnitur.

Kiedy pojechał, zaproponowałam Jane i Sophie, że spędzimy dziewczynski poranek, zrobimy sobie maseczki, ułożymy włosy i nałożymy makijaż, ale dziewczynkom nie spodobał się ten pomysł. Powiedziały, że wolą same zająć się sobą, więc poszłam wziąć kąpiel, nerwowo spoglądając na zegarek, bo Simon przepadł jak kamień w wodę.

Zadzwoił do mnie w samo południe.

- Okazuje się, że garnitur trzeba odrobinę przerobić, ale to nie potrwa długo, więc pojedź z dziewczynkami, a ja do was dołączę - oznajmił wesoło.

- TY DRANIU! JAK ŚMIESZ MI TO ROBIĆ?

- Spokojnie, wszystko będzie dobrze.

- A co z Peterem? Jego też trzeba przebrać w garnitur!

- Peter nie chce iść w garniturze. Podobno ci o tym mówił.

Kupiliśmy dla niego spodnie i koszulkę. Może będziesz mogła zwrócić garnitur?

- Ale wyglądał w nim tak rozkosznie!

- Powiedział, że go drapie i czuje się w nim idiotycznie.

- No to świetnie! Po prostu się nie spóźnijcie. I nie kupuj mu napojów energetycznych.

Ten garnitur był taki śliczny! Peter wyglądał w nim jak z bajki! Co oni mogli wiedzieć o modzie?

Zagoniłam Jane i Sophie (które ucharakteryzowały się na dwie małe Lolitki) do samochodu i ruszyłam na ślub, mamrocząc pod nosem złowrogie przekleństwa. Nie mogłam uwierzyć, że dałam się przekonać mężczyźnie, który nie rozumie, dlaczego Peter powinien iść na ślub w garniturze, i stanowczo zaprotestował przeciwko moim białym rękawiczkom.

- Mamusiu, nie powinnaś mówić, że utniesz tatusiowi siusiaka! - skarciła mnie Jane.

- Tak, Ellen. Jeśli nie chcesz mieć więcej dzieci, takie zabiegi można wykonać w szpitalu - dodała Sophie.

Słodki Jezu, muszę porozmawiać z dyrektorką o programie wychowania seksualnego!

Kiedy przyjechaliśmy, zaparkowałam samochód i pobiegliśmy do środka, żeby zająć miejsca. Było tak ślicznie! Pani P. (w białych rękawiczkach!) powitała mnie słowami:

- Dzień dobry, Ellen! Prawda, że jest ślicznie? Hannah odwalila kawał dobrej roboty, chociaż ja dodałabym kilka szalonych akcentów. Proponowałam kalosze przerobione na

wazony z kwiatami, ale się na mnie wściekła, tak samo skrytykowała mój pomysł z marokańskimi lampionami z puszek po kawie. Marjorie będzie zawiedziona. Wlewała w staruszków kawę, żebym miała wystarczająco dużo puszek. Pewnie marzą już o kubku herbaty. I popatrz tylko, jak dzieci urosły! Tylko... co się stało Jane i jej koleżance?

- To się podobno nazywa konturowanie twarzy. - Westchnęłam z rezygnacją.

- Ach tak! Za moich czasów tak się nie robiło. Napijesz się dzinu, kochana? Teoretycznie nie ma otwartego baru, ale jako matka panny młodej mam nadzieję, że coś dla ciebie przemycę.

Ponieważ Simon wciąż się nie pojawił, a ślub miał się zacząć za chwilę, uznałam, że kieliszek dzinu nie zaszkodzi.

Chwilę później pani P. ukradkiem podała mi szklanę i na odchodnym rzuciła, że „może” wystawi jeszcze kilka malutkich lampioników wzdłuż drogi do ołtarza.

Kiedy wypłam dzin, poczułam się spokojniejsza, chociaż Simon wciąż się nie pojawiał. Usiadłam obok Sama, który skrzywił się na widok dziewczynek.

- Wiem! Wiem! Cóż mam ci powiedzieć? Tak to już jest z dziewczynkami i makijażem. Muszą się uczyć na własnych błędach. Nie widzę innego wytłumaczenia dla faktu, że szminka Heather Shimmer tak świetnie się sprzedawała w latach dziewięćdziesiątych.

Sam nie wyglądał na przekonanego.

- A gdzie Simon? Wszystko w porządku? Znowu się

pokłóciliście? – wyszeptał.

- Nie. Wszystko w porządku, pomijając fakt, że ten drań pojechał rano po garnitur. Powiedział, że przyjedzie prosto na ślub.

- Kto kupuje garnitur w dzień ślubu?!

- NO WŁAŚNIE! Poza tym kupił Peterowi nowe ubrania zamiast garnituru, który dla niego wybrałam.

- Ellen, kochanie, jeśli mam być szczery, to Peter narzekał na ten garnitur, gdy tylko mu go kupiłaś. Po prostu ignorowałaś te narzekania. Mój Toby też prędzej padłby trupem, niż włożył garnitur! – Sam wskazał na swojego synka, który wyglądał uroczo w koszuli i bawełnianych spodniach.

Kiedy zaczynałam wiercić się z nerwów na krześle i rozważałam wysłanie Simonowi wściekłego SMS-a, mój małżonek się pojawił. Wyglądał całkiem nieźle w nowym garniturze (spróbowałby nie wyglądać!). Martwiłam się o to, co wybrał dla Petera, ale mój syn był ubrany w podobną koszulkę i spodnie co Toby i wyglądał całkiem słodko. Jedynie lekko szaleńczy błysk z jego oczach zasugerował, że Simon nie posłuchał moich ostrzeżeń na temat zagrożeń wynikających ze spożywania napojów energetycznych.

- Mówiłem, że przyjadę na czas, kochanie. Za dużo się martwisz. Powinnaś się nauczyć czasami odpuścić i mi zaufać. – Uśmiechnął się zawadiacko.

Nie przyznałabym mu racji, nawet gdybym się zgadzała, ale na szczęście nie musiałam już nic mówić, bo odezwały się dźwięki muzyki i do kościoła weszła Hannah. Promieniała ze

szczęścia. Chyba nawet bardziej niż podczas pierwszego ślubu, chociaż kiedy dostrzegła lampiony pani P., na chwilę złowrogo zmrużyła oczy.

Ceremonia była prześliczna. Charlie i Hannah wyglądali na najbardziej zakochaną parę na świecie. Doszło tylko do krótkiego zastoj, kiedy musiałam wyjść, żeby przeczytać swoją przemowę, i dotarło do mnie, że siadanie pośrodku rzędu nie było najlepszym pomysłem. Musiałam wyminąć Simona, Petera, Jane i Sophie, żeby wyjść, ale przynajmniej udało mi się nie rzucić pod nos „kurwa mać”.

Po ceremonii przyszła pora na szampana, zdjęcia i małą kłótnię pomiędzy Hannah i panią P. o lampiony. I jeszcze o to, że pani P. przemyciła kandelabry z butelek po dżinie, ale poza tym było cudownie.

Później były tańce. Kiedy walcowaliśmy z Simonem na parkiecie, romantycznie szepnęłam mu do uszka:

- Tańczyliśmy do tej piosenki na naszym weselu...
- Naprawdę? - zdziwił się.
- Simon!
- Żartowałem! Oczywiście, że pamiętam!
- Pamiętasz czy tylko udajesz, że pamiętasz, bo liczysz na coś więcej? - spytałam podejrzliwie.
- A jak myślisz? - Puścił mi oczko.
- Myślę, że jesteś strasznie wredny!
- I właśnie za to mnie kochasz!
- Nieźle ci się poszczęściło.
- Może i tak. Ale tobie też się poszczęściło, że cię kocham.
- Możliwe - przyznałam niechętnie.

Wygląda na to, że w małżeństwie chodzi o to, żeby znaleźć tę jedną wyjątkową osobę, której będziemy działać na nerwy i która będzie działać nam na nerwy, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

CZWARTEK, 20 LIPCA

Dzisiaj Jane skończyła ostatnią klasę szkoły podstawowej.

Simon wziął w pracy wolne, żeby iść ze mną na zakończenie roku. Nawet nie musiałam mu o tym przypominać. Ani na niego krzyczeć czy mu grozić. Nie rozumiałam tylko, czemu Simon i Jane od rana rzucają mi lekko zalęknione spojrzenia.

- Tato, tylko nie pozwól mamie robić scen i ryczeć jak bóbr, dobrze? - poprosiła Jane.

- Dlaczego miałabym płakać? Nie płakałam, kiedy szłaś do szkoły, więc nie rozumiem, dlaczego miałabym płakać, kiedy ją kończysz.

- Podobno wszystkie mamy płaczą na zakończeniu roku, ale ja tego nie rozumiem. I nie chcę, żebyś narobiła mi obciachu tylko dlatego, że inne mamy są dziecinne! - upierała się Jane.

- Jane, jeśli twoja mama będzie płakać, to tylko dlatego, że bardzo cię kocha - powiedziała miło Sara. Jestem pewna, że Juliette nie byłaby taka dyplomatyczna.

Jane w odpowiedzi burknęła coś pod nosem.

- Oczywiście, że będzie płakać! Mama ciągle płacze. Nie umie nawet czytać ani oglądać *Pajęczyny Charlotty* bez płakania. Narobi ci tyyle obciachu! - wtrącił Peter.

- Peter, dość tego! To wielki dzień dla Jane. Nie nakręcaj jej niepotrzebnie.

- Niedługo będzie twoja kolej, frajerze! Zobaczymy, czy dalej będzie cię tak śmieszyło, że mama ryczy - odpyskowała Jane, po czym wróciła do błagania Simona, żeby mnie pilnował.

Sara spytała, czy może iść z nami, po czym ruszyliśmy. Pod szkołą czekał na nas Sam, który przywitał mnie słowami:

- Nie martw się, Ellen. Zabrałem mnóstwo chusteczek higienicznych specjalnie dla ciebie.

Weszliśmy do środka i poszukaliśmy wolnych krzeseł. Oczywiście z tyłu, bo znamy swoje miejsce. Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson i Fiona Montague czekały pod drzwiami już od maja, żeby upewnić się, że one i jej mężowie usiądą w pierwszym rzędzie. Bardzo się też bulwersowały, kiedy zostały poproszone o odłożenie gigantycznych aparatów fotograficznych, bo szkoła wyda każdemu z rodziców zdjęcia zrobione przez oficjalnego fotografa. Obsłizgły Julian poczuł się szczególnie dotknięty, bo przecież on jest „profesjonalistą” i powinien zostać zwolniony z takich zakazów. Dyrektorka oschle rzuciła, żeby zajął miejsce. Mam dziwne przeczucie, że Julianowi się podobało, kiedy go tak naprostowała.

Uroczystość była prześliczna. Dzieci wyglądały na takie dorosłe, kiedy ścisnęły dłoń dyrektorki i odbierały świadectwa. Swoją drogą, mam już tyle świadectw i dyplomów! Szkoły uwielbiają je wydawać. Tylko nigdy nie wiem, które powinnam zachować, a które mogę wyrzucić.

Spytałabym kogoś, ale boję się, że będzie mnie oceniać. Tego na pewno nie wyrzucę.

Chociaż w głębi duszy wiedziałam, że to tylko siedem lat klótni o tabliczkę mnożenia, bezrefleksyjnego czytania książek i konkursów na „projekty” o łodziach wikingów i fortach starożytnych Rzymian, zalała mnie fala emocji i smarkałam w maleńką zużytą chusteczkę, aż wreszcie Sam się ulitował i podał mi dużą i nieużywaną. Nie mam pojęcia, kiedy te malutkie dzieci w uroczych sweterkach, które wydawały się za małe, żeby chodzić same do Wielkiej Szkoły, zmieniły się w tych dużych chłopców i dziewczęta.

A kiedy wreszcie oswoiłam się ze szkołą podstawową, Jane ją skończyła i za kilka tygodni pójdzie do Prawdziwej Wielkiej Szkoły, w której pierwszoklasiści znowu będą wyglądać na zbyt małych i wrażliwych w swoich uroczych sweterkach, żeby stawiać czoła wyzwaniom szkoły średniej. Jak Jane sobie z tym poradzi? Jak ja sobie z tym poradzę?

Szkoda, że nikt mi nie powiedział, kiedy moje dzieci były malutkie, że wszystkie rzeczy, o które się martwię, nie mają żadnego znaczenia. Nieważne, które słóiczki im kupisz, które zabawki, jaki śpiworek, kocyk i lampkę. Nieważne, czy będzie za dużo spało na brzuszku, czy za mało, czy będzie mieć za dużo, czy za mało stymulacji. Najważniejsze jest to, żeby się starać i je kochać, a wszystko inne jakoś się ułoży. Wycedziłam to przez łzy Simonowi, który syknął na mnie, żebym wzięła się w garść. Jane rzuciła mi ze sceny złowrogie spojrzenie. Szkoda, że nie nałożyłam wodoodpornego tuszu do rzęs jak Fiona Montague i Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej

Lucy Atkinson.

- Mówiłam ci, żebyś nie płakała - rzuciła oburzona moim „skandalicznym” zachowaniem.

- Ale kochanie, wszystkie mamusie płakały! Nawet Sara płakała! - broniłam się, chociaż przyznaję, że ona płakała o wiele taktowniej. Dużo mniej smarkała. Kiedy ja wyłam jak bóbr, ona kilka razy pociągnęła noskiem, szepcząc: „Bella bambina!”.

- A gdyby wszystkie mamusie rzuciły się w przepaść, skoczyłabyś za nimi? - spytała Jane przebiegle, bo to ja zawsze używam tego argumentu, kiedy tłumaczyła mi, że wszyscy inni mogą robić coś, co ona też by chciała. - A widzisz? W dodatku spłynął ci cały tusz do rzęs. Naprawdę, mamó, nie rozumiem, dlaczego gdy szłam do szkoły, wcale nie płakałaś, ale musiałaś się popłakać właśnie teraz!

- Ja też nie. Może chodzi o to, że coś się kończy. A zaczyna kolejny rozdział twojego życia.

- O MÓJ BOŻE, mamó, jesteś taka obciachowa! Możemy na obiad zjeść rybę z frytkami?

- Tak.

- A czy mogę założyć konto na Instagramie, na którym zacznę świętować, że jestem już takim dużym dzieckiem i rozpoczynam kolejny rozdział w moim życiu?

- Nie.

- Jesteś niesprawiedliwa!

- Wiem.

- Nienawidzę cię!

- Wiem.

- Rujnujesz mi życie!
- Jestem twoją matką. Taka już moja dola.
- To pójdziemy chociaż na lody?
- No dobrze.

PODZIĘKOWANIA

Ta książka, jak i wszystkie inne, jest wynikiem pracy wielu osób, którym należą się podziękowania. Będzie to cały zespół HarperCollins, ale przede wszystkim Katya Shipster, Polly Osborn, Jasmine Gordon, Jenny Hutton, Tom Dunstan, Anna Derkacz, Alice Gomer i wszyscy pracownicy działu sprzedaży. Mojemu oddanemu agentowi, Paulowi Bakerowi z Headway Talent, także należą się podziękowania, głównie za to, że ze mną wytrzymuje. Dziękuję również Kearanowi Ramfulowi i jego ekipie. Carly P - za wszystkie wyjaśnienia dotyczące zagadnień weterynaryjnych i odpowiedzi na najdziwniejsze pytania. Wszelkie nieścisłości biorę na siebie, porady Carly nie mają z nimi nic wspólnego. Na zawsze będę też wdzięczna Grace Cheetham, która we mnie uwierzyła.

Alison, Eileen, Linda, Lynn, Mairi i Tanya - dziękuję za dzin, rioję, Olać-to-Piątki i to, że dzięki wam nie zwariowałam, pisząc tę książkę! Dziękuję wszystkim Dobrym Duszom z przeszłości i terażniejszości za niekończące się wsparcie i wiarę we mnie. Dziękuję również Saddell Survivors, a szczególnie Gavowi, za słonie w Culloden - moment zbyt śmieszny i surrealistyczny, żeby umieścić go w książce, nieważne, jak bardzo bym się starała.

Ellie, Aaron, Callum i Alice - dziękuję za Café Patron, za przypominanie mi, że Café Patron nie jest najlepszym pomysłem, za puszczanie mi w kółko The Killers, za

podwózki do domu i za kupę śmiechu.

Na końcu dziękuję swojej rodzinie. Mój mąż, który lata temu zyskał przydomek Niszczyciela Marzeń, bo nie zgodził się, żebyśmy zainwestowali wszystko, co mamy, w rozpadającą się chatkę (jakkolwiek uroczą), ale wspierał mnie zawsze w realizacji najważniejszego dla mnie marzenia. Dziękuję, Niszczycielu Marzeń. I moje kochane maleństwa - boję się, że mogliście się poczuć odrzuceni, kiedy kończyłam tę książkę, ale żeby było jasne: nie kocham psa Judgy'ego bardziej od was! Kocham go inaczej. Na końcu chciałabym też podziękować moim teściom, którzy karmili i poili moje dzieci, kiedy pisałam, chlupałam i obgryzałam paznokcie z nerwów - jestem wam niezmiernie wdzięczna za wszystko, co dla nas robicie.

- [1] Judge w języku angielskim oznacza „krytyczny” (przyp. tłum.).
- [2] Rickrolling - dowcip internetowy zawierający teledysk do utworu Ricka Astleya *Never Gonna Give You Up* (przyp. red.).
- [3] *Thirtysomething* to amerykański serial fabularny opowiadający o życiu trzydziestolatków pod koniec lat 80. i na początku 90. (przyp. tłum.).
- [4] Ruch taneczny, który wygląda jak kichnięcie w ramię i ma wyrażać radość. Ruch zyskał status memu, który powtarzali nawet politycy (np. Hillary Clinton). Jego popularność szybko minęła, ale długo nie został zapomniany przez dzieci (przyp. tłum.).
- [5] Kawa kuloodporna (bulletproof coffee) - napój ze świeżo zmielonej kawy, masła i oleju kokosowego. Przez amatorów propagowany jako napój pobudzający, dostarczający energii i zmniejszający łaknienie (przyp. red.).
- [6] *Horrible Histories* - brytyjski historyczny serial komediowy, dodatek do serii książek edukacyjnych (przyp. tłum.).
- [7] Piosenka w wykonaniu Patti Page, tytuł oznacza: „Ile kosztuje ten piesek z wystawy?” (przyp. tłum.).
- [8] Au pair - program międzynarodowej wymiany kulturowej młodzieży. Przyjezdny młody człowiek zamieszkuje z zapraszającą go rodziną i uczestniczy w jej życiu, m.in. opiekując się dziećmi, a także poznając kulturę i codzienne życie kraju, w którym przebywa (przyp. red.).
- [9] Joni - indyjskie określenie żeńskich organów płciowych zarówno w znaczeniu fizycznym, jak religijno-duchowym, jako symbol bogini Dewi, źródła życia i całego wszechświata (przyp. red.).
- [10] *Canis est in via* (łac.) - Pies na drodze (przyp. red.).

Tytuł oryginału: *Why Mummy Swears*

Pierwsze wydanie: HarperCollins Publishers, Londyn 2018

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordega

Opracowanie redakcyjne: Joanna Gorska

Korekta: Joanna Morawska

© 2018 by Gill Sims

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa, 2019

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers Limited, UK

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych lub umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: iStock. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN 9788327640123

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi S.A.